

P. 9486 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/153-8/154 1960



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

DANUTA MOSTWIN : **DWANASĆIE LAT**

M. DANILEWICZOWA i Z. WILCZYŃSKA :
MIŁOSZ CONTRA KRASZEWSKI

H. SCHOENFELD : **NOWI GUDZOZIEMCY**

SPIS RZECZY

| | | |
|--|--|-----|
| Witold Gombrowicz: | <i>Fragment dziennika</i> | 3 |
| Czesław Miłosz: | <i>Co śmiem myśleć</i> | 13 |
| Henryk Schoenfeld: | <i>Nowi cudzoziemcy</i> | 35 |
| Maria Danilewiczowa i Zofia Wilczyńska: | <i>Miłosz contra Kraszewski</i> | 53 |
| Danuta Mostwin: | <i>Dwanaście lat</i> | 77 |
| Bogdan Czaykowski: | <i>Wiersze</i> | 133 |
| | a) <i>Mitologia</i> | 133 |
| | b) <i>Fragment</i> | 134 |
| | c) <i>Komentarz</i> | 134 |
| | d) <i>W soczewce chwili na tarasie</i> | 135 |
| | e) <i>Przesmyk</i> | 136 |
| | f) <i>Kolektyw</i> | 136 |

ARCHIWUM POLITYCZNE

| | | |
|-----------------------|--------------------------------------|-----|
| Juliusz Mieroszewski: | <i>Strategia oddziaływania</i> | 137 |
| Londyńczyk: | <i>Kronika angielska</i> | 144 |
| S. W. Kozłowski: | <i>Przegląd niemiecki</i> | 148 |
| Bohdan Osadczyk: | <i>Konferencja</i> | 153 |

KRAJ

| | | |
|----------------------|---|-----|
| Benedykt Heydenkorn: | <i>Od K. Gomółki do Wł. Gomułki</i> | 159 |
|----------------------|---|-----|

SPRAWY I TROSKI

| | | |
|-------------------|----------------------------|-----|
| Jan Rostworowski: | <i>Jan Nepomucen</i> | 169 |
|-------------------|----------------------------|-----|

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

| | | |
|---------------|-------------------------------------|-----|
| S. Żochowski: | <i>Konspiracje na Wyspach</i> | 180 |
|---------------|-------------------------------------|-----|

KRONIKA KULTURALNA

| | | |
|----------------------------|---|-----|
| Gustaw Herling-Grudziński: | <i>Nota o „chorobie powieści”</i> | 187 |
| K.A. Jeleński: | <i>Polski sezon plastyczny w Paryżu</i> | 192 |
| Wit Tarnawski: | <i>Po dwudziestu pięciu latach</i> | 196 |

KSIĄŻKI

| | | |
|-------------------------|--|-----|
| Paweł Hostowiec: | <i>Między książkami</i> | 201 |
| | a) <i>Cosmographia purgatorii</i> | 201 |
| | b) <i>Pamiętka z Kosowa</i> | 206 |
| | c) <i>Handbuch „Polen”</i> | 209 |
| K.A. Jeleński: | <i>Sielskie, anielskie?</i> | 215 |
| Maria Czapska: | <i>Dwieście ciotek</i> | 221 |
| Stanisław Bóbr-Tylingo: | <i>Teki Historyczne</i> | 224 |
| — | <i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> .. | 227 |



| | | |
|---|--------------------------------|-----|
| A. J. Dąbrowski, Czytelniczka, W. Gombrowicz, W. Gruszczyk, J. Laskowski, Cz. Miłosz, J. Poniatowski, K. Popiel, B. Toporska, Ig. Wieniewski, K. Wędziągolski, M. Sokolnicki, Sprostowanie: | <i>Listy do Redakcji</i> | 228 |
|---|--------------------------------|-----|

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień – Juillet-Août 1960

INSTYTUT



LITERACKI

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

| | |
|---|---------|
| St. Bolen. Ascot Vale, Vic. (Australia) | 19.00NF |
| Józef Truchan, Wellandport, Ont. (Kanada) po raz drugi | 50.00 „ |
| Anna Teresa Serafin-Poniatowska, Phoenix, Arizona (USA) po raz czwarty | 20.00 „ |
| Stena Kałuźniacka, Phoenix, Arizona (USA) po raz czwarty | 10.00 „ |
| Irena Skrobikowa, Montreal, Que (Kanada) po raz czwarty | 50.00 „ |
| A. Anyż, San Luiz Potosi (Meksyk) po raz piąty | 37,50 „ |
| Jan Piórkowski, Passaic, N. J. (USA) ponownie | 15,00 „ |

DZIĘKUJEMY



P. 9786 Chr. Arch.

Fragment z dziennika

Piątek

Forma beethovenowska i jej dramat w historii.

Od kilku lat przebywałem poza muzyką. Odzwyczaiałem się. Co do Beethovena, to w młodości, jak wszyscy, z rozkoszą go pożerałem — ale potem, cóż chcecie, już zanadto zadowolony mi się w uchu i nadeszła chwila, kiedy jego „frazja” stała mi się czymś bliskim frazesu. A wszystkie te rewelacje — „myśl” beethovenowska i jego ekstazy i demonizmy i liryzmy i sam rysunek tematu, harmonie, modulacje, przetworzenia — wszystko to miałem już w sobie na stałe... z estrady docho-
dziły mnie tylko echa.

Jednakże przed paru miesiącami wysłuchałem przypadkowo kwartetu f-moll, jedenastego — i nie wiem, czy tego dnia byłem specjalnie łasy na muzykę, czy może podbiło mnie po prostu bogactwo polifoniczne kwartetu, jako zespołu smyczkowego, zawsze tak niewyczerpanego... zaraz następnego dnia kupiłem sobie płyty z tymi jego kwartetami... i utonałem. Es-dur, e-moll, C-dur, cis-moll, F-dur, c-moll, a-moll, B-dur, F-dur, A-dur, G-dur — kwartety! Szesnaście kwartetów! Nie jest tym samym zbliżyć się od czasu do czasu do jednego z nich, mimochodem, a wstąpić w gmach, zagłębić się, wędrować z sali do sali, błądzić po krużgankach, ogarniać sklepienia, badać architekturę, odkrywać napisy i freski... z palcem na ustach. Forma! Forma! Nie jego szukam tutaj, gmach nie nim wypełniony, a jego formą, która doznaje w ciągu tej swojej stopniowej auto-kompozycji przygód, przemian, wzbogaceń — podobna stworom ludzko-nieludzkiem z pradawnych bajek. Jak przez mgłę, wciąż błądząc i z palcem na ustach, posuwam się od „Adagio molto e meso” z 7-go do „Molto adagio — Andante” z 15-go, lub też zamyślony badam, jak i dlaczego haydnowskie słońce z czasów młodości tak dziwnie powraca

u progu śmierci, w ostatnim Rondo i w Andante F-dur? Jak i dlaczego? Pytania niejasne — nieokreślone odpowiedzi — rozplynięte w szumie muzycznym, jak w szumie rzeki — to nie dziedzina wyraźnego konturu — i nie można wiele więcej, jak tylko pytać, jak tylko odpowiadać, wciąż poszukując z palcem na ustach, wciąż błędząc.

Zapewne, gdyby nie wykwintny czwór śpiew smyczkowy, nie owo polifoniczne wyrafinowanie kwartetowe, dzięki któremu wszelka muzyka, która się dostanie między te cztery instrumenty, ulega niezmiernemu wysubtelnieniu, nie byłbym może tak zniechęcony zachorował na Beethovena. Ale zainteresował mnie on także, jako problem... Pomyślałem: ta muzyka, to chyba jedna z największych naszych kompromitacji w dziedzinie sztuki... jej dzieje, to dzieje okropnego świństwa, jakie nas spotkało... jej dzieje, to dzieje naszej klęski... i ten stary, łatwy Beethoven, to jeden z najtrudniejszych orzechów do zgrzyzienia, dziś, w dobie Schönberga.

Ale bo też w sztuce nic nie jest tak trudne, jak łatwość. Sztuka bowiem w miarę rozwoju staje się coraz trudniejsza, łatwość tedy jest sprzeczna z jej tendencją, łatwość pozostaje w tyle, łatwość umiera, już załatwiona — utrzymanie tedy przy życiu łatwości jest sprzeczne z naturalną ewolucją sztuki.

I jeszcze jedno, zanim przystąpię do Beethovena: jak dobrze wiadomo, muzyka jest prawie wyłącznie formą, czystą formą, która rozwija się sama przez się, własną logiką, z pokolenia na pokolenie. Kompozytor, zależnie do czasu swojego, zostaje gotowy język muzyczny, którym musi się wyrażać.

Przyjrzyjmy się teraz formie muzycznej z okresu Mozart-Beethoven. Lasy, gaje, strumienie i źródła, łąki kwietne i pola szumiące zbożem — świeżość, bujność, młodość, grunt wspaniałe żyzny — oto muzyka naturalna, jak Bóg przykazał, której siły wschodzące trzeba było hamować. Jakież bogactwo śpiewu! Jaki zalew harmonii! Za owych błogosławionych czasów, muzycy, Forma była łaskawa na ludzi. A Beethoven, szczęśliwiec, przyszedł na świat akurat pod koniec tego okresu, kiedy już naturalność poczynała się wyczerpywać, a sztuka coraz większego nabierała rozmachu. Oto mi szczęśliwy moment, muzycy! Połączenie natury i sztuki tak pociągające, jak stworzenia jego formy sonatowej, już wymyślne i zdyscyplinowane, a jeszcze bezpośrednio, świeże... Takie idylle sztuki z naturą rzadko zdarzają się ludzkości i ona, raz tego doświadczywszy, na długie wieki nie zapomina...

Ale Forma nie byłaby naszym przekleństwem, gdyby długo na ten romans pozwoliła. Poczęła więc wypełniać swoje złośliwe przeznaczenie. Ów grunt dziewiczy Mozartów i Haydnów jął się wyczerpywać. Już Szopen, już Wagner, zrozumieli z przerażeniem, że nie mogą uprawiać tej samej ziemi, coś obrzydliwego — nasycenie — stało, jak anioł z mieczem ognistym, na przeszkodzie, poszukali tedy innych ziem, które

dotąd leżały odłogiem — ale te okazały się już gorsze. Nieszczęsny Wagner musiał sobie potężną inwencję muzyczną skomplikować intelektem tylko i wyłącznie żeby nie iść w ślady tamtych mistrzów — cóż za autokatastrofa, muzycy! A Szopen wykorzystując do maksimum swój wynalazek — odmienne potraktowanie fortepianu — wynalazł sobie własną grądkę, z której nosa nie wychylał, rad że chociaż taki folwark posiada. Muzyka zaczyna się tym ludziom gwałtownie zwięzać, ograniczać, koncentrować, utrudniać, to już nie spacer przedwieczorny Beethovena a ciężka uprawa, kopanie studni, nawadnianie terenu. Cóż mówić o Debussym, czy Strawińskim, i wszystkich innych, późniejszych, wyrzuconych przez nią, przez Formę, jeszcze dalej, tam gdzie gruda, skały, ugór — znojny trud, ponure, w pocie czoła, dorabianie się krwawych, skąpych płodów, nieprawdaż, muzycy? Mogli się ludzić, jak Debussy, że wydobywają się spod tyranii reguł klasycznych na swobodę — prawdą jest, że tym nielicznym swobodom, w męce wywalczonym, towarzyszyło rosnące ciśnienie Formy, ale już nieludzkiej i okrutnej, już działającej wbrew naszej ludzkości. Czyż nie tenże godny litości Debussy mawiał, że muzyka ma być ezoteryczna i dostępna tylko dla wybranych? Dla specjalistów.

Tak, przykład jaskrawy, jeden z najjaskrawszych w całej historii kultury, że „forma deformuje” zwracając się przeciw człowiekowi. Historia muzyki ostatnich stu lat to dzieje, kliniczne nieomal, duszącego procesu. Nie przeczę — temu powolnemu duszeniu się miękkiego ciała w twardym i coraz twardszym pancerzu formy nie brak momentów wzniosłych i odkrywczych — wszak i wędrowcom, co wygnani głodem z rodzinnych pieleszy zapuszczają się w pustynne i dzikie okolice, zdarza się niejedno wstrząsające doświadczenie, niezwykła rewelacja — duch wygnany, duch błędzący, zdobywa w owych sytuacjach krańcowych zasób nowych i surowych treści, których próżno by szukał u siebie w domu. Nie lekceważę więc tych wzbogaceń i nawet taki Schönberg, znakomity, który z twarzą wykrzywioną brakiem radości, w poczuciu tragicznego obowiązku i tragicznego losu, prze ku pełnemu urzeczywistnieniu swego demonicznego przeznaczenia wypełnia mnie tyleż litością co respektem. Ale jakże daleko ci, torturo, do szczęśnych dni Formy Łaskawej! Najzjadliwszą śmiesznością tych męczenników pozostanie, że oni nie wyrażają tego, czym naprawdę żyją. Gdy Forma zwraca się przeciwko tobie, doświadczasz okropnych i trujących stanów. Rozkosz, którą pragniesz stworzyć, męczy cię i, na domiar, znieważa. Płucom twoim brak tego powietrza, które nazywa się radość. Wszystko staje się wysiłkiem i jesteś jak skoczek, który coraz wyżej umieszcza drążek aby skakać coraz wyżej. Tajemnicze moce zmuszają cię do szukania smaku nie w tym, co ci smakuje, a wstyd twój z tego, że musisz całym sobą popierać i zatwierdzać to, co cię zabija.

Sobota

Kłeska artystyczna Czajkowskiego jest dowodem, że w sztuce nie można nawracać, ani się zniżać — kierunek wstecz i kierunek w dół są niedozwolone. Nieznośny odór przenikający jego twórczość, jak gdyby nieistotności zmieszanej z czymś „byłym”, ex, pogrzebanym, a, teraz wydymanym sztucznie, kiepskość tej melodyjności już nie w porę! A cóż mówić o Szostakowiczu? Folklor, melodia, anegdota — nie, nie wolno nawracać! Nie wolno ullać! Nie wolno się zniżać! Do góry, do góry leż, bez wytchnienia, nie oglądając się za siebie, choćbyś kark miał skrócić, choćby tam, na szczycie, nie było nic oprócz kamieni.

Beethoven jest więc dzisiaj metą już nie do osiągnięcia. Największa drogocенność tego śpiewu stąd się bierze, że on już nigdy nie będzie mógł być powtórzony.

Sobota

Ten tragiczny exodus kompozytorów współczesnych to nie tylko sprawa stopniowego wyjaławiania się gruntu muzycznego — wszystko w naszej kulturze, wszystkie jej mechanizmy są obliczone na takie wypychanie na kraniec, lub wzywać. Zainteresowały mnie, na przykład; sądy o Beethovenie Nietzschego i Ortegi, gdyż odmawiam im swobody. Są to sądy przymusowe, takie które „mówią się” jak gdyby wbrew woli tego kto mówi. To trochę tak, jak w państwie totalitarnym: wszystko musi wspierać dominującą tendencję.

Nietzsche (w „Radosnej wiedzy”):

Powiada naprzód, że wulgarność nawiedziła muzykę niemiecką — mieszczańską, rewolucyjną, nie znoszącą „noblesy”, zwłaszcza w jej wcieleniach „esprit” i „elegant”. „Jeśli chcecie wyobrazić sobie człowieka, tej muzyce odpowiadającego, wyobraźcie sobie Beethovena, tak jak go widzimy obok Goethego... powiedzmy, podczas spotkania w Toeplitz: pół-barbarzyństwo obok kultury, plebs obok arystokracji, dobroduszy pocziwiec obok człowieka dobrego i więcej niż „dobrego”, ekscentryczny marzyciel obok artysty, człowiek szukający pociechy obok człowieka pocieszonego, duch oddany przesadzie i podejrzliwości obok ducha sprawiedliwego, człowiek zraniony, zapamiętały, do szaleństwa ekstazy, nieublaganie nieszczęśliwy, naiwnie niezrównoważony, arogancki i ograniczony — słowem człowiek „nieokielznany”; i tak go odczuł i ocenił sam Goethe, „ten Niemiec wyjątkowy, który dotąd nie znajduje w Niemczech muzyki siebie godnej”.

Ciekawe. Bo to jest z jednej strony arystokratyczne, głębinowe, wyrafinowane, a z drugiej strony to jest wręcz jaskrawe fałszerstwo i wręcz grubiańska symplifikacja. Zaopa-

trzyć muzykę beethovenowską nosem Beethovena — uczłowieczyć ją tak dalece, że ma prawie kształt i gest osoby? Ktoś mógłby mi powiedzieć: jakto, przecież ty sam nieraz twierdziłeś, że trzeba szukać twórcy poza dziełem? Owszem, ale przecież nie tak prostacko! Twórca, moim zdaniem, ma stanowić dla krytyka jedynie „punkt odniesienia”, wiązać zbyt ściśle dzieło z twórcą może tylko ten, kto nie wie jak dalece w sztuce „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie”. A już w muzyce taka naiwność jest prawie nie do pomyślenia, tu bowiem forma osiąga najwyższy stopień obiektywizacji. Ten Nietzsche! Uzaledniać przetworzenie tematu w symfonii od wyrazu oczu, lub sposobu kłaniania się! Pomawiać o „nieokielzanie” kogoś zdolnego okielznać fugę! Odmawiać autokontroli i stylu komuś, kogo profesją stało się ładowanie uniesień w kształt szlachetnie chłodny! Wyobrażać sobie, że Beethoven, pochłonięty zadaniami najściślej muzycznymi, jak kształtowanie tematu, wydobycie z niego wszystkich możliwości, przeprowadzanie przez tonacje, jak organizowanie harmonii, jak cała ta praca kompozytorska, która ostatecznie polega na tym, że z załączka muzycznego wyprowadza się kilka nowych elementów formy, które już potem „grają”, wyznaczając sobie własne drogi... że, mówię, Beethoven, przebywający w tym królestwie dźwięku miał być podczas swej pracy na dodatek „duszą” w potocznym znaczeniu tego słowa.

I dlaczegoż Nietzschego przyprawia muzyce nie koniecznie udany nos twórcy, zamiast nos ten, na odwrót, opatrzeć muzyką? Czyż naprawdę wariacje z trzydziestej drugiej sonaty mają być barbarzyńskie dlatego, iż napisał je barbarzyńca tak rażący w porównaniu z Goethem? Ależ prościej chyba znać, że barbarzyńca, który te wariacje napisał, nie był barbarzyńcą. Plebejusz autorem fugi z kwartetu cis-moll? Mieszczuch-pocziwiec z adagiem w głowie z sonaty Hammerklavier? Ekscentryczny marzyciel, wykuwający młotem architekturę piątej symfonii? Prostacko o ideach z „Adagio molto e messo”?

Skądże u Nietzschego, gdy dotknął się Beethovena, taka degrengolada?

Ale przyjrzyjmy się jeszcze, co mówi Ortega y Gasset, ten — już współczesny, *porte parole* ostatniego pokolenia.

„Pomiędzy Bachem i Beethovenem istnieje ten sam dystans, co pomiędzy muzyką „idej”, a muzyką uczuć”.

„Beethoven bierze za punkt wyjścia realną sytuację, w której życie go umieszcza — nieobecność ukochanej, lub nieobecność Napoleona, dzień wiosenny na wsi itd. — ta sytuacja wyładowuje w nim potoki uczuć, smętnych lub burzliwych...”. „Gdyby Bachowi zaproponowano ten sam proceder, poczytałby to za impertynencję...”.

A dalej:

„Muzycy romantyczni, łącznie z Beethovenem, oddają się wyrażaniu uczuć prostackich, które nawiedzają pocziwego burżuazja”.

I wyjaśnia, że istnieją uczucia pospolite, niższe, oraz bardziej wyszukane, wyższe — że Beethoven jest śpiewakiem tej właśnie niższości, ale Debussy „artysta z prawdziwego zdarzenia”, gdyby nawet doznawał takich uczuć nagminnych, przeciętnych, stłumiłby je w sobie, zawstydzony — pozwoliłby dojść do głosu jedynie doznaniom wyrafinowanym, artystycznym, pochodzącym z wyższej strefy ducha. Dlatego — kończy Ortega — muzyk, jak Beethoven, pisze „Symfonię pastorałną”, a muzyk, jak Debussy, „Popołudnie fauna”.

Wystarczy aby powtórzyć, co powiedziałem przed chwilą o Nietzschem: skądże u Ortegi, gdy dotknął się Beethovena, taka degrengolada?

A zatem „nieobecność ukochanej, lub nieobecność Napoleona” stanowią punkty wyjściowe dzieł beethovenowskich? A więc „pospolite” uczucia nie mają prawa, w sztuce, do wielkości? A więc Beethoven w muzyce wyraża uczucia? Czyż nie jest naprawdę szczególne, ba, rażące, że w tym stylu mówi się o Beethovenie? Dlaczego o nim jednym mówi się w ten sposób? I jak dochodzi się do takiego wysłuchiwanie jego muzyki? Dlaczego akurat jego? Dlaczego Ortega, słuchający Strawińskiego, będzie Ortęgą na poziomie, wyczulonym, chwytym i niegłupim, a Ortega słuchający Beethovena stacza się na poziom zwykłego inżyniera, romantycznego mecenasa, sentymentalnego fryzjera i rozgląda się za ukochaną, Napoleonem, ludzkością, przeznaczeniem lub strumykiem w lasku? Dlaczego, pytam, nie słucha on Beethovena akurat tak samo, jak się słucha Bacha?

Dlaczego? Ale dodajmy jeszcze, że nie są to zboczenia prywatne dwóch mędrców. Tępe, tępo złośliwe, tępo płytkie podejście do tego artysty staje się generalną cechą naszych czasów. Ci komentatorzy! Nawet Wagner wygadywał co mu ślina na język przyniosła. W ostatnim akordzie *Andante* z trzynastego kwartetu te osły chcą widzieć „śmiech Bettiny Brentano”. Dwom *Tartarinom* muzycznym, *Romain Rollandowi* i *Herriotowi*, marzą się bitwy, sylfy, gnyomy, lub też „olbrzymi, ciskający skały”. Ileż zapisano papieru w związku z podarłą dedykacją dla Napoleona! A już specjalnie obrzydliwy jest los, zgotowany wspaniałemu kwartetowi *a-moll*, op. 132. Komponując „canzonę” muzyk zanotował na marginesie partytury: „*Heiliger Dankgesang eines Genesenen an die Gotheit*” (hymn wdzięczności rekonwalescenta). To wystarczyło. Nazwano kwartet „kwartetem rekonwalescencji”. Ustalono, że pierwsze *allegro* to — choroba; *scherzo* — początek powrotu do sił; *adagio molto*, *andante* — hymn dziękczynny wyzdrowienia; końcowe *allegro* — zdrowie i radość. Ten drogocenny kwartet, o niebie nad sobą chmurnym, rozpaczliwym, którego pierwsze *allegro* mnie osobiście dostarcza przepaścistego wstrząsu — tam mianowicie, gdzie po modulacji w *F-dur* wchodzi drugi temat — ubrano w szlafrok, w pantofle, w mykę i nadziano pigułkami!

Ale te dziwactwa, pomyłki, czy też głupoty, czy też brutalności, nie dzieją się wyłącznie na wyższych piętrach świata muzycznego. Stosunek do Beethovena przeciętnego słuchacza, z tych uczęszczających na koncerty, jest jak gdyby dotknięty chorobą. Z początku — miłość szczerą i radosną, nie ma wówczas w świecie tonów Boga nad niego, żaden styl tak nie bierze... Przeżywa wtedy młody student swoją idyllę z formą i pławi się w delektacji. To jednak nie trwa długo. Oswoja się słuch, następuje przesylenie — niestety, niestety! — świetność stała się zanadto znajoma, zmęczyła.

A wraz z melancholijną nudą wyczerpania zaczyna dawać się we znaki Ciśnienie — skąd? z powietrza — naciskająca, wszechprzenikająca sugestia, że ze wszystkich twórców ten właśnie jest „w złym guście”, za łatwy... Złośliwa łatwość, przeradzająca się w trudność! Bach, Szopen, Szubert nawet, Mozart — ależ tak! Tylko nie Beethoven! Odtąd więc muzyka staje się naszym studentowi stromymi schodami, wiodącymi w górę, trudność osacza go, to tak jakby porzucając rozkosz wchodził w inną strefę, surową, twardą, suchą, gorzką. I wreszcie ujawnia się najwyższe wtajemniczenie, tragiczny Moloch, tyran: Bach!

Poniedziałek

Bach jest nudny! Obiektywny. Akstrakcyjny. Monotonny. Matematyczny. Wysublimowany. Kosmiczny. Kubiczny. Nudny jest Bach! — Tak brzmi najokropniejsza z herezji, za którą grozi dzisiaj w środowisku muzycznym utrata czci.

Przypatrzcie się jednak kapłanom bachowskiego nabożeństwa, zajrzyjcie im w oczy: zatwardziałość, stężenie w abstrakcji, surowość, niczym ta dawniejsza, rzucająca na ofiarę bogom ciała małych dzieci.

Pora już odpowiedzieć na pytanie: dlaczego Beethovena pragnie się zniszczyć, dlaczego każda bzdura jest dozwolona, byle by była antybeethovenowska, dlaczego spleciono sieć z naiwnych pochwał i naiwnych zarzutów, aby zadusić. Czy może dlatego, że Beethoven się nie podoba? Akurat na odwrót: dlatego, że to jest jedyna muzyka, która naprawdę ludzkości się udała, zachwycająca...

On zachwyca — dlatego musimy go sobie obrzydzić.

Będzie to paradoksem tylko dla osoby nieświadomej grozy położenia — że jesteśmy we władaniu Formy, która egzystuje na własnych prawach, niezależnie od nas i naszych gustów. Forma ta — forma muzyczna w danym wypadku — musi się rozwijać; a więc musi druzgotać wszystkie dotychczasowe swoje osiągnięcia; i w szczególności te, które specjalnie człowieka oczarowały, w których ludzkość się zakochała, te... przykuwające... I dlatego to Bacha winduje się na piedestał — bo on się nie podoba, lub niezbyt się podoba — a to stwarza możli-

wość rozwoju, tu forma nie przylega dobrze do człowieka, tu więc jest jeszcze coś do zrobienia między człowiekiem, a formą. Nowoczesna muzyka, oparta na Bachu, może jeszcze żyć i postępować naprzód. Stąd więc i w sześciu kwartetach Bartoka, choć ich związki z ostatnią fazą kameralną Beethovena są takie silne, mimo wszystko Bach króluje. A Schönberg?

Ale jakież to smutne! Nie do pozazdroszczenia nasz los! Skazani na zohydzenie sobie najszczerzych rozkoszy i na wymyślanie innych, odstręczających, które nas męczą, których nie wytrzymujemy — i, na dodatek, zmuszeni do zachwycania się nimi, jakby to była prawdziwa miłość nasza — sztuczni w owym samogwałcie, sztuczni i zatruci, z tą sztuką naszą dręczącą, obrzydliwą, wstrętną, której nie wolno wymiotować!

Wtorek

Sposoby słuchania kwartetów. — Staram się czasem związać je z innym wiekiem, nawet z inną płcią. Próbuje wyobrazić sobie, że cis-moll został skomponowany przez chłopca dziesięcioletniego, albo przez kobietę. Próbuje też słuchać czwartego, jak gdyby został stworzony po trzynastym. Aby uzyskać osobisty stosunek do każdego z instrumentów, wyobrażam sobie, że ja jestem pierwszy skrzypek, Quilomboflor gra na altówce, wiolonczelę dźierży Gomozo, a drugie skrzypce — Beduino. Jest też wspaniale słuchać kwartetu, jak gdyby był jednym instrumentem — wówczas się ocenia niesamowitą rozległość skali i bogactwo barw. Wymyślam im nazwy: ósmy, na przykład, nazwałem „malinowym” (ze względu na tonację w pierwszym allegro), a czternasty „nietzscheańskim” (bo taki pograniczny). Nie ma dzieciństwa, które by nie mogło posłużyć do ekscytacji odczuwania.

Piątek

„Rodzinnej Europie” (zgadzam się z Mieroszewskim) brak tego co u Arystotelesa nazywa się „quid” — brak dojścia do sedna i odpowiedzi na pytanie „co to jest”, lub przynajmniej „na czym to polega”. Kiedyś tak pływałem po Paranie: świt wczesny, nie było ani nocy, ani dnia, mgły tylko i ruch wody wszechobejmujący, szumiący, czasem ukazywał się na tych odmętach jakiś przedmiot określony — deska, gałąź — ale kiedy i to było zanurzone w parciu tak powszechnym, iż odbierało przytomność.

Miłosz, który jest zanurzony w Życiu i w Historii, powie, że nie ma większego kłamstwa, niż definicja, i że jedyną prawdą jest ta, której się nie obejmuje. Owszem. Tylko że... przy czytaniu Miłosza zalecam ostrożność, gdyż on jest — tak twierdę — osobiście zainteresowany w zamazywaniu konturu.

On dla mnie zalicza się do autorów, którym osobiste życie dyktuje dzieło. Nie zawsze tak bywa. Gdyby moje życie wypadło inaczej, kto wie czy tak wiele zmieniłoby się w moich książkach. Ale Miłosz! Pomijając wiersze, cała jego literatura jest związana z jego osobistą sytuacją literacką, czyli z osobistą jego historią, tudzież historią jego czasów. Tak się złożyło powoli, że on stał się prawie oficjalnym informatorem o Wschodzie, przynajmniej polskim — cała jego dotychczasowa proza jest temu poświęcona. Nie jest to sztuka dla sztuki, jest to sztuka dla Zachodu. A stąd wynika kilka konsekwencji. Między innymi, że jeśli Miłosz dba o swój prestiż, nie może być w tych swoich informacjach płytszy od Francuzów, czy Anglików — owszem, musi być głębszy. I, między innymi, że jeśli Miłosz dba o wydajność swojego tematu, nie może pozbawiać go wielkości, lub grozy...

Tu już jasno zarysowują się pewne niebezpieczeństwa... Dodajmy do nich jeszcze jedno, wynikające z samej natury Wschodu. Wschód, mianowicie, zawsze oscylował pomiędzy krańcami i tu rządzi zasada: *tertium non datur*. Jeśli nie ujrzymy w tym straszliwej głębi, to będzie straszliwa płytkość. Jeśli nie — straszliwa mądrość, to okropne głupstwo. Jeśli nie wzniosłość, to płaskość. Ale dołożmy jeszcze jedno niebezpieczeństwo, już typowo polskie, wynikające z polskiej sytuacji pośredniej, dzięki której kraj nasz jest po trosze karykaturą zarówno Wschodu jak Zachodu. Wschód polski jest Wschodem umierającym w zetknięciu z Zachodem (i *vice versa*), wobec czego „coś tu zaczyna szwankować”. Wyobraźmy sobie tedy kłopoty Miłosza, gdy pisze o takim np. Tygrysie. Sęk w tym, czy ten Tygrys jest rzeczywiście tygrysem, czy też to kot miauczący i szwendający się po stromych dachach. Czy jest w nim prawdziwa zagadka, czy też to jeden więcej pijaczyna z wielkiej polskiej knajpy „Pod zdechłym psem i kotem” („Pod zdechłym Zachodem i Wschodem”)?

Wzmagą kłopot miłoszowy to, że on sam jest rodem po trosze z tej knajpy. Jeden z najciekawszych dla mnie, najsubtelniejszych i nawet wruszających aspektów jego prozy, to ten jego osobisty związek z polską tandetą — czuje się, że on przy całej swojej europejskości jest także jednym z nich... Podziwiając niedawno świetną robotę reżyserską Wajdy w filmie „Popiół i diament”, myślałem o Miłoszu i jego polskiej ojczyźnie. Jakże trudno zreferować tę „Rodzinną Europę”, gdy się jest jej synem i, mimo wszystko, płynie się na jej fali, jest się objętym jej szumem, jej mgłami...

Ale atutem „Rodzinnej Europy” i rękoiścią jej nowoczesności ma być nie co innego, jak że tutaj nie Polak pisze o Polsce i Wschodzie, tylko człowiek o Polaku w sobie i o „swojej” Europie. Taki program to prawie Husserl i prawie Descartes. Tak, tylko że oni byli filozofami i nie gardzili abstrakcją, a Miłosz-artysta i egzystencjalista boi się jej jak ognia, bo wie że zabija sztukę. Unika więc formuł, za nic nie chce wyleźć

z rzeki, aby na nią popatrzeć z brzegu, zanurza się w jej mętach, co chwila angażuje się osobiście w swój opis i wtedy przestaje być człowiekiem, staje się znowu konkretnym Miłoszem... I oto zaczyna się ekwilibrystyka tego skrupulatnego pisarza: „Czy nie zanadto siebie poniżyłem?”. „Czy nie zanadto siebie wywyższyłem?”. „Czy nie zanadto ich poniżyłem?”. „Czy nie zanadto ich wywyższyłem?”. Z fali na falę, z góry na dół, z dołu na górę — dialektyczna kołysanka. Szum. Rzeka. Historia. Życie.

Witold GOMBROWICZ

TAZAB's Boutique

Firma nasza pilnie śledząca fluktuacje rynków zarówno w Polsce jak i w Rosji wprowadza nowy dział lepszych artykułów poszukiwanych i łatwo zbywalnych.

Dział ten jest stale zaopatrzonej w bogaty wybór towarów angielskich, włoskich, francuskich i niemieckich i zawiera między innymi: damskie palta popelinowe, nylonowe, deszczowe oraz tzw. kurzowce; żakiety „suedette”, mohairowe żakiety, swetry, stole i materiały na spódnice, sukienki jerseyowe i materiały na suknie, artykuły znanych firm KAYSERA i Heleny Rubinstein oraz wielki wybór poszukiwanych towarów.

Prosimy żądać ilustrowanych katalogów TAZAB's BOUTIQUE

Największy Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB & co. Ltd.

Tazab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB of LONDON

NEW YORK, 3
36, Third Avenue.
ALgenquin 4-4161

MELBOURNE, C.I.
325, Collins Str.,
MB. 1314

Co śmiem myśleć

Wydając po polsku książkę na emigracji nie można właściwie oczekiwać recenzji. Jeżeli książka ukazuje się w obcych językach recenzji bywa niekiedy dużo, ale choćby głąskaly one próżność autora rzadko są interesujące, bo piszą ludzie, do których przychodzimy z naszą opowieścią o żelaznym wilku czyli o wschodniej części Europy i nie im z nami się spierać — konfrontacja z czytelnikiem jest więc wtedy cząstkowa, ograniczona do wad czy zalet technicznych. Opublikowawszy „Rodzinną Europę” łowiłem więc echa i tutejsze, z „diaspory”, i z Polski tj. sądy wyrażone w rozmowie czy w listach, żeby odgadnąć jak przyjmuje książkę czytelnik wtajemniczony.

Jeden z bardzo mi miłych kolegów po piórze wyłożył w liście z Polski swoje zarzuty. Według niego moja postawa jest „olimpijska”, patrzę na powikłania wschodnio-europejskiej historii z jakiejś nieludzkiej wyżyny, kładę krzyż na nich tam, jako dla mnie już tylko przeszłości, reprezentuję „mędrca szkiełko i oko”. Bardzo mnie to zastanowiło. Gdybym rzeczywiście był tak nieskazitelnie racjonalny i przeprowadzał skutecznie, co możliwe jest tylko z dystansu, „operację chłód”, nie byłoby to może tak źle, zważywszy, że polska literatura powoli tylko wydobywa się z kokonów narodowego subiektywizmu. Obawiam się jednak, że „Rodzinną Europę” jest raczej pełna obsesji. Zastanawiając się dalej nad tym listem, doszedłem do wniosku, że wszystkie zarzuty dadzą się sprowadzić do jednego: w dziedzinie, która rozpala pasję, budzi gniewy i nadzieje, zastosowałem opis, powstrzymując się od wyznań wiary, od przepowiedni i dezyderatów. Wielu polskich autorów odmówiłoby sobie *crescenda*, żeby zakończyć dziełko biciem w taki czy inny wielki dzwon programu czy doktryny. Mnie było jakoś wstyd. Dlatego jednak muszę przeprowadzić samokrytykę. Układając mozaikę z kamyczków spodziewamy się, że każdy kto na nią spojrzysz rozpozna w niej na



przykład drzewo. A przecie bywa, że rozpozna w niej ptaka albo nie rozpozna nic. I czyja wina? Niewątpliwie nasza. Jak już nieraz dawniej, rozmieszczałem akcenty ironii, zestawiałem postacie i sceny, w przekonaniu że to wystarczy i że sama kompozycja dostatecznie wyjaśnia moje poglądy. Całkiem możliwe, że przefajnowałem, bo moja zaprawa jest poetycka, to znaczy zanadto często operuję myślowym skrótem. Trzeba więc teraz komentarza.

Sprawom po r. 1945 jest poświęcony w „Rodzinnej Europie” jeden tylko rozdział, końcowy. Zawiera on portret mego nieżyjącego przyjaciela. I właśnie ten portret narobił dużo złej krwi, przy czym szczególnie zajadło zaatakowało mnie w listach z Warszawy paru młodych uczonych, którzy na uniwersytecie byli w najgorszym okresie i znali Krońskiego tylko jako profesora. Ze „nie ja jeden” zaczynam teraz akcję brązowniczą, że upiększyłem go, uromantyczyłem całkiem niepotrzebnie, bo jego „mefistofeliczna inteligencja” nie wystarczy żeby go wybielać. Ze należał on do marksistowskiej ekipy usuwającej starych profesorów, kompetentnych pedagogów, po to tylko żeby uniwersytet produkował niedouków. Przypisując memu przyjacielowi „obronę jakichś wartości” kierowałem się zapewne niezbyt czystymi pobudkami, próbując przez pokazanie mego pokrewieństwa z nim siebie podbudowywać, czego zaiste nikt nie wymaga. Ten rozdział nasuwa podejrzenie, że nie umiem wyzwolić się z zakłętęgo kręgu moich dawnych związków z Polską Ludową, ciągle więc do tego nawracam.

Aż tyle. Jeżeli pióro płata nam figle, jeżeli przefajnujemy, to, jak powiedziałem, nasza wina i nic tu nie można poradzić, poza mocnym postanowieniem poprawy. Kiedy kończyłem książkę tym rozdziałem intencje moje były jednak całkiem inne niż niektórzy sądzą. Staralem się przedstawić przygody postaci *wyabstrahowanych*, to znaczy motywy naszych działań sprowadzałem do treści intelektualnych. Każdy wie, że nie jesteśmy duchami i że mnóstwo przyczyn najrozmaitszej natury składa się na nasze decyzje. Pomijając już moje osobiste skazy i komplikacje, nie przeczę, że temu człowiekowi właściwa była i słabość i poniżona ambicja szukająca odwetu, choć miał zarazem wiele cnót. A przecie te treści intelektualne, które dla nas, wskutek zrządeń historii, nabrały wagi życiowej czy bytowej, były i są tak ważne, że wolno abstrahować żeby je wydzielić, uchwycić w stanie możliwie oczyszczonym, ani na chwilę zresztą nie zapominając o laboratoryjnym charakterze takiej czynności. Nie chodziło mi ani o nasze osoby ani o okazy egzotycznej fauny ale o problemy najbardziej uniwersalne, przed którymi zwykle ucieka się chowając głowę w piasek. Być może niechęć do wskrzeszania różnych zawitości „przebrzmiałych i minionych” wynika w Polsce z zahamowań, z reakcji obronnej, ogólna atmosfera jest antyideologiczna, ale to nie znaczy, że musimy się do tych chwilowych objawów dostosowywać.

Gdybym usiłował nadrobić straconą okazję do snucia sensacyjnych opowieści i wytłumaczyć łopatologicznie, prostszymi niż użyłem słowami, rolę jaką odegrał w Polsce mój przyjaciel, powinienem być za motto użyć tej linii mego starego (1949) wiersza: „Filozofowie jacyś te plamki zalegli”, następnie dużo nacisku położyć na sam fakt że w krajach in spe socjalistycznych wszystkie nici zbiegają się w filozofii i z filozofii się rozchodzą, wreszcie, żeby poderwać tych czytelników, którzy nadal są przekonani, że to faramuszkki, dyskretnie wtrącić, że filozof Harich został w Niemczech Ulbrichta skazany na dziesięć lat więzienia. Bohater mego rozdziału był siłą zapładniającą, rozsadał od wewnątrz sztywną, absurdalną doktrynę i jeżeli posuwał się tylko powoli, krok za krokiem, tym niemniej przyczynił się wybitnie do przebudzenia marzeń o humanistycznym socjalizmie. Takich marksistów jak on w jego pokoleniu w ogóle nie było, cała jego myśl i wrażliwość sprzeciwiała się wulgarnej oficjalnej wersji, toteż był skazany na samotność i, powiedzmy szczerze, strach. Ale jego umysł owocuje, albo dopiero zaczyna owocować po jego śmierci, a zauważmy, że w filozofii rozwój jest wolniejszy, mniej gorączkowy niż np. w literaturze, choć pewnie trwalszy w skutkach. Dlatego pisząc o nim nie składałem dowodu urzeczenia tym co „przebrzmiałe i minionie”, przeciwnie, składałem może do wód wycucia elementów przyszłości.

W centrum zainteresowań Krońskiego stało zagadnienie alienacji, dzisiaj, przy użyciu najrozmaitszych zresztą terminów, uznane za naczelne przez badaczy „mass culture”. Wprowadzenie go do marksizmu, poprzez pisma młodego Marksa, oznacza przewrót o olbrzymich konsekwencjach, bo musi doprowadzić do badań nad nowymi gatunkami alienacji jakie wylega proces upaństwowiania środków produkcji.

Porównanie go z Harichem ma wartość jedynie dziennikarskiego chwytu. Podobną strukturę umysłu miał, wydaje mi się, tylko słynny z ostrożności Bertold Brecht. I tak samo opozycja Brechta wobec urzędowych dogmatów sprowadzała się do przemilczeń, do dyskusji w małym kółku przyjaciół i do parabol z podwójnym sensem.

Krowa i anty-krowa

Uwagi o „Rodzinnej Europie”, jakie umieścił w „Kulturze” Juliusz Mieroszewski, są dla mnie gratką. Zawsze czytam z wielkim zainteresowaniem jego artykuły, rzadko jednak mogąc się z nim zgodzić, za to często rozmyślając nad tym co w nim tyka i wyznacza bieg jego rozumowań. Zdaje się, że nadarza się okazja żeby te trybiki określić.

Mieroszewski nie po raz pierwszy zestawia mnie z Koestlerem i Orwelllem, uważa też „Zniewolony Umysł” za najlepszą z moich książek. To możliwe że ma rację, nie mnie o tym

przesądzać i nie będę się spierać. Nieraz już bywało, że jakiś autor z czasów, dajmy na to, Reformacji, zyskiwał rozgłos dzięki pamfletowi wymierzonemu w hugenotów czy katolików, a o innych jego utworach zapominano. (Z niejakim humorem myślę, że cały „Zniewolony Umysł” był już w poemacie „Traktat moralny” ogłoszonym w 1948 r., w Polsce. Ale kto to znał albo kto rozumiał za granicą? Poezja jest to podobno kraina estetyki, kraina tego co ładne i brzydkie...). Książki żyją swoim życiem, są od nas oderwane, niezależne, choć dla nas pozostają tylko etapami naszego borykania się ze światem, bardzo zresztą pouczającymi. Niekiedy są prawdą przyczyniającą nam kłopotów. „Zniewolony Umysł” przyczynił mi kłopotów nie tylko chwilowych (wroga kampania emigracyjnej prasy) ale trwałych: otoczył moje nazwisko, przynajmniej w Polsce, aurą szlachetności. Mamy tutaj typowy wypadek narzucania jednostce przepisano z góry kostiumu przez zbiorowość, przy czym każda próba pozbycia się kostiumu może być odezwana jako przegrana i upadek. Zgodzić się jednak na szatę szlachetnego męża to znaczyłoby zmalić się, zastygnąć w pozie i wyrzec się wszelkiej autonomii, która zakłada ruch, niepokój, poszukiwanie, rozwój. Przy tak dużym przyspieszeniu historycznym jak teraz, nie dziewięć lat upłynęło od chwili napisania „Umysłu” ale, kto wie, może dziewięćdziesiąt.

Mieroszewski należy do tych, licznych również za granicą, którzy mają nadzieję, że tematykę „Zniewolonego Umysłu” będą rozszerzał i pogłębiał. Być może jest trochę zawiedziony, że w „Rodzinnej Europie” o tę tematykę zaczyna jeden tylko rozdział, w każdym razie, jak sam oświadcza, doznał zawodu zapoznawszy się z jego treścią. Gdyż opisuję w nim, jak się wyraża, przebieg „historycznej szkarlatyny”, nie odpowiadam natomiast na pytanie: dlaczego? „Ale choć pytanie: dlaczego? — wtajemniczonym wydawać się może bezbrzeżnie naiwne jest bariera dzieląca Wschód od Zachodu i przeskoczyć się nie da. Wierzę, że kiedyś z pogłębionej perspektywy lat Miłosz na to pytanie odpowie. I to będzie owa książka na którą niecierpliwie czekamy”. Postać opisana przeze mnie jest dla Mieroszewskiego zupełnie zagadkowa. Jak można być materialistą i nie być materialistą, być marksistą i nie być marksistą, być kimś a zarazem nie być?

Mieroszewski jest logiczny, precyzyjny i bardzo zachodni, choć jego zachodność ma więcej cech świata anglosaskiego niż zachodniej części europejskiego kontynentu. Gdyż różnice pomiędzy sposobami myślenia w tych dwóch geograficznych zespołach są znaczne. Za kanałem La Manche czy za Atlantykiem wkraczamy w domenę takich dyscyplin jak logika i semantyka, a jakkolwiek filozofia angielska, ulegając w Parwzu mutacji, posłużyła kiedyś za jeden z zapłonów Francuskiej Rewolucji, w domu była zawsze traktowana ze szczyptą soli i oddzielona od polityki — tą rządziła empiria. Taki stan rzeczy ma swoje liczne dobre strony. Niemniej dlatego właśnie

dla Anglików i Amerykanów już zrosty filozofii, literatury i polityki we Francji są czymś trudnym do pojęcia, nie mówiąc o przeskoku za Elbę.

José Ferrater Mora (Hiszpan wykładający w Stanach Zjednoczonych) podzielił filozofię światową na trzy grupy, zastrzegając się oczywiście że to w przybliżeniu:

1) Grupa anglosaska. „Naukowość”, użycie zdań maksymalnie poddanych powszechnej sprawdzalności, usunięcie w cień osoby badacza. Kraje anglosaskie, Skandynawia.

2) Grupa europejska. „Ja” przemawiającego na pierwszym planie, zatarcie granic pomiędzy filozofią i literaturą, filozofia egzystencji jako wytwór okazowy. Zachodnia Europa, Ameryka Łacińska.

3) Grupa marksistowska. Wschodnia Europa, Rosja, Chiny.

Paryż potwierdza tę diagnozę, przy czym odbywa się obecnie eksploracja egzystencjalno-marksistowska a postawy osobiste (stosunek do aktualności politycznej) mają wielkie znaczenie. Następstwa zasadniczych debat są zresztą dość paradoksalne, bo tak dużo energii zużywa się na spór o dialektykę, że na szczegółowe badania nad społeczeństwem nie zostaje czasu i wyręczają w tym wszystkich pracownicy Amerykanie.

Wtrącając tę z pozoru niepotrzebną dygresję o odmianach filozofii nie mam zamiaru podawać się za filozofa, najwyżej za urodzenia, jak szekspirowscy pasterze. Gdybym jednak chciał zadowolić Mieroszewskiego, musiałbym zamiast „Rodzinnej Europy” napisać książkę filozoficzną, co wykraczałoby poza moje kompetencje, bądź co bądź tylko literata. Po to dygresja.

Nie jednego Mieroszewskiego gnębi pytanie jak można być krową i nie być krową. Mój znajomy, profesor amerykański (filozof ścisły), wrócił z NRD, gdzie toczył dyskusje ze swoimi kolegami po fachu, i oczy mu jeszcze wylaziły ze zdumienia. Odpowiedzi jakich mu udzielano były według niego tak absurdalne, że każdy jego student z pierwszego roku natychmiast odkryłby w nich stare, przed wiekami już poklasyfikowane, błędy logiczne.

Pomimo wszystko dostatecznie nasiąknę kontynentalną Europą żeby twierdzić, że wszelkie albo-albo należy do dynamicznych zjawisk ludzkich stosować bardzo ostrożnie. Co do „dlaczego”, przeniesmy się na teren nieco bardziej uchwytny, teren literatury.

Jules Laforgue

Był poeta. Szaleńczo nowoczesny a oto już setna rocznica jego urodzin. Laforgue urodził się w 1860, umarł w 1887, żył więc lat dwadzieścia siedem. Mając przed sobą dwa tomy jego wierszy zebranych analizowałem przede wszystkim siebie tj. gwałtowność moich reakcji. Dawniej zachowywałem nieuf-

ność do poetów wysoce kulturalnego Zachodu, starając się przyswajając z ich osiągnięć technicznych to tylko co mnie było potrzebne, ale zanadto ciekawily mnie literackie współzależności, wpływy, nie odbierałem więc ich, żeby się tak wyrazić, nago. Laforgue stał się siłą działającą gdzieś około r. 1900 i odnowił się w poezji Amerykanów, przede wszystkim T.S. Eliota (który zaczął publikować ok. r. 1910), dla historyka poezji jest więc łakomym kąskiem. Ale teraz odsuwałem te związki, już inny i nie ku temu zwrócony co dawniej. Dominowało we mnie gwałtowne — jeżeli ten epitet wolno zastosować — współzucie.

Dobry, zacyjny, poczciwy wiek dziewiętnasty. W istocie łąski i potworny. Niewolnictwo ludów kolonialnych przykryte cywilizacyjną deklamacją, niewolnictwo robotnika zamaskowane progresem, niewolnictwo kobiety, chłopci jak z Zoli, bezkarne w swoim dumnym groszorbstwie mieszczaństwo. Śliczny pączek z którego wykwitła bezsensowna rzeźnia I wojny światowej i dalej komory gazowe. Życie intelektu albo zaprzęgnięte w służbę krasomówstwa albo zepchnięte na margines, do knajp gdzie gromadzili się myśliciele „maudits” i artyści „maudits”. Wiek postępu, scjentyzmu, tak. Tylko że ten scjentyzm redukował człowieka do przyrody, do jej samoczynnych konieczności (społeczeństwo też było niemal przyrodą) i nie mógł nie wpędzać bardziej wrażliwych w rozpacz, w bezsens istnienia. Jak słusznie wykazuje Kazimierz Wyka w swojej książce o polskim modernizmie, cała pesymistyczna filozofia naszych modernistów była nie tyle buntem przeciwko scjentyzmu przesłankom ile wyciągnięciem z nich wniosków — przez odrąconych, „intelektualistów” (w „Życiu” krakowskim po raz pierwszy bodaj pojawia się to słowo). Ale tęsknoty do Nirwany i modlitwy do śmierci jakie pojawiają się u nas w ostatnich latach ubiegłego stulecia, nie tylko nas dzisiaj nie przejmują, także pobudzają do brzydkiego śmiechu, bo stylowo, rozważane na tle dziejów języka, są nędzne i grafomańskie. Laforgue te same tendencje wyrażał słowem poetycko świętym. Na długo, długo przed Gałczyńskim zapożyczał chwytów z piosenki jarmarcznej, z muzyki strzelnic, karuzeli i guignolów, swoją melancholię zaprawiając drwiną. W smutnowariackim słowotwórstwie niewielu go prześcignęło, w rozluźnianiu rygorów nie pobit go o ileż późniejszy Apollinaire.

Laforgue jest pozbawiony siebie i pozbawiony bliźnich, i on sam i jego bliźni są jakby za szybą z grubego szkła. Nie darmo z trzecia chyba część jego wierszy nosi tytuł „Niedziela”. Nuda niedzieli, obsesja pianin, na których brząkają gdzieś na piętrze panienki z mieszczańskich rodzin, przechodzień mija to i w granych wprawkach słyszy nicosć, nonsens, niewymówioną skargę zupełnej pustki:

Tu t'en vas et tu nous laisses,
Tu nous laisses et tu t'en vas.

Que ne suis-je morte à la messe!
O mois, ô linges, ô repas!

Przy tym gdyby ktoś chciał zrekonstruować scjentyzmy światopogląd tamtego stulecia i zabrakło innych dokumentów, może wystarczyłyby mu wiersze Laforgue'a. Przestrzeń bez początku ni końca, czas bez początku ni końca, straszna mama Natura i ewolucja jej z nikąd do nikąd. Nic dziwnego, że ciągle u Laforgue'a te krzyki:

Voyez l'homme, voyez!
Si ça n'fait pas pitié!

Ale:

Nature est sans pitié
Pour son petit dernier.

Jakież więc ratunek wśród tego powszechnego idiotyzmu?

La nuit brune sur les villes.
Se raser le masque, s'orner
D'un frac deuil, avec art diner,
Puis, parmi des vierges débiles,
Prendre un air imbécile.

I ostatecznie wskazówka gdzie szukać ratunku:

Dans les jardins
De nos instincts
Allons cueillir
De quoi guerir...

Miłość u Laforgue'a jest wyabsolutyzowana, ale dlatego też niedostępna. Niszczy ją status społeczny kobiety, która jest przedmiotem handlu czyli przyozdobionym we wstążki, pióra i fryzowane włosy sexem, niszczy ją wiedza przyrodnicza pouczająca, że westchnienia, omdlenia, przysięgi są jedynie maską krokodylego seksualnego instynktu. Toteż Laforgue całą nieważność do jakiej jest zdolny zwraca przeciwko kobiecie, „nieświadomemu siebie Prawu”, złowieszczej Isis, delegatce przyrody, mistrzyni w „upupianiu” mężczyzny. Laforgue jest specjalistą od szyderstw z seksualnego aktu. Rozmnażać się? Nie:

Mais peut-il être question
D'aller tirer des exemplaires
De son individu si on
N'en a pas une idée plus claire?

Marksieści karmili nas długo dzieciństwami, dzieląc pisarzy na dobrych, względnie dobrych i złych, zależnie od wyciśnie-

tych, z ich dzieła, nieraz na siłę, politycznych opinii. Jednakże wielbiciele nowoczesności w Polsce mylą się kiedy wylewają dziecko z kąpielą i urzeczeni pięknościami zawsze najnowszego stylu zapominają o substracie społecznym, o prawdziwej epoki, jaką utrwala (najczęściej nieświadomie) artysta. Czy jeżeli obchodzimy stulecie urodzin Laforgue'a to znaczy, że jest on już siwą brodą, zabytkiem? Wcale nie. Istnieją głębokie powody dla których twórczość jego natrafiła na grunt szczególnie podatny w krajach anglosaskich. Niektóre fragmenty Eliota brzmią jak Laforgue przetransponowany, wzbogacony o poezję angielską początków siedemnastego wieku. Natomiast „Wydrążeni ludzie” Eliota wracają rykoszetem na scenę teatrów paryskich w „Czekając na Godota” Becketta. I coś w tym jest, skoro polscy poeci emigracyjni zamieszkali w Anglii czy w Kanadzie coraz to podejmują motywy nieznanego im zapewne Laforgue'a. Wyobcowanie ich jako cudzoziemców? Owszem, ale także wyobcowanie każdego człowieka w nudzie symbolicznej niedzieli.

Marks najpierw zanegował alienację, której jednym z przykładów może być Laforgue, następnie szukał instrumentu negacji w proletariacie. Ta kolejność miała być nie tylko jego udziałem. Badacze poezji Bertolda Brechta mogliby zapewne ustalić ile w jego wczesnych utworach jest bezsilnej Laforgue'owskiej melancholii, jakimi środkami ją przewyciężał. Dlaczego Brecht, gardząc reżymem Ulbrichta, mieszkał jednak w Berlinie wschodnim, choć obok była NRF, kraj tego samego języka? Skąd jego fantastyczne wędrówki? Z hitlerowskich Niemiec uciekł do Skandynawii, stamtąd jednak pojechał do Stanów Zjednoczonych, zamiast do Moskwy, jak wypadałoby komuniście. Zdawał sobie sprawę, że jego marksizm i jego sztuka nie są na tamtejszy, wąsato-dyktatorski, gust i że smutno by tam skończył? W Ameryce ceniono go wysoko i tłumaczono. Po wojnie z Ameryki wrócił do Europy i osiedlił się w Zurichu. Potem w Berlinie wschodnim. Otóż zapomina się często, że pisarz czy filozof kieruje się w swoim postępowaniu znacznie mniej względami wielkiej polityki a bardziej swoim bezpośrednim, warsztatowym doświadczeniem, że w mikrokosmosie swego dzieła rozgrywa dramat szerszy, z samego zmysłu oszczędzania energii usuwając na bok „akcydensy”, które mogłyby zamącać jego linię rozwojową. Niestety „akcydensy” bywają czasami całkiem istotne...

Pisarze tacy jak Brecht bali się: chcieli uniknąć pomyłki jaką jednostka popełnia nieświadomie, ulegając rozkładającym wpływom środowiska. Bali się nieszczęścia, które, kiedy w nas się zagnieździ, jest już nami i nie jesteśmy zdolni ani go zobaczyć, ani od niego się oderwać. Laforgue poruszał się w swoim kredowym kole, nie domyślając się, że to co brał za szczyt świadomości cywilizowanego człowieka było dość niskim stopniem. Zarówno on, jak wszyscy ci, którzy w Paryżu po II wojnie światowej głosili, że „l'homme est une passion

inutile” natrafiali naokoło siebie na mur z mgły czy z waty. Partia Komunistyczna zdawała się chronić od pomyłki, bo przynajmniej z pozoru była zaprzeczeniem samych podstaw tego zjawiska, które dla wygody nazywam imieniem Laforgue'a.

Pytanie dlaczego uciekając przed zniaczeniem wkładamy sobie nieraz szyję w dyby nie jest naiwne. Amerykański profesor, na którego nie działa rytuał wschodnio-niemieckich intelektualistów występuje jako przedstawiciel „chłopskiego rozumu” i dziwić się temu szczególnemu „noli me tangere” jakim opancerzają się marksistowscy filozofowie ma prawo. Krytykując literaturę polską za to, że brak jej było uniwersalnego zasięgu bo w niej „niewolnik wołał ale i niewolnik słuchał”, Stanisław Brzozowski pisał:

„Każdy stan psychiczny posiada swoje własne spojrzenie ku światu, swój własny styl. Każda forma ludzkiego życia wytwarza swoje własne wspomnienia, wzruszenia zbiorowe. Ludzie, którzy przeżyli długie lata w więzieniu, chorzy na szpitalnej sali mają swoje wspólne zbiorowe tajemnice, które niedostępne są dla nikogo, kto nie przeżył podobnej życiowej inicjacji”.

I nieraz ten kto przełamuje umowne prawidła mowy na migi razi jako niższy a w dodatku nietaktowny.

Brzozowski

Gdy polska klasa pracująca dojrzeje
znajdzie moje pisma.

St. Brzozowski

Jestem najzupełniej zadowolony, że wypadło mi być polskim pisarzem. Brak nam wielu cnót Francuzów czy Anglosasów, a jednak w czymś bardzo istotnym górujemy nad nimi i wciskać się pomiędzy nich znaczyłoby sprzedawać swoją wyższość za miskę soczewicy. To pewne, że dość trudno jest nam z nimi się porozumieć, ale dlatego, że mamy dla nich nieraz coś z tej litości, jaką odczuwam obcujać z wierszami Laforgue'a. Wyższość nasza jest zresztą raczej potencjalna i mało uświadomiona. Na razie jesteśmy w fazie szyderstwa z nas samych i z naszej historii, co pewnie jest bardzo pożyteczne bo ratuje od całej sienkiewiczziady. Pozwoli to na nawrót do tego co w przeszłości prawdziwie wartościowe, nawrót, moim zdaniem, nieunikniony.

Stanisława Brzozowskiego czytywałem w moich latach studenckich. Szybko obrzydli mi go jego amatorzy. Pociągał prawie i z tych konkoltów wychodziły dziwolągi. I byłem wobec Brzozowskiego maksymalnie niesprawiedliwy.

Tej wiosny, zajmując się *fin-de-siècle*'m i początkiem dwudziestego wieku zabrałem się do Brzozowskiego. Z Sartrem

się obnoszą? O egzystencjalnym rozszerzeniu marksizmu rozprawiają? Teilharda de Chardin komentują? Przewożą węgiel do Newcastle, lekceważą nasz dorobek w filozofii historii. Brzozowski żył tym wszystkim, co zaczęło poruszać intelektualny Paryż w wiele dziesiątków lat po nim. Nasz kolega Michał Borwicz napisał w Paryżu pracę o Brzozowskim jako prekursorze Malraux-powieściopisarza. Prekursorstwo Brzozowskiego sięga jednak również znacznie dalej.

Brzozowski nie mógł być w Polsce zrozumiany, bo brakło tzw. warunków. Jego najprzystępniejsza książka, „Legenda Młodej Polski”, narobiła hałasu, ale wzmianki o nim w podręcznikach literatury dają miarę poniżających dla jego współczesnych pomyłek. Biedny Antoni Potocki ani wiedział kogo w swojej „Polskiej literaturze współczesnej” kopie. Brzozowski umarł przed samą I wojną światową, potem chaos, a w Dwudziestoleciu nie bardzo było wiadomo co z takim fantem zrobić, bo naczelnym założeniem tego pisarza jest oczekiwany przewrót społeczny. Albo więc przyrządzano go w sosie solidaryzmu narodowego, co było zupełnie fałszywe, albo wymykano się estetyzując tj. mówiąc o „nienasyconej ciekawości intelektualnej”, o „miotaniu się”, też wbrew prawdzie, bo twórczość Brzozowskiego cechuje duża jednolitość myśli, często zresztą zamkniętej pod szyfrem. Kto wie czy Brzozowski niekiedy nie zrezygnował z dotarcia do czytelnika, z góry przyjmując, że i tak będzie pojęty niewłaściwie. Tak np. „Filozofia romantyzmu polskiego”, ten poemat historyczny, wygląda na górnonarodowe ple-ple. Ale tylko wygląda.

Po 1945 r. sprzysiężyli się przeciw Brzozowskiemu: zła fama jego zwolenników i smutne losy P.P.S. — a trudno go całkowicie od dziejów P.P.S. oderwać. Jego socjalizm był z gatunku, jaki istniał w całej Europie do I wojny, kiedy wolno było dyskutować swobodnie. Jego poglądy na marksizm są więc nieortodoksyjne i dlatego książki nie były wznawiane. Zbliżający się dzisiaj renesans Brzozowskiego zależy od nabytej dzięki historycznym tarapatom wprawy w chwytaniu fenomenów podległych ruchowi, gdyż jeżeli zatrzymamy ten film jakim jest ruch myśli Brzozowskiego i porównamy poszczególne klatki, odnajdziemy same sprzeczności. Kiedy jednak film idzie, sprzeczności układają się w dość przejrzystą całość.

Brzozowski, jednoosobowa armia, toczył wojnę na trzech frontach. Pierwszy przeciwnik to był brzuch szlachecki:

„Tu kiedyś był kraj: tu teraz jest brzuch. Brzuch i nic więcej. Po to jest cała ziemia, zachody i wschody, lasy, pola, stopy burzanowe, miliony ciemnych, pogarbionych istnień, matka poczajowska, teraz wiem. Tu się rąbali i ginęli ludzie, całe narody i ludy: rzeki krwi. Po co! Po co! Jam jest — otom brzuch; wszystko zjem, dla mnie wszystko: ja dojrzałem w history”. („Sam wśród ludzi”).

„Rycerze! Kurnik im postawiono, więc w nim siedzą; — płacz i zgrzytanie zębów gdy brzuch zaboli; dwugodzinne medytacje — czem tuczyć indyka i w jakim sosie podać prosię. Ten kraj pachnie, jak dymiąca

waza gorącego barszczu z grzybami i szpikiem w rurze”. („Sam wśród ludzi”).

Drugi przeciwnik to była zachodnio-europejska literatura *fin-de-siècle*'u i jej odnoga, polska „moderna”:

„Sztuka i literatura wytwarzają się dzisiaj poza obrębem najgłębszego procesu życiowego, dokonywującego się w ludzkości. Nowoczesna świadomość w podstawach swoich życiowych wyrasta poza zakresem tych warstw, które wytwarzają kulturę umysłową”.

„...,wszystkie „aryjskie światopoglądy” gadatliwego Chamberlaine'a, przeciętny nietscheizm”... („Stanisław Wyspiański”)

„W sztuce reprezentował burżuazję naturalizm, a raczej ten odcień w nim, który polegał na odtwarzaniu rzeczywistości bez wiary w jej piękno i wartość”.

„Życie takie, jakie jest, jest jedyne, jakie zrozumieć są w stanie. Jednocześnie zaś czują jego niedorzeczność”. („Kultura i życie”).

„Rozważmy całe znaczenie, całą doniosłość pojawienia się takich pisarzy jak Wilde i Laforge, pisarzy o wyższym stopniu rozwoju umysłowego, o ogromnej potrzebie czystości i prawdy duchowej, którzy sami swą działalność musieli oprzeć na przekonaniu, że w gruncie rzeczy jest nonsensem, i skierowali wszystkie wysiłki, aby uczynić ją przynajmniej nonsensem świątynnym, lub przynajmniej nowym i zajmującym”. („Filozofia romantyzmu polskiego”).

„Tam jednak, gdzie kultura ta (klasowa) niegdyś była krystalizacją duchową o dobitnych i określonych zarysach, sama niewiara, samo zwątpienie dziedziczą coś z tej określoności. Nawyknięcia męskiej, czującej grunt pod sobą i jasno przed sobą widzącej pracy kulturalnej udzielają się samym wytworom rozkładu tej kultury”.

„U nas z natury rzeczy więcej naiwności i tragizmu. Oddzielne dusze i przebiegi twórcze straszliwe, o całe piekło głębsze, ale ogólny poziom mięsza w jedno nieporadność niemowlęctwa z niedoświadczeniem starości: wszystko zlewa się w jakiś głęboko upokarzający belkot, w jakieś majaczenia, którym gorączka nawet nie może odjąć beztreściwości i szarżyzny”.

„Wyobraźcie sobie ludzi, dla których kulturą była Rodziewiczówna a Sienkiewicz już wyrafinowaniem, i wyobraźcie sobie, czem będzie dekadencja. Zwątpienie, sceptycyzm tych ludzi, którzy niczego nie zaznali, niczego nie przeżyli. Są to żaki, powstrzymane w rozwoju. I im to przypada odegranie roli posępnego ducha pustyni i zniszczenia”.

„...,a zarazem oddzielne wybliski tragizmem swym i powagą duchową przewyższające całą europejską twórczość, prócz rosyjskiej, która jest głębsza, krwawsza, lecz za to bez owych orlich rzutów w kraj zwycięstwa”. („Kultura i życie”).

Słuszność diagnozy Brzozowskiego czas potwierdził i jego boje w krytyce literackiej przysporzyły mu stosunkowo największej uznania. Rzadko jednak dostrzegano, że były to tylko boje posiłkowe, że głównym, trzecim przeciwnikiem (niech mi będzie wybaczona ta doraźna klasyfikacja) był scentyzyzny światopogląd drugiej połowy XIX-go wieku. Ten światopogląd zdaniem Brzozowskiego skaził i wypaczył wyzwalające dziedzictwo filozofii niemieckiej, wycisnął też piętno na najwyższym osiągnięciu tej filozofii tj. marksizmie:

„Współczesne postępowe czynniki posługują się do dziś dnia filozofią niewłaściwą, filozofią utkaną z elementów kultury, opartej na obcych im stosunkach ekonomiczno-społecznych”. („Kultura i życie”).

W istocie pomiędzy Spencerem i marksistami, jakich krytykował Brzozowski, nie było dla niego w najbardziej zasadniczym punkcie różnicy. Bo nałogi scjentyzyczne polegają na tym, że „wszystkie zagadnienia sprowadzają się do wyjaśnienia stosunków zachodzących pomiędzy faktami, warunków ich powstawania i następstw”.

„Roi się w tych czasach od prób konstruowania „etyki naukowej” — powiada Brzozowski. „Rozpatrywano np. cnotę i występki, jako produkty takie same jak wityrol lub cukier, a jednocześnie ludzono się, że z takiego rozpatrywania wyłonić się mogą nie tylko uogólnienia przy czynowe, prawa powstawania i rozwoju zjawisk moralnych, ale także i wskazówki praktyczne, normy i przepisy postępowania”.

„Tak np. dla wyznawców materialistycznego pojmowania dziejów stan społeczny, który ma nastąpić po kapitalistycznym ustroju mocą praw rządzących rozwojem społecznym, był taką wartością, zrozumiałą samo przez się. Wartość ta przestała być dla nich przedmiotem jakichkolwiek wątpliwości; to też, gdy stan ten udało się im wywieść, jako wynik praw rozwoju społecznego, wydawało im się, że wydedukowane zostało nie tylko jego nastąpienie, ale i wartość jego sama, że stanowi on *przedmiotowy* ideał dlatego, że został wyprowadzony z przedmiotowej konieczności rządzącej rozwojem społecznym, że ogólnie obowiązująca moc jego, jako ideału, wynika właśnie z jego związków z tą koniecznością. Na tym zasadza się nieporozumienie teoryopoznawcze socjalizmu naukowego. Wartość została wywiedziona tu z faktu”.

O powszechności tych nawyków u polskiej inteligencji:

„Inteligencja nasza spod władzy dogmatyzmu kościelnego przechodzi bezpośrednio pod władzę i wpływ niemniej wyłącznego i zazdrosnego o swe panowanie *dogmatyzmu* naturalistycznego z tem lub innym społecznym zabarwieniem”.

„Przyroda (wraz ze społeczeństwem) jest tu pojęta jako *byt zewnętrzny*, w stosunku do umysłu człowieka całkowicie gotowy, *zastany przez* niego, wyrażając się słowami empiryokrytyków. Był ten poddany jest prawom, w zależności od których się przekształca. Człowiekowi pozostaje odgadnąć kierunek tych przekształceń i uczynić zeń swój ideał”. (Jedynie dopuszczalna definicja przyrody brzmi u Brzozowskiego tak: „dziedzina rzeczywistych i możliwych wpływów techniki ludzkiej”).

„Dogmatyzm historyczny... czyni przyszłość rzuconą przed nas przeszłością, a więc czemś, co również jak ta przeszłość już jest stworzone i względem czego w prawdziwym twórczym stosunku pozostawać już nie można”.

„...,ideałem historii jest owartościowanie przeszłości z punktu widzenia obecności, a raczej z punktu widzenia osiągniętej twórczości. Wynikiem natomiast historycznego dogmatyzmu jest obewartościowanie *wszystkiego*, uczynienie tego, co jest zadaniem naszym i przedmiotem czynu — napisanego już i co najwyżej nie odczytanego jeszcze, rozdziału dziejów”.

Monistyczne pojmowanie dziejów

„jest... właśnie absolutnie dualistyczną teorią, gdyż uznaje myśl i wszystko, co bezpośrednią treść życia stanowi, za coś nienależącego do właściwej rzeczywistości. Myśl — jest tu niejako cieniem, mgłą, unoszącą się ponad przekształcającym się i przetwarzającym mechanizmem”. (Wszystkie cytaty z „Kultura i życie”).

Brzozowski z góry więc określił czym byłby ustrój budowany według błędnych założeń, jak ujawniałyby się jego nihilistyczna skaza i jak odnosiłby się on do filozofii oraz sztuki. To znaczy, że Brzozowski nie był marksistą? Nie takie to proste. Owszem był.

„Sam fakt, że z taką teorią bezwzględnej pasywności związane jest najbardziej czynne stanowisko praktyczne, zdaje się wskazywać, że mamy tu do czynienia z nieporozumieniem”.

Narzędzia myślowe, jakimi posługuje się postępowy historyzm, zostały wypracowane do innej treści.

„Nic dziwnego więc, że w zetknięciu z treścią nową, przeistaczają ją i gniotą całym swym wielowiekowym ciężarem tak długo, aż póki nie przystosują jej do siebie i aż póki rzecz nowa nie zginie w uciskach dawnego, miazdzącego ją swem nieprzystosowaniem aparatu”.

Tym niemniej:

„Filozofia Hegla, w swej ostatecznej formie, jaką nadali jej Marks i Engels, jest istotnie do dziś dnia ostatnią filozofią. Wszystkie późniejsze wytwory myśli są zjawiskiem reakcji lub rozkładu”.

Zarazem Brzozowski podkreśla, że Marks wyleczył „chore miejsce w filozofii Hegla” *bezwiednie* — stąd już on sam, choć w znacznie mniejszym stopniu niż Engels, dostarczał wody na młyn przyszłych nieporozumień.

Brzozowski nie znosił uniwersyteckiej filozofii drugiej połowy XIX wieku czyli po-kantowskich „psychologizujących rabinków”:

„Dopóki podstawę wykształcenia filozoficznego stanowić będzie teoria poznania i psychologia, a nie zaś historia i ekonomia polityczna — ostrzeżać trzeba będzie młodzież przed filozofią jak przed nosacizną”.

Ale Brzozowski wielbił Kanta, którego odkrycie ujmował zdaniem:

„Nie świat to rozstrzygać ma, czem ma być ludzkość, lecz ludzkość sama stanowi, co uczynić z siebie i ze świata”.

I uzupełnia to:

„Od Kanta dopiero zaczyna się świadome, uzasadnione istnienie etyki, tak jak od niego zaczyna się świadome swych założeń istnienie filozofii historii”. „I rewolucja francuska i Kant są aktami pryncypialnego wyzwolenia ludzkości”. „Marks może być rozumiany tylko w związku z

Kantem, kto go rozumie inaczej, rozumie go źle". „Stwierdzić należy, że Marks nie sprzeniewierzył się Kantowi, ale założenia jego rozwinął". „W gruncie rzeczy marksizm nie jest niczym innym, jak zrozumieniem, że wszystkie ideowe potęgi stają się potęgami dopiero przez siłę mięśni, jaką poruszają, albo raczej, jaką koordynują, organizują".

Stwierdzając, że

„być marksistą jest to dziś najlepsza droga prowadząca do ślepoty i nieczułości bezwzględnej na wszystkie zagadnienia marksowskie".

Brzozowski nie cofał się przed szukaniem odpowiedzi na pytanie dlaczego: dlaczego zwyciężyła w marksizmie „koniecznościowa" koncepcja. Przeprowadza więc, jakbyśmy się wyrazili dzisiaj, analizę egzystencjalną i jego szkic „Anty-Engels" (w tomie „Idee") należy do najgłębszych chyba rzeczy, jakie napisano na ten temat. Gdyby szkic ten został przełożony na francuski, zaskakiwałby co najmniej tak, jak abstrakcyjne malarstwo Malewicza sprzed I wojny. Tym bardziej że jak dotychczas nikt bodaj Brzozowskiego w pionierskich intuicjach nie prześcignął. Streszczenie jego wywodów jest tutaj niemożliwe, zamiast tego daję więc tylko kilka nitek przewodnich:

„Życie nasze jest nieustanną samooryentacją; w każdej chwili nasza samoocena wewnętrzna narażona jest na zachwianie się i próby; możemy powiedzieć, że nasze konstruktywne życie duchowe służy nam jako system środków, zapomocą których zachowujemy ciągłość dodatniej samooceny wobec zmiennego potoku, który ją nieustannie kwestyonuje".

To mając w pamięci należy przystępować do zbadania sytuacji człowieka tej epoki, w której formuje się marksizm. I oto co tam obserwujemy:

„Życie się rozdwaja w sposób charakterystyczny i wysoce osobliwy: to, co się umie tworzyć w życiu, staje się bezwartościowym, to, co się ceni w psychice własnej, nie może stać się częścią stwarzanej przez nas rzeczywistości społecznej: żyje się życiem, które nie jest odczuwane, jako nasze życie lub nawet jako życie w ogóle, a jednocześnie snuje się wewnątrz siebie inny żywot uczuciowo-mysłowy, który uważamy za istotny".

Brzozowski w powyższych zdaniach po prostu bardzo dokładnie definiuje stan alienacji, jaki znamy z lektury licznych poematów romantycznych, takich powieści jak „Madame Bovary" Flauberta czy wierszy Laforgue'a. Dokładne opisy tego stanu u milionów ludzi spotykamy też u socjologów amerykańskich.

„Zakres i głębokość życiowego niezadowolenia, bezwiednego i zautomatyzowanego już poczucia, że się żyje w warunkach nienormalnych, że wszystkie czynności, których mocą istniejemy, są wartości wątpliwej, wrastają dziś w nas i naokoło nas z taką prawidłowością i ciągłością, że nie jesteśmy wprost w stanie znaleźć w atmosferze kulturalnej pierwiastka nie wyrastającego z tego założenia, że te procesy, których mocą jednostka

kulturalna stwarza swoje istnienie osobiste i rodzinne, są bezwartościowe, w najlepszym razie obojętne".

Tutaj jest sekret „obezwartościowania". Połączywszy ten stan z właściwą człowiekowi potrzebą konstrukcji, które pozwalają nam zachować dodatnią samoocenę, otrzymujemy ów „dogmatyzm naturalistyczny" (a wkrótce i historyczny) tak zniechęcony przez Brzozowskiego, tj. przesunięcie punktu ciężkości z człowieka na to co jest *zewnątrz* i rozwija się niezależnie od naszej woli. Czyli marksiści, uciekając przed alienacją, wpadali w pułapkę, bo już poczynając od Engelsa przyswajali sobie konstrukcje korzeniami tkwiące w sytuacji alienacyjnej.

Ponieważ „chorym miejscem" marksizmu jest leninowska teoria odbicia, warto wynotować kilka zdań zawierających poglądy na to Brzozowskiego:

„Wiara w samodzielność przyrody wyradza się zawsze w magię tego lub innego rodzaju".

„Pojęcia człowieka o świecie wypływają z jego technicznej władzy nad światem; w poznaniu swem nawet nie zależy on biernie od świata, lecz od stopnia czynnej swej nad nim władzy. W narzędziu i maszynie szukać należy źródła prawdziwego przyrodniczych kategorii, za pomocą których człowiek myśli świat".

„Granice swej władzy nad światem, granice znanych sobie środków wytwórczych uważa człowiek za granice świata".

„Świat jest zawsze dla człowieka tem, co uczynił on z niego i co zaniedbał uczynić". („Kultura i życie").

Hegel-Marks to ostatnia filozofia, ponieważ druga połowa XIX wieku była zupełnie jałowa. Ale czy jest to uwięczenie i koniec filozofii w ogóle? Wcale nie, odpowiada Brzozowski.

„Sens jego (marksizmu) bowiem cały polegał by wówczas na tem: myśl ludzka za jedyne zadanie ma albo uprawniać wyzysk i uciemnienie istniejące, albo tworzyć urojenia, mające nam przesłaniać twardą i okrutną rzeczywistość i nie pozwolić dostrzec własnego upokorzenia i nędzy, albo też nareszcie przeniknąć tę grę oszustwa i samoułudy i zrzec się myśli, której naturą i zadaniem jest kłamać". („Kultura i życie").

Skoro Brzozowski był marksistą, jedno przynajmniej jest pewne: że nie był chrześcijaninem. Czy i temu ośmielam się zaprzeczać? To już za wiele. Te naciągane syntezy, ten synkretyzm, ta pogarda dla zasady sprzeczności, toż to Wschód, logiczny zachodni umysł tego nie obejmie.

Zbytnią pochopność sądu. Utarło się mniemanie, że Brzozowski w ostatnim okresie życia nawrócił się na katolicyzm i przez to swojej dotychczasowej twórczości zaprzeczył. To fałszywe, bo jego wypowiedzi o chrześcijaństwie powtarzają się w różnych książkach poprzedzających o kilka lat „Pamiętnik". Niczego przy tym nie naciągał, nie sklejał z kawałków. Był po prostu optymistą, takim jak we Francji Teilhard de Chardin tzn. wierzył w nieograniczoną twórczą swobodę tego odrębnego

żywiotu czy sfery istnienia jaką jest ludzkość. „Osobiście wierzę — pisał w „Ideach” — że *ostawanie się* życia naszego jest wynikiem ustalonego porozumienia między naszą twórczością, a twórczością lub twórczościami, co są poza człowiekiem”. Pociąg do chrześcijaństwa wynikał u niego logicznie z odrady do naturalizmu i z rozmyślań nad istotą tragedii. Świat przed Chrystusem był światem antycznej tragedii, „Gniewu Bożego”, bo „samej siebie jako swobody ludzkość przedchrystusowa nie pojmowała”. „Tragedia to świat przed Chrystusem lub bez Chrystusa”. „Chrystus to świadomość ludzkości, że wszystkie zagadnienia są rozwiązalne. Ale to nie znaczy, że są rozwiązane przez samo uznanie Chrystusa. Były to fetyszym, nie chrześcijaństwo”. Brzozowski w „Filozofii romantyzmu polskiego” napisanej w 1906 r. daje hegeliańskie z ducha aforyzmy o Grecji, Rzymie i Żydach — jeden z nich trzeba powtórzyć, bo skłania do licznych refleksji:

„A wreszcie Żydzi są cali, na przeciągu całych dziejów swych, świadomością do obłędnego przerażenia natężoną, że kto jest narzędziem, orężem Prawdy, zwycięża”.

Z narodzeniem się Chrystusa ludzkość została ustanowiona jako kościół.

„Bo Bóg w całej nieskończoności swej rodzi z siebie Słowo, a poza Bogiem nie ma nic, więc jak wielkim jest mroczne królestwo Gniewu Bożego, tak wielką jest dziedzina, którą zdobyć mamy dla Słowa i królestwem uczynić Chwały Bożej”. „Taką jest bowiem jedność Słowa w ludzkości, że, gdziekolwiek bądź jest zagrożone — jest zagrożone we wszystkich. I dlatego, że Słowo jest jedno w sobie, niepodzielne, ludzkość nie jest zbiorem pojedynczych jednostek, lecz kościołem, to jest żywym zespoleniem duchów w miłości i prawdzie”. „Odpasć od kościoła nie można. Można tylko pracować dla niego, nie wiedząc o tym”. „Kościół jest ustaleniem związku pomiędzy najwyższym szczytem duchowym, a ostatecznym uposłdzeniem i pewnością, że związek ten zerwany być nie może”. „Ludzkość stoi w przededniu radosnego przebudzenia. Sądzi, że gdy wyrzekła się i wyzbyła Chrystusa, odnajdzie wreszcie siebie, a gdy obudzi się, zrozumie, że siebie w Słowie i Słowo w sobie odnalazła”.

W „Doktorze Żiwago” Borysa Pasternaka Nikołaj Nikołajewicz, wuj Jury i jego mistrz, tak odzywa się o tym samym: „Uważano dotąd, że główną rzeczą w Ewangeliu są pouczenia moralne i reguły zawarte w przykazaniach, dla mnie zaś najważniejsze jest to, że Chrystus mówi przypowieściami, objaśniając prawdę światłem codzienności. U podstawy tego leży myśl, że *obcowanie śmiertelnych jest nieśmiertelne, i że życie jest symboliczne ponieważ jest znaczące*”. (podkr. moje).

Dzisiaj, teraz kiedy to piszę, jesteśmy zdolni nadawać Logosowi sens bardziej dotykający, materialny, niż przed pół wiekiem, a to wskutek fantastycznych dziejowych doświadczeń i nowego, nie tylko planetarnego, ale kosmicznego aspektu ludzkości jaki nam się odsonił. Wtedy, w r. 1906, Brzozowski

popępiał terminologiczną nieostrożność, chyba z nadmiaru myśli trudnych do zakomunikowania i z pośpiechu. Młoda Polska to była epoka „uduchowienia” i co bardziej górnolotni współcześni Brzozowskiego przelykali takie nauki gładko, łudzając się, że przynajmniej raz jest on z nimi. Karmit więc w „Filozofii romantyzmu polskiego” tradycyjny polski spirytualizm, niestety tęczę rozpiętą nad bajorem. Ale tylko dlatego, że nie raczył naprawdę pokazać co w nim siedzi. Równocześnie dojrzała w nim powieść „Sam wśród ludzi”. Powieść ta, wydana w 1911 r., nikomu wtedy nie mogła się podobać, pogwałcała przepisy ówczesnego literackiego smaku, była brutalna, antyliryczna. Przyjęto więc ją raczej jako pamflet na Polskę lat 1830-1850. Bo to nie była powieść dla nich. Ale jest dla nas. Książka ta to przede wszystkim atak na brzuchatomęczeńsko-katolicko-polskość, na wyrzeczenie się przez Polaków materii, i to nie tylko pracy nad materią, również deminizmu życia, któremu stawiał czoło można tylko dotykając materii. Kwintesencja powieści jest moim zdaniem włożona w usta rosyjskiego oficera stacjonującego na Podolu, oprawcy i pijaka, Reiterna:

„Ech! Polacy, szczęśliwy wy naród; wam co? Dla was życie — mazur z figurami; jedna bieda — Mikołaj i moskale; wy powiecie: moskał! i już wam tak, jakbyście wszystkie ości a drzazgi tego świata w garści mieli... Moskał tylko a pozatem cały świat i człowiek caca, wy teraz za nami jak za górą: oni nam zakryli słońce, ale ono jest; poto przecie my i moskale, aby słońce zakrywać. Och! nienawidzę ja was jagnięca krew Ablowa”.

Reitern miał rację. Józef Conrad uciekł z Polski i tylko przez to uratował się od wiary w szczęśliwość, jaka zapanałaby gdyby tylko nie Rosjanie. Świat i człowiek to nie było dla niego caca. Reitern, gdyby żył dzisiaj, przekonałby się, że nic się pod tym względem nie zmieniło. Nadal Rosjanie służą Polakom do przesłaniania zasadniczego dramatu kondycji ludzkiej i antykomunizm jest tylko odmianą starych przyzwyczajęń: niech jakiś cud zetrze Rosję z powierzchni ziemi, a zobaczycie, że kula ziemską będzie miejscem doskonałej harmonii.

Bardzo mało romantyczny ten Brzozowski. Taką zyskał renomę, bo atakował Młodą Polskę, a ta zapewniała, że uprawia neoromantyzm czy po prostu wskrzesza romantyzm. Poza tym Brzozowski w swoich lekturach zanadto niemiecki, rosyjski, francuski, angielski. A jednak, jeszcze zacytujmy (z „Filozofii romantyzmu polskiego”):

„Literaturę polską kocham miłością śmiertelną: wierzę w jej olbrzymie zadanie, w siły, które ona jedna w nas zorganizować może”.

„Przez lekkomyślność tego narodu przezierać zdaje się głębia świetlana. Szkoła zaś Polski dziejowa na tym polegać się zdaje, aby uwierzyła w świat, przekonała się o realności świata i, uwierzywszy w nią, uczyniła z niej to, czym być ma: nieprzemijający kształt Słowa”.

Za najwyższy stopień świadomości na jaki wzniosła się ludzkość Brzozowski uważał 1) filozofię niemiecką, 2) romantyzm polski. Uprzejmie proszę o powściągnięcie na chwilę ironicznych uśmieszków. Zaczniemy od filozofii niemieckiej. W pięćdziesiąt lat po śmierci Brzozowskiego rządzi ona połową ludzkiego gatunku. I jeżeli przyjmiemy podział Ferratera Mory, jest ona napędem wszelkich dyskusji zachodnio-europejskich (z różnych skomplikowanych przyczyn Francuzi zaczęli ją przyswajać, posuwając się od Kierkegarda do Hegla, dopiero w okolicach II wojny światowej). Tylko Anglosasi pozostają całkowicie na uboczu. Jakkolwiek dla Brzozowskiego „filozofia ta jest obok naszego romantyzmu najpoważniejszym wysiłkiem w kierunku swobody duchowej człowieka”, zarzuca Niemcom, że u nich „nie on (człowiek) ją (swobodę) urzeczywistnia, lecz ona urzeczywistnia się w nim: on zaś tylko poznaje proces tego urzeczywistniania się”. „Będąc wynikiem i sumą filozofii niemieckiej XIX wieku, marksizm nie stworzył aparatu pojęciowego, za pomocą którego swoboda daje się pomyśleć”. „Chciał on swobodę pojąć bez swobody, pojąć swobodę przez konieczność, i w gruncie rzeczy konieczność tylko zrozumiał. Konieczność zaś jest kłamstwem; znaczy to bowiem: świat bez czynu. Kiedy zaś myślę tylko: „świat”, już to jest czynem”. Czyli według Brzozowskiego marksizm nie udziela wskazówek postępowania tam gdzie „przedmiotowy bieg wydarzeń staje się nagle w zatrważający sposób wieloznaczny”. Dylemat wtedy przedstawia się tak: „W czym teraz znaleźć dyrektywę? — W biegu wydarzeń. Lecz on właśnie odsyła nas do własnego wnętrza. W sobie samych? W sobie swobody nie wypracowaliśmy”. Ze dylemat ten nie jest bynajmniej pozorny — przekonali się na swojej skórze liczni polscy lewicowcy. „Wiem bardzo dobrze — dodaje Brzozowski — że treść żywotna, ukrywająca się poza marksizmem, jest wyzwoleniem istotnym, choć bez samowiedzy własnej dokonywującym się, gdyż jest rozpromienianiem i rodzeniem się Słowa, ale jest to znowu Blask, nie widzący siebie”.

Przejdźmy do romantyzmu polskiego. Tutaj musimy udzielić Brzozowskiemu kredytu, bo na rewizję romantyzmu jest jeszcze za wcześnie. Nie będzie ona możliwa zanim nasza samodrżyna nie wyczerpie wszystkich możliwości i zanim nie przestanie być aktualnym wiersz Gałczyńskiego: „Patrz Kościuszko na nas z nieba raz Polak skandował/ A Kościuszko popatrzał i się zwiymiotował”. czyli nie wcześniej aż okręt świata tak się obróci, że nowe wiatry uderzą w jego żagle. Brzozowski był przekonany, że romantyzm polski „do dziś dnia pozostał najszerszą syntezą na jaką ludzkość zdobyć się zdołała”. Tłumacząc to na język z francuska-przystępny, Mickiewicz, Słowacki, Towiański, Cieszkowski i Norwid przeniknęli sekret zaangażowania jednostki w dzieje zbiorowości i to nie zaangażowania powierzchownego ale pełnego, kiedy domeną czynu staje się „całe życie polityczno-społeczne i całe życie wewnętrz-

ne człowieka z jego najgłębszymi walkami duchowymi”. Sam Brzozowski, który żył tylko trzydzieści trzy lata, dowodzi skuteczności tej recepty. Ku zasmuceniu kpiarzy dodajmy, że próby francuskich pisarzy „engagés” są, jak dotychczas, z wyjątkiem bodaj jednej Simone Weil (historia była dla niej naprawdę jej osobistą sprawą moralną) chorowite i połowiczne, bo więzi ich uświęcona sfera prywatna, skąd odbywają tylko wycieczki w służbie różnych „causes”, a energia ich zużywa się na samo nawiązanie kontaktu z historycznością, dla polskich romantyków równie naturalną jak powietrze. Zeby uspokoić kpiarzy, dodajmy, że chociaż Brzozowski przyznawał polskiemu romantyzmowi wyższość nad filozofią niemiecką, zastęgał się: „Gdy mówię: „metoda, droga” nie znaczy to, abyśmy mieli siebie i swą swobodę naginać aż do koincydencji z drogami, po których faktycznie kroczyli Towiański i Mickiewicz”. Polski romantyzm rozwiązał zagadnienie twórczej swobody. Ale już Krasieński to dla Brzozowskiego tylko niemiec, tylko myśl-poznanie. Schyłek romantyzmu stoi pod znakiem Krasieńskiego: „Obierając Krasieńskiego za swego przewodnika myśl polska wstępowała na drogę niedopełnienia swej prawdy”.

Można mi zarzucić, że sprytnie tasuję karty i z nieprzebranego bogactwa jakim jest Brzozowski wyciągam to co dla mnie wygodne. Lepsze to jednak niż redukcja tego pisarza do pogoni za „umysłową przygodą” i nieludzkie bzdury jakie wypisywali o nim jego współcześni Antoni Potocki i Wilhelm Feldman, a nawet Irzykowski, który nazwał „Pamiętnik” „marzeniem skazanej na bezczynność nahajki”. Brzozowski nie jest mętny ale wiele musiało się dopełnić zanim starła się otoczka budowana dokoła jego dzieła „wspólnym wysiłkiem żądu i społeczeństwa”.

Powtórzył się, niestety, casus Norwid. Pisma Brzozowskie są rozproszone, niektóre nie do znalezienia nawet w dużych bibliotekach. I jest mi wstyd.

Dalsze wynurzenia

Po co Brzozowski? Nie wiem, jedno z dwojga: albo czytały na uniwersytecie oddziaływał na mnie silniej niż sobie uświadamiałem i do tej zależności usiłowałem się nie przyznać; albo Brzozowski to niejako pratypan dla wszystkich ludzi dwudziestego wieku wychowanych w kulturze polskiej i wcześniej czy później muszą wpaść na te same co on ślady. Ale „Brzozowski we krwi”, a nie tęsknota do socrealizmu wyjaśnia dlaczego na filmie Felliniego „La Dolce Vita” wykrzykujemy: toż to T.S. Eliot i Eliot wczesny, czyli, co tu gadać, Laforgue. Jak długo oni potrafią jeszcze kręcić się w kółko?

Jeżeli jakaś zbiorowość przeżyła, jeszcze przed rokiem 1914, dzięki jednemu choćby genialnemu autorowi, problematykę, która dzisiaj jest w stanie fermentacji i wzrostu, czy wolno

ogłądać tę zbiorowość udając, że nic takiego nie było? Czy jesteśmy tylko dziwne wschodnie żwirze?

Niestety trudności samego wyjęzyczenia się są dzisiaj tak znaczne, złożoność zjawisk tak wielka, że coraz to ma się uczucie przegranej. Przegrana ta zresztą bywa niekiedy *honorable*. Opór na jaki natrafia literat pochodzi z samych niedostatków języka, język musi być na nowo wykuwany, szuka się przy tym równowagi pomiędzy czysto intelektualną rozprawą, której nikt nie chciałby czytać i jakąś malowniczością, z nieuniknionymi ustępstwami na rzecz nieco bardziej jaskrawych chwytów. Dla tych co przyzwyczaili się uważać podział na treść i formę za nietakt, to brźmi może jak herezja, ale nie mając żadnej sympatii do socrealizmu, nie byłem nigdy wyznawcą sztuki dla sztuki. Komunikacja z czytelnikiem więc mnie obchodzi i kiedy wydaje mi się, że coś stoi w moich tekstach jak wół, a inni tego nie widzą, słabą pociechą jest płaszcz dumy. Pozwolę sobie na chwilę powrócić do mego utworu pt. „Traktat poetycki”. Jeżeli komentowanie własnych wierszy uchodzi za zarozumiałość, to tylko dlatego, że utarło się brać je za cel sam w sobie. Dla mnie nie są:

Jeżeli z błędem, tylko historyczni,
Nie dostaniemy wieńców długiej chwały
To, ostatecznie co? Mają pomniki
I mauzolea, ale w deszcz majowy
Pod jednym płaszczem chłopiec i dziewczyna
Ich doskonałość miną obojętnie,
I zawsze słowo, które pozostanie
Będzie wspomnieniem półotwartych ust:
Nigdy jak chciały mówić nie zdążyły.

Otóż treścią „Traktatu poetyckiego” jest to samo, co gnębiło Stanisława Brzozowskiego, co gnębiło mnie w dzieciństwie i wczesnej młodości tak że nawet napisałem o tym powieść „Dolina Issy”: bierność człowieka wobec Natury, wobec jej obrazu jaki sobie tworzy. Albo, jeżeli kto woli, jest to „traktat” o powolnym wyzwaniu się polskiej poezji XX wieku z oparów *fin-de-siècle*'u, z tej melancholii jaka powstaje wskutek rozdzielenia na „ja” i „żelazne prawo”. Ktokolwiek zna poezję nowoczesną nie zaprzeczy, że dotychczas gra ona, z małymi zmianami, na tej samej klawiaturze co stara „moderna”. Zniszczyć tę zależność można tylko przenikając w nowy wymiar, w nasz ludzki żywioł: pamięci, historii.

Pokój księżniczkom pod tamaryszkami.
O farbę powiek bił im wiatr z pustyni.
Zanim związane ciało w bandolety,
Zanim pszenica w grobowcu zasnęła,
Zanim umilknął kamień i jest litość.

I bynajmniej nie sama kontemplacja czasu, nie łagodna żalność przemijania mnie nęciła:

Z rozbitych zbroi, z oczu porażonych
Rozkazem czasu i wziętych z powrotem
Pod jurysdykcję pleśni i fermentów
Nasza nadzieja. Tak, połączyć w jedno
Kosmatość bobra i zapach sitowia
I zmarszczki dłoni leżącej na dzbanie
Z którego ścieka wino. Czemuż wołać
Że historyczność niszczy nam substancję,
Jeżeli ona właśnie jest nam dana,
Muza siwego ojca, Herodota,
Jako broń i instrument? Choć niełatwo
Użyć jej wreszcie i tak spotęgować
Że niby ołów z czystym centrum złota
Posłuży znowu na ratunek ludzi.

Ciepło, ciepło. Zbliżamy się do „historycznej szkarlatyny”. W „Traktacie poetyckim” opowiadam m.in. jak polskim poetom po II wojnie światowej naturalistyczny Duch Ziemi zaczął utożsamiać się z Duchem Dziejów i jakie przed Koniecznością bili pokłony. Moja zbieżność z Brzozowskim mnie teraz zdumiewa. W każdym razie uchwyciłem ten szczególny przerwut „nieubłagalności” z przyrody na społeczeństwo, który musi historyczność („*historicité*”) całkowicie wypaczać. Ale „użyć jej wreszcie i tak spotęgować” żeby znowu służyła na ratunek ludzi to nie znaczy odwracać się od niej tylko niejako przejść na jej drugą stronę i ogarnąć ją pełnie.

A jednak mylą się oskarżyciele
Ubolewając nad złem tej epoki,
Jeżeli widzą w nas tylko aniołów
Strąconych w otchłań i stamtąd, z otchłani,
Wygrających pięścią pracom Boga.
Na pewno wielu niesławnie niszczało
Bo czas i względność, jak analfabeta
Odkrywa chemię, tak nagle odkryli.
Dla innych sama wypukłość kamienia
Kiedy go weźmie się nad brzegiem rzeki
Była nauką.

Z temperamentu jestem raczej pesymistą, ale trudno mi pozbyć się pewności, że w świecie zjawisk umysłowych co jest błędne zawsze wreszcie przegrywa. Dlatego mogłem tak się wyrazić (ta część „Traktatu” powstała w 1951 r.):

Płacz Republiko. Wołaj: na kolana!
Megafonami próbuj swoich czarów.

.....
Ze ścian i luster, szkieł i malowideł,
Zastłony drąc ze srebra i bawelny,
Wychodzi człowiek, nagi i śmiertelny,
Gotów do prawdy, do mowy i skrzydeł.

Jakiekolwiek są aberracje historyzmu, Anglosasi, odrzucając go w ogóle, są mniej trzeźwi niż się im wydaje. Sparzyli

się co prawda dwa razy: na ruchu lewicowym lat trzydziestych, myślowo płytkim, służalczym wobec Rosji, i na historycznie regresywnym wprowadzonym do literatury przez trójkę Hulme-Pound-Eliot, która idealizowała minione cywilizacje „organiczne” i dopatrywała się upadku już w rewolucji Cromwella, bo wtedy nastąpiła „dissociation of feeling”. (Jestem zresztą jak najdalej od chęci wyrzucenia za burtę poetów przeprowadzających krytykę nowoczesnej cywilizacji w imię przeszłości, bo sama w sobie ta krytyka jest nieraz celna. Wolę jednak Whitmana i literaturę zdolną do „orlich rzutów w kraj zwycięstwa”).

Taki więc jest mniej więcej program czy podtekst „Rozdzinnej Europy”. Przepowiednie na bliższą metę, czyli „kto kogo i czym” do mnie nie należą. Ponieważ przeciętni zjadacze chleba nie potrafią przełamać mechanizmu walk o władzę, marnowaliby tylko czas rozpamiętując możliwe katastrofy. Nie są co prawda całkowicie bezsilni i wobec tych katastrof i wobec opresji, okrucieństwa: każdy nasz akt wchodzi w związki chemiczne z aktami innych ludzi, nieraz w sposób na razie albo w ogóle niedostrzegalny.

Olimpijskość? Kocham literaturę polską, ale że musi ona być wysiadywana w kocju warszawskiego Związku Literatów, między bajki włożę. „Sytuacje emigracyjne” są dla mnie wynikiem samowmówień, magnetyzmów, pielęgnowanej mitologii. Nie słusznie byłoby mnie też posądzać o to, że jestem tam sercem a tutaj, we Francji, tylko ciałem. Kąśliwości pod adresem francuskich intelektualistów, na jakie często sobie pozwalam, pochodzą chyba głównie stąd, że oni wiele odgadują, że są dobrymi antenami, ale zawsze z nimi jakoś nie tak. Trzeba mieć odwagę ująć ich dziesiątki lat znakomitej ciągłości, którą nam burzyły trąby powietrzne, jako jedną erę i nie łudzić się, że ich styl to tylko tak sobie, bo on przyświadcza. Kompleksów anty-zachodnich nie mam zamiaru czule w sobie pielęgnować. Ale cały sens w tym, żeby przeciwstawiać się i niczemu biernie nie ulegać.

Czesław MIŁOSZ

Nowi cudzoziemcy

Czy warto zająć się scjentystą?

Czym jest tworzywo wszechświata — nie wiemy. Umiemy je klasyfikować i umiemy się nim posługiwać, ale nie znamy ani jego natury ani granicy jego możliwości. Jeśli wszechświat jest zbudowany z jednej substancji — jak to już chciał Tales z Miletu — umiemy tłumaczyć jej przemiany scjentyfiką. Ale czy istnieje taka jednolitość wszechświata? Czy materia, a zatem przypuszczalnie także energia, wywodzi się z jednego źródła? Czy siły elektryczne, magnetyczne, grawitacji, dadzą się sprowadzić do jedności, której równoważnikiem jest jakaś mityczna jednostka materii? A jeśli taka jedność istnieje, jeśli z podstawowej cegiełki materii można zbudować wszechświat, jakie jest w tym wszechświecie miejsce człowieka? Czym jest myśl ludzka, która potrafi pojąć i wyrazić zawilść tej ewolucji? Czy nasze zwoje mózgowie są w stanie pojąć zawilść pra-spraw? To nie są próżne rozważania. Rozumienie naszych ograniczeń jest także konieczne dla postępu.

Skoro nie wiemy czym jest tworzywo wszechświata i skoro chwilowo (chwilowo?) prawda ostateczna scjentyfiki jest równie nieosiągalna jak mgławice u kresu naszych teleskopów, czy warto zająć się scjentystą? Pytanie retoryczne! Zawsze warto mówić o człowieku!

W wielu krajach wyższe wykształcenie kładzie, szczerze czy obłudnie, akcent na humanistykę. Studenci fizyki, chemii, medycyny, inżynierii itp. mają obowiązkowe wykłady literatury, filozofii, psychologii, a oprócz tego są zachęceni do nadobowiązkowych studiów humanistycznych. *It's good for them.* Nie można być „pełnym człowiekiem” (cokolwiek to oznacza) jeśli się nie wie, że Szekspir to... a Plato tamto... *Amica veritas sed magis amicus Plato.* Ale studenci literatury, historii, muzykologii, nie muszą znać ostatnich (ani nawet przedostatnich) teorii fizycznych, kosmologicznych, chemicznych, biologicznych. Nie

wymaga się od nich by umieli inteligentnie dyskutować o teoriach kwantów i względności, o skrzywieniu przestrzeni i rozszerzającym się wszechświecie, o obaleniu zasady parzystości, o genetyce i teoriach ewolucji, o genach, wirusach i kwasach nukleono-proteinowych, o sprzężeniu zwrotnym i komputerach elektronicznych, o rachunku prawdopodobieństwa, budowie atomu i energii nuklearnej.

Dlatego może tak wielu pisarzy bawi się w dziecinną fantastyki scjentyficznej, a tak niewielu podchodzi do spraw scjentyficznych z odpowiednim wykształceniem. Fantastyka scjentyficzna jest modna bo Sputniki i bomba atomowa epatują naiwnych, ale 99 takich powieści na 100, to niedowarzone bzdury, a jedna pozostała jest przeważnie kiepską powieścią. Słupy nie mogą mówić o kolorach.

Dwojako można pisać humanistycznie o scjentyfice. Raz, podchodząc do scjentyfiki przez filozofię lub do filozofii przez nauki ścisłe. Błyskotliwa literatura filozoficzna i popularno-filozoficzna ostatniego ćwierćwiecza jest przykładem takiego podejścia. Dwa, opisując scjentyście jako człowieka. Oba podejścia niewykonalne dla półinteligentów! A półinteligentem jest każdy kto zna tylko humanistyczną lub tylko scjentyficzną połowę ludzkiego doświadczenia a nie zna obu.

„Nie można znać obu” — obruszy się na mnie czytelnik humanista. „Humanistyka jest zrozumiata dla każdego, ale jak wielu rozumie formuły matematyczne?”

Czy jednak humanistyka jest naprawdę tak łatwo zrozumiała? Czy wiersz Miłosza lub proza Gombrowicza odkrywają dla każdego „co autor miał na myśli”? Czy zagrają na każdej wrażliwości poetyckiej lub literackiej? Jeśli rozumiemy pojędnicze słowa, nawet zdania, nie znaczy to jeszcze, że rozumiemy poezję lub sens lub myśl przewodnią. A nawet jeśli umiemy rozebrać wiersz lub zanalizować powieść, nie świadczy to o naszej wrażliwości, tak jak obkucie reguły algebry lub formułek chemicznych nie dowodzi, że rozumiemy chemię lub matematykę. A jak wielu potrafi przebrnąć przez zawiloci humanistyczne Toynbee'ego, przez niematematyczność Freuda, nawet przez byle esej o literaturze, malarstwie, muzyce. Te sprawy też nie są proste i też używają specjalnego żargonu tak jak fizyka używa symbolów matematyki.

Scjentyfika nie jest prosta. Utrudnia ją nadto fakt, że wielu ludzi — poza tym bardzo uzdolnionych — cierpi na matematyczny daltonizm. Ale równie wielu ludzi nie ma zdolności do języków, z czego nie wynika, że Polacy nie powinni znać Szekspira lub Goethego lub Homera. Zresztą wielu ludzi, nawet spośród matematycznie uzdolnionych, nie interesuje się matematyką tak jak wielu nie interesuje się historią, polityką, sztuką, literaturą, muzyką. Co jednak najważniejsze, zasadnicze humanistyczne rozumienie scjentyfiki, choć wymaga poważnego wysiłku umysłowego, jest osiągalne bez matematycznych parafernali. Dziesiątki doskonałych popularyzacji tłumaczy

dziś w każdym języku scjentyfikę. Nawet Polacy na emigracji czytają — jak wnioskuję z nakładów — doskonałą książkę Tadeusza Felsztyna: *Świat w oczach współczesnej nauki*. Trudność polega jedynie na przewycięzeniu uprzedzeń, na zainteresowaniu i odrobinie dobrej woli. A wracając do „pełni człowieczeństwa”, łatwiej umiem sobie wyobrazić współczesnego inteligenta, który nie czytał Joyce'a, Valéry'ego lub Eliota, niż takiego który nie interesuje się sprawami atomu, ewolucji, kosmologii, biopoezji lub który nie rozumie życiowego znaczenia elektroniki, metalurgii, biochemii, genetyki, bakteriologii, cybernetyki, polimerów. Te sprawy niosą w sobie bardziej podniecający ładunek humanistyczny niż wszystkie finezje egzystencjonalistów czy surrealistów. Wynikiem anty-scjentyficznego kompleksu współczesnej inteligencji humanistycznej może być tylko krańcowość młodych scjentyistów, którzy tak zasztygają się w gąszczu detali, doświadczeń i obliczeń, że zgubią szeroki horyzont humanistyczny nauk ścisłych. Ze szkodą dla siebie i dla nas!

C.P. Show (1) uważa to za rozbrat dwu kultur. Jako pisarz i jako scjentyista, obcując równocześnie i na równej stopie ze scjentyistami i humanistami, znał scjentyistów dla których „Szekspir” było słowem znanym z ławy szkolnej, ale które nie rozbrzmiewało żadnym intelektualnym echem i znał humanistów dla których waga gatunkowa i przyspieszenie były poza zasięgiem rozumienia.

W życiu — i w humanistyce — porozumiewamy się słowami, ale poza parą setek słów najprostszych, jak wielu ludzi rozumie całą resztę mowy? Umiemy czytać gazety, — ale gazety roją się od uproszczeń. Umiemy czytać kryminały, romansidła, comics, ale gdy czytamy coś poważniejszego (— MY, elita, jeden na sto tysięcy! —) nie rozumiemy tego co autor powiedział, lecz przetwarzamy to co powiedział na język własnych atawizmów, łamiemy w pryzmacie własnej przeszłości, kompleksów, uprzedzeń, zachwyty, nienawiści i miłości. A ponieważ każdemu wydaje się, że rozumie mowę, uważamy, że zrozumieliśmy esej, poemat, przemówienie męża stanu, „Wojnę i Pokój”.

W scjentyfice symbole rozumienia są bardziej precyzyjnie i nieosobowo określone matematyką, formułami, wykresami, modelami. Nie ma dwu rozumień wagi gatunkowej i przyspieszenia, nie można więc wykręcić się sianem lub „rozumieć inaczej”. Albo — albo! Albo się rozumie, albo się nie rozumie. Kto nie rozumie musi się przyznać, bo błąd wyda się w zastosowaniu lub w sprawdzeniu, które są podstawą scjentyfiki. Scjentyfika nie zna blagi na dłuższą metę. Dlatego może tak wielu ludzi przyznaje się otwarcie do scjenty-

(1) „The Two Cultures and the Scientific Revolution”, *Encounter*, czerwiec-lipiec, 1959 r.

ficznego daltonizmu. Nie mają wyboru. I dlatego — niezbyt odległą analogią — scjentyści przyznają się do ignorancji humanistycznych. Są tak szkoleni, że wydaje im się, że bлага musi się wydać w humanistyce tak, jak w scjentyfice. Zaryzykowalbym także twierdzenie, że scjentyści są na ogół lepiej wykształceni niż ludzie innych zawodów. Więcej czytają, czytają rzeczy trudniejsze, są często nieźle filozoficznie wykształceni, są radykalni w swych zamiowaniach (— i w polityce —) a to każe im interesować się awangardą literacką, artystyczną, muzyczną. Znałem natomiast pisarzy, polityków, businessmenów którzy nie wiedzieli co znaczy słowo „antropologia”; którzy słowa „ekonomia”, „statystyka”, „semantyka”, rozumieli inaczej niż ekonomiści, statystycy lub semantycy; którzy panicznie bali się symboli naukowych — matematycznych, fizycznych, chemicznych. Błąd był w ich oczach upokarzający i „wstyd i hańba”. Tak jak wstydem i hańbą było zle rozumienie języka (nawet słów obcych) lub pomyłka ortograficzna.

Humanistów i humanizmu nie trzeba tłumaczyć. Nie znaczy to, że wszyscy wiedzą co te słowa znaczą lub, że rozumią humanistów i humanizm, ale jesteśmy jak ów pułkownik kawalerii, który się nigdy z wiców nie śmiał bo ich nie rozumiał, ale który był zbyt próżny aby je sobie dać wytłumaczyć. Natomiast scjentyfika i scjentyści domagają się interpretacji. Zwłaszcza między Polakami na obczyźnie. Zbyt mało wiemy o tej „drugiej kulturze”, co wiemy jest często przestarzałe i nieścisłe i zbyt wielu emigrantów cierpi na matematyczny daltonizm.

Gdy posłałem raz, bardzo dawno temu, artykuł scjentyficzny do redakcji pewnego pisma, redaktor przetrzymał artykuł przez pewien czas, wreszcie odesłał z usprawiedliwieniem, że „Polacy niestety sprawami naukowymi się nie interesują”. Nie zgadzam się z tą diagnozą. Wszyscy, świadomie lub podświadomie, interesujemy się dziś scjentyfiką. Korzystamy z niej i daję nam filozofię bardziej aktualną niż religia, komunizm, nawet nacjonalizm. Nie trzeba być scjentystą aby rozumieć scjentyfikę, tak jak nie trzeba być księdzem, aby być człowiekiem religijnym. Scjentyfika jest w równej mierze nawykiem umysłowym, sposobem podejścia do problemów naukowych jak wiedzą. To prawda, że nie można być zawodowym fizykiem, chemikiem lub astronomem bez gruntownej i szczegółowej wiedzy przedmiotu, ale przeciętnie wykształcony humanista nie powinien mieć większych trudności z rozumieniem fizyki nuklearnej, kosmologii, ewolucji, nawet cybernetyki, niż ma ze zrozumieniem egzystencjalizmu, James Joyce'a, Henry Moore'a, Piet Mondriana lub Arnolda Schönberga. Sprawy humanistyki są nawet często trudniejsze, bo nieścisłość symboliki językowej stwarza taką wieloznaczność, że ścisłe rozumienie jest wykluczone, podczas gdy w scjentyfice, naukowe konkluzje wyprowadzone naprzód matematyką, a dopiero potem przełożone na słowa, mogą być precyzyjnie jednoznaczne.

Scjentyfika nie jest ezoteryczna. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z wpływu na życie teorii atomowych, fizyki względności i kwantów, elektroniki, rozmaitych teorii i technik biochemicznych, genetyki, nawet kosmologii i kosmogonii. Bomba atomowa, siłownie nuklearne, radio i telewizja, antybiotyki, cały postęp medycyny, hybrydy roślinne i zwierzęce, samoloty odrzutowe, rakiety międzyplanetarne są sprawami równie dobrze znanymi w Waszyngtonie, Moskwie, Londynie, Paryżu jak... w Kocmyrzowie. Wieża z kości słoniowej nie jest już pustelnią scjentyistów a roztargniony uczonec nie jest synonimem niepraktycznego marzyciela.

Człowiek współczesny, wykształcony i zainteresowany sprawami świata, powinien znać nie tylko podstawowe zasady scjentyfiki, ale rozumieć także ludzką motywację scjentyistów. Kim są? Czym różnią się od innych? Skąd się wywodzą? Dokąd zmierzają? Jak myślą? I... co myślą? O humanizmie, scjentyfice, polityce, religii, filozofii? Czym uzasadniają swe powołanie? Uzdolnieniem, zamiłowaniem, postannictwem? Jakie jest ich miejsce w społeczeństwie i jaki jest stosunek społeczeństwa wobec nich? Jacy są przy pracy? Jakie są ich rozrywki? Z kim obcuja? Z kim się żenia? Powyższe pytania nie nadają się do uogólnień. Scjentyistów jest tak wielu i na tak wielu poziomach umysłowych, społecznych, kulturalnych, że dystylacja ich esencji jest niemożliwa. Ponieważ znaleźli się jednak nagle na świecie, ponieważ odgrywają coraz poważniejszą rolę w sprawach świata, ponieważ byli dotychczas raczej zaniebdywani przez pisarzy, psychologów, socjologów i innych badaczy człowieka, stali się przedmiotem powszechnej ciekawości. Tym większej im mniejszą jest o nich wiedza. Człowiek jest jednak zbyt skomplikowany i obserwując samego siebie nie może być zbyt obiektywny. Nauki o człowieku mogą więc być tylko podbudową pod nasze osobiste doświadczenie. Osnową, która wypełniona wątkiem doświadczenia życiowego daje dopiero prawdę.

„The Search” — przykład kliniczny

C.P. Snow zajmuje osobne miejsce w literaturze. Jest równocześnie poważnym pisarzem i poważnym scjentyistą. Jako fizyk krystalograf pracował nad zagadnieniami struktury drobinowej, jako psycholog i scjentyista organizował personel scjentyficzny Anglii podczas drugiej wojny światowej, jako pisarz dał się poznać szeregiem doskonałych powieści, z których dwie zajmują się problemem scjentyisty jako człowieka. „The Search”, wydana w 1934 i „The New Men” wydana w 1954.

„The Search” jest historią fizyka-badacza, Artura Miles, urodzonego z początkiem naszego wieku, który rozpoczyna życie zawodowe w okresie najbardziej dynamicznej ekspansji scjentyficznej, gdy fizyka — w dwieście lat po Newtonie —

osiągnęła swój zenit. Newton pisał: „...czułem się jak chłopiec, który bawiąc się nad brzegiem morza szuka kamyczków gładszych lub ładniejszych od innych, a nie wie, że wielki ocean prawdy leży przed nim nieodkryty”. W dwieście lat później, Rutherford puszyl się: „This is the heroic age of science! This is the Elizabethan age!”. Latem dwudziestym naszego stulecia wydawało się, że widzą możliwość końca, zewnętrzną granicę wiedzy!

Artur Miles jest wybitnie uzdolnionym scjentyistą: zręcznym eksperymentatorem, teoretykiem z wyobraźnią i polotem, rzetelnym i kompetentnym badaczem. Mimo powodzenia naukowego bardziej interesuje go jednak polityka akademicka. „...gdy moje plany naukowe wydawały się zapewnione, moim przemożnym zainteresowaniem okazał się konflikt osobistości, pobudki ludzkie i różnica między tymi pobudkami, a ich świadomym kształtem”. Jest intrygantem zarozumiałe manewrującym na szachownicy rozgrywek personalnych. Jest zimny i wyrachowany samolubny. Gdy przegrywa rozgrywkę, nie umie przyjąć przegranej z pokorą, choć umiał przyjąć pokornie i uczciwie niepowodzenie scjentyficzne. Odwraca się od obiecującej kariery scjentyficznej i zostaje... pisarzem.

Wokoło tego niezbyt pociągającego bohatera krążą rodzice, przyjaciele, koledzy zawodowi i dwie kobiety. Ojciec, łagodny maniak religijny i matka, której śmierć bardziej Mileśa dotyka niż daje po sobie poznać. Przyjaciele: chemik Sheriff, towarzysko czarujący ale... patologiczny kłamczuch oraz humanista Hunt, któremu nie poświęciło się ani w życiu ani w zawodzie, ale który umie być obiektywny tam gdzie Sheriff jest zakłamany. Galeria kolegów zawodowych jest obszerniejsza. To jest tło powieści. Szerokie tło elizabetańskiego wieku fizyki. Profesorowie uniwersytetów angielskich, członkowie Royal Society, nawet jeden niewątpliwy geniusz. Pewnie przyszedł laureat Nobla. Kobiety: Audrey, pierwsza kochanka i wielka miłość, którą traci z powodu własnego egoizmu choć usiłuje nam wmówić, że ukradł mu ją Sheriff, oraz żona Ruth, łagodna, nieco melancholijna, z którą znajduje spokój ducha, narzeczcie i na stałe. (Choć moja żona twierdzi, że się to małżeństwo rozleci!).

Treść powieści jest dla naszych rozważań nieważna. Ważne są charaktery scjentyistów, ich dążenia i filozofia jaka z ich życia wynika. Sheriff, jako młody i niezawsze mądrze rozgadany student, określił raz scjentyistów jako „pierwszą na świecie grupę ludzi trenowanych do uczciwości i prawdomówności...”. I to, przynajmniej szczerze, jest autoportretem jaki scjentyści, w chwilach, gdy nie myślą scjentyficznie, pragną wymalować. Uczciwość i prawdomówność bywają czasami atutem powodzenia, ale nieuczciwość i kłamstwo bywają nim także. Dla Mileśa uczciwość i prawdomówność były szczyblem powodzenia, ale kariera scjentyficzna Sheriffa była zbudowana na kłamstwie i niesolidności. Błąd leży w uproszczeniu. Czo-

wiek nie jest ciosany z jednej bryły, a scjentyista — w scjentyfice i poza nią — jest tylko człowiekiem. Zlepkiem tysięcy genów, okoliczności i przypadków. Sheriff — kłamca, hochstapler, nieszczerzy, nierzeczowy, nierealistyczny — był antytezą wszystkiego co w opinii publicznej uchodzi za postawę scjentyficzną, a mimo to był niewątpliwie scjentyistą. To znaczy, był chemikiem z powołania i uzdolnienia, aspirantem do katedry uniwersyteckiej (którą prawdopodobnie otrzymał, nawet badaczem, choć skromnego lotu).

Trafniej ujął tę myśl Miles: „Istnieje dokładnie tak wiele sposobów podejścia do scjentyficznego świata jak wielu jest scjentyistów i tylko ponieważ wyniki są wyrażane w tym samym języku i podlegają tym samym kontrolom, scjentyfika wydaje się bardziej jednolita niż — dajmy na to — twórcza literatura. W rzeczy samej *jest* w końcu bardziej jednolita. Ale jeśli byśmy mogli śledzić drogę myśli scjentyficznej przez wiele umysłów, tak jak się kształtuje w rzeczywistości, a nie jak się konwencjonalnie w końcu wyraża, zobaczylibyśmy wszystkie możliwe odcienie umysłowego tworzywa”. Twierdzenie, które zaskoczy tylko prostaczków, ale które omijamy wszystkimi kompleksami naszej semantyki.

Miles analizując swoje życie zadaje pytanie: „Dlaczego byłem zamifowany w scjentyfice?”. I odpowiada: „Wielu ludzi zostaje scjentyistami ponieważ to jest w danej chwili najdogodniejsze”. Innymi słowy — z przypadku! Ale poza przypadkiem widzi trzy motywy. 1) „Można się poświęcić scjentyfice jeśli się wierzy, że jest praktycznie i skutecznie korzystną dla świata”. 2) Można się jej poświęcić „ponieważ uosabia prawdę” (co nie jest identyczne z powiedzeniem Sheriffa). „Scjentyfika zna prawdę tylko w swej własnej dziedzinie, jest doskonała w ramach swych ograniczeń”. Innymi słowy — prawda scjentyficzna nie jest prawdą ogólną a uczciwość i prawdomówność scjentyficzna nie są równoznaczne z uczciwością i prawdomównością scjentyisty. Scjentyficzne umiłowanie prawdy nie jest przykazaniem etycznym, lecz tylko narzędziem naukowym. 3) Można się wreszcie poświęcić scjentyfice „bo się ją lubi...”. „Można lubić scjentyfikę nie wierząc zbytnio w jej użyteczność i nie mając poglądów na wartość jej prawd. Wielu ludzi lubi rozwiązywać zagadki, a zagadki jakie stawia scjentyfika są bardzo dobre i nagroda za rozwiązanie jest przyzwoita”. Przyzierność tego motywu nie wyklucza uniesienia, ale to uniesienie „nie zależy od wiary w jakieś wartości scjentyficzne, tak jak ekstaza religijna nie jest uwarunkowana wiarą w Boga”.

Fakty i statystyki socjologów i psychologów, którzy badali naukowo życie i motywację scjentyistów, układają się podobnie jak rozumowanie Mileśa, ale ich konkluzja wysławia się inaczej. Język naukowy jest precyzyjny, ale ograniczony. Język literacki ma swoistą magię, która nie wypływa z doświadczalnych faktów, lecz z całej przeszłości języka. Magię bardziej prawdziwą niż prawda scjentyficzna, bo wyrażającą wszystkie

dążenia ludzkości od zarania mowy. Tworzywo pisarza nie przechodzi jak scjentyfika, precyzyjnie i powtarzalnie od człowieka do człowieka. Każdy z nas przetwarza w sobie słowa pisarza. Interpretujemy je jak aktor rolę lub muzyk kompozycję. Przetworzone, żyją nowym życiem. Innym życiem. Tysiącem żywotów i pokoleniami żywotów. Odradzają się, — a nie przetwarzają. Są wieloznaczne, — nie precyzyjne.

Miles odszedł od scjentyfiki bo przemawiała doń lepiej symbole humanizmu, ale Miles — jak C.P. Snow — na zawsze zachowa także umysłowość scjentyficzną. Będzie prawdziwie dwujęzyczny. Będzie synem „dwu kultur”. Kultury scjentyficznej i kultury humanistycznej. Kultury która rozumie rzeczy i kultury która rozumie człowieka. „The Search” jest dobrą powieścią, ale jej główna wartość nie jest literackiego rzędu. Jest pierwszą znaną mi powieścią, która zajmuje się scjentyzmem bez kanciarstwa górnolotności, bez epatowania scjentyficznie niewykształconych, bez silenia się na niewymierną problematykę. Opisuje życie scjentyisty jako scjentyisty, w kole zawodowym, na tle pracy i kariery, ale nie narzuca czytelnikowi scjentyficznych problemów. Nie tłumaczy np. krystalografii, nie opisuje doświadczeń i teorii, którymi bohater się zajmuje. C.P. Snow nie musi uzasadniać swego zainteresowania. Może mówić językiem pisarza o sprawach, o których między scjentyistami mówiliby językiem matematyki. Nie umiem powiedzieć czy „The Search” jest powieścią autobiograficzną, ale *si non e vero e bon trovato* a jej autor jest tym samym doskonałym przykładem klinicznym.

Judym — Arrowsmith — Miles

Przeczytałam znowu „Arrowsmith'a”. Coraz bardziej odpowiada mi satyra Sinclair Lewisa. Dawniej z góry patrzyłam na babbitterię amerykańskiej prowincji — a prowincją jest tu wszystko od Waszyngtonu do Los Angeles, z wyjątkiem (może?) z żydowska kosmopolitycznego Nowego Jorku. Z wyższością europejskiego intelektualisty (— jak uroczyscie i nadejście to brzmi i... jak przyjemnie! —) naśmiewałem się z naiwności, parweniuszostwa i nieobycia. Na stare lata zeskromniałem. Za powtórką każdej książki Lewisa widzę, że ostrze jego satyry nie trafia specyficznie w Amerykę (— choć pewnie w nią mierzył —), lecz tnie bezlitośnie przez nadętość i zakłamanie które są wspólną tradycją wszystkich ras i narodów. I my mieliśmy Babbittów, ubranych w kratkę i kamaszki, ale nazywali się na...ski. Nasz Elmer Gantry był rz.k. i także nie było mu do twarzy w koźy i sutannie. Sama Dodswortha nie pa miętam. Polska biedota i zacofanie gospodarce nie sprzyjały kapitanom przemysłu. Było ich tak niewiele, że mogłem nie spotkać. Ale mieliśmy Arrowsmithów. Ich idealizm był innego

chowu i inny był ich styl życia. To jest zrozumiałe. Dzielił nas ocean, o tyle szerszy wówczas niż dziś, dzieliła kontrastowość rzeczywistości polityczno-gospodarczej. Ale Judym był bliższy Arrowsmithowi niż Arrowsmith Arturowi Miles. Arrowsmith był wprawdzie społecznie nieuświadomiony i niezainteresowany tam, gdzie Judym był czuły i polityczny, jego sumienie było pragmatyczne i niesentymentalne tam, gdzie judymowe było egzaltowane i porywcze, ale obaj byli głęboko zainteresowani człowiekiem. Judym społecznie, Arrowsmith medycznie. Dwa podejścia zachodzące za siebie choć odrębne. Arrowsmith był lekarzem i bakteriologiem, a bakteriologia była już wówczas (książka Lewisa wyszła w 1925 r.) nauką opartą o obserwacje, powtarzalne doświadczenia i matematyczną ścisłość. Nie było w niej miejsca na sentymentalną wrażliwość, uczuciowe wybuchy, niekontrolowaną intuicję. „Boże, daj mi niepokój abym nie mógł zasnąć ani przyjąć pochwały, dopóki wyniki moich obserwacji nie zrównają się z wynikami moich obliczeń lub dopóki z nabożną radością nie znajdę i nie zaatakuję mego błędu. Boże, daj mi siłę nie ufać Bogu!”. To jest scjentyfika! Judym nie był scjentystą. Jego poglądy na higienę i bakteriologię były dziewiętnastowieczne mgliste. Jego doświadczenia i konkluzje naukowe były naiwne. Łączyło ich współczucie. Współczucie społeczne Judyma, współczucie z cierpieniem fizycznym Arrowsmitha. Ich pasją naukowa (naukowa, nie scjentyficzna!) szukała człowieka. Nawet Arrowsmith widział cel swej scjentyfiki tylko w pomocy człowiekowi.

— „Czytałam onegdaj Arrowsmitha — powiedziała. — I myślałam o was obu. To jest łatwiejsze do zrozumienia niż *wasza* scjentyfika. Praktyczna nauka, wiedza lekarska, ratowanie życia ludziom, ta scjentyfika Arrowsmithowa musi fascynować każdego. Gdy przeczytałam książkę chciałam pójść i sama tak pracować. Dlaczego ty nie poszedł na ten rodzaj scjentyfiki?

Myślałem przez chwilę.

— Przede wszystkim nie interesują mnie tak bardzo praktyczne korzyści ludzkości. Nie wydają mi się rzeczą najważniejszą. Po wtóre, gdyby mnie interesowały, nie zajmowałbym się scjentyfiką. Zabrałbym się do roboty naprawdę koniecznej. Jeśli ktoś chce dzisiaj nieść pomoc ludzkości, będzie bardziej pożyteczny w naukach politycznych lub ekonomii niż w scjentyfice. Nie ma sensu ratować przed gruźlicą jeśli mamy umrzeć z głodu, bo nasz system gospodarczy się załamał lub jeśli zabija nas na wojnie, ponieważ polityka znowu nawaliła”. (C.P. Snow: The Search).

Oto jedna różnica między scjentystą dzisiejszym a wczorajszym. Nie idealizuje nawet samego siebie. Nie egzaltuje się wzniosłościami których nie umie przyspilić naukowym faktem. „Nie interesują mnie praktyczne korzyści ludzkości”, powiedział Artur Miles. Nie wstydził się tego przyznania. Na dnie tego stwierdzenia leży rozpoznanie własnych ograniczeń. Taki

już jestem i nic na to nie poradzę. Gdybym umiał poradzić, zabrałbym się do polityki lub ekonomii. Judym i Arrowsmith zabrałi się do leczenia. Ratowali życia ludzkie i czuli się bohaterami. Ratowali życia ludzkie na mięso armatnie obu wojen. Judym i Arrowsmith mogli wprawdzie także powiedzieć: „Taki już jestem i nic na to nie poradzę!”, ale nie powiedzieli. Nie umieli przemóc semantyki nieszczerości. Judym nie wiedział, że geny i otoczenie zrobiły go czym był i kazały mu działać jak działał, a gdyby wiedział nie przyznałby się do tego, bo jego racjonalizacja szła drogą patosu. Arrowsmith modlił się: „Boże, daj mi siłę nie ufać Bogu!”. Egzaltacja stylistyczna tego zdania jest przestarzała. Dziś tak się już nie pisze. Miles by tak nawet nie myślał. Ludzie zmieniają się pod każdą szerokością geograficzną i w każdym czasie. Żyją inaczej, noszą się inaczej, *mówią* inaczej. Judym był bohaterem humanistycznym. Arrowsmith jest ludzki, ale myśli scjentyficznie. „Wyniki jego doświadczeń równają się wynikom jego obliczeń”. A Miles też nie jest abstrakcyjnie wyniosły choć myśli abstrakcyjnie, gdy myśli scjentyficznie. Pragmatyzm i idealizm są bardzo wyraźnie odwracalne. Podobnie jak humanizm i scjentyfika.

„Czy świat będzie lepszy gdy oni go przerobią?”

Scjentyści i humaniści żyją w dwu rozmaitych światach intelektualnych, ale granica tych światów jest płynna i przenikająca w każdej jednostce. To prawda, że scjentyści wykazują na ogół chłodne zobojętnienie, często ignorancję, wobec spraw humanistycznych, ale to samo można powiedzieć o większości ludzi, których ezoteryczne zainteresowania artystyczne wyrażają się bez reszty w „Les Miserables” i Matejce. Analfabetyzm scjentyficzny jest podobnie powszechny. Wprawdzie każdy domorosły mechanik i elektryk myśli scjentyficznie, (nawet jeśli jak pan Jourdain nie wie, że mówi prozą) — a majster-klepków jest dzięki rozwojowi technologicznemu naszego życia codziennego legion i znaleźć ich można nawet między humanistami, ale smykałka do mechaniki czy zainteresowania literackie są sprawami powierzchownymi. Poza scjentyfiką motoru spalinywego i poza Victorem Hugo „leży nieodkryty ocean prawdy” i ta prawda, a nie banały scjentyficzne, literackie czy artystyczne, stanowi wspólne podłoże obu kultur. Gdzie i jak się one łączą, jakimi drogami można przejść od jednej do drugiej, jest dziś równie nieznane jak wspólne podłoże sił fizycznych wszechświata. Mistycznie przejawia się ta łączność w muzyce. (Jest rzeczka zastanawiająca, że wybitni scjentyści są często bardzo muzycalni i poważnie interesują się muzyką). Widzieliśmy tę symbiozę obu kultur w genialnych jednostkach, jak Leonardo i Goethe. Dostrzegamy iskrę humanistyczną w wypowiedziach wybitnych twórców współczesnej scjentyfiki, jak Maria Curie,

Einstein, Schroedinger, Sherrington. Rzadsze jest jednak odwrócenie tych przykładów. I dlatego C.P. Snow tak mnie interesuje. Jako pisarz jest wprawdzie zbyt bliski i zbyt konserwatywny abym umiał ustalić jego wartość literacką, ale ciekawie wyraził dualizm humanistyczno-scjentyficzny w swym życiu i w swych książkach.

Tytuły jego obu scjentyficznych powieści są pozornie pomieszane. „The Search” (Badanie) jest powieścią o człowieku. „The New Men” (Nowi ludzie) jest powieścią o problemie, ale problem jest problemem scjentyfistów, a nie scjentyfiki. Tematem „The New Men” jest historia scjentyfistów budujących bombę atomową w Anglii podczas wojny hitlerowskiej. Temat identyczny z najnowszą powieścią Pearl Buck: „Command the Morning”, o scjentyfach amerykańskich. Gdyby streścić obie książki „własnymi słowami” w paru zdaniach, wyglądałoby niemal, że Pearl Buck spłagiatowała C.P. Snow’a, tak podobnie i równobieżnie oba wątki się snują. W rzeczy samej są to jednak bardzo różne powieści. Pomijam nieistotną dla naszych rozważań ocenę, że powieść C.P. Snow’a jest dobra, a powieść Pearl Buck jest kiepska. O to niechaj się martwią krytycy literaccy. Dla nas jest ciekawe, że „The New Men” było pisane przez scjentystę a „Command the Morning” przez humanistkę. Fakt tak widoczny, że porównanie naświetli problem scjentyisty jako człowieka.

C.P. Snow, fizyk, nie tłumaczy scjentyficznych zasad problemu bomby atomowej. Milcząco zakłada, że każdy inteligent wie o co chodzi. Natomiast Pearl Buck rozszczepienie atomu wciąż jeszcze przejmuje mistycznym drżeniem i każe jej misjonarsko rozgłaszać scjentyficzną ewangelię swej nowo odkrytej tajemnicy. Tajemnica nie jest tajemnicą, a wytłumaczenie, choć poprawne, jest zbyt uproszczone, aby było czymś więcej niż banałem. Przypomina mi to ową starszą panią którą poznałem podczas wojny w Londynie, a która знаła z dawnych lat rodzinę doktora Stonimskiego w Warszawie. Pewnego dnia znalazła w jakimś piśmie emigracyjnym wiersz Antoniego Stonimskiego i zdumiona zapytała mnie: „To pewno syn doktora Stonimskiego?! Ładny wierszyk! Ciekawa jestem kto go Antoniowi napisał?” Pearl Buck sama pisała „Command the Morning”, ale jej scjentyficzne podłoże jest wyraźnie z drugiej ręki. C.P. Snow oszczędnie i powściągliwie daje swym bohaterom ludzkie namiętności. Scjentyści Pearl Buck są nienaturalnie przejęci swą scjentyfiką i zbyt pedantycznie deklamują nie tylko swe uczucia, ale także swe scjentyficzne teorie i credo. Takie uproszczenie trafia kulą w plot. Scjentyści nigdy nie są tylko scjentyfistami a humaniści tylko humanistami.

Scjentyfika, po mozolnej spinaczce, dosięgła szczytu, na którym humanistyka od dawna przebywała, ale dosięgła go zbrojna w tak przemysłne instrumenty, że widok jaki się przed nią roztacza jest szerszy od widoku dostępnego humanistyce. Tradycyjna filozofia i literatura badały człowieka sł-

wami, ale nic nie wiedziały o istocie i zawitościach mowy. Człowiek którego malowały był stworem dwuwymiarowym rzuconym na płaską, nieruchomą kanwę. Taki obraz mógł być artystycznie piękny, ale nie był realny. Był płaski i nieruchomy i był zrozumiały tylko dlatego, że nasze zmysły nauczyły się przyjmować płaskość i nieruchomość i że nasz umysł umiał przełożyć ten niezręczny obraz na osobiste zrozumienie. Dopiero współczesne zainteresowania lingwistyczne filozofii oraz przemyślność scjentyfiki uzmysłowiły ludzkości, że obserwacji nie można tłumaczyć bez poprawki zależnej od wszystkich pomocniczych instrumentów. Obraz człowieka jaki nam rysuje scjentyfika i współczesna filozofia jest więc pełniejszy i bardziej realny, ale także świadomy swych niedociągnięć. Płaszczyna kanwy nie stwarza już iluzji rzeczywistości. Rozumiemy symbolikę perspektywy, symbolikę kształtów i kolorów i wiemy, że realistyczny obraz, tak jak realistyczny opis, jest równie sztuczny jak wszystkie kubizmy, futuryzmy i abstrakcje.

Pearl Buck zadała sobie rzetelny trud przestudiowania problemów scjentyficznych związanych z tematem, ale jej podstawowy brak wykształcenia, jak entuzjazm neofity, był zbyt poważnym handicapem. Idealizm scjentystów jest dla niej czystej próby. Łamią się w sobie i „walczą z szatanem” i zbyt pedantycznie deklamują swe uczucia. C.P. Snow patrzy trzeźwiej. Rozumie scjentystów, tam gdzie Pearl Buck się ich tylko domyśla. Wie, że wbrew rozpowszechnionemu (zwłaszcza w Polsce!) mniemaniu nie są altruistami, a ich pasja naukowa nie jest posłannictwem religijnym. Nie marzą o dobrze ludzkości o niewzruszalnym przywiązaniu do prawdy, o wierności ideałom i tym podobnych wzniosłościach, tak jak nie marzą o tym inne ludzkie ugrupowania. Idealizm istnieje na jakimś planie ich myśli, ale nie jest cechą przyrodzoną, nie jest wynikiem rasizmu scjentyficznego, lecz warunków w których żyją i pracują. Atmosfera scjentyfiki sprzyja dzisiaj pozorom idealizmu tak jak atmosfera zesłania na Sybir stwarzała niemal świętych z ludzi, którzy ani przedtem ani potem nie wykazywali świętobliwości.

— „Dziwni są ci chłopcy, rozważał. — Dawniej myślałem, że scjentyista jest nadczłowiekiem, ale oni nie są nadludźmi. Niektórzy są błyskotliwi, przyznają, ale mówiąc między nami, są jak mechanicy garażowi. I to są ludzie, którzy nas wszystkich wysadzą w powietrze”. — „Nasi ludzie (politycy) nie mają wielkiego znaczenia dla świata. Ci chłopcy mają! Czy sądzisz, że świat będzie lepszy gdy oni go przerobią?” („The New Men”).

Człowiek myśli symbolami słów, więc słowa rozmaitych języków odmiennie kształtują myśli ludzi rozmaitych narodowości. Podobnie symbole matematyki, która jest językiem scjentyfiki, kształtują myśli scjentystów, „nowych cudzoziemców”, którzy się nagle i niemal niespostrzeżenie pośród nas zdomowili. Zaprzątnięci problemami scjentyfiki, nastawieni

na język wykresów, formuł i matematyki, scjentyści, nawet poza kręgiem swego zawodu myślą inaczej, a zatem zachowują się inaczej, mówią inaczej i noszą się inaczej niż otaczające ich społeczeństwo. Scjentyista stwarza nowe problemy. Stwarza je dla społeczeństwa, wśród którego żyje i stwarza je dla siebie. Ponieważ jest „cudzoziemcem”, „obcym diabłem”, „anonimowym mocarstwem”, podchodzi do tych problemów inaczej i wyraża je inaczej niż nie-scjentyści. Społeczeństwo, które na ogół nie rozumie scjentyfiki, nie rozumie także scjentystów. Boi się ich, odrzuca i ośmiesza. To jest rzecz znana i nie nowa. Scjentyści są „ludźmi bezdomnymi”, „wrogami ludu”, Ahaswerami.

Z problemami Stockmannów, Arrowsmithów i Judymów oswoił nas czas i literatura. Są one, mimo wszystko, bardziej humanistyczne niż scjentyficzne, można je zatem łatwiej wyśłowić. Wybuchowy rozrost scjentyfiki stawia nas jednak współcześnie twarzą w twarz ze sprawami o tyle bardziej niezwykłymi, że nie tylko trudno je zrozumieć, ale trudno je nazwać. Nie ma na nie często jeszcze słów. Typowym przykładem jest bomba atomowa (wodorowa? jądrowa? nuklearna?). Do wszystkich spraw bomby, — próbnych wybuchów, opadów radioaktywnych, strategii atomowej, polityki, nawet do problemów etycznych i moralnych — scjentyści, gdy myślą i mówią jako scjentyści, podchodzą inaczej niż reszta ludzi. Gdy Pearl Buck egzaltowanie wini scjentystów za Hiroszimę i Nagasaki, C.P. Snow rzeczowo wyjaśnia, że „choć scjentyfika zabiła pewną ilość ludzi, utrzymała przy życiu znacznie więcej”. Problem: użyć bomby czy nie użyć, — zgęszcza w suche: „Nie-scjentyści nie rozumieją jak krótkotrwała jest przewaga techniczna. W ciągu 5 lat każde poważne mocarstwo będzie umiało produkować bomby. Jeśli my rzucimy ją pierwi...”. Tym niedokończonym zdaniem wyraża więcej niż rozwekłe deklamacje Pearl Buck. (Nie jest to, stwierdzmy od razu, mądrością po wydarzeniu. W książce wydanej w 1954, należy doczytać także d.c.n. Dalszy ciąg przewagi sputnikowej ZSSR).

Problem zdrady scjentystów, który w „Command the Morning” wychodzi raczej operetkowo, traktuje C.P. Snow obszernie i po męsku. I słusznie! Nie wypada scjentyście zakrywać figowym listkiem nagości niewygodnych faktów. W scjentyfice prawda nie jest przykazaniem etycznym. Scjentyista nie jest prawdomówny dlatego, że jest cnotliwy, ale dlatego, że metoda scjentyficzna opiera się o prawdę, że prawda jest głównym narzędziem scjentyfiki i że bez prawdy (i prawdomówności) nie byłoby scjentyficznego postępu. Scjentyista nie może więc pominąć nieprzyjemnych prawd. Gdy to czyni, nie jest scjentyistą tak jak Sheriff nie jest scjentyistą gdy szachruje i jak Łysienko nie jest scjentyistą gdy... politykuje. Zdrada atomowa, poza zwyczajną zawziętością ludzkich spraw, ma także scjentyficzne racje, których nie można zbyć zdawkową denuncjacją. Jeśli by np. moralne oburzenie scjentystów pracujących

nad bombą atomową w „The New Men” kazało im — jak mieli zamiar — ogłosić publicznie protest przeciw zamiarom użycia bomby przez Stany Zjednoczone, w czasie gdy istnienie tej bomby było jeszcze tajemnicą, taki protest byłby niewątpliwie zdradą. Ale ta zdrada, choć ustawowo karalna, nie byłaby hańbiącą. Z drugiej strony tylko mały krok dzieliłby ich postawę ideologiczną od postawy Sawbridge'a, zdrajcy o komunistycznych przekonaniach.

Mógłbym mnożyć przykłady i potęgować kontrast. Kontrast między C.P. Snow'em a Pearl Buck. Kontrast który wygląda jak spór scjentyfiki z humanistyką, w którym scjentyfika wydaje się bielsza a humanistyka czarniejsza. Nie porównywałem jednak ludzi. Porównywałem książki. Moja analiza była — mimo wszystko — literacka. Wierzę, że literatura wciąż jeszcze — i może na zawsze — lepiej wyraża dla człowieka zawilość ludzkich spraw. Jeślibym miał przemawiać do Marsjan, mówiłbym matematyką. Mówiłbym bardziej precyzyjnie, ale wyrażałbym sprawy proste. Tak proste jak dwa a dwa, jak obwód koła, jak prawo przystawiania trójkątów. Dla ludzi, słowa literatury z ich giętką nieścisłością, wieloznacznościami, niedopowiedzeniami, są lepiej zrozumiałe a zatem bardziej prawdziwe. I dlatego wyciągnąłem z zeszlórocznych półek powieści, które podejmują problem odpowiedzialności scjentyfiki. Problem tak stary jak Galileusz i tak nowy jak Stront go.

O odpowiedzialności scjentyistów

Roztargnienie było symbolem uczonego 50 lat temu, nieomylność jest symbolem uczonego dzisiaj. Oba symbole są z gruntu fałszywe, bo nie można uprościć człowieka do jednego symbolu. Żydzi nie są parszywi — o tym łatwo się przekonać badając przeciętną parszywość ich uwłosienia; Niemcy nie są gospodarni, bo znam takich śmieciuchów niemieckich, że „Polnische Wirtschaft” jest cudem organizacji wobec ich bafaganiarstwa; Anglicy nie są flegmatyczni, bo każdy z nas zna równie wielu Anglików choleryków; a Polacy nie są bohaterscy, mimo że jak Walter Mitty lubią widzieć siebie co najmniej na szafkach Reduty Orzona. Zupełnie podobnie uczeni nie są roztargnieni. Znam cwaniaka nad cwaniaki, który zrobił karierę finansową i polityczną na... filologii. (Filologia jest filologią dla niepoznaki, więc proszę nie doszukiwać się kłucza!) Uczeni nie są także nieomylni! To wymaga jednak paru wyjaśnień. Przede wszystkim, jacy uczeni? Nie uczeni filologowie, historycy, ekonomiści, filozofowie. Innymi słowy nie humaniści. Nikt nie posądzał ich nigdy o wszechwiedzę — z wyjątkiem Niemców dla których Herr Professor był tylko o mały krok za Panem Bogiem. Nieomylność przypisuje się dzisiaj matematykom, fizykom, chemikom, astronomom. Nauki

ściście sugerują nieomylność. Precyzja matematyki, prestiż jaki fizycy zdobyli dzięki bombie a chemicy dzięki... plastikom (*of all the things!*) i nagły entuzjazm sputnikowy, który postawił astronomów na piedestale, stworzyły obraz uczonego-nadczołowieka, który zna sprawy nieznanne zwykłym śmiertelnikom i który ma zatem odpowiedź i odpowiedzialność na i za wszystkie problemy świata.

Ale prawda scjentyfiki nie jest wiekuiącą prawdą mesjaszów i Hitlerów. Jest bardziej skromna w zamierzeniach, bardziej zawila i bardziej... przyziemna. Jest prawdą zaobserwowanych faktów i zaufaniem, że zostały opisane wiernie i niedwuznacznie. Jest prawdą teorii i praw przyrody, które wynikają z interpretacji tych faktów. Jeśli zmienimy interpretację lub opis faktów, — zmienimy prawdę. Prawdy praw przyrody zależą także od ich sprawdzalności. Prawda scjentyficzna musi być zatem sprawdzalna tymi samymi sposobami jakimi scjentyfika do nich doszła. Możliwość błędu i pomyłki, widzimy się, uprzedzenia, nawet oszustwa jest więc sprowadzona do minimum. Prawda scjentyfiki jest gwarantowana na obie strony — indukcją i dedukcją. Scjentyista jest pewny swej prawdy. Może ją sprawdzać i może ją przewidywać, może nią budować konkretnie i inżyniersko, może ją stosować do spraw codziennych i rozumiałych, może nią tworzyć i może nią burzyć, może nią wyprodukować kredkę do warg i bombę atomową, może nią tłumaczyć aromat hiszpańskiego sherry i orbitę Łunnika. Kusi to do uogólnień równie szybkich jak fałszywych. Nieomylność scjentyisty jest jednym, sofizmat odpowiedzialności innym. Scjentyści są odpowiedzialni za Hiroszimę i Nagasaki, za gazy trujące pierwszej wojny światowej i komory gazowe drugiej, za opady radioaktywne, za zanik wiary i puste kościoły, za automatyzację i bezrobocie, za materializm dialektyczny i za rzeźnię Chicago, za to że zrobili i za to że nie zrobili — to, owo, tamto. Są odpowiedzialni, piętnowani, nawet samobiczowani.

Nieporozumienie jest znowu tylko semantyczne. Zafascynowani słowem „odpowiedzialność” budujemy kunsztowny argument obrony lub potępienia zależnie od osobistego widzimisie. Ale co znaczy słowo „odpowiedzialność”? Czy wszyscy scjentyści są odpowiedzialni, czy tylko niektórzy? Jeśli wszyscy, czym różni się ich odpowiedzialność od odpowiedzialności Żydów i cyklistów za kłęski drugiej rzeszy. Jeśli tylko niektórzy, jak można znaleźć winnych? I kto będzie ich szukał? Politycy? Wojskowi? Czy może Fidel Castro? I co z nimi zrobić? *Pod stienku!*

Nauka — każda nauka a więc także scjentyfika — jest kolektywnym tworem. Składają się na nią rozmaici ludzie, rozmaitych czasów i rozmaitych narodów. Każde pojedyncze odkrycie wpływa ze wszystkich, które je poprzedziły i wyprzedza wszystkie, które nastąpią. Ta kolektywność scjentyfiki ma współcześnie bardzo znamienity wariant. Zawilość i kosz-

towność badań i doświadczeń sprawiły, że nie ma już geniuszów w wieżach z kości słoniowej. Twórcza myśl i praca scjentyficzna są przeważnie wynikiem prac zespołowych. Pojedynczy scjentyista nie ma wyboru. Nie może nawet odmówić pracy nad destruktywnym projektem bo każda praca scjentyficzna ma tak wiele rozgałęzień, że nie zawsze wiadomo, które z nich grozi, a które służy ludzkości. Za sto lat gdy źródła energii węglowodorowej się wyczerpią, odkrycia nuklearne 20 wieku będą uważane za błogosławieństwo bez względu na zniszczenie jakie broń atomowa może wywołać, a odkrycie taniego i prostego środka kontraccepcji już dzisiaj tylko kościół katolicki uważa za rzecz grzeszną. Kryteria dobra i zła zmieniają się równie szybko jak warunki życiowe.

Scjentyści nie są tylko tworem rodzicielskich genów, ale także otoczenia, które wydaje takich scjentyistów na jakich zasługuje. Scjentyista jest w równej mierze wytworem nacisków społecznych, klimatu intelektualnego i moralnego, warunków gospodarczych jak własnych, szczególnych uzdolnień. Odpowiedzialność jest więc znowu podzielona.

Wynalazki praktyczne, wbrew ogólnemu mniemaniu, nie są dokonaniem naukowym, lecz przeważnie są robione przez inżynierów, techników, menadżerów, robotników, którzy stosują teorie i odkrycia naukowe scjentyfiki do spraw równie twórczych, ale leżących na innej płaszczyźnie. Współczesna zawilość energii atomowej, elektroniki, cybernetyki — nauk zbyt nowych, aby wytworzyły już kadry wyszkolonych techników — zmusza wprawdzie scjentyistów-naukowców do zakasania rękawów przy budowie siłowni, raket międzyplanetarnych, komputerów elektronicznych, etc. ale są oni wówczas technikami, inżynierami, menadżerami a nie scjentyistami. Stwarza to swoistą schizofrenię. „Inżynierowie... ludzie, którzy robią towary, którzy używają istniejącą wiedzę aby coś wytworzyć byli, w dziewięciu wypadkach na dziesięć, konserwatywni w polityce. Akceptowali każdy reżym, w którym się znaleźli i wykonywali swą pracę obojętni na długofalowe problemy społeczne. Natomiast fizycy, którzy spędzili życie szukając nowych prawd, czuli się nieswojo przy pracy gdy obserwowali otaczające ich społeczeństwo. Buntowali się, krytykowali, protestowali. Byli ciekawi przyszłości i nie umieli się oprzeć pokusie wpływania na przyszłość. Inżynierowie pilnowali swej pracy i nie sprawiali kłopotu w Ameryce, w Rosji, w Niemczech. Nie z nich, lecz ze scjentyistów rodzili się heretycy, pionierzy, męczennicy, zdrajcy”. („The New Men”).

A praktycznie rzecz biorąc, czy nie jest polityczną naiwnością obarczanie scjentyistów winą za użytek jaki ludzkość robi ze scjentyfiki. W obecnym układzie sił scjentyści się w ogóle nie liczą a ich wpływy polityczne są — nawet w Rosji — znikome.

Ani rzeczowo ani filozoficznie teza odpowiedzialności scjentyistów się nie ostoi. Niemniej jest ona ważna. W płyn-

nej zmienności ludzkich spraw ktoś powinien czuć i ktoś powinien dzwonić na alarm. Tradycyjnie było to rolą religii i kościołów, ale religie i kościoły są z natury rzeczy humanistyczne i nie umiały dotrzymać kroku rewolucji naszych czasów. Nie dziw, że ich miejsce zajmują ideologie bardziej scjentyficznie nastawione, jak komunizm, lub bardziej oportunistyczne, jak nacjonalizm. Coraz częściej i coraz nahańniej narzucają nam one nie tylko styl życia, ale prawdy wiekuiście, przykazania moralne, zasady estetyczne, nawet zasady scjentyficzne. (Genetyka była pod ostrzałem zarówno Hitlera jak Stalina). Tu odpowiedzialność scjentyisty ma pewien sens. Trenowani w precyzji i prawdomówności, świadomi przemian — nowych, nowszych, najnowszych — dwujęzyczni, władający językiem humanizmu, który im dała tradycja i językiem scjentyfiki, który nabyli z wykształceniem, ci „nowi cudzoziemcy”, jak ojcowie pielgrzymi mogą stać się fermentem naprawdę konstruktywnych przemian. Taka misja scjentyistów i takie podjęcie odpowiedzialności nie są ani naiwne, ani niepraktyczne, ani „nie z tego świata”. Scjentyści górują konkretnością nad kapitanami przemysłu, zrozumieniem człowieka i jego pobudek (dzięki cybernetyce i współczesnej psychologii) nad politykami a ścisłością semantyczną nad klerem wszystkich religii. Nie zawsze mogą działać, ale zawsze powinni mówić.

Nie twierdzą, że scjentyści mogą znaleźć panaceum na wszystkie troski świata. Nie wiem czy mają odpowiedź nawet na tylko niektóre. Ale wiem, że wiedzą o sprawach o których nie-scjentyści nie wiedzą i że rozumiają problemy których humaniści nie rozumiają. Wiem, także, że te sprawy i te problemy łączą w sobie praktyczność i idealizm w sposób nieznan historyi.

Platoński ideał filozofów-królów jest może niepraktyczny i niewykonalny. Scjentyści nie mogą być odpowiedzialni za politykę. Te same cnoty, które kwalifikują ich do scjentyfiki, dyskwalifikują ich jeśli idzie o kierowanie społeczeństwem ludzkim. Ale mogą i powinni zabierać głos, a politycy mogą i powinni słuchać uważnie co scjentyści mają do powiedzenia.

O nową ideologię

Fizjologiczny mechanizm twórczości jest chyba identyczny u humanistów i scjentyistów. Ale twórczość nie wyrasta jedynie z fizjologii naszego ciała. Chemia i fizyka twórczości nie działają w odosobnieniu jednego mózgu, lecz zależą od powiązań i skrzyżowań z mózgami innych ludzi. Otoczenie ma równie istotny wpływ na twórczość jak geny. Wielkie odkrycia scjentyficzne, podobnie jak wielka twórczość humanistyczna, są więc zależne od wpływów jakie otoczenie wywiera na twórczo uzdolnione jednostki. Nie jest przypadkiem, że niektóre okresy

historii i niektóre kraje obfitowały w genialnych twórców. Renesans włoski, muzyka w Niemczech 18-go wieku, elizabietański okres literatury angielskiej, nawet (— na dużo skromniejszą miarę —) okres trzech wieszczów w Polsce, są tego przykładem. Podobnie rewolucja scjentyficzna naszych czasów. Coś stwarza to nagromadzenie geniuszu. Jakiś klimat społeczny lub kulturalny, jakaś konieczność gospodarcza, jakieś wpływy współcześnie niewidoczne, ale które kiedyś historia odkryje.

Do zawiłości fizyczno-chemicznej dochodzi więc zawiłość społeczna. Nieuchwytna zawiłość człowieka do nieskończonej potęgi nieuchwytniej zawiłości społecznej. Matematyka buntuje się przeciw takiemu potęgowaniu. Geniusz twórczy człowieka nie nadaje się do komputacji elektronicznej. Ale nadaje się do opisanego symboliką sztuki. Dla humanisty takie przyznanie wydawałoby się upokarzające. Humanisci handlują absolutami. Wiekuistą prawdą i arogancką pewnością siebie. Prawda scjentyficzna jest innego stopu. Nie boi się błędu i wątplenia, lecz nimi kwitnie. Każde wątplenie jest nasieniem nowej pewności a każda pewność niesie w sobie zarodek nowych wątpliwości. Jeśli humanistyka pisarzy i artystów potrafi dać dziś prawdę o scjentyfice i scjentyście, bra-wo! „Orla tych lotów potęga, jako piorun twoje ramie!”.

Impakt współczesnych osiągnięć scjentyficznych niewątpliwie upowszechni scjentyfikę. Coraz więcej ludzi potrafi, jak C.P. Snow, przemawiać głosem obu kultur, a wyniki tego związku zadziwią świat. Pisarze, zawsze czuli na najłżejsze odchylenia barometru kultury, na pewno jakoś zareagują na huragan scjentyfiki. Zgubionym w lesie codziennych frazesów, komunizm i kapitalizm wydają się gęstwiną bez granic i nie do przebycia. Ale komunizm i kapitalizm są już przeżytkiem. Pędzą nas siłą bezwładności. Przeszłość znała inne teorie i ideologie a ekonomia i polityka nie są jedynym ich źródłem. Gdzieś za rogiem jutra czeka nie tylko nowa ideologia polityczna czy gospodarcza, ale nowa ideologia, *tout court*.

Religie motywowały ludzkość stokroć potężniej niż sity gospodarcze. Siła nacjonalizmów, równie przemożna jak głupia, wydaje się dzisiaj wielu ludziom nieoparta. Gdzie leży ideologia jutra, nie wiem. W podróży międzygwiazdowych? W introspekcji psychologicznej? W ewolucjonizmie, jak to niedawno sugerował Julian Huxley? Osobiście pragnę wierzyć, że w scjentyfice. W obiektywnym dążeniu do poznania. Być może, że moja wiara jest zbyt staroświecka — to wiek 19-ty, a nie współczesność, wierzyli w nieuchronność postępu. Postęp nie jest nieuchronny, ale droga do postępu wiedzie przez scjentyfikę. I... przez scjentyistów.

Henryk SCHOENFELD

Miłosz contra Kraszewski

(UWAGI O UPODOBANIACH KSIĄŻKOWYCH
CZYTELNIKÓW BIBLIOTEKI POLSKIEJ W LONDYNIE)

I

Czytelnicy londyńscy tworzą, zwłaszcza w teorii, kastę zdecydowanie uprzywilejowaną. Mogą, jeśli taka ich wola, zanurzać się w studiowaniu wydawnictw krajowych, które docierają do nich swobodnie i szybko. Jeśli raczą, mogą także śledzić emigracyjną produkcję wydawniczą, a poza tym stoją przed nimi otworem zasobne biblioteki publiczne Anglii i szerokie możliwości taniego kupna książek broszurowanych, z „Penguinami” na czele. Dla chcącego korzystać z tych ułatwień jest to wielka szansa urabiania poglądu o całokształcie polskiej produkcji literackiej, bez podziałów na krajową i emigracyjną — a na szerokim tle porównawczym, bo — poza piśmiennictwem anglosaskim — łatwo dostępne są w Londynie wydawnictwa francuskie, niemieckie, włoskie itd. W jakim stopniu korzysta społeczność polska z tych ułatwień i czy korzysta? Co czyta? Jakim przemianom ulegają upodobania czytelnice? Oto pytania, na które odpowiedzieć chcemy na podstawie doświadczeń zdobytych w ciągu siedmiolecia dzielącego od daty opublikowania w „Kulturze” (Nr 9/71 z r. 1953) artykułu M. Danilewiczowej pt. „Czytelnik polski w W. Brytanii”.

Siedmiolecie owo było okresem raczej pomyślnym, choćby inaczej myśleli o nim wydawcy emigracyjni. Wbrew przewidywaniom pesymistów ilość wypożyczeń w Bibliotece Polskiej w Londynie utrzymała się na poziomie 55.000-60.000 rocznie, wykazując przy tym ogromną wyżkę czytelnictwa książek w języku polskim, które stanowi obecnie około 85 % ogółu wypożyczeń i dotyczy niezwykle szerokiej rozpiętości nazwisk autorów książek, tytułów i tematów. Fakt, że z obu wypożyczalni Biblioteki Polskiej w Londynie (londyńskiej i wysyłkowej) korzysta ok. 3.500 osób reprezentujących trzy generacje

i najprzeróżniejsze zawody i stopnie wykształcenia, nasunął pomysł szczegółowego zbadania ich upodobań i opublikowania wyników na łamach „Kultury”.

Jest to okres ciekawy z tego przede wszystkim względu, że nareszcie, po złych i chudych latach okresu „najgorszego”, książki napływające z Kraju stały się ważną pomocą w planowym kompletowaniu księgozbiorów, umożliwiając wyjście z kredowego koła nielicznych „klasyków” i zaczytanych wydawnictw emigracyjnych. „Odwilż” umożliwiła intensywną, trwającą do dziś, rozbudowę księgozbioru i ułatwiła zaspakajanie typowych potrzeb czytelniczych. Emigracja zaczęła interesować się żywiej „poodwilżową” literaturą krajową, a pośrednio i własną emigracyjną, gdyż przywróceniu książki rodacy czytają coraz chętniej i więcej, choć — oczywiście — mogliby i powinni czytać jeszcze więcej, gromadząc przy tym po domach księgozbiory na własny i rodziny użytek!

Aczkolwiek ilość czytelników utrzymuje się na zbliżonym poziomie, w okolicy 3500 osób, w ciągu minionego siedmiolecia zmienił się zasadniczo skład ich z punktu widzenia grup wieku i zainteresowań czytelniczych. Biblioteka, która służyła poprzednio przede wszystkim wykładowcom i studentom Polish University College, stała się w roku 1953 placówką obsługującą ogół Polaków w Wielkiej Brytanii (a pośrednio i poza jej granicami (1)).

Dawni czytelnicy, ex-studenci, rozjechali się po szerokim świecie, pozostawiając w Anglii tylko „hard core”, w tym gromadkę, która korzysta z Biblioteki od lat dziesięciu czy piętnastu. Przybyli natomiast i przybývają stale ściągający do Londynu dawni mieszkańcy obozów i hosteli, którzy idąc po linii najmniejszego oporu, osiedlali się początkowo w małych, lepiej im znanych miasteczkach, — członkowie rodzin sprowadzani z Kraju lub Kontynentu, — dorastająca młodzież z pokolenia urodzonego w „beczkach śmiechu”, — wreszcie czytelnicy okresowi, goście przybývający z Kraju w odwiedziny do krewnych lub przyjaciół. Notatki z rozmów przeprowadzonych z czytelnikami w okresie gromadzenia materiałów do publikowanego obecnie artykułu, wykażą jasno, jak bardzo różnią się „drogi życia”, wiodące do emigracyjnego Londynu.

II

Artykuł opiera się na materiałach dotyczących działalności Biblioteki w ciągu lutego 1960, gdy ogólna liczba wy-

(1) Prace jej uzupełniają liczne biblioteki organizacji społecznych i religijnych oraz działy polskie w angielskich bibliotekach publicznych. Większość z tych instytucji korzysta z pomocy Centrali Bibliotek Rucho-myh (Kierownik Michał Stopa) współpracującej blisko z Biblioteką Polską i podległej temu samemu Komitetowi Bibliotecznemu przy Polish Research Centre.

pożyczeń wyniosła 4547, co jest cyfrą b. bliską przeciętnej z roku poprzedniego (4477). Jeśli nie liczyć jednodniowego strajku koleżki podziemnej, który odbił się w statystyce wyjątkowo niską ilością wypożyczeń (92) i dwu dni bardzo złej pogody, był to miesiąc normalnej i spokojnej pracy, z największym nasileniem ruchu w soboty, gdy większość czytelników nie udaje się do pracy a mieszkańcy dalekich przedmieść zjeżdżają do centrum Londynu między innymi po to, by zmienić książki w Bibliotece. W owe soboty publiczność młodzieje w oczach: uderza przeważa mężczyźni młodszych roczników, często w towarzystwie małych, kilkoletnich dzieci, które zachowują się na ogół zastanawiająco spokojnie. Zjawiskiem powszednim są czytelnicy — „delegaci”, reprezentujący nie tylko siebie, ale i resztę rodziny lub zaprzyjaźnionych sąsiadów. Zjawiają się z ładunkiem 6-9 książek i dobierają lekturę dla kilku osób pozostałych w domu, a więc np. rodziców, żony uwięzionej w kuchni lub przy małych dzieciach, chorej sąsiadki itp. Innym, częstym powodem, jest chęć zaoszczędzenia na kosztach przejazdów kolejką czy autobusem.

Biblioteka dostępna jest dla czytelników w ciągu 47 godzin tygodniowo (w tym: 3 razy do 8-ej wieczorem, w soboty do 5-ej, bez przerw obiadowych, które są godzinami dosyć ruchliwymi).

Czasopisma i pierwsze egzemplarze książek naukowych oraz wszystkich wydawnictw emigracyjnych przeglądać można tylko na miejscu w czytelni naukowej. W lutym 1960 przewinęło się przez nią 240 osób, które złożyły podpisy w księdze obecności.

Najruchliwszym działem Biblioteki jest wypożyczalnia, mieszcząca się w obszernej sali z widokiem na typowy dla Kensingtonu duży wewnętrzny ogród, — (na który wychodzą także okna Insytutu Gen. Sikorskiego mieszczącego się przy równoległej ulicy). Czytelnicy korzystają z tzw. „wolnego dostępu do półek”, to znaczy sami wybierają sobie książki, które dla ułatwienia poszukiwań ustawione są działowo, według obowiązującego w świecie anglosaskim systemu dziesiętnego Dewey'a. Jeśli korzystają równocześnie z bibliotek publicznych angielskich, jest to dla nich poważne ułatwienie. Skwapliwie przeglądane są nierozłożone jeszcze na półki książki najnowsze, np. świeżo przekazane przez introligatornię oraz „zwroty” wśród których poważny procent stanowią zazwyczaj „nowości”, zawsze pilnie poszukiwane. Czytelnicy mają ponadto dostęp za pośrednictwem katalogów do księgozbioru „rezerwowego”, mieszczącego się z braku miejsca w tzw. „podziemiu”, tj. obszernych suterynach gdzie książki ustawione są także działowo.

Trzecim działem Biblioteki jest wypożyczalnia wysyłkowa, rozbita na dwa działy: a) obsługi polskich czytelników prowincjonalnych i b) bibliotek i instytucji angielskich korzystających z Biblioteki Polskiej w Londynie w ramach tzw. *interli-*

brary loans, najczęściej za pośrednictwem National Central Library lub Association of Special Libraries and Information Bureaux.

III

Polski księgozbiór Biblioteki powiększa się o 1500-1900 „tytułów” rocznie. Ponieważ książki poczytne nabywane są w kilku egzemplarzach oznacza to roczny dopływ około 3.000 tomów. Znaczny procent nowych nabytków stanowią dary (50% wpływów w roku ubiegłym).

Publiczność korzystająca z Biblioteki ma więc w chwili obecnej możliwość wyboru z około 10.000 „tytułów” książek żywych, wydanych w ciągu ostatnich kilku lat. Są one oprawione jednolicie w granatowe płótno (tzw. *rexine*) z nazwiskiem autora, tytułem i znakiem klasyfikacji dziesiętnej na grzbiecie. Wklejki z nazwą Biblioteki i miejscem na stemple z datą zwrotu książki oraz pieczętki na odwrocie karty tytułowej i na wielu dalszych stronach — są dalszymi „bezpiecznikami” przed ponętą przywłaszczenia książki, jeśli wystąpi ona w nielicznej, „szczętkowej” grupy czytelników. Aczkolwiek aktualna jest nadal w pełni potrzeba pisania upomnień do czytelników opieczętowanych, niezmiernie rzadko zdarzają się wypadki złośliwego zatrzymania książki, co wynika niewątpliwie z klimatu kraju osiedlenia. Biblioteka Polska w Londynie wytrzymuje pod tym względem porównanie z przeciętnymi bibliotekami publicznymi angielskimi. Cierpi natomiast z innego, specyficznie polskiego kłopotu: książki krajowe są dotąd, mimo niewątpliwej poprawy w ciągu ostatniego dwulecia, drukowane na papierze w złym gatunku, łatwo przecierającym się na składkach — stąd krótki ich żywot i małe możliwości ratunku, gdy karty zaczną się „sypać”. Jest co prawda w „podziemiu” Biblioteki salka zwana „Strażnicą”, w której lepi się i lata wartościowsze okazy — jest to jednak praca Danaid.

Książki zakupywane są na podstawie zgłoszeń czytelników i list zestawianych przez kierowniczkę Biblioteki w oparciu o „Zapowiedzi Wydawnicze”, „Przewodnik Bibliograficzny” i recenzje w czasopismach („Nowe Książki”, „Twórczość”, tygodniki literackie, czasopisma naukowe z różnych dziedzin wiedzy). Wydawnictwa emigracyjne i ważniejsze polonica obce wyławiane są pracowicie z ogłoszeń i wzmianek prasowych; sygnalizują je kioski i księgarnie; sporo napływa z darów; wykazy książek proponowanych do zakupu a probuje specjalna komisja doradcza. Pełny wykaz nabytków przynosi co kwartał powielane czasopismo pt. „Books in Polish”, służące równocześnie jako bieżąca bibliografia druków emigracyjnych, które stanowią jej część. Biblioteka wydaje je od r. 1950.

Przykładowo wymienię ważniejsze i typowe nabytki z ostatniego kwartału 1959, gdyż jako „nowości” znalazły się one

w lutym (po powrocie od introligatora) w wypożyczalni Biblioteki, a tym samym weszły do tablic ilustrujących lutowe wypożyczenia z zakresu literatury pięknej.

Emigracyjnymi „nowościami” działu powieści były: „Start” Jana Brzękowskiego, „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego” Michała Pawlikowskiego, „The Seven Long Voyages” Leopolda Tyrmanda (— książka niewydana dotąd w Kraju! —). Ważniejszymi nabytkami krajowymi, poza „klasycami” (Dygasiński, Gruszecki, Kraszewski, Orzeszkowa, Prus, Rydel, Sienkiewicz, Strug), a zarazem „nowościami” w pełnym znaczeniu tego terminu były powieści nagrodzone na konkursie Wydawnictwa Łódzkiego (Kaczyńska, Minkowski, Odojewski, Mach, Karczeńska itd.); krakowskie Wydawnictwo Literackie reprezentował Olgiard Terlecki („Opowieść Włoszki”), Krystyna Kleczkowska („Jutro nie będę tajemnicą”), Stefan Otwinowski („Życie trwa cztery dni”), Stanisław Stanuch („Portret z pamięci”). Wydawnictwa PIW’u, „Pax’u” (niemal w komplecie), ważniejsze pozycje „Czytelnika” i „Iskier”, Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, a nawet wydawnictw mniej ruchliwych np. Wydawnictwa Morskiego w Gdyni (Sujkowski) czy Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej (Anna Wiercieńska-Markowa) — dopełniają listę nowych nabytków powieściowych.

W dziale poezji pozyskano nowe tomiki Zbigniewa Biełkowskiego, Józefa Burszewicza, Jerzego Ficowskiego („Makowskie bajki”), ks. Pawła Heintscha, Janusza Laskowskiego, Stanisława Jerzego Leca, Zdzisława B. Morawskiego, Tadeusza Nowaka, Józefa Ozgi Michalskiego, Józefa Prutkowskiego, Barbary Sadowskiej, Mirosława Stacewicza, ks. Jana Twardowskiego, Juliusza Wita, Jerzego Zagórskiego — większość z dedykacjami autorów dla Biblioteki.

Pozyskano ponadto, z darów i zakupów, niemal komplet bieżącej produkcji wydawniczej instytutów i towarzystw naukowych z zakresu humanistyki, ważniejsze pamiętniki, biografie i opisy podróży. Wśród poloniców: książkę zbiorową „Polen” pod red. W. Markerta, „Disengagement” Eugeniusza Hinterhoffa (czytelnika Biblioteki), prace ornitologów Polaków z Nowej Zelandii, „Bitter Harvest” pod red. Edmunda Stillmana, itd. Z wydawnictw współczesnych a stosunkowo trudnych do zdobycia poza Krajem wymienić można „400 lat poczty polskiej”, komplet odbitych na powielaczu referatów z Sesji Naukowej z okazji Roku Słowackiego, wydawnictwa Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu, księgę pamiątkową Gimnazjum Gdańskiego, powielane katalogi słowiańskich wydawnictw ciągłych Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu itp.

Czytelnicy mieli ponadto do dyspozycji na miejscu, w czytelni, ponad dwieście czasopism emigracyjnych i krajowych, napływających bieżąco i cały zasób magazynowy, obejmujący dawne roczniki czasopism istniejących do dziś i „historycznych”, które przestały wychodzić lub których się już nie abo-

nuje („trupy” i „półtrupki” według przedwojennej nomenklatury potocznej z Biblioteki Narodowej w Warszawie).

IV

Spośród 3.500 czytelników zarejestrowanych obecnie w Bibliotece większość stanowią mężczyźni (65%). Deklaracje wypełniane przy zapisie zawierają rubryki: „adres”, „zawód”, nie pytają o wiek. Nie podobna więc ze 100%-wą dokładnością określić liczbę czytelników „młodych” (x) to jest należących do grupy wieku poniżej 35-go roku życia, a więc pokoleń, których upodobania kształtowały się już poza Polską. Oprzeć się wypadło na wnioskowaniu pośrednim: za „młodych” uznano młodzież szkolną, studentów, praktykantów, byłych wychowanków PUC’u, którzy do niedawna zarejestrowani byli jako studenci i ex-studentów niedawnej daty w ogóle, żony ich i rodzeństwo — wreszcie posłużyć się wypadło wzrokową oceną wieku przeprowadzaną bardzo ostrożnie, raczej in minus. Karty ich oznaczono literą „M”. Jest ich 692, co daje około 20% ogólnej liczby czytelników. Pamiętać jednak należy, że książki brane przez czytelników starszych dobierane są często z myślą o podsunięciu ich młodemu, że „młoda” żona dzieli się lekturą z mężem niezarejestrowanym w Bibliotece a także, że nie podobna ocenić wieku czytelników zamiejscowych korzystających z Biblioteki za pośrednictwem poczty. Jeśli jeszcze dodamy, że czytelnicy młodzi czytają na ogół więcej i szybciej, można zaryzykować twierdzenia, że co czwarta książka wypożyczona z Biblioteki idzie do rąk czytelników „młodych”. Obliczenia przykładowe przeprowadzone w kilka kolejnych sobót, będących najruchliwszymi dniami w wypożyczalni, dały cyfry nieco wyższe (32%, 29% i 37%).

Są to niewątpliwie metody przybliżone. Dają jednak wyniki kalkulowane ostrożnie, bo wszyscy biorący udział w opracowaniu ankiety strzegli się, jak ognia, optymistycznego dodawania in plus. Przypuścić raczej należy, że uszedł uwagi pewien procent czytelników „młodych”, korzystających z biblioteki za pośrednictwem starszych.

Dr Zofia Wilczyńska przeprowadziła ponadto 127 rozmów z czytelnikami, ustalając przy sposobności w przybliżeniu wiek pytanego na podstawie daty i miejsca ukończenia szkoły średniej. Wzrokowa ocena zawiodła ją raz jeden i to w stosunku do mężczyzny. Oto, w skrócie, „zeznania” najbardziej typowe:

1. S. B. Gimnazjum polskie w Palestynie (do 15-go roku życia), matura w Anglii. Ukończył Polish University College, po czym uzyskał

(x) Pojęcia o kresie „młodości” są b. chwiejne: 30, 35, 39 lat. Warto jednak przypomnieć, że prasa angielska uznała ostatnio 39-e urodziny Filipa ks. Edynburga za moment przejścia do wieku średniego.

doktorat z matematyki. Pracuje naukowo. Lat 30. Mimo biegłej znajomości języka angielskiego lubi czytać powieści angielskie w przekładzie na język polski („by nie zapominać polskiego”). Entuzjasta Dobraczyńskiego. Czytuje „Wiadomości” (najchętniej kroniki). Wypożyczył powieści Jane Austen i Wells’a w przekładach polskich i rozprawy matematyczne prof. Wacława Sierpińskiego;

2. Z. A., urzędniczka. Matura w gimn. polskim w Anglii. Czyta powieści Kraszewskiego, Rodziewiczówny. W dniu rozmowy (13. II.) wypożyczyła powieści Aleksiego Tolstoja i Marty Ostensko.

3. E. C. Architekt-urbanista. Matura w 1939 w Polsce. Studia architektoniczne w Polskiej Szkole Architektury, angielski egzamin zawodowy (R.I.B.A.). Prenumeruje „Kulturę” i „Wiadomości”. Czyta dorywczo „Bellonę”. Ulubieni pisarze: Miłosz, Gombrowicz, Hłasko. Czyta chętnie biografie i powieści historyczne. W dniu rozmowy wypożyczył Hunt’a i Daniel-Rops’a.

4. W. J. Matura we Włoszech. Ukończył studia techniczne w Londynie, pracuje jako kreślarz. Czyta beletrystykę aby, jak się wyraził „zbalansować lekturę zawodową”. Z pisarzy dawnych lubi Sienkiewicza i Zeromskiego, wraca do nich często, pożytył właśnie „Bez dogmatu”. Czyta „każdą książkę” Miłosza, pyta o nowy tom nowel Hłaski zapowiedziany w Izraelu. W domowej bibliotece ma Tuwima, kupił właśnie „Poezje zebrane” Wierzyńskiego. Czyta chętnie pamiętniki z okresu międzywojennego i książki o tematyce podróżniczej. Wypożyczył pamiętniki de Gaulle’a (po franc.).

5. T. S., robotnik fizyczny (*Machine operator*). Przyjechał do Anglii w 1948 r. z Afryki. Mała matura polska, rok w Grammar School w Anglii. Czyta mało: brak czasu. Pożytył dwie powieści Sienkiewicza i Adolfa Sowińskiego „Lata szkolne” Zeromskiego.

6. W. R. Student Chelsea Polytechnic (*Pure Physics*). Matura polska i angielska (w Anglii). Pożycza głównie podręczniki angielskie, czyta po polsku mało, robiąc wyjątek dla powieści historycznych (Gołubiew, Bunsch, Kraszewski). Wypożyczył powieść Malewskiej. W szkole czytywał „Kulturę”, „zniechęcił go do niej Gombrowicz”.

7. L. H., zarabia szcieniem w domu (*Machine operator*), studentka PUNO (sławistyka). Matura podziemna w Kraju. Czytuje dorywczo „Kulturę”, „Wiadomości” i „Merkurysza”. Z zespołu „Kultury” „uznaje Miłosza”, „nie lubi Gombrowicza”. Pożytyła poezję Łobodowskiego i potrzebne jej do studiów podręczniki Brücknera, Haleckiego i Kukiela.

8. A. J. Matura w Poznaniu w r. 1958. Uczy się angielskiego, w Anglii od dwu lat. W doborze lektury opiera się na zapamiętanych ze szkoły nazwiskach i zaleceniach. Czyta chętnie książki o starej Warszawie. Pożytyła „Dziennik” Zeromskiego, przekłady powieści Hemingway’a i Zoli.

9. Z. S. Inżynier (*Chartered structural engineer*). (2) Matura podziemna w Warszawie, studia techniczne w Anglii. Czyta chętnie, „rezygnuje

(2) Nazwy zawodów podano na podstawie kart rejestracyjnych.

z telewizji, by mieć czas na czytanie książek". Powraca do Żeromskiego, Reymonta i Prusa, z przyjemnością „odświeżył”, jak mówi, satyry Kraszewskego. Czytuje od czasu do czasu „Kulturę”, „nie lubi” Miłosza i Gombrowicza. Ceni Hłaskę. I on także czytuje chętnie powieści historyczne, stawia najwyżej Dobraczyńskiego. Interesuje się książkami o powstaniu warszawskim (Borkiewicz, Korboński). Wypożyczył Gołubiewa.

10. Z. C., studentka Ealing College (romanistyka). W roku 1956 uzyskała w Anglii maturę polską i angielską. Ulubieni pisarze polscy: Fredro, Żeromski, Dobraczyński, Parnicki, Miłosz, — francuscy: Cocteau, Sartre. Pożyczyła „Zniewolony umysł” Miłosza i wiersze Tuwima.

11. S. R. Inżynier (*Chartered electrical engineer*). Matura podziemna w Kraju. Szkoła we Włoszech. Przez ostatnie trzy lata pracował b. intensywnie naukowo w Imperial College, czytywał tylko książki filozoficzne w języku angielskim. Obecnie zrzadka zagląda do Prusa i Balzaca (w przekładzie Boy'a). Pożycza belestrystykę polską dla żony. Interesują się oboje historią sztuki.

12. H. S., inżynier mechanik. Matura polska i francuska we Francji. Studia chemiczne w Anglii. Ulubieni pisarze polscy: Żeromski, Tadeusz Nowakowski, Zawieyski.

13. H. S., żona poprzedniego. (*Dress designer*). Matura podziemna w Warszawie. Nieukończone studia medyczne. Entuzjazmuje się Hłaską i Bratnym. Stałe wraca do Prusa i Żeromskiego. Korzysta także z biblioteki publicznej angielskiej. Oboje wypożyczyli 13. II.: książki Jerzego Andrzejewskiego, Miłosza, Dygata, Tyrmanda, Caldwell'a i „Dra Żiwago” (byli zapisani w kolejce).

14. J. S., urzędnik u *solicitora*. Pożycza dla siebie podręczniki z zakresu księgowości (w jęz. angielskim) i powieści dla matki. „Nie ma czasu na czytanie dla przyjemności”.

15. J. M. student *Secretarial College*. Do Anglii przyjechał z Afryki, szkoła średnia angielska. Ulubieni pisarze: Mickiewicz, Lew Tolstoj, Dostojewskij. Pożyczył powieść Kraszewskego i opis podróży do Grecji Krystyny Grzybowskiej („Penelopa i mandarynki”).

16. Z. M., nauczyciel łaciny w angielskiej szkole średniej, studia w Anglii. Pożycza książki dla siebie i matki. Ulubieni pisarze: Żeromski („Walka z szatanem”), Miłosz (wszystkie tytuły). Interesuje się powieściami obyczajowymi i psychologicznymi, pożyczył: powieści Undset, Cronina i Dostojewskiego w przekładach polskich i „Żywe kamienie” Berenta. Dla matki: Morcinka.

17. W. Z., mała matura angielska, przygotowuje się do polskiej. Ulubieni pisarze: Cronin, London (w przekładach polskich).

18. F. C. inżynier (*Chartered structural engineer*). Odpowiedział na pytania obszernym listem z dnia 14. II. 1960: „Zacznijmy od początku: maturę robiłem w Anglii w 1948 r. Była to matura polska. Po czym uczęszczałem do Hammersmith College of Building and Arts (1950-1954). W wyniku zdanych egzaminów i przedstawionych dowodów praktyki mam prawo określania siebie jako A.M.I. Struct. E. albo Chartered Structural Engineer. Do Biblioteki należę od 1950 r. Prawie wszystko co wypożyczam czyta również moja żona. Interesują mnie powieści o charakterze

kronikarsko-pamiętnikarskim lub historycznym z ubiegłej wojny. Przykłady: Gen. Anders „Bez ostatniego rozdziału”, M. Wańkowicz „Bitwa pod Monte Cassino”, Kossak-Szczucka „Z otchłani”, Bór-Komorowski „Armia Krajowa”, A. Fiedler „Dziękuję ci, kapitanie”, Zukrowski, opowiadania o kampanii wrześniowej tudzież walk pod okupacją, (autora nie pamiętam) „Drogi cichociemnych”, Dobraczyński „W rozwalonym domu”, Cat-Mackiewicz „Historia Polski”. Obcokrajowcy: Churchill; pamiętniki II wojny światowej: gen. Mark Clark „Calculated Risk”, gen. Sir B. Horrocks — pamiętniki, Montgomery — pamiętniki itp. Poza tym interesuje mnie również powieść religijna i historyczno-biblijna np. Dobraczyński („Listy Nikodema”, „Wybrańcy gwiazd”), Kossak-Szczucka („Przymierze”) lub Sholem Ash „Mojżesz” (w jęz. angielskim). Właściwie w doborze tego co czytam obchodzi mnie autor. Lubię np. Gołubiewa, Kossak-Szczucką, Dobraczyńskiego, Parandowskiego, Parnickiego, Żukrowskiego, Wasiuńskiego, nawet Szolochowa za „Cichy Don” albo K. Paustowskiego za „Złotą różę”. Przepuszczalnie lubię tych autorów za ich styl i za to wszystko co uwydatnia ich jako ludzi. Wiem mniej więcej co wyznają. Nieprawdą jest zatem to co powiedziałem w sobotę, że nie mam planu w doborze tego co czytam, bo jeśli zobaczę na półce „Alchemię słowa” to tak jakbym spotkał Parandowskiego i wysłuchał długiego, ładnie i estetycznie ujętego opowiadania. Są pisarze, których nie lubię. Do takich należy autor czeski (nazwiska nie pamiętam), który pisał o „Wojaku Szwajku” czy coś w tym rodzaju. W ogólności nie znoszę cyników lub reprezentantów grubiańskiego języka. Czasami biorę Wiecha albo Londona to znów na odmianną taką rzecz jak Pawlikowskiego „Dwa światy”. Nie wspominałem takich autorów jak Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Orzeszkowa itp., dlatego że to co zostało przez nich napisane jest ogólnie znane i uznane i nie wymaga moim zdaniem żadnych komentarzy. Tak przedstawia się mniej więcej prawda o tym co i dlaczego czytam, z pominięciem oczywiście tłumaczeń z francuskiego lub innych języków co znów uważam za odrębny dział lektury przeorywany dorywczo w miarę tego jak czas pozwala”.

19. A. S., przygotowuje się do egzaminu w Borough Polytechnic (*Science*). Matura w Polsce w 1957. Pochodzi ze środowiska nauczycielskiego, zamilowanie do lektury wyniósł z domu. Dużo zawdzięcza „znakomitej” nauczycielce polskiego ze szkoły. Ulubieni poeci: Słowacki, Gałczyński, Tuwim, Leśmian. „Nie przemawia do mnie ani Harasymowicz ani Sito”. Czyta często „Wiadomości”, dorywczo „Kulturę”. Czytuje nadal tygodnik literackie krajowe. Wielbiciel Gombrowicza („Transatlantyk”, „Bakakaj”), Miłosza („Dolina Issy”, „Zniewolony umysł”). Pożyczył powieść Wandy Karczewskiej, „Mickiewicza żywego” oraz przekłady Kafki, Joyce'a i Graham Greene'a.

20. K. K., student The Polytechnic w Londynie (*Mechanical engineering*). Przyjechał do Anglii z Afryki. Matura polska. Lubi powieści historyczne: Kraszewski, Gołubiew. „Ponad wszystko: Rodziewiczówna”. Pożyczył 5 jej powieści.

21. Z. U., marynarz. Opuścił Polskę w r. 1958 („wybrałem wolność”). Czyta najchętniej książki, które były nieosiągalne w Kraju. Interesują go powieści historyczne.

22. I. K. Studentka Teachers Training College. Prowadzi próbną lekcję w szkole angielskiej (*primary school*). Matura polska i angielska. Czyta głównie powieści. Ulubieni pisarze: Żeromski, Rodziewiczówna,

Fiedler. Pożyczyła jednak książki Żukrowskiego, Aleks. Minkowskiego i „Zielone oczy” Mackiewicza („Słyszałam, że to dobre”).

23. J. B., statystyk. Matura podziemna w Kraju. W r. 1954 ukończył London School of Economics, obecnie pisze pracę doktorską ze statystyki, pracuje jako urzędnik w Board of Trade. Interesuje się zagadnieniami społecznymi, w szczególności w odniesieniu do Kraju („klimat społeczno-duchowy, urabianie poglądu na świat, zmiany społeczno-kulturalne”). Z dawnych pisarzy („ze względu na piękno języka”) ceni Słowackiego, Żeromskiego, Tuwima. Z pisarzy krajowych czytuje chętnie: K. Brandysa, Adolfa Rudnickiego („Niebieskie kartki”), Bratnego, Iwaszkiewicza, Dobraczyńskiego („Listy Nikodema”). O Gombrowiczu mówi: „Geniusz bez pokory”. Miłozsa ceni najwyżej jako tłumacza poezji angielskiej. Lubi Gałczyńskiego, Łobodowskiego i Lechonia.

24. P. B., inżynier-elektryk. Szkoła polska w Palestynie. Matura w Anglii. Studia techniczne na Imperial College. W szkole czytał Sienkiewicza, Prusa „i oczywiście „Pana Tadeusza”, „więcej nie pamięta”. Z pisarzy współczesnych czyta najchętniej Hłaskę i Bratnego.

25. A. D., chemiczka. Matura polska w Libanie. Studia chemiczne w Chelsea Polytechnic. Niechętnie czyta po polsku. Przychodzi po książki dla rodziców.

26. R. G., marynarz, 29 lat. Do Anglii przyjechał z Francji w r. 1947. Samouk, czyta chętnie poezję: Mickiewicza, Słowacki, Tuwim. Uczy się wierszy na pamięć i lubi je deklamować.

27. W. H., inżynier (Mechanical engineer). Do Anglii przybył z Palestyny w 1947 r. Matura polska w szkole junackiej. Ukończył Battersea Polytechnic. Interesuje się humanistyką, zachwyca się Dantem i Norwidem, „nie uznaje Miłozsa, Hłaski, Gombrowicza”. Czyta chętnie powieści historyczne Bunscha, Gołubiewa, Dobraczyńskiego. Z biblioteki angielskiej pożycza książki naukowo historyczne.

28. T. H. bez zawodu. 30 lat. Matura w Libanie. Do Anglii przyjechała w 1947 r. Lubi książki historyczne i podróżnicze. Pasjonuje się literaturą obozową. Wraca często do Kraszewskiego, Orzeszkowej i Żeromskiego.

29. J. K. Matura w Polsce. Do Anglii przyjechał w 1958 r. „Lubię powieści realistyczne”. Przykład dobrej powieści: „Kolumbowie” Bratnego.

30. T. K. 32 lata, czasowo w Anglii, w sprawach handlowych. Inżynier. Interesuje się specjalnie książkami o okresie okupacji niemieckiej (powieści i pamiętniki). Czyta Kraszewskiego, Zofię Kossak.

31. D. Ł., studentka Technical College. Przyjechała do Anglii z Palestyny. Gimnazjum angielskie, korespondencyjny kurs jęz. polskiego. Pytana o lekturę „klasyków” polskich, zastanowiła się: „Kto napisał „Dziady” — dosyć mi się podobało”. Zachwycona „Popiołami”. Czytała dwa razy.

32. M. P., Commercial Artist. Mała matura przedwojenna. Interesuje się historią kultury i sztuki, pisze i ogłasza wiersze. Miłośnik i znawca Norwida. Korzysta z Biblioteki od dziesięciu lat. Czyta przeważnie książki z zakresu historii i teorii literatury, dzieła historyczne, przekłady klasyków greckich i łacińskich (Herodot, Tacyt).

33. Z. D. Matura polska w Anglii. Ukończone studia ekonomiczne w Polish University College, specjalność: statystyka. Żona Angielka. W domu rozmawia po angielsku. Wypożycza książki w jęz. angielskim (podręczniki fachowe), „czasem, gdy przyjdzie chęćka biorę coś po polsku. Ale rzadko”.

34. K. S., inżynier (Mechanical engineer). Matura podziemna w Kraju. Studia w Anglii. „Książkom zawsze wierny”. Czytał 5 razy „Lalkę”, „zniechęcił się do Sienkiewicza”. Ulubieni pisarze emigracyjni: Tadeusz Nowakowski, Józef Mackiewicz, Czesław Straszewicz. „Gombrowicza nie rozumiem. Nie entuzjazmuję się Miłozsem”. Z krajowych pisarzy zna i chętnie czyta Parandowskiego, Gołubiewa, Żukrowskiego, Bratnego. Ulubieni poeci: Staff i Norwid. Wraca do Mickiewicza i Słowackiego. Czyta stale „Wiadomości”, dorywczo „Kulturę”. Czytać lubi: „Mógłbym czytać cały dzień”.

35. H. S. Ukończone studia historyczne na uniw. angielskim. (Research assistant). Matura w Anglii. Lubi powieści historyczne, czytała kilka razy Gołubiewa. Ceni Malewską i Parnickiego, nudzi ją Kraszewski i Bunsch. Ulubiona książka: „Popioły”. Ulubieni poeci: Norwid, Tuwim i Beata Obertyńska. Czyta stale „Wiadomości”. Nie czytuje „Kultury”.

36. A. S., księgowy. Matura polska w Anglii. Magister P.U.N.O. (historia). Studiuje nadal historię, czyta najchętniej poważne dzieła historyczne (polskie). Powieści czyta „do poduszki”, „byłe zajmujące”.

37. K. S., inżynier elektryk. Partyzantka we Francji — mała matura we Włoszech. Polskie liceum techniczne w Anglii, potem studia wyższe w Polish University College. Przy tym zainteresowania humanistyczno-filozoficzne, a nawet rok regularnych studiów filoz. w Paryżu (1956). Czyta stale „Kulturę”, dorywczo „Wiadomości”. Z pisarzy emigracyjnych stawia najwyżej Miłozsa (zwłaszcza jako tłumacza). Czytając Gombrowicza „nie doświadcza żadnych wzruszeń estetycznych, odpowiadają mu jednak pewne fragmenty „Dziennika”. „Hłasko — to wielki samorodny talent”. Ulubieni pisarze: Miłoz, Tadeusz Nowakowski („Syn zadumionych”), Herling-Grudziński, Józef Mackiewicz. Chodzi na wieczory autorskie Związku Pisarzy. Przeżył głęboko w szczególności dwa: Bogdana Czykowskiego i Jerzego Sity. Ulubieni poeci polscy: Tuwim, Słonimski, Gałczyński. Obcy: Baudelaire, Rimbaud. Prowadzi dziennik lektury: zapisuje tytuły przeczytanych książek i własne wrażenia.

38. J. Z. (Chartered accountant), Matura w Anglii. Studia ekonomiczne (external student). Czyta stale „Kulturę” i „Wiadomości”, ma stosunkowo mało czasu na czytanie książek: dobór przypadkowy. Ulubieni pisarze: Waclaw i Karol Żbyszewscy, Józef i Stanisław Mackiewicz. Chętnie czyta Mieroszewskiego. W „Wiadomościach” interesują go najbardziej kroniki.

39. W. Z., (Designer). Inż. mechanik z dyplomem Battersea Polytechnic. Pożycza podręczniki zawodowe, czasem przypadkowo wybraną powieść.

40. A. S. Ekspedient sklepowy. Wieczorami przygotowuje się do matury angielskiej (NW. Kent College of Technology). Matura polska. Odcięty od środowiska polskiego. Czyta najchętniej „klasyków”: Sienkiewicza Prusa, Żeromskiego. Z poetów: Mickiewicza, Konopnicką.

41. J. C. Urzędnik. Pożycza powieści dla żony, „byle co, aby prędko, i tak wszystko przeczyta”. Wybrał: powieści Sieroszewskiego, Dobraczyńskiego, Lema i przekład Saint Exupéry.

42. M. M. (*Machine operator*). Czyta dla rozrywki powieści polskie. Dobór przypadkowy spośród świeżo zwróconych książek. Pożycza również książki dla matki.

43. E. W. R., lekarka. Matura polsko-włoska w Rzymie. Studia medyczne w Dublinie. Mąż Irlandczyk. Interesuje się historią starożytną. Ulubieni pisarze polscy: Gołubiew, Bunsch, Grabski. W dniu rozmowy wypożyczyła jednak powieści Miłosza, Brandysa i Stanucha („Portret z pamięci”). Wybiera książki dla matki, czasem także dla ojca.

44. W. M., kreślarz. Matura podziemna w r. 1944 w Warszawie. Interesuje się żywo literaturą emigracyjną. Ulubieni pisarze: Miłosz, Gombrowicz. Od czasu „odwilży” czyta chętnie książki krajowe, przy czym na pierwszym miejscu stawia Dobraczyńskiego. Pasjonuje się tematyką okupacyjną (Korboński).

45. M. M. Niemiecki obóz koncentracyjny. Matura polska w Salzburgu. Pielęgniarka. Czyta dużo i chętnie. Ulubieni pisarze: Prus, Orzeszkowa, Żeromski, Rodziewiczówna.

46. A. B. L., magazynier (*Storeman*). Lat 27. Przyjechał do Anglii z Polski w r. 1946. Matura polska i angielska. Czyta dorywczo „Kulturę” i stale „Wiadomości” („od deski do deski”). Ulubieni pisarze: Parandowski, Kossak-Szczucka, Żeromski („Popioły”), Gołubiew. Stara się czytać nowości „aby być w kursie”, w doborze opiera się na recenzjach.

47. K. S., kreślarz. Do Anglii przyjechał w 1948 r. Zamiłowania humanistyczne, chciałby studiować polonistykę. Pracował dorywczo w redakcji „Życia”. Czeką niecierpliwie na dalszy ciąg „Bolesława Chrobrego” Gołubiewa — „to wspaniały pisarz”. Czyta dużo po angielsku, opierając się w doborze tytułów na recenzjach w „The Daily Telegraph” i „Observerze”.

48. W. L., student Borough Polytechnic (*Technology*). Przyjechał z Polski w r. 1957. Nie interesuje się literaturą emigracyjną. Czyta „do poduszki”. Pożyczył „Cmentarze” Hłaski oraz przekłady powieści Fenimore Cooper'a i Blasco Ibanez'a.

49. M. R. (*Research chemist*). Lat 51. Matura w gimn. polskim w Anglii. Studia w Irlandii (chemia) i Anglii (biochemia). Interesuje się książkami i powieściami z historii Słowiańszczyzny. Pożycza książki dla siebie i młodszego brata (kreślarza). Interesuje go „każda dobra nowa powieść”. Pożyczył książki Malewskiej, Grabskiego, Czarnyszewicza i „Kuchnię polską” (dla żony).

50. M. B., księgowy. Matura polska w Szkocji. Szkoła Handlu Zagranicznego. Pracuje w biurze podróży Thos Cook. Czyta najchętniej powieści historyczne: Kraszewski, Gołubiew, Bunsch, Grabski. Lubi wracać do Sienkiewicza i Prusa „a nawet Mickiewicza”. Książki ekonomiczne wypożycza z biblioteki angielskiej. W dniu rozmowy wypożyczył „Czerwone tarcze” Iwaszkiewicza i „Pracowników morza” V. Hugo.

51. J. R. Nie podał zawodu. 24 lata. Przyjechał z Afryki w r. 1948. Interesuje się żywo literaturą krajową, czyta dużo, zmienia książki często.

Książki angielskie dobiera na podstawie recenzji „Observera”. Pożyczył „Mickiewicza żywego” i „Kazachstańskie noce” Naglerowej.

52. L. K., chemik (nieukończone studia). Polska i angielska matura w Anglii. Uczęszcza do szkoły wieczorowej („Evening classes” — matematyka), pracuje jako laborant w pracowni chemicznej jednego z londyńskich college'ów. Korzysta z biblioteki od 10 lat, zjawia się regularnie w soboty. Poszukuje stale „nowości” krajowych i emigracyjnych. Czyta chętnie eseje.

53. Z. B., magazynier. Co dwa tygodnie wypożycza ok. 10 książek, przeważnie powieści. A więc np.: Choromański, Koźniewski, Otwinowski, Segal, Sieroszewski, Tomasz Mann, Graham Greene, Capek.

54. J. C., student (*postgraduate*) ekonomii. Współredaktor pisma młodzieży. Przygotowuje pracę doktorską o sytuacji gospodarczej Polski. Dostosowuje do tego lekturę. Z pisarzy polskich ceni najwyższemu Miłosza, Gombrowicza, Hłaskę. Interesuje się żywo współczesną literaturą angielską (*Angry young men* etc.). Pożyczył, wg. systematycznie zestawionej bibliografii kilka książek o okupacji (Korboński, Modrzewski, Rokicki, Zabiello, „Polskie Siły Zbrojne” — tom dotyczący Armii Krajowej, nowela Wahnouta).

55. W. R., inżynier (*Civil engineer*). Ukończył Polish University College. „Dobieram powieści pod hasłem „Byle szybko”. Pożyczył „Koniec Żgody Narodów” Parnickiego.

56. E. S., studentka (Architektura). Matura angielska w Anglii. Pożycza książki o sztuce ludowej i architekturze drewnianej w Polsce w związku ze studiami.

57. A. H. (*Manager*). Studia ekonomiczne w Manchesterze. W Anglii od r. 1940. Po 17 latach odcięcia od środowiska polskiego zgłosił się do Biblioteki i otęd zjawia się regularnie 1-2 razy w tygodniu, by zmienić książki. Czyta równolegle książki polskie i francuskie. Najchętniej czyta biografie. Pożyczył „Opowiadania podolskie” Juliana Wołoszynowskiego i Dylana Thomas'a (po ang.).

58. D. S. Matura w Polsce. Do Anglii przyjechała w 1957 r. Czytała naprzód wyłącznie książki emigracyjne, obecnie czyta także krajowe. Pożyczyła nowela Choromańskiego i przekład powieści M. Butor'a.

59. E. D., studentka medycyny. 24 lata. Urodzona we Francji. Szkoła średnia angielska i kurs korespondencyjny polski. „Znam całego Sienkiewicza”. Dobiera lekturę według wskazówek ojca, działacza oświatowego. Pożyczyła „Wojnę i pokój” Tolstoja.

60. E. E., studentka farmacji. Przyjechała z Polski w r. 1957 po maturze (w Krakowie). Interesuje się architekturą. Lubi polskie powieści historyczne, „musi jednak czytać obecnie dużo po angielsku ze względu na złą znajomość języka, co przeszkadza jej w studiach”.

61. W. G., inżynier (*Civil engineer*). 28 lat. Matura polska i angielska. Studia w Anglii. Czyta dla przyjemności powieści (najchętniej historyczne) a „z obowiązku” „klasyków”.

62. B. D. (*Art teacher*) pierwsze klasy szkoły powszechnej w Palestynie, matura w Anglii. Wakacyjne polskie kursy polonistyczne w Anglii. Dla

siebie pożycza książki ze sztuki, zaopatruje nadto w powieści polskie matkę.

63. L. H., student, Hammersmith College of Building. Lat 25. Przyjechał via Palestyna. Stara się przebywać wśród Polaków, interesuje się życiem kulturalnym Emigracji. Ostatnio zorganizował wystawę polską w College'u. Lubi powieści historyczne. Koncentruje uwagę na klasykach, bo „trzeba ich poznać, później przyjdzie czas na pisarzy współczesnych”.

64. A. M., inżynier (*Mechanical engineer*). Przyjechał po wojnie do Anglii z Polski. Matura angielska w r. 1949. Stale czytuje „Kulturę” — „nie rozumie ani Miłosza ani Gombrowicza”. Interesują go pamiętniki i biografie. Wraca do „klasyków” („Sienkiewicz”). Z poezji uznaje tylko „Pana Tadeusza”.

65. K. M., (*Statistician*). Matura podziemna w Polsce i matura angielska. Studia z zakresu statystyki na Chelsea Polytechnic. Czyta stale „Kulturę” i dorywczo „Wiadomości”, interesuje się czasopismami krajowymi, czytuje stale „Nową Kulturę” i „Życie Literackie”. Chodzi na wieczory literackie. Woli książki krajowe od emigracyjnych. Ulubieni pisarze: Żukrowski, K. Brandys, A. Rudnicki, J. Andrzejewski, Gołubiew, ceni Miłosza i Gombrowicza. Z poetów stawia najwyżej Gałczyńskiego i Tuwima, wymienił ponadto nazwiska: J. Łobodowskiego, Bronisława Przyłuskiego i Tadeusza Sułkowskiego.

66. S. W., księgowy. Matura w Rzymie. Wydział Ekonomiczny Polish University College. Czyta stale „Kulturę” i „Wiadomości”. Ulubieni pisarze: Gombrowicz, Straszewicz, Józef Mackiewicz, z pisarzy krajowych: Hanna Malewska.

Streszczone wyżej rozmowy odbyły się w ciągu czterech kolejnych sobót lutego i nie dotyczyły specjalnie zestawionej grupy czytelników (3) uzależnione były po prostu od kolejnego ich pojawiania się i okresów mniejszego nasilenia ruchu w wypożyczalni. Przeprowadzone były natomiast według tego samego schematu: 1) losy wojenne i wykształcenie, 2) zainteresowania a) literaturą emigracyjną, b) krajową. 3) tytuły stale czytanych czasopism emigracyjnych. Nazwiska pisarzy „ulubionych” przytoczone zostały w tej kolejności, w jakiej podali je zapytywani.

Czytelnicy odnieśli się bardzo życzliwie do przeprowadzonej przez Bibliotekę ankiety: nikt nie odmówił odpowiedzi.

Z przytoczonych wyżej przykładów wynika, zgodnie z rzeczywistym stanem rzeczy, iż większość młodych czytelników Biblioteki stanowią technicy i ekonomiści, byli wychowankowie Polish University College i b. stypendyści Komitetu do Spraw Oświaty Polaków w W. Brytanii, co tłumaczy się dawnymi ich powiązaniem z Biblioteką z okresu studiów. Niektórzy z nich wybrali niewątpliwie techniczny kierunek studiów ze względu na szersze możliwości pracy zarobkowej na obczyźnie — w głębi duszy pozostali jednak wierni swoim istotnym zainteresowaniom humanistycznym.

(3) Przeprowadzono np. rozmowy z 4 zaledwie młodymi pisarzami, choć z Biblioteki korzysta liczna ich grupa (niemal wszyscy).

Czytelnicy „młodzi”, zapisujący się do Biblioteki, zachowują się zazwyczaj w pierwszym okresie korzystania ostrożnie i nieufnie. Są małomówni; jeśli proszą o pomoc w znalezieniu książki, będzie to dotyczyć raczej podręczników angielskich niż beletrystyki polskiej. Jest w tym niewątpliwie obawa ośmieszenia się przez wykazanie niedostatecznej znajomości nazwisk autorów czy tytułów książek — czasem także brak wiary w ewentualne „dobre rady” bibliotekarek. Jeśli jednak uda się przełamać owe wstępne opory, rozmawiać będą chętnie o przeczytanych książkach czego pośrednim dowodem jest zresztą udział w ankiecie.

W stosunku do starszych generacji są to na ogół czytelnicy bardziej zdyscyplinowani, nie sypiący grzecznościami („Całuję rączki”), ale za to wypełniający czytelnie druki rejestracyjne i rewersy, dotrzymujący terminów zwrotu, uważniej odkładający książki na miejsce, lepiej orientujący się w katalogach i działowym ustawieniu książek, z którym mieli już do czynienia w bibliotekach szkolnych i uczelniach. W bibliotece zachowują się zadziwiająco spokojnie, mówią niewiele i półgłosem. Jaskrawo odcinają się na tym tle świeżo przybyli z Polski: znacznie żywsi, mówiący głośno, pewniejsi siebie.

Częstym zjawiskiem w wypożyczalni jest drastyczny kontrast wyglądu: młode Polki o wyglądzie studentek ze Szkoły Sztuk Pięknych, brodaci *angry young men* — i starzy ex-officerowie wracający z nocnej służby w muzeum czy hotelu, szarzy i zgaszeni, z bochenkiem „polskiego” chleba pod pachą. Albo zażywna starsza pani ze szkieletem abażuru albo „dodatki” do szycia, wstępująca po książki „do poduszki” do Biblioteki.

Przed wejściem scootery, motocykle, stare modele samochodów — to młodzi. Czasem, rzadko, nowy elegancki samochód starszego zamożnego „rekina”: ci jednak rzadko zagląдают do biblioteki i brak ich wśród stałych czytelników.

V

Przy analizie upodobań czytelnicznych oparto się na 4547 „rewersach” wypełnianych przy wypożyczaniu książek, które poprzednio wybrane były przez nich z półek albo spośród książek zwróconych świeżo do Biblioteki. Książki poczytniejsze lub najnowsze przydzielane były przez bibliotekarki na podstawie kartoteki złożonych wcześniej zamówień. W lutym rb. najdłuższe „kolejki” dotyczyły „Dra Żiwago” Pasternaka, Pawlikowskiego „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego”, Tadeusza Nowakowskiego „Syn zadżumionych”, Ireny Bączkowskiej „Podróż do Braiłowa”, — czytelnicy upominali się ponadto o „Rodzinną Europę” Miłosza, której egzemplarze były jeszce w introligatorni.

Tablica 1.

Statystyka ogólna wypożyczeń za luty 1960

| | Wypożyczo- no ogółem | W tym wy- pożyczenia czytelników młodych |
|--|-------------------------|---|
| 1. Beletrystyka polska („klasycy”, książki wydane na Emigracji i w Kraju) | 1871 | 617 |
| 2. Beletrystyka w jęz. polskim: przekłady z literatur obcych | 1323 | 287 |
| 3. Beletrystyka w jęz. obcych: angielskim (36), francuskim (33), rosyjskim (7) | 76 | 11 |
| 4. Książki naukowe (włącznie z biografiami i pamiętnikami) w języku polskim | 708 | 311 |
| 5. Książki naukowe w języku angielskim (głównie podręczniki techniczne) | 558 | 487 |
| 6. Nuty | 11 | 10 |
| | <u>4547</u> | <u>1723</u> |

Cyfry te pozwalają na wysnucie pewnych wstępnych wniosków. Wykazują one przede wszystkim, że czytelnicy młodzi korzystają z biblioteki w wysokim stopniu w związku ze studiami lub dokształcaniem zawodowym: stąd wysoki procent wypożyczeń podręczników naukowych w języku angielskim, zasługujący tym bardziej na podkreślenie, że Biblioteka od czasów zamknięcia Polish University College nie dysponuje funduszami na zakup książek naukowych w języku angielskim (z wyjątkiem polonistów).

Zadaniem pisanego obecnie artykułu jest przede wszystkim zilustrowanie upodobań czytelniczych w zakresie literatury pięknej. W tym celu sporządziliśmy szereg tablic, podających dokładne dane o poczytności najważniejszych grup książek wypożyczanych:

Tablica 2.

Poczytność książek z zakresu literatury pięknej napisanych przez autorów polskich:

| | | | |
|------------------------------|-----|----------------|-----|
| 1. Klasycy | 566 | w tym „Młodzi” | 111 |
| 2. Współcześni pisarze kraj. | 882 | | 289 |
| 3. Pisarze emigracyjni | 423 | | 127 |

(Uwaga: w zakresie „klasyków”, a więc np. Sienkiewicza nie odróżniano wydań krajowych od emigracyjnych. Dotyczy to np. Trylogii czytanej często w wydaniu londyńskim lub jerozolimskim. Do pisarzy krajowych zaliczono całą produkcję wydawniczą pisarzy, którzy powrócili do Kraju, a więc np. Wańkowicza lub Kossak-Szczuckiej, choć większość ich książek napisanych po r. 1939 ukazała się poza Krajem).

Tablica 3.

Poczytność „klasyków” polskich i pisarzy XX w. (nieżyjących).

| Na ogólną ilość wypożyczeń 566 | Ilość wypożyczeń | w tym „młodzi” |
|--------------------------------|------------------|----------------|
| 1. Kraszewski | 71 | 16 |
| 2. Rodziewiczówna | 38 | 24 |
| 3. Sienkiewicz | 30 | 7 |
| 4. Zeromski | 21 | 8 |
| 5. Makuszyński | 19 | 5 |
| 6. Mostowicz | 19 | 4 |
| 7. Strug | 18 | 2 |
| 8. Orzeszkowa | 17 | 1 |
| 9. Sieroszewski | 15 | 2 |
| 10. Norwid | 14 | 9 |
| 11. Reymont | 14 | — |
| 12. Tuwim | 13 | 2 |
| 13. Zapolska | 12 | — |
| 14. Nałkowska | 12 | 2 |
| 15. Fredro | 10 | 2 |
| 16. Prus | 10 | 5 |
| 17. Naglerowa | 10 | 1 |
| 18. Gąsiorowski | 9 | 11 |
| 19. Mickiewicz | 8 | 1 |
| 20. Jez | 8 | 1 |
| 21. Krasiński | 7 | — |
| 22. Gomulicki | 7 | — |
| 23. Pawlikowska | 7 | 2 |
| 24. Berent | 6 | 2 |
| 25. Kaden-Bandrowski | 6 | — |
| 26. Słowacki | 6 | 3 |

(Młodzi wypożyczyli ponadto zbiory wierszy: Andrzeja Bursy, K. I. Galczyńskiego, Ignacego Krasickiego, Jana Kasprowicza, Bolesława Leśmiana, Antoniego Malczewskiego, Kazimierza Tetmajera).

Z prozaików wypożyczonych przez młodych (1-2 wypożyczenia) dodać należy: Tadeusza Borowskiego, Karola Irzykowskiego („Pałuba”), Helenę Mniszek (jedyne wypożyczenie „Trędowatej”!), Tadeusza Rittnera, Zbigniewa Uniłowskiego, Emila Zegadłowicza. Tylko starsi wypożyczyli Lechońia i Wyspiańskiego (2-3 wypoż.). Pewnym curiosum jest łączne wypożyczenie Kraszewskiego i St. Ignacego Witkiewicza (przez starszego, świadomego różnic czytelnika). Inną osobliwością jest kombinacja: Rodziewiczówna i Françoise Sagan przez czytelniczkę „młodą”. Zapytana o wrażenia (przy zwrocie książek) oświadczyła, że owszem, podobały się jej obie książki, gdyż lubi czytać „o kobietach i miłości”.

Olbrzymia poczytność Kraszewskiego, przy stosunkowo niskiej Sienkiewicza, tłumaczy się rzuceniem w latach ubiegłych na rynek księgarski olbrzymich ilości wznowień powieści zapomnianych tego autora, — czytelnicy stoją więc wobec bardzo szerokiego wachlarza nowych tytułów. Sienkiewicz był nato-

miast przedrukowany stale zarówno w Kraju jak i na Emigracji, „Trylogia” wchodzi nieodmiennie w skład nawet najmniejszych księgozbiorów prywatnych — jest to więc, prawdopodobnie, spadek pozorny. Zastanawia natomiast nie tylko poczytność ale zdecydowany nawrót do Rodziewiczówny; „młodzi” czytelnicy polecają ją sobie nawzajem. Niskie lokaty Mickiewicza i Słowackiego tłumaczą się zapewne łatwą dostępnością podstawowych utworów a brakiem zainteresowania całokształtem twórczości, co zresztą odnosi się także do Sienkiewicza (trwanie w kręgu „Trylogii”, „Krzyżaków” i „Quo vadis?”).

Pamiętać ponadto należy, że przytoczone dane odnoszą się do okresu jednego tylko miesiąca i że ilość wypożyczeń uwarunkowana była w dużym stopniu ilością egzemplarzy poszczególnych tytułów w zbiorach biblioteki. W stopniu jeszcze wyższym wpływać to będzie na cyfry w dziale książek pisarzy współczesnych.

Tablica 4.

Poczytność współczesnych pisarzy krajowych

| Ogółem wypożyczono 882 | | w tym „młodzi” |
|------------------------|----|----------------|
| 1. Dobraczyński | 64 | 25 |
| 2. Iwaszkiewicz | 28 | 3 |
| 3. Wiech | 28 | 6 |
| 4. Morcinek | 25 | 2 |
| 5. Bunsch | 21 | 5 |
| 6. Kossak | 21 | 2 |
| 7. Malewska | 21 | 10 |
| 8. Brandys | 19 | 6 |
| 9. Wańkiewicz | 19 | 7 |
| 10. Dygat | 17 | 7 |
| 11. Fiedler | 17 | 10 |
| 12. Dąbrowska | 14 | 1 |
| 13. Parandowski | 14 | 8 |
| 14. Łopalewski | 13 | — |
| 15. Tyrmand | 13 | 4 |
| 16. Gołubiew | 11 | 6 |
| 17. Samozwaniec | 11 | — |
| 18. Szelburg-Zarembina | 11 | 7 |
| 19. Żukrowski | 11 | 7 |
| 20. Bratny | 10 | 10 |
| 21. Breza | 10 | 3 |
| 22. Kowalska | 10 | — |
| 23. Andrzejewski | 9 | 6 |
| 24. Szermentowski | 9 | 3 |
| 25. Grabski Wł. | 9 | 3 |
| 26. Morstin | 9 | — |
| 27. Broszkiewicz | 8 | 3 |
| 28. Pauksza | 8 | 3 |
| 29. Skierski | 8 | — |
| 30. Szczepkowska | 8 | 3 |
| 31. Rudnicki Adolf | 8 | 4 |
| 32. Boguszewska | 7 | 3 |
| 33. Gojawiczyńska | 7 | 3 |

| | | |
|--------------------------|---|---|
| 34. Grochowiak | 6 | 5 |
| 35. Kisielewski Stefan | 6 | 2 |
| 36. Krzyszoń | 6 | 5 |
| 37. Konwicki | 5 | 5 |
| 38. Łaszowski | 5 | 2 |
| 39. Mortkowicz-Olczakowa | 5 | 2 |
| 40. Leja | 5 | 5 |

Czytelnicy młodzi wypożyczyli ponadto po 1-2 książki następujących autorów: Wojciech Bąk, Leopold Buczkowski, J. Chamiec, Wanda Chylicka, Stanisław Czernik, H. Duninówna, Karol Estreicher, F. Fenikowski, Kornel Filipowicz, Krystyna Grzybowska, Kazimiera Hłakowiczówna, Wanda Karczewska, Andrzej Kijowski, K. Kleczkowska, T. Klön, Anna Kłodzińska, T. Kostecki, Monika Kotowska, Stanisław Kowalewski, K. Koźniewski, Tadeusz Kubiak, Jalu Kurek, Stanisław Lem, Wilhelm Mach, Aleksander Minkowski, Sławomir Mrozek, Jerzy Piórkowski, L. Prorok, J. Przyboś, J. Pytlakowski, Tadeusz Różewicz, Michał Rusinek, K. Segal, Antoni Słonimski, Adolf Sowiński, Stanisław Stanuch, J. Stawiński, J. Stoberski, S. Strumph-Wojtkiewicz, J. Strykowski, Teofil Syga, J.J. Szczepański, Olgierd Terlecki, W. Terlecki, K. Truchanowski, Julian Wołoszynowski, H. Worcell, W. Woroszyński, Władysław Zambrzycki.

Wypożyczono ponadto 37 książek dla dzieci: (najpoczytniejszy Brzechwa).

Tablica 5.

Literatura piękna. Pisarze emigracyjni i przebywający poza Krajem.

| I. Proza. | | W tym młodzi |
|---------------------------------------|-----|-----------------------------|
| Ogółem wypożyczono 423 w tym „młodzi” | 127 | (proza i poezja łącznie) |
| 1. Miłosz | 29 | 17 (proza i poezja łącznie) |
| 2. Nowakowski T. | 28 | 7 |
| 3. Pawlikowski M. K. | 24 | 8 |
| 4. Goetel | 23 | — |
| 5. Hłasko | 19 | 7 |
| 6. Mackiewicz J. | 19 | 15 |
| 7. Kuncewiczowa | 17 | 4 |
| 8. Piasecki S. | 16 | 5 |
| 9. Jasińczyk | 11 | 4 |
| 10. Łobodowski | 11 | 6 (proza i poezja łącznie) |
| 11. Nowakowski Z. | 11 | 1 |
| 12. Danilewiczowa M. | 11 | 4 |
| 13. Bączkowska | 10 | 2 |
| 14. Romanowiczowa | 10 | 5 |
| 15. Wittlin J. | 10 | 2 |
| 16. Choromański | 9 | 5 |
| 17. Gombrowicz | 8 | 3 |
| 18. Czarnyszewicz | 8 | 3 |
| 19. Składkowski | 8 | — |
| 20. Zahorska St. | 7 | — |

Młodzi czytelnicy wypożyczali ponadto (po 1-3) książki następujących prozaików emigracyjnych i przebywających poza Krajem: Jana Bielatowicza, Andrzeja Bobkowskiego, Zofii Bohdanowiczowej, Jana Brzękowskiego, Mariana Czuchnowskiego, Zbigniewa Grabowskiego, Gustawa Herling-Grudzińskiego, H. Jabłońskiego, Janusza Kowalewskiego, Danuty Mostwin, Beaty Obertyńskiej, Teodora Parnickiego, Józefa Radzywińskiej, M. Romańskiego, N. Sądka, Czesława Straszewicza, Tymona Terleckiego, Wiesława Wohnouta i Karola Zbyszewskiego.

Tablica 6.

Literatura piękna. Poezja Emigracyjna.

| | | |
|----------------------------|---|---|
| 1. Wierzyński | 8 | 4 |
| 2. Baliński | 5 | 2 |
| 3. Iwaniuk | 5 | 3 |
| 4. Czuchnowski | 3 | 1 |
| 5. Hemar | 3 | — |
| 6. Antologia Grydzewskiego | 3 | 3 |

UWAGA OGÓLNA: na poczytności stosunkowo łatwiej dostępnych książek emigracyjnych odbija się w wysokim stopniu data wydania. W maju 1960, a więc w trzy miesiące po zebraniu opracowanych wyżej wyników w kartotece zamówień na „nowości”, których czytelnicy nie znaleźli na półkach, figurowali: Pawlikowski, 18 zamówień, Herling-Grudziński („Skrzydła ołtarza”) — 8, Irena Bączkowska — 10, H. Guilley-Chmielewska — 8, Miłosz („Rodzinna Europa”) — 7, „Kwiatuszki administracyjne” Składkowskiego — 3. Dla pełni obrazu dodać należy, że każda z tych książek znajduje się w Bibliotece w 6-10 egzemplarzach krążących już między czytelnikami. Oznacza to równocześnie, że gdyby w połowie maja 1960 można było postawić na półce w sobotę rano 20 oprawnych egzemplarzy każdej z tych książek, w poniedziałek uformowałyby się nowa kolejka; — czytelnicy wypełniają bowiem raczej niechętnie kartki z zamówieniami, sięgając po łatwiej dostępne książki na półkach. Ogromny wpływ na poczytność książek emigracyjnych mają ponadto nie tylko recenzje (— a jest ich zdecydowanie za mało —) ale najdrobniejsze nawet wzmianki czy ogłoszenia. Zjawiskiem stałym, dającym się szczególnie we znaki pracownikom biblioteki jest upominanie się o książki zapowiedziane w ogłoszeniach w „Kulturze” albo ulotkach „Veritasu”, księgarni B. Swiderskiego, „Libelli”. („Mówi pani, że jeszcze nie wyszła, a ja widziałem ogłoszenie”). Zdarzył się nawet czytelnik, który zapewniał, że dał kuzynce na imieniny czerwono oprawną i pięknie ilustrowaną „Panią Helenę” Tymona Terleckiego (zapowiadaną od dwu lat przez „Veritas”).

Tablica 7.

Literatura piękna. Przekłady z języków obcych.

| Ogółem wypożyczono 1936 | | W tym „młodzi” 284 |
|-------------------------|----|--------------------|
| 1. Lew Tolstoj | 41 | 11 |
| 2. Cronin | 33 | 9 |
| 3. Mauriac | 28 | 13 |
| 4. Feuchtwanger | 26 | 10 |
| 5. Zola | 26 | 15 |
| 6. Greene Graham | 25 | 8 |
| 7. Undset | 24 | 9 |
| 8. Mann T. | 23 | 12 |
| 9. Dumas | 22 | 11 |
| 10. Balzac | 20 | 9 |
| 11. Hugo | 18 | 9 |
| 12. Stendhal | 18 | 7 |
| 13. Steinbeck | 18 | 10 |
| 14. Conrad | 17 | 12 |
| 15. Hemingway | 17 | 5 |
| 16. Pasternak | 16 | 11 |
| 17. London | 16 | 5 |
| 18. Turgeniew | 14 | 9 |
| 19. Christie | 14 | — |
| 20. Huxley | 14 | 2 |
| 21. Zweig Arn. | 13 | 5 |
| 22. Camus | 13 | 10 |
| 23. Sagan | 13 | 11 |
| 24. Maupassant | 13 | 10 |
| 25. Curwood | 13 | 2 |
| 26. Chesterton | 12 | 1 |
| 27. Wells | 12 | — |
| 28. Baum V. | 11 | 6 |
| 29. Buck P. | 11 | 2 |
| 30. Doyle C. | 10 | — |
| 31. Werfel | 10 | 3 |
| 32. Maurois | 10 | 6 |
| 33. Dostojewskij | 9 | 8 |
| 34. Flaubert | 9 | 7 |

Stosunkowo niska poczytność Pasternaka jest zdecydowanie pozorna — tłumaczy się niedostateczną ilością egzemplarzy znajdujących się w obiegu i stosunkowo powolnym posuwaniem się „kolejki”. W lutym 43 czytelników czekało na „Dra Ziwago”, a w połowie maja — 35. Z książek nieosiągalnych w języku polskim najwyższa jest imaginacyjna poczytność niewydanych dotąd przekładów „Lolity”, „Il Gattopardo”, — a także „The Long Walk” Sławomira Rawicza i „Ósmego dnia tygodnia” Hłaski (w wyd. książkowym). Upominają się o nie stałe zarówno czytelnicy emigracyjni jak i przybysze z Kraju.

Tablica 8.

Książki naukowe i popularno-naukowe (łącznie z biografiami i pamiętnikami)
(Według klasyfikacji dziesiętnej Dewey'a)

Ogółem wypożyczono 708

W tym „młodzi” 311

| | | | |
|---|-----|----|--|
| 0. Bibliografia | 2 | — | |
| 1. Filozofia | 18 | 9 | (pisma Platona, Descartes'a, Kanta, Hegla; hist. filoz. Tatarzewicza, książki Tad. Kotarbińskiego) (Daniel-Rops, Chesterton) |
| 2. Religia | 23 | 3 | (historia gospodarcza Polski; książki pomocnicze dla nauczycieli z zakresu pedag.) |
| 3. Socjologia, nauki polit. i ekonom., pedagogika) | 43 | 17 | (słowniki techniczne; podręczniki do nauki jęz. polskiego dla cudzoziemców, pożyczane dla znajomych Angielek, narzeczonych, żon) |
| 4. Językoznawstwo | 44 | 37 | (prace matematyczne W. Sierpińskiego, Leji etc.) |
| 5. Nauki ścisłe | 24 | 22 | („Młodzi” pożyczają rzadko podręczniki techniczne w jęz. polskim; wypożyczyli natomiast 487 w jęz. angielskim) |
| 6. Nauki techniczne | 61 | 7 | (książki o sztuce ludowej, sztuce stosowanej, architekturze polskiej nadto duże zainteresowanie czasopismami artystycznymi polskimi („Projekt”, „Polska Sztuka Ludowa”, Biul. Historii Sztuki” itp.) |
| 7. Sztuka | 43 | 36 | (Podręczniki; Wyka „Rzecz wyobraźni, Przyboś „Linia i gwar” itp.) |
| 8. Literatura (historia i teoria) | 85 | 60 | |
| 9. a) Geografia, opisy podróży | 66 | 7 | |
| b) Biografie i pamiętniki (z wyjątkiem dotyczących wojny, okupacji, obozów) | 107 | 31 | („Młodzi” wypożyczają książki o teatrze, muzykach (Chopinie), artystach malarzach (Gauguin, Van Gogh) — czasem życiorysy postaci historycznych: królów, polityków) |
| c) dotyczące wojny | 130 | 62 | (Zastanawiająco wysoka poczytność książek o II wojnie światowej, powstaniu warszawskim, obozach; wypożyczane są często dla przybyłych z Kraju). |
| d) Historia | 82 | 20 | (głównie podręczniki: Halecki, Konepczyński, Kukiel) |

WNIOSKI

Sąd nad upodobaniami czytelniczymi jest dla piszących te słowa niejako sądem nad sobą, gdyż na personelu Biblioteki ciąży w wysokim stopniu odpowiedzialność za dobór książek

i formy ich udostępnienia. Lepsze warunki lokalowe wpłynęły by niewątpliwie na ożywienie zasobów uspiionych w magazynach rezerwowych. Dodatkowy pokój umożliwił by uruchomienie bardzo potrzebnej i ważnej biblioteki dla dzieci, korzystających obecnie z mikroskopijnego kącika. Większy budżet dałby możliwość zakupienia dodatkowych egzemplarzy książek bardzo pożytecznych. Byłoby także wskazane przywrócenie istniejącego dawniej działu wybranych starannie „nowości” angielskich, francuskich, niemieckich itd. z myślą o ułatwieniu kontaktu z żywą myślą Zachodu i pamięcią o tym, że książki *najnowsze* zwłaszcza nie wydane w Anglii docierają z opóźnieniem do angielskich bibliotek publicznych i wypożyczanie ich nasuwa pewne trudności.

Dane statystyczne z kilku ostatnich lat pozwalają na wysnucie pewnych optymistycznych wniosków. W przeciwieństwie do bibliotek angielskich podcinanych przez telewizję i prasę popularną, ilość wypożyczeń nie spada, a jakoś wykazuje poprawę zwłaszcza na odcinku czytelnictwa książek naukowych i nie-beletrystycznych, które stanowią obecnie ponad 30% wypożyczeń.

Na odcinku beletrystyki, przy dużej rozpiętości upodobań, zastanawia w zakresie klasyków bezapelacyjny triumf Kraszewskiego i Rodziewiczówny, świadczący o tendencji do wyboru lektury łatwej, „statycznej”, nie wymagającej wielkiego wysiłku umysłowego, i w poczuciu wielu osób wolnej od niebezpiecznych „miazmatów”. Zastanawia także poczytność Dobraczyńskiego, nie poparta ani odczytami czy artykułami o tym pisarzu, ani zachętami ze strony bibliotekarek, gdyż nie ma wśród nich wielbicielek tego pisarza.

Nie wydaje się jednak, by czytelnicy polscy w W. Brytanii zasługiwali na ryczałtowe zaliczenie do kategorii zrezygnowanych z poszukiwania nowych nazwisk czy nowych prądów w literaturze. Świadczy o tym, np. duża poczytność Miłosza czy A. Bobkowskiego (4), których książki są ponadto szeroko rozpowszechniane przez pożyczanie własnych egzemplarzy — a także, co nie znalazło wyrazu w tablicach duża poczytność czasopism literackich emigracyjnych i krajowych, której polem jest czytelnia Biblioteki. Tam także skupia się czytelnictwo poezji: teraz właśnie „grzebią się” w dziale poezji Adam Czerniawski i G. Gömöri, jeden z najsympatyczniejszych czytelników Biblioteki, student-Węgier, piszący pracę dyplomową o najnowszej poezji polskiej.

Upodobania czytelnicze Londynu odzwierciedlają typowe nie tylko dla środowiska emigracyjnego postawy życiowe 1) bierną i eskapistyczną, szukającą w lekturze oderwania się od rzeczywistości i swoistego odurzenia, — 2) śmiałą i buntowniczą, domagającą się nowych oświeleń, interesującą się eksperymentami formalnymi, skłaniającą do dyskusji i własnych prze-

(4) W okresie wcześniejszym, po ukazaniu się „Szkiców piórkiem”.

myśleń. Błędem byłoby jednak wiązanie tych postaw z określonymi grupami wieku; znaczny procent młodych sięga chętnie po literaturę łatwą i nijaką.

Obie postawy łączy decyzja czytania po polsku, przybierająca często, zwłaszcza u starszych i odciętych do środowisk polskich, „latarników” z głębokiej prowincji, formy desperackiej ucieczki przed rzeczywistością w oparciu o lekturę jakiegokolwiek książki, byle — polskiej. Specyficzną formą lektury, nieznaną społeczeństwu angielskiemu czy francuskiemu, jest książka spełniająca najdosłowniej rolę lekarstwa uśmierzającego — lub podniecającego nostalgię. Dotyczy to zwłaszcza osób starszych. Upodobania „młodych” sięgających po książki „potrzebne”, — podręczniki, pomoce do pracy zawodowej, lekturę według własnego, niedyktowanego przez starszych wyboru — są raczej typowe dla odpowiednich grup wieku w Anglii — i bardzo nieromantycznie normalne.

Maria DANILEWICZOWA i Zofia WILCZYŃSKA

14 maja 1960.

AMERYKA-ECHO

Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$8.00, w Europie \$9.00, w Ameryce Południowej \$6.50 (ze względu na niski kurs miejscowych walut w stosunku do dolara), w Australii \$9.00.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych

— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.

Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:

AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue

Toledo 7, Ohio

U. S. A.

Dwanaście lat

Domek był na przedmieściu. Wybudowany na skarpie wydawał się odległy od ulicy. Kręte, malownicze, kamienne schodki wspiwały się niemal poziomo. Listonosz zostawiał pocztę w podłużnej skrzynce na ulicy, u podnóża skarpy. Ewa wiedziała o której godzinie przychodził i gdy spóźniał się zastygła w oknie. To były chwile oczekiwania. Jeśli dzieci przeszkadzały jej wtedy, wpadała w złość. Czy nie dość mają miejsca na trawniku? Czy nie mogą pobiec do sąsiadów? Nawet najmłodszy Mathew, łobuzował się już z dziećmi w sąsiednich ogródkach.

— Zostawcie mnie w spokoju! Idźcie gdzieś! No przecież dość jest miejsca, nie? Mamusia czeka na list od babuni!

Na co ja czekam? — myślała. No przecież na list od matki. Na co ja czekam? Było po jedenastej. O tej porze zwykle przychodził listonosz. Ewa odeszła od okna. Otworzyła drzwi do oszklonej werandy. Rozrzucone na kamiennej posadzce zabawki. Schyliła się, aby podnieść.

— Nie mogę! — krzyknęła — Nie mogę! W ostatnim miesiącu ciąży nie mogę się schylić. Wszystko mnie boli.

Poprzez okna werandy widać było ulicę. Leżała w dole — białą wąż pełznący, wydawałoby się, po wierzchołkach drzew.

Lubię te drzewa. Mamusi będzie się tu podobało. Dlaczego ten listonosz jeszcze nie przychodzi? Może coś się stało?

Nagły ucisk pod żebrami, serce stuka gwałtownie. Idziel Z daleka szara, płaska czapka, szara koszula z czarnym krawatem. Ewa podnosi opadające poły szlafroka. Biegnie niecierpliwie w kierunku schodków. Pnąca róża owijająca płot czepia się rękawów.

— Momy!

— Maciusiu, mamusia zaraz przyjdzie! Maciusiu nie schodź!

— Momy!

— Chodź, do cholery, chodź, trzymaj się mnie. Rozumiesz? Trzymaj się mnie!

Jeśli upadnę teraz, to poronię i Wojtek nie zdąży przyjechać z biura.

— Ostrożnie! Ostrożnie!

— *Good morning Mrs.*

— *Good morning.* Czy ma pan list dla mnie? Nie, nie ten! *Air mail from Poland!*

— Nie mam listu z Polski. *Sorry*, może jutro.

— Na pewno pan nie ma?

Listonosz przegląda jeszcze raz plik listów trzymany w ręku.

— Momy! Momy!

— Cicho synku.

— Momy!

— Przecież widzisz, że nie mogę cię wziąć na ręce... przecież widzisz!

Ewa wchodzi wolno po schodach. Listonosz spogląda za nią. Stoi przez chwilę oparty o zaparkowany przy chodniku samochód. Kręci głową, odchodzi. Szlafrok wlecze się po schodach. Mathew uczipiony ręki Ewy.

— *A drink of water.*

Ewa odtrąca nogą porzuconą lalkę, przechodzi przez pokój do kuchni, otwiera lodówkę.

— Może zjesz zupki?

— *A drink of water!*

Nalewa do szklanki sok pomarańczowy.

— Masz!

Stawia karton z sokiem na kuchennym kontuarze. Pusta szklanka w ręce. Napiję się soku pomarańczowego. Powinno pić sok pomarańczowy. I nagle zaczynają jej drgać usta, trudno opanować to drzenie.

— Maciuś!

Mathew zniknął już. Kołyszą się jeszcze drzwi kuchenne od ogrodu pchnięte jego opaloną rączką. Na kolorowym linoleum, żółta kałuża pomarańczowego soku. Ewa czuje płacz w gardle. Nie było listu. Więc pewnie coś się stało. Tam coś się stało! Na pewno coś się stało!

Pokój podzielony jest oszklonymi drzwiami na część jadalną i *sitting room*. Przez okna jadalni widać ulicę. Ewa rozchyła firankę. Gdyby rano mogło się powtórzyć! Jeszcze raz cofnąć listonosza do dalekiej kępy drzew na zakręcie, śledzić jego kroki, powiększanie się szarej czapki, w piersiach ucisk bolesny i słodki,

skrócenie oddechu, oczekiwanie. Na co ja czekam? Na co ja czekałam? Na co ja tak czekałam? Ach na to. Na list od Wojtka. Dwanaście lat temu.

Sitting room jest ciemnawy. Stoi w nim mocno zużyta kanapa i fotele, które Wojtek obił materiałem, ale dzieci pobrudziły na nowo. Na środku podłogi porzucona skarpetka. Ewa schyla się i podnosi ją.

— To skarpetka Ani — myśli.

Wyprostowuje się ciężko, z wysiłkiem.

Kiedy spodziewałam się Ani czułam się lepiej, to czwarte dziecko noszę z trudem. Dlaczego nie było listu? W ostatniej chwili wstrzymali jej wizę? Z kim ja zostawię dzieci, jak pójdę do szpitala? Z Betty? Najlepiej z Betty, zapłacę jej. A jeżeli coś się stało? Jeżeli na przykład umarła? Ewa czuje jak nogi uginają się pod nią... nogi mdleją. Siada na kanapie. Na przeciwległej ścianie półka z książkami, ponad nią pusty, jasno zielony mur.

Wojtek nigdy nie powiesi tych obrazków! Nigdy! Mieszkamy jak dziady. Puste ściany, podłogi nie wypastowane. Jak ja mogę teraz pastować? Co tam się stało? Moja matka nigdy nie zobaczy moich dzieci!

Dygocącą ręką Ewa chwyta słuchawkę telefonu.

— *City Electric Company. May I help you?*

— *Extension 749* — mówi Ewa — *Please!*

— *Extension 749* zajęte. Czy pani zaczeka?

— Zaczekam.

— Momy!

— Teraz-żeście przyszli! Teraz! Maciusiu, gdzie-żeś się tak wybrudził? I rozbił kolano! Jezus, Maria! Nie płacz! Aniu! Aniu!

— Tu inżynier Żuławski. Hallo? Hallo?

— Wojtek!

— Momy! Momy!

Ewa przygarnia jedną ręką syna, w drugiej ręce dygocę słuchawka.

— Ewo, co się stało? Prędko, nie mam czasu!

Ania wślizgnęła się poprzez drzwi werandy, wciska jasną główkę pod pachę Ewy.

— Będzie mówić do tatusia!

— Nie będzie! Teraz mamusia mówi z tatusiem. Wojtek! Wojtek! Ja się strasznie źle czuję... okropnie...

— Masz bóle? Ewo! Ewo! Dlaczego tak dziwnie mówisz?

— Bo nie włożyłam szczeni. Wojtek...

Wojtek Żuławski zatrzymał samochód na czerwonych światłach. W południe ruch w mieście wzrasta. Potężne ciężarów-

ki zatarasowują przejazd. Żółte, brzuchate autobusy niby leniwe, grube robaki posapują ospale, ich trujący odór przenika ściany samochodu. Wojtek nie lubi miasta, nie lubi tego miasta i myśli, że osiadł tu na stałe. Przeszło rok temu zerwał z prezesem. Tak oto skończyły się marzenia o polityce. Czy można wyżyć z niepewnego stypendium Free Europe z czworgiem dzieci? Czy można pozwolić, aby Ewa sprzedawała wieczorami encyklopedie chodząc od domu do domu? No dobrze, zgodził się, ale czy ona, Ewa, myśli, że łatwo mu było odejść od Stronnictwa, jakby odwrócić się na pięcie i powiedzieć „good bye” do tylu lat pracy, powiedzieć „good bye” do siebie samego Wojtka-marzyciela, idealisty, skoczka spadochronowego, prawej ręki prezesa? Gdyby nie to czy w ogóle poznałby Ewę? Czy zdecydowałaby się wyjść za niego za mąż?

Ewa ciągnie opierającego się Mathew na górę do łazienki. Krwawi rozcięte kolanko. Chłopiec boi się się jodyny. Wielkie łzy kapią z ciemnych oczu, a Ewę rozczula i irytuje ten strach.

— Nie płacz kotusiu, nic nie będzie bolało.

— *No momy, no! No!*

— Nie drżj się bachorze! Gdzie-żeś kolano rozwalił?

— *He was riding the bike!*

To Helenka. Trójkątna buzia w otwartych drzwiach łazienki. Na wpół tylko, ostrożnie wychylone ciało gotowe w każdej chwili do ucieczki. Za nią — Ania wyprostowana, pewna siebie. Ta jodyna nie dla niej! Zresztą w każdej chwili czmychnie. Ewa obmywa kolano. Palce są tkliwe, ale usta drgają niecierpliwie. Ciało jest matczyną tkliwością, a usta jeszcze Ewą, okaleczoną, biedną, bezzębną Ewą. W szklance moczy się sztuczna szczęka.

Stało się to wkrótce po urodzeniu się Helenki. Zębów nie można było już uratować. Pewnie była w tym wina Ewy, że zaniedbała, ale zawsze było coś ważniejszego niż dentysta i ten ciągły brak pieniędzy. Dentysta, który stwierdził, że zęby są stracone musiał ją długo pocieszać.

— Jakto stracone jeżeli jeszcze są?

— Ale zainfekowane, gdyby przyszła pani rok temu...

Ewa płakała. Niech pani nie płacze — pocieszał dentysta — Marylyn Monroe też ma sztuczną szczękę.

— Gdybym wiedziała, że będę miała sztuczną szczękę, gdybym wiedziała dawniej, wolałabym nie żyć!

— O, wielka rzecz sztuczna szczęka! — pocieszał Wojtek.

— Nie udawaj, nie staraj się mnie pocieszyć!

— Nie ty jedna...

— Ale ja jestem jedna dla mnie samej. Gdyby były pieniądze na dentystę...

— Znalazłyby się.

— Ale się nie znalazły!

— Ewo!

Ewa nie była nigdy łatwa, a w tym okresie była najtrudniejsza. Czuł, jak mu się wymykała, uciekała w głąb samej siebie, jakby szukając czegoś zupełnie nowego na własną rękę, bez niego, bez jego uczestnictwa. Wtedy właśnie uzbrojona w swoją sztuczną szczękę, która raniła jej dziąsła, odświeżona i znowu smukła powiedziała mu któregoś wieczoru, że dostała posadę.

— Jakto? — zdziwił się — Przecież ja pracuję.

— Ale nie zarabiasz wystarczająco.

— A dzieci?

— Ty zostaniesz z dziećmi. Nie martw się będę pracowała wieczorami i w nocy.

Ewa zaczęła pracować jako kelnerka w restauracji otwartej do późna w nocy. Był to okres wzmoczonej pracy w Stronnictwie. Nie mógł odejść, nie myślał jeszcze o odejściu i nie wiedział wtedy jeszcze, że wstąpił na drogę wyboru. Uległ po raz pierwszy, ale Ewa zdecydowała już wtedy.

Wojtek zaparkował samochód przed domem. Drzwiczki nie domykały się i musiał je zatrzaskiwać kilkakrotnie. Wnętrze samochodu było zrujnowane: naddarte siedzenia, stary dziecięcy bucik na poplamionym dywaniku, podarta gazeta, zmięty płaszcz deszczowy.

Pomyślał: Trzeba go wyczyścić przed przyjazdem matki Ewy, nie mogę jej wprowadzić do takiego bałaganu.

Po namyśle wyjął płaszcz deszczowy, ale natychmiast przypomniał sobie dlaczego przyjechał do domu o tak niezwykłej porze, odrzucił płaszcz i nie zatrzaskawszy drzwiczek pobiegł schodkami na górę. Zadyszał się, przystanął. W krzyżu poczuł przykry ból, który dawał o sobie znać przy zdenerwowaniu i zmęczeniu.

— Cholera — zaklął cicho. — Co zrobić z dziećmi? A może ona już... może ona...

Wpadł półprzytomny przez uchylone drzwi werandy do pokoju.

— Ewo!

Zanim usłyszał jej głos, zobaczył ją. Stała przy kontuarze kuchennym. Obierała kartofle. Brązowe wężyki obieżyn spadały do papierowej torby.

— Tu jestem.

Podszedł bliżej i zobaczył, że Ewa płacze.

— Zostaw to — powiedział wyjmując jej nóż z ręki — połóż się i... jak? I... czy?

— To nie... to nie to...

Myła ręce nad zlewem. Oparty o lodówkę przyglądał jej się. Była bardzo mizerna. Gdybym mógł jej pomóc! — pomyślał.

— Gdzie dzieci? — zapytał głośno.

Wskazała ręką ogródek. Niewyraźny, zmęczony gest.

— Chodź, zaraz połóż się, zostanę.

Usiadła obok niego w *sitting-room*'ie na kanapie. Głowa opuszczona, przydeptane poły szlafroka, kłósała się w tył i do przodu obejmując ramionami kolana.

— Wojtek, tam się coś stało.

— Gdzie?

— W Warszawie.

— W Warszawie? Co?

— Tam z mamą, albo z ojcem.

— Pisała?

Ewa poderwała się. Stała na wprost niego zapłakana z boleśnie skrzywionymi wargami.

— Właśnie, że nie pisała. Nie było listu.

— I o to płaczesz? — Sięgnął do kieszeni po papierosa. Odetchnął. Ale teraz ona zaczęła oddychać gwałtownie, rumieńce na policzkach, ujęła się pod boki.

— O to właśnie, o to! — krzyknęła. — Ty się nie przejmujesz, ty masz tutaj rodzinę. Wystarczy napisać, wystarczy zatelefonować: ojciec, matka, siostra! Wszyscy!

— Ewo, nie krzycz — podniósł się i zamknął drzwi werandy.

Szła za nim z wyciągniętą ręką, piętnująco wskazując palcem.

— ...a ja nie widziałam mojej matki dwanaście lat! Nie pamiętam jak wygląda... i teraz kiedy już miała przyjechać... kiedy od trzech tygodni nie miałam listu...

— Ewo, uspokój się.

— Właśnie, że się nie uspokoję, właśnie, że się nie uspokoję!

— Ja wychodzę. Wracam do biura.

— Tak, to jest twoja odpowiedź! Wracasz do biura! Możesz pracować jako inżynier. Kto cię do tego zmusił? Kto cię do tego zmusił? Ja też jestem inżynierem, wiesz, że mnie przyjmą wszędzie z pocałowaniem ręki!

— Ewo błagam cię uspokój się. Zaskodzisz sobie, zrobisz ci kawę, połóż się!

— Ktoś idzie! — krzyknęła. — To mleczarz! Zapłać mu! Nie chcę, żeby mnie tak zobaczył.

Wojtek podszedł do drzwi. Otwierając zamek trzymał papierosa w zębach.

To nie był mleczarz. Listonosz uśmiechnął się.

— *Bye, bye* — powiedział.

— Czy to mleczarz? Powiedz mu, żeby zostawił *pint*'ę czekoladowego mleka. Wojtek stoi niezdecydowanie pomiędzy rozrzuconymi na werandzie zabawkami. Na prawo widać ustawioną na trawniku huśtawkę. Jutro zetnę trawnik — myśli.

Z daleka dochodzą pokrzykiwania dzieci. Jeśli jest coś złego w depeszy, nie dam jej! Nie powiem jej teraz nic. Nasze życie jest naszym życiem. Chcę żeby dziecko urodziło się zdrowo. Otwiera depeszę.

— Ewo! woła — Ewo! Jego głos jest miękki. Przejęty wzruszeniem opada:

— Ewo, telegram z samolotu!

— Telegram? — Ewa wyciąga rękę. Kartka depeszy drży w rękę. Czyta. Spogląda na Wojtkę, jakby nagle dostrzegła go po raz pierwszy. — Przylatuje dziś wieczór do Nowego Jorku. Czy to możliwe?

Podchodzi do Wojtkę, obejmuje go za szyję. Całuje ją delikatnie w policzek.

— Będzie tu przed pierwszą w nocy. Wyjadę na stację.

— Wyczyść samochód!

— Dobrze. Ewo, dlaczego płaczesz? Dlaczego płaczesz? Dlaczego płaczesz!

Ewa leży wyciągnięta wygodnie na łóżku. Przymknięte drzwi sypialni, zasunięta firanka. Wydaje jej się, że zagłębia się w łagodzącą miękkość pościeli, zagłębia się bez końca. Ciężar ciała odpływa, jest teraz tak lekka, jakby nie ważyła absolutnie nic. Z dołu przytłumiony głos Wojtkę. Mówi do dzieci: babunia przyjeżdża. Ewa myśli: zapomniałam powiedzieć Wojtkowi, aby położył dzieci po *lunch*'u!

— Połóż dzieci po *lunch*'u!

— Słyszę. Spij! — odkrzykuje Wojtek.

Ewa zamyka oczy. Myśli: Matka przyjeżdża... Wojtek jest dla mnie dobry... mamusia zobaczy dzieci.

Stara się przypomnieć sobie matkę. Jest taka, jak na fotografii: starannie zaondulowane włosy i twarz owalna, nieco uśmiechnięta, młoda.

Jest młoda — myśli Ewa — ale chyba teraz będzie starsza. Biedna mama co ona przeżyła! Aresztowanie ojca... sama musiała pójść do pracy... moje paczki nie wystarczały... biedna mama. Ewa płacze. Płacz jest cichy i sprawia ulgę, łyzy chłodzą gorączkę oczu i policzków. Biedna mama...

— A teraz na górę, pospać po obiedzie! — powiedział Wojtek. — Ale ci-cho, nie budźcie mamusi.

— Ci-cho... — powtórzyła Ania — ci-cho...

Wojtek wszedł ostrożnie do sypialni. Ewa spała. Leżała na wznak, głowa przechylona nieco na bok. Smuga światła przecinała policzek, załamywała się na podbródku. Podeszedł do okna i zasunął szczerzej żaluzje. Lustro komody odbijało jego pochylone nad nią plecy w białej, sportowej koszuli. Na komodzie rozerwana w pośpiechu depesza. Z sąsiedniego pokoju przyciszone głosy dzieci.

Wyjadę o dwunastej w nocy, pociąg przyjeżdża dwunasta, trzydzieści siedem... wyczyszczyć samochód... wyjadę o dwunastej.

Podeszedł do drzwi. Ewa westchnęła. Odwrócił się, spała. Zamknął za sobą drzwi. W łazience pobierał rozrzuconą dziecianną bieliznę. Mathew spał. Leżał na brzuszku, główka wtulona w poduszkę. Helenka leżała na kocu odwrócona do niego plecami. Podeszedł, zdjął jej z nóg pantofelki. Ania uniosła się:

— Tatu...

— Ci-cho...

— Tatu, kiedy babunia przyjeżdża?

— Zaśnij Aniu.

— Kiedy?

— Późno.

— Kiedy?

— Ci-cho, w nocy.

Wyjadę o dwunastej — pomyślał. Starał się stąpać ostrożnie po schodach. W domu było cicho. Wyczyszczyć samochód...

Usiadł na kanapie. Cisza domu rozleniwiała. Poczut się zmęczony. Ponad półką z książkami pusty, jasno-zielony prostokąt ściany.

Powieszę obrazki... sprzątnę pokój... później, później. Tylko na chwilę położę się... tylko na chwilę. Podsunął poduszkę pod głowę, wyciągnął nogi. Co za ulga! Tylko na kilka minut... mam czas... wyczyszczyć samochód. Co ja mam w ręku? Ach, depesza. Jeszcze raz przeczytał depeszę. Przymknął oczy, otworzył. Za oknem oplecionym dzikim winem zielony półcień. Dopiero późnym popołudniem zagląda tu słońce. Co za luksus zdrzemnąć się po *lunch*'u... tylko na chwilę, wyjadę o dwunastej

— Lieutenant Żuławski, *a telegram for you!*

— Gdzie jest telegram?

— Położyłam w pana pokoju — *landlady* spogląda na Wojtkę. — Jest późno, ale gdyby chciał pan *tea*...

— Dziękuję, jestem po kolacji.

Wojtek wbiega pośpiesznie po schodach, rozrywa depeszę. „Proszę telefonować bez względu na czas”.

Spogląda na zegarek: jest godzina dwunasta w nocy. Nie zdejmując płaszczu schodzi na dół, nakręca numer.

— Mówi porucznik Żuławski.

— Dostał pan telegram? Rano o szóstej w Ministerstwie.

— Rozkaz.

Myśli: A więc to jutro. Dziś po raz ostatni widziałem Londyn. Trzeba zapakować walizkę, zabrać najpotrzebniejsze rzeczy, trzeba zapamiętać ten miesiąc: kwiecień, rok 1943. W Londynie jest już wiosna, w Polsce potrzebny będzie zimowy płaszcz. Jadę do Polski... lecę do Polski... skaczę do Polski!

Duszo... ból w krzyżu... ucisk w krzyżu. To pas, mam załadowane pieniądze w pasie. Dwieście tysięcy dolarów. Ugniatą grube, zimowe ubranie, ciężki zimowy płaszcz... pod płaszczem naładowany walutą pas, w kieszeniach ubrania mikrofilmy.

Jest ich sześciu, stoją na lotnisku, wszyscy obładowani: pod cywilnymi płaszczami ciężkie pasy i rewolwery. Nie rozmawiają z sobą. Wiedzą. Startujemy o siódmej, w Polsce powinniśmy być o północy.

Wojtek czuje ból głowy, już przed wejściem do samolotu czuje ból głowy. Odmawia whiskey. Pozostali koledzy piją. Są bladzi i zdenerwowani. Ból głowy, męczący, mdlący ból głowy...

— Tatu...

Wojtek podrywa się. Spogląda półprzytomnie na Anię. W głowie huczący ból, ucisk w krzyżu.

— Aniu, idź do łóżeczka.

— Tatu, kiedy babunia przyjeżdża?

— W nocy.

— Kiedy?

— Aniu, idź spać, jeszcze dużo czasu.

Ania odchodzi, szczupłe nóżki wydają się nie dotykać podłogi.

— Ty spałeś? — odwraca się.

— Zasnąłem — mruczy Wojtek.

Ciekawe — myśli — dlaczego akurat teraz przypomniał mi się mój skok spadochronowy. Przechodzi do kuchni, otwiera lodówkę. Nalewa mleka do szklanki. A więc przyjazd matki Ewy zrobił i na mnie wrażenie. Przybliżył mnie do czasów odległych. Siada przy stole w stołowym pokoju. Podnosi się, sprząta talerze i filiżanki pozostałe po *lunch*'u dzieci. Zmyje naczynia — myśli — wyczyszczyć samochód. Wraca do stołu.

Zapala papierosa. Papieros nie smakuje, dokuczają ból głowy, myśli uciekają wstecz. Posiedzę kilka minut, przejdzie mi ból głowy, zabiorę się do mycia naczyń. Myśli uciekają wstecz.

Wystartowali z bazy we Włoszech, z Bari. Było ich sześciu: on skoczek polityczny i pięciu skoczków wojskowych. Siódmy był „wykidajło”, ten który nimi kierował.

Wojtek zgłosił się do służby specjalnej kierowany chęcią przygody i pragnieniem, aby czegoś dokonać. Był kurierem politycznym Polskiego Rządu w Londynie do Delegatury tego rządu funkcjonującego w podziemnej organizacji w Kraju. Stał na lotnisku w Bari myśląc tylko o jednym: zaczyna mnie boleć głowa. Podniecenie opuściło go, odmówił kieliszka whiskey którym „wykidajło” częstował skoczków.

Był chłodny, wiosenny wieczór i nad lotniskiem rozpinano się pogodne, włoskie niebo. Gdy wieczór przygasł, zmatowiało, wystartowali. Lecieli długim Liberatorem. Nikt się nie odzywał. „Wykidajło” pozwolił palić. Wojtek myślał o swojej misji do Polski. Przymykał oczy i widział Kraj: równina, idzie sam z odkrytą głową ścieżką pomiędzy polami, z daleka las pachnie cierpko niedojrzałą wiosną. Lecę już inny, bogatszy o trzy lata doświadczeń zagranicą — myślał — pierwszy kontakt w Warszawie, rozmowa z delegatem...

Nad Jugosławią dosięgły ich syreny. Reflektory krzyżowały niebo. A potem lecieli już bez ustanku ścigani dźwiękami syren alarmowych. Wojtek był spokojny, tylko ból głowy potęgował się, chwycił go mdłości. Zaczął chorować. Myślał tylko to jedno: wyskoczyć, wyskoczyć! Uciskał pas, ciężki płaszcz, dusił sweter, szarpały nim wymioty Myślał: wyskoczyć!

Było duszno, wewnątrz samolotu pulsowało przyśpieszonymi oddechami skoczków. Zbliżało się niepewne. Ktoś nerwowo zapalił papierosa, ktoś zacierał ręce, zacierał ręce od momentu wystartowania z Bari. Bał się. „Wykidajło” czekał na znak pilota. Spojrzenia skupiały się na nim. Wytrzymawał te strzały wyteżonych spojrzeń pokrywając wzruszenie półuśmiechem. Wojtek poczuł się lepiej. Nerwowe podniecenie załogi złagodziło, uspokoiło rozrywające go mdłości. Sygnał! „Wykidajło” nałożył słuchawki. Odłożył. Pochylił się. Jednym szarpnięciem dłoni otworzył wieko dziury.

Z nogami spuszczoneymi w otwór dziury, Wojtek spojrział. Ziemia wydawała się bliska. Krzyż latarek elektrycznych wskazywał pozycję. Była to zaorana polana wśród lasów. Wokół niej poszarpanym, nierównym wieńcem płonęły wsie. Odgłos karabinów maszynowych, od czasu do czasu słychać cięższe

działa. Batalion AK osłaniał zrzuty. Mieli skakać w samo serce bitwy. Siedzieli na wprost siebie po obu stronach dziury. Czekali komendy. Samolot skierował się na długie ramię świetlnego krzyża. „Wykidajło” nie odrywał oczu od świateł sygnalizujących wewnątrz samolotu. Zielone światło!

— Action station number one, GO!

Number two, GO!

Z podkurczonymi kolanami, wyprostowany, nieruchomy, skoczył. Pęd powietrza ogłuszył go.

Spadł ciężko na świeżo zaorane pole. Człowiek przybiegł zdyszany w kożusku, długich butach, maciejówce. Porwał go w ramiona. Sztywne wąsy, wilgoć cudzych łez na policzku.

— Jezusie, z nieba przyleciał do nas, z nieba!

Odpinał klamrę spadochronu. Spoza lasów słychać było wyraźnie odgłosy bitwy.

— Wojtek!

Podniósł się od stołu.

— Idę! — odkrzyknął.

Przechodząc przez kuchnię usłyszał, jak gałęzie azalii pukają w szybę.

Wyjrzał: niebo zaciągało się szarym nalotem.

— Wojtek!

Ewa stała w drzwiach sypialni.

— Zbiera się na burzę! Gdzie dzieci?

— Nie ma ich? Psiakrew, zasnąłem. O psiakrew, wymknęły się. Do burzy jeszcze daleko. Jak się czujesz? Która to godzina?

— Czwarta. Wyczyściłeś samochód? Co mamusia o nas pomyśli?

— Spałaś?

Przymknęła oczy, rzęsy rzuciły cień na policzki.

— Myślałam...

— Spałaś.

— Wojtuś! — wyciągnęła ręce. Włóż krawat.

— Położ się jeszcze.

Siadła przed toaletką.

— Boże, jak ja wyglądam! Nie patrz na mnie. Jak ja wyglądam!

— Komu chcesz się podobać?

— Ach. Zostaw, uspokój się. Idź po dzieci! Grzmiało! Słyszałeś? Idź po dzieci!

Wojtek zbiegł po schodach. Stał przed domem, rozejrzał się. Niebo falowało groźnie, wierzchołki drzew drżały, ulica biegła białym węzłem. Szedł przez trawnik rozglądając się za dziećmi.

Ewa umyła twarz w łazience. Niecierpliwie pozrzuciła nadbrudzone ręczniki. Rzuciła się na kolana i zaczęła wycierać podłogę, ręce jej drżały. Rozplakała się.

— Mamusia przyjeżdża...

Matka Ewy, Wanda Wernerowa, jechała do córki z Polski po dwunastu latach rozłąki. Była młoda jeszcze, przystojna i pełna energii. W czasie pobytu męża w więzieniu za sprawy polityczne, nauczyła się samodzielności. To nowe odnalezienie własnych wartości smakowało, tak, jakby przeżywała po raz drugi emancypację młodości. Samodzielna podróż do Ameryki, przygotowania, nowe, sprawione na ten cel, sukienki pozwalały jej jeszcze bardziej cieszyć się samą sobą. O Ewie myślała z tkliwością: dziecko. I jeszcze z pełnym podziwu przerażeniem: czwarte, spodziewa się czwartego dziecka. Uśmiechała się do siebie: czwarty wnuczek. Nie czuła się babką. Życie w niej nie ugasło jeszcze. Babka — to już spokój i beznamietność. Ale ogarniało ją także rozrzewnienie: moje wnuczki. Postanowiła, że pomoże Ewie, zajmie się domem, pokaże. Rozpierała ją energia.

Mąż po zwolnieniu z więzienia, zdziwaczał. Był kapryśny, domagał się niestannej opieki. Kochała go, ale było to już pogranicze miłości, gdyż stale trzeba się było o niej upewniać, przekonywać i nawracać, aby nabrać sił do ponownego dawania. Ten wyjazd, rozstanie konieczne, dla dziecka, w imię dziecka, przyszedł jak ulga, do której można się było przyznać tylko samej sobie. A teraz opierając głowę o wygodne siedzenie luksusowego samolotu, przyznawała się. Ewy nie mogła sobie inaczej wyobrazić, jak w dniu wyjazdu: podnieconą z rozmarzonymi oczyma, uciekającą przez granicę w nieznaną, do Wojtka.

Wojtek? — zastanowiła się. — Czy Ewa zrobiła dobrze wyjeżdżając do niego?

Ewa sprzątała *sitting-room*. Dzikie wino szarpane wiatrem, szeleściło. Wojtek przyprowadził dzieci. Siedziały na kanapie i patrzyły na telewizję. Odbiór był zły: trzaski i przerwy. Zbliżyła się burza. Wojtek przystanął w pokoju. Niósł pod pachą szczotkę, w ręku ścierkę.

— Idę wyczyścić samochód.

— Teraz? — krzyknęła Ewa. — Myślałam, że przybijesz obrazki!

— Ewo, czy to naprawdę takie ważne?

— Nieważne? — oburzyła się. — To ja przybiję! Zaraz idę po młotek i przybiję! — Podniecenie zaróżowiło jej policzki, przytłumiło brunatne plamy na skroniach.

— Zostaw, ja to zrobię. Chciałaś najpierw samochód...

— Deszcz pada! Aniu, zapal światło!

Wojtek stanął w drzwiach werandy. Oświetlony elektrycznością pokój. Bezceremonialność światła wydobywa każdy szczegół: pęknięty mur nad oknem, ale za szybą zielony szeleś, tajemnica wiatru, liści i nadciągającej burzy; kanapa, dwa fotele i półka na książki, ale buzie dziecinne, rozrzewniająca okrągłość policzków, źrenice rozszerzone. Ewa pośrodku pokoju ze ścierką w ręce. Ewa, jej oczy rozstawione szeroko, podbródek zarysowany mocno, linia szyi, w tym miejscu gdzie różowy płatek ucha rzuca na nią cień, znana na pamięć, widoczna przy zmruczeniu oczu.

— Ewo, czy nie lepiej, aby zobaczyła nasze życie takie, jakim jest.

Teraz już nic nie zmienisz, nie naprawisz.

— Z tą pustą ścianą! — Ewa załamuje ręce, jak gdyby się wahała, zastanawiała i natychmiast wykrzykuje popędliwie:

— Nie, nie!

— Momy — zawołał Mathew — *I want a candy bar!*

— *Me too!* — Helenka podniosła wąską twarzyczkę.

Ania podskoczyła na tapczanie.

— *Me too!*

— Nie ma *candy bar* przed kolacją! Wojtek! Wojtek! Wojtek! — chwyciła go za rękaw koszuli w chwili, gdy przestępował próg werandy. — Wojtek, wróć! Za chwilę lunie! Patrz! Szedł naprzód ścieżką nie odpowiadając. Widoczne z góry drzewa niby ogromne pędzle malowały horyzont.

Wiatr zatrzaskał uchylone drzwi werandy.

— O co ci właściwie chodzi?

— Jesteś na mnie zły. Tak, jesteś na mnie zły. Ale ja chcę, żeby wszystko było jak najlepiej.

— Co najlepiej?

— Wszystko — otulała wokół siebie szlafrok. — Co za wichura! Nie idź tak! Przyniosę ci płaszcz deszczowy.

— Nie potrzeba.

— Jesteś na mnie zły. Teraz kiedy mamusia przyjeżdża musieliśmy się pokłócić. Pomyśli, że nasze małżeństwo jest niedobre.

— Czy jest niedobre?

Wanda Wernerowa spacerowała po peronie oczekując na pociąg. Był spokojny, nieco wilgotny wieczór. Powietrze pachniało mokrym żelazem i spalinami. Latarnie rzucały mdłe światło na szeroki chodnik. Podróżnych było niewiele. Pora późnej wiosny nie jest jeszcze okresem wzmożonego ruchu wa-

kacyjnego. Jest to faza względnego spokoju po gorączce Świąt Wielkanocnych i przyczajenie przed szaleństwem urlopów. Wanda myślała o człowieku, który powiatał ją na lotnisku, przeprowadził przez cały labirynt kolejek podziemnych i pożegnał przed chwilą na dworcu nowojorskim. Ponieważ odlot z Polski wypadł niespodziewanie, uradziła z mężem, że nada telegram do jego dawnego znajomego przebywającego od szeregu lat w Nowym Jorku, aby pomógł jej w przejeździe z lotniska na stację. Człowieka tego pamiętała jako niezmiernie dowcipnego młodego inżyniera, który bywał w jej domu przed wojną. Z pewnym wzruszeniem malowała usta pomadką i przeglądała się w lusterku przed wyjściem z samolotu. Poczula, jak serce jej zaczyna bić żywiej, jak każdy oddech przejmował ją falami drobnych drzeń i stwierdziła z satysfakcją, że nie jest jeszcze stara, że takich uczuć nie doświadczają kobiety, których namiętność wygasła. Inżyniera poznała z trudem. Roztył się, jakby zmalął, przeplatał rozmowę gęsto językiem angielskim i początkowo niewiele na nią samą zwracał uwagę. Czuć go było przy tym rybami i ten prozaiczny i przykry zapach, ta bezosobowość powitania wygładziły prędko powstałe przy oczekiwaniu podniecenie. Dopiero, gdy usiedli nad filiżanką kawy w restauracji dworcowej, spojrział na nią z aprobatą.

— Pani zawsze taka sama, młoda...

Roześmiała się wskazując na swoje z lekka na skroniach posiwiałe włosy. Zapach ryb denerwował ją. Chciała już go o to zapytać, gdy niespodziewanie wytłumaczył jej sam. Ale przedtem jeszcze zaproponował, aby nie męczyła się, przespiała noc w Nowym Jorku, że on zaraz porozumie się telefonicznie z Wojtkiem, i że Wojtek niewątpliwie będzie tu jutro rano, aby ją zabrać samochodem do Y.

— Nie — broniła się — jadę natychmiast. Wysłałam już zresztą depezę z samolotu. Ustalili mi wszystko: odjazd pociągu z Nowego Jorku i przyjazd do Y. Będę tam po dwunastej. Niech mnie pan nie zatrzymuje — wyciągnęła do niego rękę i cofnęła zaraz.

Inżynier podchwycił ten ruch, uśmiechnął się smutno. Obok nich przesuwali się ludzie szukając wolnych stolików, inni podrywali się z miejsc, gdy megafon obwieszczał przyjazd pociągu. Odczuwało się tempo nieustannego ruchu, dążenia gdzieś, spotkań i rozstania.

— Zmieniłem się — powiedział — i czuć mnie „szrympami”.

— „Szrympami”?

— Ja zaraz pani wytłumaczę. Mój znajomy założył tu taką przetwórnię małych raczków-*shrimps*. Pomagam mu. Pracuję

dosłownie w lodówce, obieram „szrympy”. Jak tylko otrzymałem telegram, szczęście, że akurat wróciłem wprost do domu, złapałem taksówkę i, nawet nie przebierając się, na lotnisko. Co za spotkanie! Ile mi pani rzeczy przypomniała! — *Another coffees!* — zawołał do kelnerki. — Mamy czas pani Wando.

— Nie pracuje pan jako inżynier?

Spojrzał na nią z pobłażliwym uśmiechem. Jego twarz była blada, policzki obwisłe, z zatartych rysów, jakby poprzez mgłę, przeziarało podobieństwo do dawniej znanej jej twarzy.

— Kończymy się — powiedział.

— Dlaczego pan nie wraca?

— Ach, droga pani Wando, chyba nie przyjechała tu pani robić propagandę? Wracać? Gdzie? Dokąd? I to mówi pani, żona człowieka, który... Nie wracam! — trzasnęła rozpostartą dłońią w kolano — na znak protestu! Zupełnie was przerobili — dodał kręcąc głową.

— Nie mówmy o tym! — zawołała.

W tej chwili megafon ogłosił, że pociąg na który czekała zbliża się. Porwała się od stolika podniecona.

— Zaraz, zaraz — uspakajał inżynier — mamy czas.

Ale jej drżały ręce i dygotały usta. I nagle nie wiadomo dlaczego z oczu zaczęły płynąć łzy.

— Jestem wyczerpana nerwowo — szepnęła. — Proszę, niech mnie pan odprowadzi na peron i zostawi samą. Niech pan nie protestuje! Mam tylko dwie walizki. Bardzo pana proszę, bardzo pana proszę...

Szli przez poczekalnię dworcową. Pachniało tytoniem, niezamieszkałą obcością miejsc niczych. Ludzie siedzieli na drewnianych ławkach pół drzemiąc, albo czytając gazety. Minęła ich jakaś młoda elegantka i pozostała po niej smuga perfum i pudru, która przytłoczona gęstym, nagrzanym i mdlącym oparem stacji, znikła natychmiast.

Inżynier szedł obok Wandy milczący. Szeroki kapelusz na jego głowie wyglądał, jak zwiędły grzyb.

— Ile mam czasu?

— Dużo czasu.

— Ile?

— Siedemnaście minut.

— Siądźmy tu na sekundę. Niech mnie pan źle nie rozumie. Wie pan, jedna z moich znajomych jechała z Polski do córki, do Kanady. I wszystko było dobrze, całą drogę okrętem dobrze, dopiero przed wpłynięciem do portu dostała ataku nerwowego, tyle lat, pan rozumie, ludzkie nerwy... Zaraz... zaraz... ja panu jeszcze coś innego, wręcz przeciwnego... Więc płynęła okrętem też do rodziny, do Polski jedna ze znajomych i wszy-

stko było dobrze, dopiero przed samą Gdynią nie wytrzymała. Taka poważna, zrównoważona osoba. Widzi pan, ja nie mogę, ja muszę być spokojna, Ewa lada dzień, lada chwila... i nigdy bym sobie nie darowała, gdyby się stało coś jej, albo dziecku. Ją się najlepiej sama uspokoję, ja wiem, ja siebie znam. Teraz wyjdę na peron i... bardzo panu dziękuję i... a co z żoną?

— Żona w Anglii.

— Jakto?

— Ach...

— Dlaczego?

— Staram się...

— Ile mam minut?

— Jedenaście.

— Ale przecież ona, przecież pan, przecież wy nie...

— Nie, nie!

— To co na miłość boską?

— Ma pani dziesięć minut, pani Wando.

— Dziękuję panu najserdeczniej.

— Nie ma za co. Zniosę pani walizki na peron.

— Nie, nie! Już w porządku, jeszcze raz dziękuję. My się jeszcze zobaczymy?

— Naturalnie.

Inżynier zdjął kapelusz, pocałował Wandę niezręcznie w rękę i odszedł. Wanda zjechała po ruchomych schodach na peron. Łyknęła wilgotnego, przesyconego wyziewami powietrza. Było jej gorąco, odczuwała palące pragnienie. Myślała o inżynierze. Co się z nim stało? Oklapł, skapcaniał. I ten zapach ryb! Czy ja też się tak zestarzałam? A Wojtek? A Ewa? Co się mu stało, gdy spytałam dlaczego nie wraca do Kraju? Czym ja go uraziłam?

Inżynier przeszedł wolno poczekalnię, skierował się sklepionym tunelem do kolejki podziemnej.

Co się stało tej Wernerowej? — zastanawiał się. — Najwyraźniej się bała. Czy nas ktoś obserwował? Ta jej nagła histeria w restauracji! Niewątpliwie wie o tym, że jestem sekretarzem Koła i nie chciała się ze mną pokazać na peronie. No ale dlaczego zadepeszowała? — uśmiechnął się. — Ty stary dwójkarzu — szepnął do siebie — dopiero teraz zorientowałeś się, że to był haczyk. Ta jej zachęta powrotu do Kraju. Wiadomo, wszystko było z góry uplanowane. Ale rybka nie połknęła haczyka! Jakimi to drogami reżym sięga po nas. No... no, po co ona przyjechała do Ameryki? I Wernera zwolnili! Nie zwolnili go bez powodu. Agentka komunistyczna, cholera! Muszą ludzi. Co mają robić? Ale kto by się spodziewał? Taka Wańdzia Wernerowa, fertyczna kobieta, i pomyśleć, tańczyłem z nią

przed wojną, bywałem w ich domu. Wierzyć się nie chce... no, wprost wierzyć się nie chce! Ale jej zięć! No tak, zerwał z prezesem. Diabli wiedzą dlaczego zerwał. Taki porządny chłopak.

Na dworze ściemniło się zupełnie. Porywisty wiatr tłucze o ściany domu, trzask łamanych gałęzi, dzwonienie szyb. Burza. Ewa wyłączyła aparat telewizyjny. Trzeba pojechać jeszcze do „Shopping Center” po chleb — pomyślała. — Boże, co za burza!

Błyskawica przecięła niebo, jej blask padł na pokój. Helenka drżąc przytuliła się do matki. Grzmot runął nagły, bliski, dom zatrzęsł się. Ewa wybiegła na werandę. Woda spływa po szybach.

Gdzie jest Wojtek? Gdzie jest Wojtek?

— Momy! — zapłakał Mathew — Momy! *Where are you?*

Błyskawice oświetlały ogród, krzaki azalii chwiała się w nieprzytomnym, dziwacznym tańcu. Grzmot, jeden, drugi... dom kolebie się, klekocą szyby. Klocki dziecinne na werandzie rozsypały się, potoczyły, aż do nóg Ewy. Jezus, Maria — szepiała — Jezus... Maria...

Bała się burzy. Nie przyznawała się do tego nigdy, nawet przed samą sobą, ale strach był silniejszy, był poza nią, narzucał się, był, jak poryw wiatru, który zginał drzewa. Czuli się zespolona z dygocącą za oknami przyrodą. Jej głos, gdy uspakajała dzieci, był opanowany.

— Patrzcie, jak ślicznie, o, jaka piękna błyskawica. Nie trzeba się bać!

— Gdzie tata? — zapłakała Ania — gdzie tata?

Ewę porwała złość na Wojtka. Poszedł, zostawił mnie, poszedł naumyślnie. Właśnie teraz, chciał mnie ukarać. Pobiegnę do niego, pokażę mu, że się nie boję.

— Pójdę po tatusia.

— Nie! — krzyknęła Ania. — Nie idź! — uchwyciła się kurczowo jej ręki. — Nie idź! Stała przez chwilę niezdecydowana. Pochyliła się i zaczęła układać rozsypane klocki. Ten ruch uspakajał. Helenka wyciągnęła starą lalkę spod sterty pudełek z zabawkami. Ania posunęła się ostrożnie w kąt werandy.

— Patrz — zawołała. — Przyniosła do Ewy, położyła przed nią plik zmoczonych książeczek.

— Weranda przecieka — myślała głośno Ewa — chodźmy do pokoju.

— Patrz! — Patrz! — powtórzyła Ania.

Ewa spojrzała. Ania przyniosła jej polski elementarz. Okład-

ka była zupełnie zniszczona. Ewa usiadła na kanapie, rozpostarła na kolanach podłużny elementarz.

— Aniu, chodź poczytać!

— Mmm — pokręciła głową Ania. — Nie!

— Aniu!

Mathew wdrapał się na kanapę.

— *I will.*

— Maciusiu — szepnęła Ewa — dlaczego nie powiesz po polsku?

Chłopczyk wzruszył ramionami.

— Przecież wiesz, przecież rozumiesz.

Mathew uśmiechnął się. — Pierwszych słów nauczył się od dzieci sąsiadów. Nad Anią Ewa pracowała, Ania mówiła po polsku. Z Helenką było trudniej, Helenka po prostu nie chciała. A Mathew... Nazwali go Mathew, ażeby było mu łatwiej. Był to nawet pomysł Ewy, bo przecież dla nich zawsze będzie Maciusiem. Ale Maciej! Któż by wymówił: Maciej. Przecież trzeba dostosować się do warunków. Trzeba się jakoś urządzić, trzeba żyć. Trzeba nareszcie poczuć się tym, czym się jest naprawdę. Błyskawice stawały się rzadsze, grzmoty oddały się, cichły. Zastona deszczu przecierała się i widać przez nią było letni wieczór ze skrawkami niebieskości, resztkami słońca i soczystą zielenią, jakby dopiero przeciągniętą świeżym, nie obeschłym jeszcze lakierem.

Wojtek otworzył drzwiczki samochodu. Przeczekał burzę za kierownicą. Deszcz zmył kurz z emalii samochodu i wydobył jej ciemnozieloną barwę. Deszcz drobny i ciepły wisiał w powietrzu, ziemia parowała. Wojtek wyciągnął dywanik wyścielający podłogę samochodu, rzucił go na chodnik i zaczął czyścić prędkimi ruchami szczotki. Ewa zbliżyła się ku niemu, szła otulona w płaszcz deszczowy.

— Przemoczysz nogi! — krzyknął.

— Nie mamy chleba. Pojedziesz po chleb?

— Pojadę.

— Wojtusi, dlaczego uciekłeś w samą burzę?

Wzruszył ramionami.

— Nie stój tak na deszczu.

— Co robiłeś?

— Siedziałem tu sam. Miałem trochę spokoju. Myślałem.

— Denerwowałam się o ciebie.

— Naprawdę? Po tym co mi powiedziałaś myślałem, że wolałaś być sama.

— Co ja ci powiedziałam?

— Że nasze małżeństwo...

— I ty wierzysz w takie głupstwa?

— Myślałem, że może masz rację, że może rzeczywiście nie powinnaś była przyjeżdżać.

— Ach, przestań, przestań!

— Zrezygnowałem ze wszystkiego dla ciebie.

— Zrezygnowałeś?

— No powiedz, czym ja jestem?

— Jako czym jesteś? Jesteś inżynierem, pracujesz nad doktoratem, robisz karierę.

— I niczego nie dokonałem. Jako Polak...

— Wojtek, nie mów tak! Dla Polski zrobisz więcej jako Amerykanin na wysokim stanowisku.

— Co to kogo obchodzi? Może... chodźmy na górę, daj mi rękę... może...

Schodki były śliskie; z listków pnącej róży sypały się grube krople deszczu, trawnik przed domem rozmiękł.

— Dach werandy zacieka — powiedziała Ewa.

— Gdzie?

— W prawym rogu. Nie wiedziałam, dopiero Ania przyniosła mi książkę, poszłam zobaczyć, kałuża wody na posadze. Wojtuś! Ja zaraz po szpitalu, jak tylko dojdę do siebie, pójdę do pracy. Zobaczysz! W mieście zaczyna się kurs fizyki atomowej, wiesz przy uniwersytecie wieczorem. Może mamusia zostanie? Albo sprowadzimy z Niemiec jakąś starszą kobietę, Polkę, D.P., zajmie się dziećmi. To wszystko kwestia pieniędzy! Będziesz mógł jeździć na zebrania do Waszyngtonu. No powiedz coś przecież! Odezwij się!

Pociąg ruszył i natychmiast zahamował gwałtownie, aż podróżna torba Wandy Wernerowej spadła z siedzenia, a ona sama uderzyła głową o oparcie. W wagonie było gorąco. Wstała, zdjęła sweter, zachwiała się, przytrzymała się ręką o oparcie fotelu. Pociąg ruszył. Przez zapotniałą szybę widać było usuwające się zwolna latarnie. Wjechali w tunel. Spojrzała na zegarek. Było trzynaście po siódmej. Po mroku peronu, ciemności tunelu, szaroniebieski, matowy, wilgotny wieczór przypominał jej, że jest jeszcze wcześniej, że dopiero po północy zobaczy Ewę. A spotkanie wydawało się już tak bliskie. Nadejście pociągu poraziło ją niemal, wbudziło tyle uczuć! Jak gdyby to była już Ewa niecierpliwie oczekująca na peronie, nagła do pośpiechu, zazdrosna o każdą minutę przedłużającą nieznośnie dwanaście lat niewidzenia. Jak mogła wytrzymać tak długo! Jak mogła przeżyć tę rozłąkę, która teraz wydawała się nie do zniesienia.

Niebo było blade, podmalowane od spodu anemicznym błękitem, już gdzieniegdzie paliły się światła, czerwieniały re-

klamy. Przedmieścia, które mijają, były brzydkie, ciągnące się milami nierówne domki, zabudowania fabryczne, wielkie zbiorniki benzyny, cementarzystwa starych samochodów. Wanda odwróciła się od okna i zaczęła przyglądać się wagonowi. Wąskim przejściem przepychała się właśnie kobieta z poduszkami pod pachą, proponując pasażerom ich wypożyczenie. Pasażerów było niewiele. Starszy mężczyzna w binoklach o złoczonej oprawie czytał gazetę. Dziewczyna w mundurze oficera marynarki siedziała nieruchomo, z przymkniętymi oczyma. Miała krótko obcięte włosy, mocno zarysowaną brodę, przez niskie czoło i pomiędzy brwiami przebiegała pionowa zmarszczka. Westchnęła. Wanda przyglądała się jej. Dziewczyna przypominała jej Ewę. W pewnej chwili nieznajoma otworzyła oczy i napotkawszy wzrok Wandy, uśmiechnęła się.

— *I am so tired* — przeciągnęła się.

Wanda nie rozumiała dokładnie o co chodziło jej towarzysze.

— *O yes* — odpowiedziała na wszelki wypadek.

— *You don't mind, do you?* — zwróciła się do niej dziewczyna, po czym zdjęła z nóg pantofle i z westchnieniem ulgi wyciągnęła nogi na przeciwległe siedzenie.

Pociąg kołysał się łagodnie, usypiająco.

— *Would you like a piece of candy?* — zaproponowała dziewczyna.

Wanda nie rozumiała.

— *O please, do!* — dziewczyna wyciągnęła ku niej rękę z otwartą tabliczką czekolady.

— *Thank you very much.*

— *You are not an American* — zauważyła dziewczyna.

Jej uśmiechnięta, młoda twarz wydała się Wandzie niezmiernie sympatyczna. Jak moja Ewa! — pomyślała rozczulona. Moja Ewa zawsze była taka bezpośrednia. Nie jest wiele starsza od niej. Zaczęła dopatrywać się coraz większego podobieństwa pomiędzy nieznajomą, a Ewą. Ta delikatność karnacji skóry, zarys brody, te krótko obcięte niedbale, a jednak z wdziękiem zaczesane włosy. Jak moja Ewa — myślała — Jak moja Ewa.

— *You are not an American?* — powtórzyła dziewczyna.

Wanda pokręciła głową.

— *Poland.*

— *O Gosh!* — pisnęła dziewczyna — *my grandfather was from Poland.*

Wanda rozumiała. Przymknęła jednak oczy bojąc się dalszej rozmowy, która mogłaby stać się dla niej kłopotliwą. Starła się wyobrazić sobie Ewę, ale twarz i postać córki utożsa-

miały się z napotkaną dopiero dziewczyną. Do przedziału wszedł konduktor sprawdzając bilety. Gdy odszedł, Wanda usadowiła się wygodnie, oparła głowę o siedzenie i zapadła w pół-drzemkę. Myślała o Ewie.

Ewa była jedynym dzieckiem. Ojciec jej, polonista, profesor historii literatury, od najwcześniejszych lat marzył o karierze naukowej dla córki. Czytywał jej książki, kazał wsłuchiwać się w brzmienie poezji, których treść była jeszcze dla niej nieuchwytna, a gdy nauczyła się czytać dobierał jej lekturę, dyskutował i zachęcał do dyskusji. W domu Wernerów bywali ludzie ze świata naukowego, koledzy uniwersyteccy profesora, dziennikarze i literaci. Na imieniny ojca i matki urządzano wielkie przyjęcia, stoły i kredensy zastawione były kwiatami. Na każde święta rozsuwano długi stół w jadalni i zawsze było za mało miejsca dla przyjaciół, albo niespodziewanych gości. Ewa wychowywała się i wzrastała w otoczeniu, w którym nauka, stopień naukowy, pozycja w świecie były rzeczami niemal tak niezbędnymi do życia, jak tlen. Dopatrywano się też w niej od najwcześniejszych lat zdolności.

Profesor wierzył, że Ewa dokona tego czego on sam zawsze pragnął: napisze jakieś dzieło, pracę o wszechświatowym rozgłosie, poświęci się literaturze czy historii, zapoczątkuje nowy ruch, wniesie świeży powiew do nauki, stanie się prekursorem nieznanych dotąd idei. Ewa interesowała się książkami, umiała układać naiwne wierszyki, ale w miarę rozwoju i nauki w szkole zaczęła zdradzać zdolności matematyczno-fizyczne. Profesor z wolna pogodził się z odmiennymi zamiłowaniem córki. Nie dokona niczego na polu humanistycznym — mawiał — ale za to wybije się i pokaże co potrafi w innej dziedzinie. Ewa miała umysł trzeźwy, lubiła nauki ścisłe, a literaturę zajmowała się tylko ze względu na ojca. Postanowiła studiować fizykę. Po wybuchu wojny jednak zmieniła zdanie i zapisała się na komplety chemii na uniwersytecie podziemnym. Trzeźwość, zamiłowanie do nauk ścisłych odziedziczyła Ewa po matce. Wanda Wernerowa była przeciwieństwem męża. Skrupulatna, drobiazgowo i trzeźwo marzyła również o karierze dla córki, ale innej niż osiągnięcia naukowe.

Ewa była jedynaczką rozpieszczoną. Najpierw cudownym dzieckiem, potem wybitnie zdolną uczennicą, jeszcze później doskonale zapowiadającą się studentką chemii. Jej delikatna, dziewczęca uroda podbijała serca, jej humor i bezpośredniość zdobywały jej przyjaciół. Była zawsze otoczona i podziwiana. Jej najpierwszą młodość upływała w czasie wojny, pod okupacją, w tej specyficznej atmosferze ogólnego zbliżenia, wieczorów przy świecy, bliskości śmierci i lekceważenia życia, romantycz-

ných marzeń o poświęceniu, bohaterstwie i miłości. Wszystko otoczone było mgłą tajemnicy. Zakazane smakowało najwięcej. W późne wieczory czytywano komunikaty radiowe z zachodniego frontu. Za każdym zakrętem, na każdym rogu ulicy czaiło się niebezpieczeństwo. Każdy dzień zyskany był zdobyczą bezcenną, utrzymaniem balansu na granicy życia i śmierci. Wystrzona wyobraźnia stwarzała bohaterów. I właśnie wtedy, któregoś wieczora, przy zasłoniętych czarnym papierem oknach, w nierównym świetle karbidowej lampki rzucającej zmienne, fantastyczne cienie na stół, na pokój, na rozgrzane wiosną i wyścienzone okupacyjnym życiem twarze ludzi — zjawił się Wojtek.

— Wojtuś! Spójrz, jak się ślicznie rozpogodziło po deszczu. Trawnik jakby jeszcze bardziej pozieleniał! — Ewa stała w drzwiach kuchennych ubrana i uczesana. Sztuczna szczeka zmieniła nieco układ jej ust. Jej twarz była w słońcu, na rękach leżał cień. Cienie uspokojonych gałęzi rysowały chodnik.

— Jak ty bardzo zależysz od przyrody. Nie potrafisz zapanować nad sobą.

— Czuję się taka spokojna.

— I płaczesz...

— Jest mi tak dziwnie dobrze, dobrze i jasno, ale na granicy smutku, aż się boję.

— Czego?

— Nie wiem. Krzyżują się we mnie dziwne uczucia. Żal mi chwil, które mijają i wydają mi się, że na coś czekam, a wiem, że tak nie trzeba. Chodź, usiądźmy w *sitting room*'ie, nastawiłam pieczeń, o dziewiątej wykapiemy dzieci i...

— Ewo, nie powiesiłem obrazków... ale zaraz, zaraz...

— To nie ważne... Czy... chciałbyś, żeby to był chłopiec?

Sitting room rozjaśniał się dopiero o zachodzie słońca. Światło poprzez zielone liście wina sączyło się bogate, stłumione, niby w pół-szeptcie.

— Muszę jechać po chleb! Wiesz, że mi wszystko jedno, chodzi mi o ciebie. Jak ty ładnie wyglądasz.

— Pytałeś mnie czy spałam. Myślałam. Wiesz, przypominało mi się... przypomniał mi się ten wieczór, gdy przyjechałeś. Dziwne, wiedziałam, że coś się stanie. Wtedy wiedziałam na pewno. Powiedz, co myślałeś wtedy, gdy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy? Jakie zrobiłam na tobie wrażenie... jakie?

— Ogromne.

— A jednak żałujesz...

— Nie!

— Żałujesz, bo tamto było dla ciebie wszystkim.

— Stronictwo?

— Tak.

— Nie, to nie to. Ciężko mi żegnać się z tą częścią samego siebie, która wydawała się wszystkim.

— Jak ja wyglądam?

— Ślicznie.

— Czy może lepiej, abym włożyła niebieską bluzkę?

— Nie, tak jest dobrze.

— Widzisz, mamusia... A może trzeba było, ażebyś pojechał do Nowego Jorku?

— Tak...

— Może trzeba było, abyś pojechał do Nowego Jorku!

— Ach tak... przez chwilę zapomniałem. Przepraszam cię, zupełnie zapomniałem.

— Jako?

— Zamyśliłem się, wiesz...

— Zapomniałeś?

— Myślałem o tobie. Może nie powinnaś była przyjeżdżać.

— Ach więc żałujesz!

— Ewo, kochanie, nie nie, nie odchodź! Poczekaj! Ja tylko myślałem, że może nie jesteś szczęśliwa.

— Jestem.

— Powiedz to jeszcze raz.

— Jestem.

— Jak bardzo?

— Tak bardzo, tak bardzo, tak bardzo...

Wanda Wernerowa wstrząsnęła się. Pociąg stał na jakiejś dużej, ruchliwej stacji. Ludzie rozmawiali głośno na peronie. Spojrzała przerażona na zegarek. Jedenasta. To jeszcze nie tu! Nie tu? Nie dowierzała zegarkowi. Poczęła ściągać w pośpiechu walizki z bagażnika. Dziewczyna w mundurze odwróciła się od okna.

— *May I help you?* — spytała.

— Czy to stacja Y? — krzyknęła Wanda. — Czy to Y? — powtórzyła.

— Ach nie — uspokoiła ją dziewczyna. — Ja też tam wysiadam. Mamy jeszcze godzinę czasu.

Wanda usiadła. Zadyszana, oddychała prędko.

— O mój Boże spałam, o mój Boże, zasnęłam!

Pociąg ruszył, minęli oświetlone zegary stacyjne wskazujące kilka minut po jedenastej. Znów wjechali w tunel. Wanda chwyciła powietrze z trudem. Twarz jej pałała, przez ciało przepływały fale dreszczów. Było jej duszno. Wydawało jej się, że za chwilę w tym przegrzanym, mimo później pory wiosen-

nej wagonie, zabraknie tlenu, a kleista ciemność tunelu potęgowała jeszcze to uczucie. Odetchnęła głęboko, gdy pociąg wyjechał na otwartą przestrzeń. Była jasna, pogodna noc. W świetle księżycy, pod niebem osypanym gwiazdami krajobraz wydawał się jakby nie rzeczywisty, niezwykle uroczy i urozmaicony. Miejscowość była górzysta, o licznych tu i ówdzie rozrzuconych jeziorkach. To znów droga zwięzła się i widać było ścianę lasu obrastającą wysoki, skalisty zrab po obu stronach szyn kolejowych. Po takim skalistym korytarzu otwierała się nagle dolina z miasteczkami podobnymi z daleka do dzieciennych, równiutko ułożonych zabawek. I znów narastały góry czarne od lasów, posępne olbrzymy z głowami wciśniętymi w ramiona. Pociąg biegł teraz lekko, bezszelestnie, jak gdyby nastrojał się do otoczenia, jego uśpionej ciszy, jego czarodziej-skiej nierealności, przedpółnocnego zadumania przyrody, która, wydawałoby się nieruchoma, nabierała tylko oddechu, przeobrażała się, ginęła i poczynała samotnie i w ukryciu przed ciekawym okiem dnia.

— O której powinniście tu być — spytała Ewa.

— Myślę, że kilka minut po pierwszej, nie później.

Rozmawiali szeptem. Dzieci nie spały jeszcze, kręciły się podniecone w łóżeckach.

— Maciuś już śpi, Helenka zaśnie, ale Ania rozumie najwięcej i strasznie jest przejęta.

— Zaśnie — uspakajał Wojtek.

— Pieczeń będzie bardzo dobra. Kupiłeś wino?

— Nie pamiętam, aby twoja matka piła...

— Ale wino powinno być w domu. Nie pomyślałeś o kwiatkach!

— Przecież nie będę na nią czekał z kwiatami na dworcu!

— Właściwie...

— Czy nie wystarczą te róże z ogródka w wazonie?

— Muszę wyprasować serwetę!

— Ewo, o tej porze? Daj, ja ci wyprasuję! Nie dźwigaj deski!

— Wojtuś, jedź już! Spóźnisz się!

— Mam dużo czasu.

— Ale pociąg może przyjść wcześniej, może ci opona trzasnąć w drodze... Wojtek rozkładał deskę do prasowania w stołowym pokoju. W otwartych drzwiach do kuchni majaczył biały prostokąt lodówki. Ania przeskoczyła smugę księżycowego światła padającą poprzez okno kuchenne na linoleum i stała boso, skryta za lodówką. Ewa wyglądała fałdy nakrycia kanapy w *sitting room*'ie.

— Tatu... — szepnęła Ania — tatu...

— Aniu! No co ty tu robisz!

— Tatu, czy babunia już jest?

— Aniu! — zawołała Ewa — włóż szlafroczek, chodź, zakręć ci papiloty.

— *Oh boy!* — ucieszyła się Ania.

— Wojtek, błagam cię, jedź! Zostaw wszystko! Mnie się nic nie stanie, nie prasuj tej serwety! Błagam cię, proszę cię jedź! Spóźnisz się!

— Czy ci coś jeszcze potrzeba?

— Nic! Jedź!

— Do widzenia.

— Wojtek!

Wojtek podchodzi do Ewy. Ewa krząta się poprawiając serwetkę pod lampą, na stoliku. Wojtek myśli: Oby ten przyjazd za drogo nas nie kosztował. Ewa jest nieprzytomnie zdenerwowana. Mówi:

— Niedługo tu będziemy, ani się obejrzysz.

— To nie to. — Głos Ewy jest stłumiony, mówiąc nie patrzy na Wojtkę. — Wiesz, czas mija... my nie spostrzegamy niczego, dzieci rosną i ja... i ja...

— Wyglądasz ślicznie, wyglądasz ślicznie. Masz takie same oczy, jak tego wieczoru, gdy cię zobaczyłem pierwszy raz.

— Ale ona... umiała zawsze dbać o siebie. Miała tylko mnie jedną. Nawet w najgorszych czasach chodziła do fryzjera, do kosmetyczki, do... dentysty... Och, Wojtuś, Wojtuś...

— Ci-cho... przecież ona wie o tym...

Wojtek wychodzi. Drzwi werandy zostawia uchylone. Noc jest chłodnawa, a powietrze lekkie podszczową świeżością, wonne słodkim zapachem *honey-suckle*, który rozkwitł niedawno w pobliskich zaroślach, odurza. Ewa wstaje z kanapy, otwiera szerzej drzwi werandy. Jak pachnie!

— Wojtuś! — woła — jedź wolno, uważaj!

U podnóża schodków zapach *honey-suckle* potęguje się, i jeszcze, jakby z oddalenia naniesiony wiatrem dziki jaśmin. W domach sąsiadów już pogasły światła, tylko u Betty, tej, która przyjaźni się z Ewą, przez okna *sitting-room*'u widać jasno niebieską plamę ekranu telewizyjnego. Wojtek wyjmuje z kieszeni klucz od samochodu. Ma ochotę zawrócić, usiąść razem z Ewą nad filiżanką kawy. Na jak długo przyjeżdża jej matka? Sześć miesięcy, rok, na stałe? Dręczy go przykre przeczucie, że będzie musiał się dzielić. Ewa jest już częścią jego samego i on przeniknął w nią usuwając zazdrośnie to, co stanowiło ją samą. Jeśli tamto wróci ożywione zjawieniem się matki?

Wojtek zapuszcza motor, samochód rusza z wolna, toczy się z góry, chodniki są białe w księżycowym świetle, uśpione domy kryją się w wysokich drzewach podmiejskiej dzielnicy. Jest to dzielnica średnio-zamożnej inteligencji. Początkowo, gdy Wojtek otrzymał pracę w mieście, wynajęli domek byle jaki, w pośpiechu, aby Ewę sprowadzić razem z dziećmi jak najszybciej z Waszyngtonu. Było to zeszłego lata. Ewa prosiła:

— Znajdź posadę na północy, wszystko jedno już gdzie, ale żeby można było oddychać, żeby można było spać w nocy. Ten klimat mnie zabija. Waszyngton zrobił wspaniały interes sprzedając te bagna państwu. Niech oni tu cierpią, ale ja nie chcę! Nie mogę!

Ewa przyjechała do Y wydręczona wilgotnymi upałami Waszyngtonu i natychmiast postanowiła się tu osiedlić na stałe. Entuzjazmowała się zawsze wszystkim co nowe, aby po kilku tygodniowych lub miesięcznych zachwytach popaść w depresję, popłakiwanie za rodzicami, za Polską, za utraconą karierą, za utraconymi zębami, nad Wojtka zmarnowanymi możliwościami. I znów ożywiała ją czyjaś wizyta, zaproszenie, poznani ludzie, plany studiów wieczornych, czy pracy. Domem, który wynajęli na niedalekim przedmieściu, zachwycała się krótko. Stopniowo zaczęła w nim wynajdywać coraz więcej wad, a ponieważ Wojtek zajęty pracą w biurze i wieczornym dokształcaniem się nie miał czasu na poszukiwanie nowego mieszkania, nauczyła się sama prowadzić samochód. Zwróciła się najpierw do Wojtka z prośbą o nauczenie jej jazdy. Doszło jednak do tak ostrych scysji, że pewnego dnia zdenerwowana Ewa rozbiła latarnię i uszkodziła samochód, a po okropnej wynikłej z tego zdarzenia awanturze, zdecydowała się zapisać do specjalnej szkoły prowadzenia samochodu. Ukończyła ją, otrzymała prawo jazdy i odtąd wybierała się sama na poszukiwania bardziej odpowiedniego domku. Ponieważ nie miała nikogo komu mogłaby powierzyć dzieci, zabierała je z sobą. Dzieci, które przy przejażdżkach samochodowych z ojcem baraszkowały i niemal siadały mu na ramionach i na głowie, w czasie szoferowania Ewy zbijaly się w spłoszoną gromadkę na tylnym siedzeniu i uspakajały jedno drugie przykładając palce do ust.

Dom na skarpie, spoglądający z wysoka na rozrosłe konary klonów, wyniesiony ponad zadymione, fabryczne, brzydkie miasto, spodobał się Ewie. Tu można zaprosić ludzi — cieszyła się — tego nie trzeba się będzie wstydić.

Wojtek skręcił z bocznej alei i wjechał na szeroki trakt prowadzący do miasta. Obawa przed przyjazdem matki zaczęła ustępować. Czuł się nawet podniecony. Zalewała go ogromna

fala tkliwości dla Ewy. *High way* była prawie pusta. Minął zamkniętą już o tej porze białą stację benzynową, przejechał pod niskim mostem, z daleka widać było światła miasta. Przejechała obok niego potężna ciężarówka ciężko sapiąc i zostawiając po sobie smugę smrodliwego dymu.

Wojtek myślał o wieczorze, w którym po raz pierwszy zobaczył Ewę.

Poznał ją w domu jej rodziców, gdy przyszedł tam na umówione spotkanie z profesorem. Profesor był jednym z kontaktów danych mu przez prezesa jeszcze w Londynie. Był wybitnym działaczem Stronnictwa.

Okoliczności, które spowodowały, że Wojtek Żuławski zainteresował się Stronnictwem, a potem do niego przystąpił, były raczej przypadkowe. Decyzja zapadła pewnie jeszcze przed śmiercią jego stryjecznego dziadka w roku 1940, ale sympatie sięgały daleko wstecz. Ów stryjeczny dziadek, Stefan, wywarł niewątpliwie większy wpływ na Wojtka niż jego ojciec pułkownik Żuławski. Stryj był z pochodzenia chłopem silnym, zrosłym mocno z ziemią, a przy tym marzycielem, obieżyświatem i w młodości swojej awanturnikiem. Jako student brał udział w rozruchach roku 1905, uciekł potem zagranicę, osiedlił się na czas krótki w Ameryce i wrócił zniechęcony do Zachodu, a jednak przesiąknięty zachodnimi ideami demokracji. Prowadził razem długie rozmowy tak inne od tych, które Wojtek zwykł mieć ze swymi kolegami na uniwersytecie, albo przyjaciółmi ojca w domu. Stryj nie opuścił Kraju w roku 1939, ale już we wrześniu przystąpił do akcji tworzenia podziemia.

W roku 1940 został uwięziony i rozstrzelany. Po egzekucji stryja Wojtek przyłączył się na krótko do partyzantki w lasach kieleckich i już w roku 1941 przedostał się zagranicę. Tam poznał się z prezesem o którym niejednokrotnie stryj mu wspominał.

Wojtek spozjrzał na zegarek. Za piętnaście dwunasta. Światła miasta zbliżały się. Pośród kominów fabryk i nierównych sylwetek drapaczy widać było smukłą kolumnę Waszyngtona szczerbiałą i zapomnianą.

Przypomniał sobie ulice Warszawy wilgotne od wiosennego deszczu, żalodne i zaciemnione, pełne niebezpieczeństw kryjących się w ruinach i pod filarami mostu, gdy szedł nierozważnie, lekceważąc zbliżającą się godzinę policyjną, do domu profesora, a właściwie na spotkanie nieznanego Ewy. Profesor otworzył mu drzwi zdenerwowany, powiedział, że Wojtka tego wieczoru nie puści, przenocuje go w swoim gabinecie, nie pozwoli na niebezpieczeństwo zatrzymania przez patrol niemiecki. Był to człowiek wzrostu średniego, w za luźnej, obwisającej na nim

marynarce, mówił spokojnie, ale widać było, że nie zniósłby sprzeciwu, i że nie warto było mu oponować. Światło karbidówki, którą trzymał w ręce, a następnie postawił na stoliku w przedpokoju, pogłębiało dwie, mocno zarysowane brózdki biegnące ukośnie od nosa do ust. Objął ramieniem Wojtka i wprowadził go do pokoju. Zgromadzeni przy stole spojrzeli na niego ciekawie. Nikt o nic nie pytał. Profesor przedstawił Wojtka podając jego przybrane nazwisko, pod którym występował w Kraju.

— Moja żona.

Wanda wyciągnęła rękę, jej twarz była w cieniu.

— Ogromnie się cieszymy — powiedziała.

— Moja córka, Ewa.

Światło padało na twarz dziewczyny, jej policzki wydawały się płonąć, oczy miały barwę zieloną. Spojrzała na Wojtka wzrokiem tak pełnym zachwyty i uwielbienia, że aż poczuł się zmieszany. Podniosła się niepewna, zażenowana i gdy tak stała na tle zaciemnionych okien bardzo młoda, onieśmielona i jakby oczarowana, wydała się Wojtkowi po pustce ulicy, po gwałtownych przeżyciach w momencie skoku, po długich przygotowaniach do wyjazdu do Polski, jakby symbolem tego za czym tęsknił, nigdy nie nazwanym, ucieleśnionym duchem marzeń o Kraju.

Wojtek minął budynek poczty, spojrzął na duży, oświetlony zegar. Było dziesięć po dwunastej, miał prawie pół godziny czasu do nadejścia pociągu. Skreślił na dziedziniec stacyjny, zaparkował samochód. Wychodząc poczuł znowu ból w krzyżu. Skrzywił się niecierpliwie, zapalił papierosa. Bóle w krzyżu była to sprawa stara, datująca się jeszcze od czasu bicia w więzieniu przez gestapowców. Uciekł wtedy niemal cudem. Wydawało mu się: najważniejsze, że żyje. Dopiero od niedawna bóle zaczęły się nasilać. Może przemęczenie? Nie będę ścinał trawy — pomyślał. — Wynajmę ogrodnika. Zaczął obliczać ile będzie kosztował pobyt Ewy w szpitalu. *Insurance* nie pokryje wszystkiego.

Budynek stacyjny był masywnym, szarym, bezpretensjonalnym blokiem, bez jakiegokolwiek stylu, z rodzaju tych, które się spotyka najczęściej w miastach amerykańskich, zlewający się z monotonią otoczenia. Ten jednak można było zapamiętać w skojarzeniu z dwoma ogromnymi reklamami umieszczonymi tuż obok, tylko po drugiej stronie ulicy na wysokim drewnianym rusztowaniu i na tylnej ścianie kamienicy. Jedną z reklam była świetlna: potężnych rozmiarów kufel piwa napełniający się bursztynowym płynem; gdy żarówki tworzące płyn

gasły, wyskakiwały z obu stron kufła cyfry: temperatura i czas. I znów gasły, a kufel napełniał się piwem. Druga reklama były to dwie plastyczne mordy krów, wychylające się ciekawie poprzez ogrodzenie. Na szyjach miały obroże z dzwoneczkami i napis gatunku mleka, który reprezentowały. Na reklamy te zwróciła uwagę Wanda Wernerowa zanim wsiadła do samochodu Wojtka. Teraz jednak jechała jeszcze pociągiem zerkając bez ustanku na zegarek i z każdą mijaną minutą czuła, że ogarnia ją stan podobny do paraliżu, że nie będzie się mogła ruszyć z miejsca, nie zdoła wypowiedzieć słowa, że nie potrafi nawet krzyknąć o pomoc. W związku z tym wykonywała szereg niepotrzebnych, dziwacznych i nieskoordynowanych ruchów, które zaciekały siedząca po przeciwległej stronie wagonu dziewczynę w mundurze oficera marynarki. Od kilkunastu minut przyglądała się Wandzie, a wreszcie zaniepokojona zawołała:

— *What is the matter?*

Wanda nie odpowiedziała.

— *What's worrying you?* — nalegała. Usiadła na wprost Wandy, ujęła jej ręce w obie dłonie i zaczęła łagodnie pocieszać.

Wanda rozplakała się. Z urywanych słów dziewczyna dowiedziała się, że ma przed sobą matkę, która po dwunastu latach niewidzenia jedzie do córki. Nie opuszczała już teraz Wandy, przyniosła jej aspirynę, napoiła kawą z termosu, zdjęła walizki z bagażnika, i gdy pociąg zatrzymał się na stacji drżącą i bladą z przejęcia wyprowadziła na peron i oddała w ręce oczekującego Wojtka. Uśmiechnęła się i znikła tak prędko w tłumie wysiadających, że nawet Wanda nie miała czasu jej podziękować. Wanda nie od razu zobaczyła Wojtka, ale on poznał ją i szedł na wprost niej z wyciągniętymi ramionami. Ażeby zmaskować wzruszenie, powiedział:

— *Welcome to the free land of Washington!*

Myślał: Dobrze się trzyma, młodo wygląda.

Dodał głośno:

— Ewa już doczekać się mamy nie może, płacze od rana.

Wanda rzuciła się Wojtkowi na szyję. Łzy spływały po jej rozgrzanych policzkach.

— Wojtuś, chłopcze kochany, jakiś ty mizerny!

— Co mam robić, nie młodnieję.

— Bo ty pewnie nic nie jesz! Jak wy się odżywiacie! Ja wiem, wy jesteście zupełnie odwitaminizowani w tej Ameryce. Co to za krowy, Wojtuś? Wyglądają, jak żywe. Mówię ci, o mało nie zemdlałam! Wystaw sobie, co to za przeżycie! To jakieś dobre stworzenie ta dziewczyna... ta wiesz, w mundurze. Acha, inżyniera widziałam. Śmierdział rybami, że strach! Sa-

molot miałam cudowny, do Rygi ani nic... A co Ewa? Chryste Panie, Jedźmy! Może ona tam już w bólach! Śniło mi się tam, w pociągu, małe dziecko, wiesz, w brudnej wodzie. Niedobrze! Ach, ojciec mówił, uściskać ciebie i dobrze żeś od polityki odszedł, chociaż... szkoda, no, ale... No, a co prezes? Matko Święta, człowieku, jakżeś ty ten samochód minął! Śmierć na równej drodze! Ach ty synu bieruta... Czekaj, znasz to, ty synu bieruta?

— Nie.

— No więc czekaj, to tak idzie: Ty synu bieruta, unra twoja mać, jak cię kopnę w gomółkę to rodzonej osóbkę nie poznasz. Chryste Panie, co ja wygaduje! Mam gorączkę. Wojtuś! Boże jedyny, co ty wyprawiasz! Nie pędź tak, bo żywi do domu nie dojedziemy.

Ewa chodziła po domu zdenerwowana. Czuła się zmęczona. Nogi od bezustannego biegania z góry na dół nabrzmiały.

— Teraz już nic nie zmienię — mruzczała do siebie — teraz już nic nie przeinaczę. Żebym się wściekła, żebym sama siebie w de ugryzła, podłogi w kuchni nie napastuję. Macieja nie nauczę po polsku, piwnicy nie sprzątnę, zęby mi nie odrosną. No już trudno, nie ma co rozpaczać. *Face the fact! Face the fact* idiotko skończona, nie rycz, bo ci nos spuchnie. Ale żeby nie zawiadomić! Żeby tak w ostatniej chwili! Co to Polska na księżycu? Telefonów nie ma? Dzień przedtem nie można zawiadomić? A jak ja nie napisałam to histerie! Wyrodna córka! Dla nich tylko jest usprawiedliwienie. Oni cierpią, wiecznie cierpią. Męczennicy! A ja burżujka amerykańska na dolarach siedzę. O Boże mój kochany, dziesięć po dwunastej, kartofle trzeba nastawić.

Ewa spojrzała krytycznie na kuchnię, poprawiła firankę, wygładziła ścierki. Nadsluchiwała. Nie, to nie oni. Za wcześniej, niemożliwe. Zapaliła światło w stołowym pokoju: na świeżo wyprasowanym obrusie wazon z różami. Wojtuś ściął róże, pomyślał, nie zapomniał. Co za noc! Włożę płaszcz, siądę na progu werandy, powiem:

— Spójrz na to niebo jakie bliskie, jakie rozległe. Jesteśmy tu uniesieni ponad Polskę i Amerykę, sami z sobą. Nie żałuję, że przyjechałam. Wcale nie żałuję, mamusiu.

Spotkanie nastąpiło pośrodku *sitting-room*'u, bliżej oszklonych drzwi prowadzących do pokoju stołowego. Ewa usłyszała kroki: kroki Wojtka na betonie chodnika i drugie kroki lżejsze, drobniejsze, odgłos, który urzeczywistniał sprawę, wydawałoby się nierealną, odgłos kroków, który umilkł na innym kontynencie i teraz zaczął się na nowo. Matka!

Biegła na spotkanie niezręcznie, potykając się, płacząc, potrącając meble. Dostrzegła ją. Zatrzymała się. Zatrzymanie to trwało sekundę, może nawet nie było zatrzymaniem, a tylko cofnięciem w czasie wywołanym gwałtowną eksplozją uczuć.

— Mamusiu! — Nie widziała jej poprzez łzy. To był tylko kształt znajomy, ucieśnienie słowa, którego nie wymawiała tak dawno. Rzuciła się ku niej, w jej szeroko rozpostarte ramiona nie pamiętając o swojej zniekształconej figurze, o swojej zmienionej twarzy.

— Ewo, dziecko moje — szeptała Wanda. Myślała w gorączkowym przerażeniu; ta twarz, co się stało z twarzą? Co jest obcego w twarzy? To Ewa! To nie MOJA Ewa. To Ewa.

Uspakajała ją długo głaszcząc włosy, które nie były włosami Ewy, ramiona, plecy, które utraciły linię dziewczęcą, policzki, z których czas stał pyłek młodości, w oszołomieniu, buncie, rozpacz szukała drogi do tej kobiety, która była jej córką i bardziej żegnała się z dawną Ewą, niż witała z tą, która szlochala nieutulona, jakby przepraszając za to, że sprawiła jej zawód.

Wojtek czekał dyskretnie przed drzwiami werandy.

— Już? — zawołał. — Czy już można?

— Idziemy do ciebie — powiedziała Ewa. — Mamusiu, spójrz, co za niebo...

— Ewo!

—

— Ewo, co ci jest?

— Ewusiu, dziecko drogie!

— Wojtek, Wojtuś — szepnęła — zabieraj mnie zaraz do szpitala.

— Czekaj, zaraz, może się położysz?

— Nie, nie mamusiu ja wiem... wszystko będzie dobrze... Wojtuś, mój płaszcz i walizka!

— Dopiero przyjechałam i już odjeżdżasz.

— Ale przecież wrócę.

— Ewo, gdzie walizka?

— W sypialni pod łóżkiem, włóż grzebień... i moja torebka na fotelu.

— Jedziemy!

— Wołowina w piecu!

— Ależ Ewo, ja nie wiem jak się gasi.

— Tam napisane: *off i on* z boku...

— Dziecko płacze! Ewa, Wojtek!

— To Maciuś, może się zsiusiał, pyjama wisi w *basemencie* na sznurze... do widzenia mamusiu... Ania ci powie... Wojtek zatelefonuje... do widzenia mamusiu!

II

Na drugi dzień po przyjeździe matki Ewa urodziła syna. Leżała w szpitalu spokojna i szczęśliwa. Po raz pierwszy nie potrzebowała się martwić o dom, o dzieci, o Wojtka. Odpoczywała. Tymczasem Wanda zapoznawała się z geografią domu, okolicy i z wnukami. Rozpaczkała przy tym na każdym kroku to nad nieporządkami w piwnicy, to nad gnijącymi w schowku ziemniakami, nad stosami brudnej bielizny, a najwięcej nad dziećmi: że zaniedbane, że mizerne, że obdarte, jeść nie umieją, rozpuszczone, jak dziadowski bicz, a przede wszystkim, że tylko jedyna Ania umiała jako tako po polsku.

Zabrała się do gruntownych porządków: szorowała i prała, czyściła meble i wnętrza szuflad. Dzieci ujęła krótko. Wprowadziła codzienne lekcje polskiego.

Do domu uporządkowanego, uglądzonego ręką matki Wojtek przywiózł pewnego popołudnia Ewę. W czasie kilkudniowych, pochłaniających czas i energię zajęć, Wanda nie wiele zastanawiała się nad samą Ewą. Co krok ocierała się o przedmioty ustawione ręką córki, bez ustanku korygowała jej porządkę, we wnukach odnajdowała rodzinne podobieństwo, krzątała się myśląc o tym, jak to Ewa się ucieszy, jak odetchnie, jak zacznie śmiać się, przekomarzać, jak powróci się jej dawną Ewę. Bo przecież ta zmęczona, ta zniekształcona kobieta na tle drzwi oszklonych, w ostrym blasku elektrycznego światła, to nie była Ewa. Nie była także prawdziwą Ewą ta wycieńczona twarz na poduszce szpitalnej, przelotne, bolesne, przez lzy spojrzenia, które ją żegnały, ten udany humor niby fałszywy ton zerwanej struny.

— Przyjdzie do siebie — myślała. — Każda z nas to przechodzi. Wydobrzeje.

Roztkliwiała się nad Wojtkiem, że długo pracuje, że jeszcze wieczorami jeździ na uniwersytet, że sam musi przywozić prowianty, że zakasując rękawy zabiera się do zmywania.

Była dumna z czwartego wnuka, odczuwała pewien podziw dla córki, że sobie tak dała radę, że taka dzielna, że umiała wszystko pogodzić, a te końcowe nieporządki, a język polski dzieci... ona jej pomoże, zostanie na rok, może dłużej.

— Nie dam się Ewie zmarnować — postanawiała.

Popołudnie było wietrzne. Ewa szła pierwsza, otulona w płaszcz deszczowy, chusteczka na głowie. Za nią Wojtek niósł opatulone w kocyk dziecko.

— Mamusiul! — wykrzyknęła. — Pastowałaś! Czuj! Po co? Przetawiałaś pokój?

— Ty się nic nie martw, niczym nie przejmuj. Obiad gotowy, łóżko świeżo pościelone...

— A dzieci? — Dziękuję ci, ale gdzie dzieci?

— Bawią się u sąsiadów.

— Przecież powinny spać o tej porze! A gdzie wózeczek?

— Mówiłem, że chciałaś tutaj wózeczek, ale mamusia uważa, że będzie lepiej w pokoju przy kuchni.

— Ależ tam zacieka!

Wojtek rozłożył ręce.

— Wojtek, wiesz przecież, że tam zacieka! Chyba — żeś nie naprawił? Nie bardzo to do ciebie podobne!

— Nie zaczynaj! Idź się rozbierz, trzeba nakarmić dziecko.

— Ty mnie nie będziesz uczył kiedy mam karmić dziecko!

— Przy tobie się dość nauczyłem. Rozbieraj się. Odpocznij!

— Mamusiul, jak on się do mnie odzywał!

— Wojtek, nie denerwuj Ewy! Spójrz, jak ona wygląda!

— Bardzo dobrze wygląda.

— No mój drogi, jeżeli ty to nazywasz dobrym wyglądem, to w najgorszym okresie podokupacyjnym tak nie wyglądała!

— Ale to było z górą piętnaście latek temu!

— No tak, dla ciebie jestem stara, bezzębna, stara klempa!

— Ewo, dla mnie jesteś śliczna!

— Nie wierzę ci! Słyszysz? Nie wierzę ci!

Wanda zagryzła wargi. Nic się nie będę wtrącać — postanowiła. — Boże święty, jak ta Ewa wygląda! Przede wszystkim jeść, jeść i spać.

— Nakrywam do stołu! — powiedziała głośno.

Wyszła do kuchni.

Ewa rozejrzała się po pokoju. Przyjemnie! Uśmiechnęła się.

— Wojtuś! Kładziesz dziecko do łóżeczka?

— Położyłem.

— Śpi?

— Budzi się.

— Gdzie idziesz?

— Do biura.

— Musisz wracać? Przecież już późno!

— Ewo zrozum, że ostatnio bardzo się zaniedbałem w robocie.

— To nieprawda. Uciekasz! O co ci chodzi?

Wanda stoi przy kuchni, myśli: To wcale nie wygląda tak różowo.

— Mamusiu, Wojtek musiał wrócić do biura. — Ewa otwiera drzwi do ogrodu. — Pójdę po dzieci!

— Nie! — Wanda zastępuje jej drogę. — Idź się połóż! Ja pójdę! Przyniosę ci małego na górę, przyniosę ci obiad do łóżka!

— Kiedy ja się dobrze czuję.

Ewa siada na wysokim stołku kuchennym. Zdjęła płaszcz, za luźna sukienka obwisa na niej.

— A jak siostra Wojtka, Boga?

— Rzadko się widzujemy, zwłaszcza teraz od roku...

— Ale jak ona wygląda?

— To znaczy, że ja źle wyglądam! Wiedziałam!

Milczenie. W ciszy słychać drobne terkotanie motoru lodówki.

— Ewo, przecież wiesz, jak ja kocham dzieci, ale czworo, bez żadnej pomocy, ty... ty nieprzyzwyczajona, delikatna, przecież tu jest harówka! Ewo, dziecko drogie, spójrz na twoje ręce, na twoją twarz! Co się z tobą stało! Przecież ty jesteś młoda kobieta...

— Dziecko płacze!

Biegna, pochylają się obie nad łóżeczkiem.

Wojtek idzie w kierunku domu sąsiadów.

— Maciuś, Helenka, Ania!

Betty biegnie do niego poprzez trawnik, Betty, amerykańska koleżanka Ewy.

— *How is Eva? And the baby? Is it anything I can do?*

Wojtek kręci głową. Nie, w tym Betty nie pomoże. Nie można zapomnieć i nie można nie powracać. O szczęśliwi, nie skomplikowani ludzie, gdybyście wiedzieli, co ja teraz myślę!

— Aniu, idź do mamusi, przywieźliśmy nowego braciszka.

Wraca okrężną drogą do samochodu.

Biedna Ewa! Teraz będzie chciała wskoczyć w samą siebie sprzed dwunastu lat. Po drodze mijają go sąsiad.

— *Hi there! Congratulations! You have a son?*

— *Thank you!* — śmieje się Wojtek. Odchodząc mruczy do siebie:

Jak dorośnie wezmą go na wojnę, do amerykańskiej armii naturalnie. Przeciwno komu? A psiakrew, o takich rzeczach się nie myśli! Zapomniałem pokazać Ewie list od rodziców. No i trzeba będzie urządzić te chrzciny. Uśmiecha się słysząc już gwar znajomych głosów. Inżyniera też zaproszę! A prezes na chrzestnego ojca! No i trzeba będzie polskiego księdza... Ale się matka Ewy będzie chciała wystawić! Ale obżarstwo będzie. Nie była na ślubie, tamtych chrzciny żeśmy wiele nie wypra-

wiali, tak człowiek żyje samotnie, dziczeje, nawet się z najbliższymi zgrać nie można.

— *Daddy, daddy look!*

— *Look? What?*

— Wojtek!

— Tak.

— Jak ty możesz!

Wanda prasuje w kuchni, ostry kąt deski do prasowania wystaje poza ścianę kuchenną.

— Co ja mogę? — Wojtek stawia Mathew na ziemi. — Czekaj, zaraz — zwraca się do syna.

— Ja mówię, jak możesz odpowiadać dziecku po angielsku?

— A tam!

— Nie żadne „a tam”, tylko ja widzę!

— Co mamusia widzi? Widzi mamusia, że ja jestem w domu w sobotę rano.

— Ja widzę co tu się dzieje! Dzieci się wynaradawiają!

— Co ja powiedziałem? Co ja, u diabła, powiedziałem?

— Powiedziałeś: *look out!*

— Nie *look out*, tylko *Look? What?*

— Mniejsza z tym! Nie zaprzeczysz, że to po angielsku! I to do Macusia nad którym ja tak pracuję!

Wojtek zapala papierosa. „O cholera!” — myśli.

Wanda stawia żelazko, opiera się o drzwi kuchenne.

— Jak ty łatwo zapomniałeś o całej swojej przeszłości! Syn żołnierza polskiego odznaczonego... syn człowieka, który tyle poświęcił dla Polski, mówi z ojcem swoim w domu po A N G I E L S K U !

— Nie chcę być ordynarny, ale mam to wszystko głęboko! Kicham na to!

— Kichasz na swoją przeszłość?

— Czy mama na to przyjechała, aby mi odgrzebywać moją przeszłość?

— Mamusiu! Co ci Wojtek powiedział? Dlaczego płaczesz? Zostaw to, pojedziemy na *shopping*. Do Wojtka z wyrzutem: Jak mogłeś?!

Wanda wyciera oczy chusteczką.

— Powiedział... po co przyjechałam!

— No, na miłość Boską, to jest przekręcanie faktów! Ja tak nie powiedziałem!

— Mamusiu, ubieraj się! Wychodzimy! Najgorsza kuchta ma raz na tydzień wychodne. Wojtek, proszę cię, daj dziecku butelkę o drugiej.

- Nie siedź do wieczora!
- Będziesz miał spokój, twój ukochany spokój!

Ewa startuje samochód. Wanda, oczy jeszcze z łez nie obeschle, usadawia się już tuż obok niej na przednim siedzeniu.

— Pojedziemy do tego najnowszego *Shopping Center* do *East Point*, chcesz?

— A wszystko jedno Ewusiu.

Miasto podobne jest do przekrojonego jabłka o nieco nadgniłym środku. Ta ciemno-brunatna plama wokoło pestek, którą się odrzuca, która nie smakuje — to śródmieście zagęszczone i brzydkie. A naokoło coraz to się przejaśnia: nowoczesne osiedla — komórki zdrowej tkanki nie uległej jeszcze zepsuciu i wyrosłe nagle, nie wiadomo skąd i kiedy przemysłnym postępem techniki, skróceniem czasu od pomysłu do realizacji — centra zakupów, „*Schopping Centers*”. Niedawno było tu jeszcze pustkowia. Niedawno? Kiedy? Ile tygodni, ile miesięcy temu? A dziś! Potężna, oszklona hala z żywnością, od niej szerokim deptakiem przechodzi się do *Help Yourself* budynku, gdzie jest wszystko oprócz podstawowej żywności... Ruchomymi schodami można zjechać na dół do innych zakładów, sklepów, magazynów. Miasto samo dla siebie, które przyszło do mieszkańców, poszukało ich tu, na skraju przedmieścia. Późnym wieczorem wyludnia się, pozostaje obce, zamknięte. Ale teraz, gdy Ewa jedzie tam poprzez śródmieście z ciągle jeszcze płakującą matką, *Shopping Center* podobny jest do plastra miodu, do którego dostały się skrzęta, zgłodniałe mrówki.

Ewa mówiła:

— Wojtek jest przemęczony.

— No tak, ale ty też jesteś zmęczona, ty też potrzebujesz odprężenia. Gdybyś, na przykład, była pracującą kobietą w Polsce... Po pierwsze, zorganizowałyby się pomoc domową. Miałybyś leczenie darmo, potem długi kilku, zdaje się, trzy-czteromiesięczny urlop po urodzeniu dziecka, krótsze godziny pracy w okresie karmienia, co roku wyjazd na wczasy...

— Mamusiu, ale ja nie jestem w Polsce. Ja powiem ci, lubię Amerykę.

— Co tu jest do lubienia, moja droga, te luksusy, te maszyny do prania!

Polska powoli będzie miała to samo.

— Może... ale to już nie jest ta Polska, ja już nie potrafiłabym zaczynać.

— Ja cię nie namawiam do powrotu. Uchowaj Boże! Tylko patrz na twoje życie i jak żeś się zmarnowała. Na co te studia? A ojciec...

- Będę pracowała.
- Z czworgiem dzieci?
- Amerykanki mają więcej i pracują.
- Cały twój dochód pójdzie na służbę.
- To zarobię więcej!
- Nie wytrzymasz! Przecież tyś się zmarnowała! Co z ciebie zostało. Ja jestem twoją matką, ja ci dobrze życzę... ruina, ruina została! Uważaj! Samochód!

— Bo nie mów do mnie, nie mów do mnie teraz! Jedziemy przez miasto, muszę uważać, a ty o ruinie! No to dobrze niech będę! Niech mnie cholera weźmie i już! Ale ty nic nie wiesz, ja ci nic nie mówiłam! Jak jechałam do Wojtka to szykowałam mnie, jak na bal, karierę miałam zrobić, żoną dygnitarza zostać! Nic nie wiesz! Nic nie wiesz, nic nie wiesz co ja przecierpiałam...

— Dziecko kochane, ja wszystko wiem, ja wyczuwałam...

— Głupstwa! Nic nie wiesz! Myślisz, że wiesz, ale ja już jestem innym człowiekiem. Świat już poszedł o tyle kroków naprzód, a my ciągle stoimy u progu mojej młodości. Gdybyśmy mogły przez to wszystko przejść razem! Mamo, dlaczego ja wyjechałam? Dlaczego pozwoliłaś mi wyjechać?

— To wróć... teraz...

— Wiedziałam! Wiedziałam, że to powiesz! Wróć! Jak? Sama?

— Ja ci pomogę, dostaniesz pracę! Ewo, to nie jest kraj dla ciebie!

— A dzieci? Mam im odbierać ojczyznę? I powiedz, co im dam w zamian? Legendę? Twór przekształcający się, nieuformowany? Tam trzeba było żyć, to wszystko trzeba było przejść!

— To nieprawda, ludzie są ci sami.

— Ty nie jesteś.

— Ja?

— Agitujesz, namawiasz mnie do powrotu.

— Ewo, jak możesz?

— Przypomnij sobie co mówiłaś w przedzień wyjazdu.

Ten moment, gdy Ewa zobaczyła po raz pierwszy Wojtka, powracał. Wyobraźnia narzucała się sama: światło pokoju chybotał, zmienne, jak oddech nierówny. Dalekie, pojedyncze strzały poza zaciemnionym oknem, obcość nieznanego, świadomość tej obcości o której się wie i marzy, jak gdyby uchwycenie w dłoń słowa, które naraz ożywa realnym kształtem.

Było to, jak spotkanie się nocy i dnia, zachwyt nad obcością osiągalną tylko w marzeniach. Nie wiedzieli, że padł na nich cień ginącego romantyzmu, że w bliskiej, ocierającej się o nich rozprawie życia ze śmiercią, odwiecznym prawem ga-

tunku w sobie szukali przed śmiercią obrony. Była to miłość krótka, bolesna, nie wyjawiona, zdradzana w niedopowiedzeniach, w spojrzaniu, dotknięciu ręki, miłość, jakby z ustawiczną obawą, że tak być nie powinno. Wojtek zdręczał się, że postępuje nieuczciwie zwracając głowę dziewczynie, ponieważ przyleciał do Kraju jako emisariusz i powinien się na swojej misji skoncentrować. Zostawił poza tym w Londynie młodą Angielkę, w której się podkochiwał. Ta dwuznaczność sytuacji męczyła go. Z normalnego życia w Londynie, gdzie wszystko z jego flirtem włącznie miało, pomimo wojny, swoje realne podstawy, wpadł w atmosferę nabożnej egzaltacji, scen z jakichś starych, zapomnianych rycin, przyciszonych rozmów przy świeczce. Poruszał się w kręgu tajemnicy niby w obozie tajnego bractwa. Wydawało mu się czasem, że nagle przeskoczył w średniowiecze. Zmysły były wyczułone, nerwy napięte, przelotne nawet dotknięcie ramienia Ewy przyprawiało go o drżenie. Nie zdradzał się przed nią kim jest naprawdę. Ewa wiedziała o nim wszystko. Utrzymywanie tajemnicy, chwytywanie Wojtka na drobnych „zdradzaniach się”, zaznajamianie go, niby od niechcenia, w obecną zmianę warunków w mieście, było grą czarującą, ciekawą i przyjemniejszą od zwykłego flirtu.

— Ewo — powiedział profesor — nie zwracaj sobie nim głowy. On musi wracać!

Rostali się tak, jakby mieli się nigdy nie spotkać: po koleżeńsku, z przymuszonym uśmiechem, z płaczem wewnętrznym, po którym oczekiwano się ulgi zapomnienia. I może nigdy by się już nie spotkali, bo przecież oboje bronili się przed sobą, gdyby nie układ warunków zewnętrznych, zmowa sił obojętnych, które w jakiś przedziwny sposób dążyły do tego, aby ich połączyć.

Dopiero w więzieniu, schwytywany przy przejściu granicy, Wojtek naprawdę zakochał się w Ewie. Myślał o niej nieustannie prowadził z nią długie rozmowy, wspominał każdy jej gest, każde wypowiedziane słowo. Stała się nie tylko duchem tęsknoty do Kraju, ale i symbolem wolności, wyobrażeniem życia, niemal za powodem, dla którego warto żyć. Po udanej ucieczce z więzienia i ostatecznym przedostaniu się do Anglii, napisał do Ewy długi, romantyczny list, w którym wyznał, że ją kocha, prosił, aby została jego żoną. List ten wysłał przez kolegę swego — spadochroniarza. Ewa pamiętała Wojtka, ale już nie tak wyraźnie. Podświadome, uśpione uczucia obudził na nowo otrzymany list, ale nie potraktowała go zbyt poważnie. Owszem, było jej przyjemnie, że ktoś o niej myśli daleko za oceanem, że ktoś ją kocha, że można sobie potęsknić, rozmarzyć się, że może... kto wie? Była dumna, gdy ojciec opowiadał jakie to awansy

czekają Wojtka, że jest już niemal prawą ręką prezesa, że ho!, ho! Daleko zajdzie! Wtedy Wanda odwracała się i spoglądała czule na Ewę:

— No widzisz, widzisz jaką Ewa może zrobić karierę, gdyby tylko chciała.

Ewie nie śpieszyło się do kariery, ani nawet do małżeństwa. Studiowała, podkochiwała się w młodym lekarzu imieniem Janek, który coraz-to znikał na kilka tygodni i wracał tajemniczy i bardzo Ewą zainteresowany. Po upadku Powstania Warszawskiego matka i Ewa zamieszkały w ocalałej części rozwalonego domu, odnalazły ojca, a Ewa wkrótce potem zapisała się na oficjalny uniwersytet. Nadszedł wtedy drugi list od Wojtka. Był to list pełen troski o całą rodzinę, błagający o wiadomość i upewnijający, że Ewę kocha i na nią czeka. W tym samym mniej więcej czasie odnalazł się, zagubiony po Powstaniu doktor Janek i Ewa zastanawiała się poważnie czy nie wyjść za niego za mąż. W kilka tygodni po uzyskaniu przez Ewę stopnia magistra, profesora Wernera aresztowano. Proces jego był głośny, nieprzyjemny, przyprawiający Wandę o szoki nerwowe. Bała się o Ewę, drżała, że w każdej chwili ją aresztują, wywiozą, zniszczą.

— Słuchaj — powiedziała do niej. — Uciekaj! Ja muszę zostać z ojcem, ale ty uciekaj!

— Gdzie? — płakała Ewa.

— Jedź do Wojtka. Wszystko się zorganizuje. Jest w tobie zakochany. Ty też, przecież pamiętasz, zupełnie traciłaś głowę, podobał ci się.

— A Janek?

— Nie, to nie dla ciebie. Czy ty wiesz co to znaczy być żoną lekarza, przeciętnego lekarza? Ani dnia, ani nocy spokojnej. Wierźnie sama! A on! Skąd wiesz gdzie on lata? A jeszcze ginekolog!

— Kiedy mam — wahała się Ewa — ja sama nie wiem...

— Wyjeżdżaj z tego diabelskiego kraju, wyjeżdżaj z tego piekła! — egzaltowała się Wanda. — Przed tobą jest życie! Ty jesteś młoda, przystojna, inteligentna. Ty powinnaś błyszczeć w towarzystwie, być żoną dyplomaty. Zobacysz jacy ciekawą są cudzoziemcy! Będziesz miała służbę. Ty tak pięknie potrafisz przyjmować. Uważaj tylko na nakrycie do stołu, na kwiaty i srebra. Żadna służąca nie potrafi zrobić tego tak, jak pani domu. Przeczytaj co pisze Wojtek! Kocha cię i chce ci ofiarować cały luksus życia. I ojcu będziesz mogła stamtąd pomóc, a jeśli wrócisz tu, to jako żona ministra, ale nie teraz jeszcze, nie teraz. Ewo, dziecko moje, ratuj się! Muszę cię ratować! Już

rozmawiałam z kolegami ojca w Stronnictwie. Przeprowadzą cię do Niemiec, stamtąd dasz radę do Anglii, Wojtek ci pomoże!

Ewa myślała o Wojtku, odtwarzała dawne wspomnienia, wracał moment pierwszego spotkania. Szykując się do wyjazdu była już w nim zakochana.

Wybetonowany *parking lot* szerokim, białym kołnierzem otaczał *Shopping Center*. W głębi, tam gdzie nie sięgała polewa betonu, widać było skopaną buldozerem czerwonawą ziemię, a dalej rzadki, błotnisty las, gdzie o tej porze wiosennej kwitły dzikie azalie. Do Centrum Zakupów dojechać można było tylko samochodem. Cztery nowiutkie, gładkie szosy krzyżowały się tuż obok wjazdu na *parking*. Wszystko tu było nowe, jakby dopiero odwinęte z bibułki, cacko ze szkła i stali, przestrzenne, gładkie i wydawałoby się tak kruche, tak łatwe do zburzenia, jak domki karciane, że tylko dmuchnąć — rozleć się. Pod jasnym, wysokim niebem ten biały, pomarańczowo-żółto-srebrny *Shopping Center* wyglądał z daleka, jak dziecinny model, który się nigdy nie urzeczywistni, a przy zbliżeniu wydawał się fantastycznym okrętem przestrzeni, który tu, wśród rozkopanego na prędcie lasu wylądował na chwilę i zaraz odfrunie na inną planetę — swą macierzystą bazę.

Ewa zaparkowała samochód.

— Wysiadaaj! — powiedziała do matki — zamknę za tobą drzwi.

— Tu jest ślicznie Ewo!

Ewa nie słyszała. Podciągnęła hamulec, wyjęła klucz, zatrzasnęła drzwiczki. Myślała: Nigdy się nie dowie co ja przeszłam.

— Ewo, kiedy oni to wybudowali? Wiesz, Janek, ten doktor, był u nas kiedyś i pokazywał amerykańskie ilustracje i tam właśnie było coś podobnego.

— Co robi Janek?

— Zawsze pyta się o ciebie, ożenił się, świetnie mu się powodzi...

— Chodźmy tędy, najpierw kupimy żywność...

— Ewo, dziecko drogie, ty mi zarzucasz, ty masz do mnie żal, że wyjechałaś.

— Nie!

Przecież jest jeszcze powrót. Teraz po Październiku Wojtek też może...

— Wojtek? Żeby mu wymawiali na każdym kroku kim był? Prosić może o łaskę pobytu we własnym kraju? Prosić? Kogo?

— Ewo nie denerwuj się. Jesteście przewrażliwieni. My

już dawno nie mówimy o tym. Przeszliśmy, przecierpieliśmy, dostosowaliśmy się, żyjemy.

— My? Kto my?

— No, my, Polacy.

— To już nas podzieliłaś! My Polacy i wy-Emigracja. Moja matka! MOJA matka!

— Z tobą nie można rozmawiać! Za kogo ty mnie masz? Czy ty posądzasz swoją matkę, że jest agentką komunistyczną? Co z ciebie zrobiła Ameryka! Co to za kraj! Dzieci przeciwko rodzicom! Ja wyjeżdżam, zapomnę, że kiedykolwiek miałam córkę!

— Mamusiu nie płacz! Mamu... — Ewa płacze.

Stoją razem przed wystawą piekarni. Przez oszkloną ścianę widać całe wnętrze sklepu czyściutkie i kolorowe, jak bombonierka. Płaczą obie w zapachu ciastek i świeżego chleba. Ewa uspaka się pierwsza. Zaczyna śmieszyć ją ta cała niepotrzebna kłótnia. I o co? I o co?

— Przecież myśmy się dwanaście lat nie widziały — mówi cicho i ujmuje Wandę pod rękę. — Wiesz, to cały czas było przygotowywanie się do nowego życia zanim w ogóle mogliśmy sobie zdać sprawę jakim ono będzie. Zaskoczyło nas, zaskakuje mnie codziennie, codziennie muszę się uczyć muszę się naginać, dostosowywać, nastrojać, i ciągle, niezmiennie jest jeszcze początek. Wojtek zaczął pracować, kupiliśmy meble, dom, na drzwiach powiesiłam wizytówkę: „Mr. and Mrs. Żuławski”. Cóż zrobić, tak późno, ale dopiero początek.

— Ewo — pyta Wojtek. — Czy ustaliłaś z matką datę chrzcina?

Ewa przebiera się w sypialni. Dzieci już śpią, a Wanda na dole patrzy na telewizję.

— Nie! — odpowiada krótko Ewa. Myśli: Ustalaj sam! Spiesz się, chce obejrzeć film.

— Czy myślałaś kogo zaprosimy?

— Nie jeszcze.

— Pokaż mi się, ładnie wyglądasz dzisiaj.

— Odejdź ode mnie!

— Uciekasz od męża?

— Odejdź ode mnie!

— Dlaczego?

— Bo mam już dość! Mam już dość, nie chcę mieć więcej do czynienia z tobą. Ruina ze mnie została. Nie chcę więcej dzieci!

— O co ci chodzi?

— W Polsce się ludziom dobrze powodzi, służące mają,

kobieta pracująca ma trzy miesiące urlopu... a ja tu haruję, zęby straciłam, zdrowie straciłam!

— O cholera, o cholera — mruczy Wojtek — wychodząc z sypialni.

— Mamo, co mama jej powiedziała? Co tu się dzieje w tym domu?

— Mój drogi — Wanda odwraca nieprzytomną twarz od telewizji. — Czy mógłbyś zaczekać chwileczkę? Zaraz się kończy.

Wojtek chodzi zdenerwowany po pokoju.

— To jeszcze przedwojenny film, to jest jednak rozrywka taki telewizor. Daj papierosa Wojtusiu. No mów! O co chodzi?

Wojtek gryzie papierosa pomiędzy zębami. Spokój teściowej podnieca go jeszcze bardziej.

— Dlaczego Ewa histeryzuje? — cedzi słowa. Słowa toczą się kulą, nabierają rozpędu. — Co... co mama jej powiedziała? Dlaczego? — krzyczy — mama ją przeciwko mnie buntuje?

— Ja? A czyż ty oszalał? Ja ją buntuję! W imię Ojca i Syna... ja ją buntuję! Ale tu jest co innego! Ja widzę, że wam ze mną nie dobrze, że ja jestem gość niepożądany w tej waszej Ameryce, że ja wam zawadzam, że ja wam przypominam skąd pochodzicie! A wy byście chcieli się już zamerykanizować!

— To jest kłamstwo!

— Cóżżeś zrobił z Ewą? Jak ona wygląda?

— A jakby wyglądała w więzieniu Bezpieki? O Ż E - N I Ł E M się z nią! Wystarczy to mamie? Ożeniłem się z nią!

— Ja słyszę! — Ewa biegnie z góry po schodach. — To tak, dlatego się ze mną ożeniłeś! To już wiem dlaczego zostawiłeś mnie zaraz po ślubie samą i pojechałeś z prezesem do Paryża! A ja harowałam! Pracowałam nocami. Krew własną sprzedawałam na transfuzje do szpitali! Własną krew, bo nie było pieniędzy!

— Na paczki do Polski dla twoich rodziców!

— Co za chwili dożyłam, żeby mi te paczki z Ameryki wymawiali! Ja wam tu przysięgam, że pierwszym samolotem odlotuję do Polski!

— A niech mama leci, niech mama leci!

— Mamusiu, nie płacz! Wojtek ty podły, jak mogłeś! Ja cię nie chcę znać za to!

— Możesz mnie nie znać i nie widzieć!

— Gdzie idziesz teraz po nocy?

— Idę spać do samochodu.

Wanda wiesza obrazki w *sitting room*'ie nad półką z książkami.

— Gdzie chcesz, żebym powiesiła tę miniaturkę, którą przywiozłam z Polski?

— Nie wiem — odpowiada Ewa. Czuje się nieobecna, nie związana z chwilami, które upływają. Zeszywa rozdartą koszulkę Mathew.

— Może między oknem, a drzwiami na tej wąskiej ścianie, wygląda pusta?

— Jak chcesz.

— Przecież to jest twój dom, Ewo, trzeba, żeby ci się podobało.

— Czuję się stara.

— Co ty wygadujesz?

— Jakto co? Sama mi mówiłaś...

— Przed chrzcinami pójdziesz do fryzjera, zrobisz sobie trwałą ondulację. Niech cię uczeszą z lokami nad czołem.

— Co to pomoże?

— Janek oglądał twoją fotografię, tę wiesz po magisterium, masz tam loki nad czołem, mówił...

— Nie chcę słyszeć!

Wanda wzrusza ramionami.

— Jesteś przewrażliwiona. Jesteście oboje przewrażliwieni. Bierz witaminy! O psiakość, rąbnęłam się młotkiem w palec!

Ewa nie słyszy. Widzi siebie i Janka: idą ulicą. Ewa spogląda na samą siebie, ma loki nad czołem. A więc zdecydowała się? — pyta Janek — jesteś pewna? Jestem pewna — odpowiada Ewa. Czuje, że kocha Wojtkę.

Potrząsa głową.

— Mamo, tak nie może być pomiędzy mną, a Wojtkiem. Przecież ja go kocham. Dlaczego my się kłócimy?

— Wy w ogóle nie żyjecie z ludźmi! Wy się tłamsicie w tym domu sami z sobą! Zdziczeliście!

— To co mam zrobić? — Ewa nawleka igłę.

Pani Szyjka zapukała do drzwi werandy. Jej twarz jest młoda, ale wszystko inne, jakby wczorajsze, odgrzane: ta biała bluzka, kostium i kapelusz i... jeszcze, jakby niedosolone, bez smaku, a przecież zdrowe.

— Pani Leokadio, niech pani wejdzie.

— A to mamusia pani Żuławskiej? Z Polski nowoprzybyła?

— Wernerowa.

— Mamusiu, pani Szyjka jest korespondentką gazety i zaraz o tobie napisze.

Wanda poprawia spódnicę, przygląda włosy, pozuje.

— Ach naturalnie! — uśmiecha się. — Ja przecież pamię-

tam pani nazwisko z polskiej gazety, tylko tam było Lilian nie Leokadia, prawda?

— O, bo ja „zaczenczowałam” (1) nazwisko! Leokadia nikt nie rozumie — wyjaśnia pani Szyjka i mruga porozumiewawczo do Ewy: Taka młoda mamusia, no! Jest jaśniej, Ewa oddycha swobodniej. Trzecia osoba, jakby rozbiła szkło przez które teraz dopływa powietrze. Pani Szyjka wyjmuje bloczek i ołówek z torebki.

— Jak godność mamusi?

Leokadia Szyjka zjawiła się po raz pierwszy w okresie trudnym. Właściwie Ewa sama ją odszukała. Urządzenie domu, zajęcie się dziećmi — to nie wszystko. Przychodzą takie momenty wieczorem, chwile rozciągnięte niby guma, miasto gdzieś daleko szumi, przedmieście usypia, Wojtek na wykładach wieczornych i tylko chodzić z kąta w kąt. Nie można czytać książki, jakby to była przeszkoda, przed którą brak odwagi, nie można nic. Ręce opadają. Tylko świadomość: jestem sama.

Leokadię, jej nazwisko i telefon wyszukała Ewa w gazecie polskiej. I Leokadia zaraz przyszła. Zainkasowała pieniądze za abonament gazety i poczęła namawiać Ewę na *insurance*. Dla niej samej, dla męża, dla dzieci. A gdy Ewa broniła się, powiedziała

— Niech pani Żuławska słucha, ja pani Żuławskiej powiem jedno zdarzenie z Polonii. Poszłam do pani Czyż co miała bratanicę na wychowaniu i z dobroci serca mówię, żeby na dziewczynę wzięła *insurance*. Nie i nie i nie i nie. No dobrze. Mówię: a czy to ja *business* na pani Czyż robię? Radzę, jak swojej, brać nie brać, pani Czyż decyzyja. Ale się przekonała, podpisała no i, niech pani Żuławska uważa, będzie może ze dwa miesiące popłaciła, co się dzieje, akuratnie przed samą trzecią ratą dziewczyna umiera. A pani Czyż mi dopiero dziękuję: Pani Szyjka, mówi, szczęście w nieszczęściu. Całe tysiąc dolarów mi zapłacili. I jak ja się pani za to dobre serce odwdzięczę?

Leokadia przyjechała ze wsi podkrakowskiej. Biedę tam klepali. Troje ich wyjechało zagłodzone do Ameryki i w pióra obrośli, że hej! Jeden brat, organizator taki, głowę miał nie od parady, prezesem został. Ale to nic! Sama pani Leokadia dobrze się wydała za jednego z Polonii, dom kupili, spłacony już cały, a że dzieci nie mieli, a Leokadię ogromne ambicje rozpieęły, pchała się na różne kursy, uniwersytety, nauczyła się po angielsku i na maszynie, chociaż nigdy, ku swemu utrapieniu, nie mogła zdać egzaminu państwowego upoważniającego do pracy urzędniczej. No ale została korespondentką gazety. Na wszy-

(1) Od *change* — zmieniać.

stkich uroczystościach razem z honorowymi gośćmi przy stole na scenie siedzi. Ale to jeszcze nic! Ten drugi brat większe miał ambicje. Przeszedł, wstyd mówić, na protestantyzm. Pomogły mu te protestanty skończyć uniwersytet, „profesjonalistą” (2) został, a że go wyrzuty sumienia gryzły, wrócił do katolicyzmu. No i dobrze jest. Chleba z masłem ma po uszy. Tylko ta żona pierwsza, co to z nim na początku w biedzie żyła, i jak studiował pomagała — zwariowała i teraz gdzieś w stanowym szpitalu dla wariatów. Nikogo nie poznaje, to już, jakby nie żyła. No trudno, nic nie poradzi.

Pani Szyjka zaglądała od czasu do czasu do Ewy, wprowadziła ją na uroczystości polonijne, a teraz przyszła poznać Wandę.

— To jak w tej naszej kochanej Polsce? — pytała wzruszona — bardzo tam ludzi gnymbią?

— No teraz to już nie jest tak źle...

Leokadia tylko przełknęła ślinę. Boi się kobita mówić — pomyślała.

A pani na stałe? — spytała.

— Nie! — otrząsnęła się Wanda.

— To jak pisać? Długo tu pani u nas zabawi?

— Za dwa, trzy miesiące wracam.

— Mamusi!

— Będzie dobrze, jak napiszę tak: Do państwa Żuławskich zawitał gość z Polski. Będzie dobrze?

— Zawitał?

— A jak?

— Po prostu: przyjechał.

Niech będzie. A tytuł damy taki: Upragniony gość zawitał w progi domu pana inżyniera Żuławskiego, zatrudnionego... Gdzie mąż zatrudniony pani Żuławska?

— Pani Leokadio, po co to „Zawitał”?

— Zostaw to pani, Ewo, już pani sama wie.

— A jak będzie lepiej pani Żuławska?

— Po prostu: Gość z Polski.

— O *key*, ja się nie spieram. Ja lubię każdemu dogodzić. A tu mam bilety na Zabawę Stoliczkową Korpusu Pań Placówki SWAP. Niech pani kupi i zrobi mamusi przyjemność.

Wieczór. Po dniu wtulonym w mgłę wieczór ciemny ciemnością głęboką, wilgotną, przynębiającą. Wojtek jeździ trzy razy w tygodniu na wykłady. Uniwersytet odległy jest około

(2) Profesjonalista — od *profession* — wolny zawód, jak lekarz, adwokat itp.

30 mil od miasta. Trzydzieści mil w jedną stronę, trzydzieści mil z powrotem. W międzyczasie — wykłady, walka ze zmęczeniem; czasem: podniecenie: uczę się, rozumiem. Wojtek jeździ na wykłady po pracy w biurze.

— Czy ten doktorat jest mi potrzebny? — myśli.

Wojtek mija ostatnie światła ulicy i wjeżdża w czarny aksamit *high way*.

— Potrzebny — przekonuje sam siebie. — Po co? — chociażby ironicznie. W moim wieku zaczyna obliczać się ile zostało lat do życia. To ja robię takie obliczenie ostatni. Biuro wykalkulowało już dawno, uniwersytet, *insurance* już wie, a na końcu — ja sam. Gdy skakałem do Polski nie myślałem. Dlaczego? Ile lat zostało mi do życia, aby udoskonalić elektryfikację Stanów?

Wojtek jedzie szybko, nieostrożnie. Pomimo szybkości ruch usypia.

— Psia kość, nie mogę zasnąć! Muszę myśleć! Nie wolno mi zasnąć za kierownicą.

Już miesiąc minął od przyjazdu matki Ewy. Przyплыły i odpływy uczuć. Nastroje. Dom wygląda lepiej. Ona jednak robi co może. Zadręcza się Ewą, jedyne dziecko. Zapomina, że to już dwanaście lat. Dwanaście jesieni. Życie opada po listku. W tym czasie wyrastają drzewa i powstają nowe lasy. Jesteśmy formą, przez którą przepływa czas. Był inny tam i inny tu. Wydaje się nam, że jest ten sam, na pozór tylko ten sam. Co się dzieje z Ewą? Jest cierpka, zgryźliwa, skłonna do kłótni, płacze o byle co. Co jest Ewie? — myśli Wojtek, przyciska pedał hamulca. Przed nim sznur samochodów. Zwalniamy na zakręcie. Po drugiej stronie szosy przedzielonej pasmem trawnika — długi, nawleczony na ciemność naszyjnik samochodowych reflektorów.

Przyjechała matka, wracają stare wspomnienia. Może powinienem być bardziej wyrozumiały? Tak oczekiwała na nią. Ja też. Nie tylko na nią, nie tylko na matkę Ewy, na coś więcej: na matkę Ewy z Polski. Te kłótnie są skandaliczne. Zamiast zbliżenia — obcość. Biedna Ewa, nie wypowiada wszystkiego co myśli. Przez dwanaście lat żyła połączona pępowiną z czymś, co już nie istnieje i teraz się szarpie, chce się oderwać, nie może.

Wojtek myśli także o sobie: nie jestem już taki jak dawniej. Wchodziłem, aktor na scenę teatru, widownia zamierała w oczekiwaniu: co dalej? Okręcano mnie na ruchomej scenie. Ludzie opuścili teatr, wymknąłem się z nimi po cichu, aby nikt mnie nie zauważył. Jestem bardziej szary niż dawni moi widzowie, których przyprawiałem o dreszcz zachwyty.

Z daleka widać miasto. Ukazuje się w tym miejscu na krótką

chwile; światła, a za nimi odgaduje się życie, niustanną zmienność.

No przecież się starzeję! Stąd te myśli! Jestem zazdrosny o własną młodość, znika mi sprzed oczu, jak światła miasta.

Zapala papierosa.

Jednak jestem niewyrozumiały. Ja mam tu swoją rodzinę, świadomość, że są, że kontakt nie został przerwany. Papieros pomaga mi myśleć, jak gdyby ogrzewał mnie dym.

Ulice miasta są puste. Przytulność znanych reklam i wystaw. Światła. Piękna noc — uśmiecha się Wojtek. Uśmiecha się do reklam, pustych chodników, oświetlonych wystaw. Dobrze jest znaleźć się znów u progu domu. Od tego momentu wszystko jest znane na pamięć i ta świadomość swoistości uspakaja. Nieprzyjemnie jest jechać *high way*'em samotnie nocą walcząc ze snem, za którym czyha śmierć.

Ewa oczekiwała go u podnóża schodków.

— Denerwowałam się.

— Wiesz przecież, że muszę czasem zostać w bibliotece.

— Telefonował twój ojciec.

— Tak?

— Przyjadą wszyscy na chrzciny.

— No to...

— Wszyscy!

— Dobra!

— Mówię: WSZYSCY. Pies też. Powiedziałam: dobrze.

Wojtek śmieje się. Obejmuje Ewę, jej ciepło jest przyjazne, bliskie.

— Pies też! To dobre! A niech biorą!

— Mamusia zrobiła pierogi z jagodami. Ja nie mam cierpliwości. Narobiła dwa półmiski pierogów. Inżynier pisał. Wiesz, przenosi się do Waszyngtonu, dostał posadę w bibliotece. Ja się jeszcze nie mogę zdecydować, jak nazwać małego. Józef po twoim ojcu? Józef jest strasznie pospolite! Chciałabym: Wojtek. Ale ty masz dość tu kłopotów ze swoim imieniem. Mark? Możemy go nazywać w domu Marek? Nic nie zauważyłeś?

— Włosy?

— Ach nic nie zauważyłeś!

— Zauważyłem, byłeś u fryzjera.

— Acha. No i co?

— Muszę cię zobaczyć przy świetle.

— Przycisz telewizję — powiedziała Helena Żuławska do męża — chłopcy śpią.

— A jak ja pracuję to mogą wywracać dom do góry nogami!

— Co ty tam pracujesz!
 — Jeszcze nie jestem na twoim utrzymaniu!
 — Prawie! — Żuławska odłożyła książkę kucharską. Od czasu sprzedaży „lanczety” nabrała do siebie większego zaufania. Udało jej się dostać pracę zarządzającej w *Drive In* gospodzie. Była dumna. Żuławski wstał posłusznie od biurka, przyciszył telewizję, wrócił do pisania podań. Żuławski teraz pisze podania, wyszukuje ogłoszenia, wypełnia *applications*, chodzi, jeździ na *interviews*. Wszystko bez skutku. W domu, na biurku piętrzą się stopy kopii podań, do każdej przyczepione wycięte z gazety ogłoszenie, równo, dokładnie. No i co z tego? Nikt go nie chce przyjąć.

— Bo ty nie wyjeżdżaj zaraz ze swoją przedwojenną szarżą!
 — woła Żuławska. W głosie przewaga człowieka, który zarabia dolary.

— Poczekaj-no, mam czas — uspakaja Józef.

Wie, nie ma czasu i nie ma *American experience*.

— Czas! Nie wyobrażaj sobie Józiu, że dostaniesz dyrektorskie stanowisko. Najgorsze to, że ty w siebie nie wierzysz.

— Poczekaj-no, ja ci jeszcze pokażę!

— Telefonowałaś do Wojtka?

Żuławski kiwa głową.

— Acha.

— To kiedy jedziemy?

— Kiedy chcecie.

Żuławska siada na łóżku, włosy potargane.

— Co to znaczy: kiedy chcecie?

Żuławski w pyjama, okulary na nosie, studiuje polsko-angielski słownik.

— Powiedziałem, jedźcie kiedy chcecie. Zabieraj się z Andrzejem, Bogą i chłopcami. Ja tu z Kapitanem zostanę.

— Czyś ty oszalał człowieku! — wykrzykuje Żuławska. I za chwilę: Co ci Ewa powiedziała?

— Nie mam przekonania do ludzi, którzy nie lubią psów — mruczy Żuławski.

— Cicho! Pomyliłem się.

Żuławska wyskakuje z łóżka, narzuca szlafrok.

— A ja ci oświadczam — woła wymachując rękami. — Ja ci oświadczam, że pojedziesz!

— Cicho.

— Nie chcesz, bo prezes ma być chrzestnym ojcem... nie chcesz...

— Nie chcę! Przez niego i jemu podobnych tułam się po świecie!

— Nie pleć! Przedtem przez Roosevelta, teraz przez niego... skończ raz z tym wszystkim do cholery!

— Niby z czym? Że Wojtek wplątał się w politykę to ja mam też ulec?

— A ja ci mówię, że on zrobił dużo dobrego. Historia...

— Ja swego zdania nie zmieniam! Podpalacze Warszawy!

— Podpalacze Warszawy! Nie mów za dużo jakżeś sam tam nie był! Żeby o tobie tego nie powiedzieli! Ja byłam...

— Wiem, wiem...

— O ś w i a d c z a m ci, że pojedziesz!

— Wpuść Kapitana, drapie do drzwi.

— Pies nie będzie spał na łóżku!

— E...e...e...e...

— Manierujesz każdego psa!

— E...e...e...e... Mrs. Ziuski.

— Pojedziesz! — mówi Żuławska.

Józef nie odpowiada. Schował oczy poza okularami, schował się cały poza okularami, wtłacza się w ogłoszenie w gazecie. Pisze „na brudno” odpowiedź:

Dear Sir: I am referring to...

Do żony:

— Bądź cicho, widzisz, że pracuję.

— Tyś nie był wtedy w Kraju, ty nie pamiętasz, ludzie płakali, gdy przyjechał...

— Mówię ci — Żuławski odkłada pióro — że jemu zawdzięcza, że dziś siedzę w Ameryce. Sprzedali Polskę! Ja się nie prasilem na przyjazd! Ja...

— A ty jesteś niewinny! Ty nic! W trzydziestym dziewięcym roku kto uciekał przez granicę?

— Mówisz rzeczy, o których nie masz pojęcia.

Boga puka do drzwi.

— Czy nie mogliście ciszej rozmawiać? Dzieci śpią, dzieci się budzą!

— Boga, uważaj, żebym ja ci czegoś nie powiedział! — oburza się Żuławski.

Gdzie Andrzej?

— Drapie od pół godziny Marka po plecach. Marek nie może zasnąć. Wiesz przecież! — w głosie Bogi ton wymówki.

Andrzej drapie syna po plecach. Myśli: Jakie to dziecko nerwowe! A ja to nie?

Na dworze wilgotna noc, brak powietrza. Nie, to tylko powietrze jakby zgęstniało, jest mazistą, lepka cieczą.

— Podrap mnie po rączce — grymasi Marek.

— Przecież chciałeś po plecach.

— Oh, *never mind!* — Marek wzdycha.

Andrzej myśli: Gdy ojciec mój wracał z pracy, wszyscy chodzili koło niego na palcach. Ta myśl jest, jak przełknięcie lzy, o której Andrzej nie wie.

Świat się zmienia — tłumaczy sobie. — Zmiana ról. Od mężczyzny wymaga się teraz więcej, przejął na siebie część obowiązków kobiety.

Urywek piosenki telewizyjnej rozbudza Marka:

I know that some day you want me to want you...

— Poczekaj synku — mówi Andrzej. — To niemożliwe! W tych hałasach dziecko nie może spać! I do tego się kłóć!

Puka do pokoju Żuławskich.

— Chodź, chodź Andrzejku — zaprasza Helena.

Andrzej nie ukrywa zdenerwowania. Boga uspakaja go, podnosi się z krzesła:

— Już... już idę do Marka, a Paweł?

— Śpi.

— Usiądź Andrzejku — zaprasza Żuławska — wytłumacz Józiovi...

— On mi nie potrzebuje nic tłumaczyć! — Żuławski chodzi po pokoju. Rozłożone na biurku papiery podnosi pęd powietrza z zainstalowanego w oknie wiatraka.

— Nie pokłóć się — myśli Żuławska — Andrzej mu wytłumaczy.

— O co chodzi? — pyta Andrzej — Jestem zmęczony, chciałbym odpocząć.

— Józio nie chce jechać na chrzciny, bo prezes...

— A daj spokój, Helenko! — Żuławski cmoka niecierpliwie.

— Co chcesz od prezesa? — pyta Andrzej.

— Co chcę? — wybucha Józef. — Dlaczego pozwala, aby nasi generałowie pracowali jako windziarze?

— A co on ma do generałów? Co oni jego, i co on ich obchodzi?

— Z racji swego stanowiska.

— Stanowiska się skończyły. Jesteśmy Emigracją.

Andrzej myśli: Do diabła, mam tego dość! Dajcie mi spokojnie pracować. Żuławski nie może wyjść z kręgu rzeczy nieaktualnych.

Mówi głośno: To jest normalny człowiek. Traktuj go jak normalnego człowieka. Reprezentuj...

— On mnie nie reprezentuje! — wykrzykuje Żuławski.

— Cicho! Dzieci! — uspakaja Żuławska.

— Chciałem powiedzieć, reprezentuj sam siebie.

— Ty mnie nie potrzebujesz uczyć!

Andrzej uśmiecha się.

— Czy nie możecie dyskutować spokojnie? — wzdycha Helena.

— No więc, daj mi skończyć... — zaczyna Andrzej.

— Proszę!

— Nikt tu nikogo na Emigracji nie reprezentuje, każdy sam siebie, my mamy dość polityki...

— O przepraszam cię bardzo, Emigracja jeszcze coś zna-czy...

— Znaczyła!

— Cicho! Marek nie może zasnąć.

— Nie ma co dyskutować.

— No widzisz, nie ma co dyskutować. Amerykanie są mądrzy, polityka ich niewiele obchodzi. Takie dyskusje w domu amerykańskim są nie do pomyślenia.

— Ich obchodzi *base-ball*!

— Może i lepiej.

— No wiesz Andrzejku, gdybym nie wiedział, że byłeś oficerem odznaczonym...

— Zapominasz, że jestem także normalnym człowiekiem!

— Znam twój stosunek do oficerów.

— Skończcie! — załamuje ręce Żuławska — na miłość boską, skończcie!

Sobotnie popołudnie. Widać dach domu na skarpie. Zieleń zasłania mur i okna. Z daleka widać tylko zieleń, kawałek czerwonego dachu i niebo. Niedługo świerszcze odezwą się głośnym jazzbandem. Ale teraz nie słychać świerszczy. W pokoju stół nakryty wykrochmalonym przez Wandę Wernerową obrusem. Goście słuchają. Książd podniósł się od stołu, przemawia. Ewa przechyliła głowę na bok. W oczach prawie że szczęście, nie zupełnie, ale szczęście. Jak to dobrze czuć wokoło siebie tyle ludzi. Helena przerwała rozmowę z Wandą. Zaraz nawrócą do tego samego tematu, ale teraz słuchają. Inżynier podsunął papierosy Żuławskiemu:

— Proszę pułkowniku.

Andrzej przerwał dyskusję z prezesem. Prezes spogląda na zgromadzonych. Czuje się samotny. Czy kiedykolwiek nie czuł się samotny?

Wojtek spogląda na niego: pochylone nieco ramiona, zmęczona twarz. Prezes jest kroplą goryczy. Każdy z nas jest osobną kroplą goryczy. Cieszymy się tym podobieństwem.

Książd mówi:

— Wznoszę ten toast na cześć rodziców, którzy wychowali taką wspaniałą polską młodzież, młodzież, która tu, na Emi-

gracji, nie zapomniała religii i tradycji, której związek z krajem naszych ojców...

Andrzej dostrzega spojrzenie Wojtka. Ledwie, ledwie zauważone mrugnięcie.

Helena i Wanda przełknęły łzę. Inżynier wyprostował się. Żuławski z uwagą spogląda na księdza. To kapelan wojskowy — myśli.

— ...Polska nad Wisłą leży, to prawda, ale tu, w tym wspaniałym, polskim domu gdzie miłość, zgoda i zrozumienie, gdzie hasła: Bóg, honor i Ojczyzna nie przebrzmiały, tu, najdrożsi moi, wiara przodków naszych z ojczyzną naszą ukochaną gości. Wznoszę więc toast na cześć rodziców, a specjalnie na cześć matki-Polki...

W tym momencie Wanda Wernerowa rozplakała się. Przez niemal dwa miesiące pobytu w domu Ewy i Andrzeja popłakiwała, ale były to łzy krótkie, łzy wzburzenia, poirytowania. Spływały po powierzchni, ale nie rozwierały głębi. Ewa siedziała na wprost niej odmłodzona, nieśmiało sama siebie usuwająca na drugi plan. To Wanda decydowała o przyjęciu gości, ona czyniła honory pani domu nie zdając sobie nawet sprawy, że dwanaście lat rozłąki kurczyło się, że w tym momencie toastu przy stole nie zostało z nich nic. Ewa jest znów jej córką, a ona, Wanda, gospodynią domu. Nie istnieją pomiędzy nimi nieporozumienia i żale. Czas przyczał się, zamarł. Teraz dopiero poczuła całą tęsknotę rozłąki, znikomość spraw, które mogły ją z Ewą rozdzielać. Jakże mogła podejrzewać, jak mogła pomyśleć, że jej dziecko odeszło, że może być coś silniejszego na świecie niż to uczucie dwóch istot związanych z sobą najstarszym prawem natury. Dopiero teraz witała się z Ewą. A jednak wiedziała, że będzie musiała odejść. Będzie musiała odjechać. Więc jakże to pogodzić? Jak nie naruszyć związku, przekazać samą siebie? Jak utożsamić decyzje pozostania z decyzją odejścia?

— Pani Wando — szepnęła Helena Żuławska — pani jest zmęczona, pani się tyle napracowała, tak pięknie przygotowała pani to przyjęcie.

Wanda wytarła oczy chusteczką. Ujęła drżącą ręką kieliszek.

Inżynier pochylił się do Żuławskiego:

— ...bo na przykład dlaczego pułkownik nie stara się o pracę w bibliotece? Rzuciłem „szrympy”, za kilka dni wyjeżdżam do Waszyngtonu, będę pracował, jak człowiek, z inteligentami, przy biurku...

— Ale te stosunki personalne...

— No to co? Raz pan zaprosi na obiad szefa, od czasu do czasu na kolacyjkę z wódeczką, jeszcze pomogą w tłumaczeniach, przez palce będą patrzeć...

— Wojtek — szepnął prezes — ja będę musiał odjeżdżać.

— Odprowadzimy pana prezesa razem z Andrzejem.

Wanda podniosła się z krzesła, chciała wyjść do kuchni, spojrziała: prezes się żegnał. Pomyślała: Jak on zmizerniał. Chory? Dogoniła go na werandzie, znaleźli się na chwilę sami.

— Jak tam? — spytał.

— Pan sam wie najlepiej — odpowiedziała.

— Profesor?

— Zmienił się. Najgorsza jest niepewność.

Przed domem na ścieżce bliźniacy i Mathew strzelali z plastyecznych karabinów maszynowych. Prezes uśmiechnął się, wskazał ruchem brody na chłopców.

— Rosną!

— TU rosna — szepnęła Wanda.

— Może i lepiej. Kiedy pani odjeżdża?

— Za kilka miesięcy wracam do Polski.

— Proszę pozdrowić...

— Tak?

— Proszę pozdrowić ode mnie... p... profesora.

Wojtek i Andrzej wracają do domu. Odprowadzili prezesa do samochodu. Wojtek szczupły i ciemny, Andrzej niższy o pół głowy, dotykają się ramionami. Świadomość bliskości, rozleniwienie i poczucie swobody: nie trzeba dobierać słów.

— Jak ci się podoba chałupa? — Wojtek patrzy na dom, spod oka obserwuje Andrzeja.

— Dobrze zrobiłeś!

— Ty wiesz, nie miałem nawet pieniędzy na *down payment*. Pożyczli mi, mają już do mnie zaufanie. Obcy mają do mnie zaufanie. Co u ciebie Andrzej?

— No co? Pracuję.

— Chłopie, ty się weź za coś innego, marnujesz się!

— A ty? Jak ty?

— Lepiej.

— Co lepiej? Lepiej nie mówić?

— Krzyż mi dokucz, zemdlałem w laboratorium, ale nie mów Ewie.

— No jasne. Uważaj na siebie!

— Jak tam z ojcem?

— Nie jest łatwy, wiesz...

— Co ty mi mówisz? Czy ja nie wiem? Ale jego też trzeba zrozumieć, od najmłodszych lat w wojsku, uciekł do Legionów,

wiesz przecież, nie zmienisz go. Ich nie zmienisz. My jeszcze, ale oni...

— Andrzej, dlaczego nie chcesz studiować psychologii, masz przecież magisterium...

— Co z tego?

— Czekaj-no, idź na uniwersytet, znam jednego, czekaj, dam ci adres w domu.

— Dobra, a jak matka Ewy?

— A niech to cholera! Te dwanaście lat, jak przepaść. Co zbudujesz jaki taki most to ci się w niespodziewanym miejscu zawala. Ja też mam nerwy... mam swoje lata, a dla niej ciągle jesteśmy dziećmi. Przyszłością narodu.

— Przyszłością narodu bez narodu, ale właściwie to jesteśmy początkiem.

— Czego?

Żuławski popija kawę. Przyczajony pod stołem Mathew obserwuje. Marek i Paweł ukryci za kanapą. Zaraz wyskoczą, zaterkoczą karabiny maszynowe... Żuławski poderwie się od stołu, zawoła: NO, na miłość boską!

Inżynier uśmiecha się.

— Pani ma wypieki — woła poprzez stół do Wandy.

Wanda promienieje. Nie ma już czasu, są znowu młodzi, jest to co było dawniej, tylko przeszłość.

— Bez męża rozpuściła się! — komentuje Żuławski.

— Nawet czułym okiem na mnie spogląda! — brnie dalej inżynier. Podnosi się.

— Obiadek cudowny! — całuję Wandę w rękę.

— Inżynierze, troszkę coca-coli! broni się.

— Ile procent ma ta coca-cola?

— No dajcie spokój, — śmieje się Żuławski — do męża napisz! Niech przyjeżdża!

— Emigruj!

— Wy już tego chleba emigracyjnego nie próbujcie!

— Ciastka, ciastka emigracyjnego — woła Wanda — to wy nie jęczcie tylko wracajcie!

— My już tam...

— Wam ciężko zostawić te auta, te domy...

— Tu chodzi o rzeczy zasadnicze.

Helena Żuławska wtrąca się do rozmowy:

— Nie możemy operować kategoriami sprzed dwunastu lat, wtedy...

Marek i Paweł zaatakowali. Mathew wyskoczył spod stołu.

— *Help! Help!*

Terkoczą karabiny maszynowe.

— Boga! — krzyczy Żuławski — Boga!

Żuławska nachyla się do Wandy:

— Jak w Polsce? Jak wygląda życie przeciętnego człowieka?

Wanda zamyśla się.

— Nie ma przeciętnych, każdy jest ważny. Jak nie ma ładnego mieszkania, samochodu, nie może bawić się nad stan, uważa, że jest pokrzywdzony, nie przebiera w środkach:

— Tak, to też. Ta niepewność, brak przyszłości. Boga ładnie wygląda, moja Ewa biedactwo...

— Cóż pani chce? Dwanaście lat bez matki.

— Ja wiem, ja widzę.

— Nie powinna była pani jej puszczać samej, dziecko wyjechało w świat...

Wanda wstaje, jest urażona. Jak ci ludzie mało rozumieją.

— Zajrzę do małego — usprawiedliwia się.

Ewa zaparza kawę w kuchni. Boga wyciera filiżanki.

— To dobrze, że masz córki, pomogą ci...

— Ania już pomaga.

— Ewo, Wojtek źle wygląda.

— Bo posłuchaj, myśmy się nigdy tak nie kłócili. Mama przyjechała i wszystko wróciło na nowo.

W przylegającym do kuchni pokoju — dziecinny wózeczek. Chłopczyk śpi. Pochylona nad nim Wanda płacze:

Kiedy ja go znowu zobaczę? — myśli.

Helena wsuwa się cicho, staje obok niej. Wanda jeszcze młoda. Włosy Heleny, te włosy okalające czoło i skronie — siwe.

— Ja płaczę — tłumaczy Wanda — bo tak... bo nie mogę patrzeć. Proszę pani, co tu za gospodarka! Ile tu się rzeczy marnuje. Jak przyjechałam to ledwie wszystko mogłam doprowadzić do ładu i... Ewa, Ewa jedynaczka. Chuchaliśmy na nią, Ewusiu nie wchodź do kuchni, Ewusiu nie przemęczaj się...

— Chodź Boga — mówi Ewa — siądziemy sobie w *sitting-room*'ie, odpoczniemy. Trzeba będzie niedługo wołać dzieci.

Przechodzą przez pokój stołowy. Józef Żuławski rozmawia z inżynierem: — ...przychodzę do nich, na drzwiach szyld „Kościszko”, mówię co i jak, rozkładają ręce, nic, panie, nic. Taka ta wasza polskość, mówię, napisaliście „Kościszko”, bo nic nie kosztuje, czekajcie...

W *sitting-room*'ie jest już słońce, spóźnione popołudniowe słońce pada poprzez liście dzikiego wina na wypastowaną podłogę i na obrazki ponad półką z książkami. Ewa stwierdza z satysfakcją, że jest miło, przytulnie. Na jak długo? W głębi, niby deli-

katne dotknięcie bólu świadomość oczekiwania. Na co ja czekam?

— Wiesz — szepcze — ja bym tak chciała zrobić coś sama, czegoś dokonać. Ojciec mój zawsze myślał... A ty?

— Wydaje mi się — mówi Boga — jakbyśmy żyli w cieniu. Trzeba się przez to przedrzeć, trzeba raz nareszcie stanąć w pełnym słońcu, zacząć się uśmiechać. Bo my bez ustanku spodziewamy się czegoś...

— Chciałabyś wrócić?

— Teraz? Czasem tak, czasem nie. Bo my jesteśmy ludzie z kresczką pośrodku. Nie wiadomo gdzie czterdzieści, gdzie sześćdziesiąt. Trudno się wyrwać, zacząć na nowo.

— Wojtek już wyrwał, klóca się z moją mamą. On w ogóle nie chce słyszeć o przeszłości. Ma to za przeproszeniem wiesz gdzie? On już sobie dał radę z tym całym okresem niepewności. Ja jeszcze przeżywam, nie mówię mu, ale przeżywam, i teraz kiedy mamusia przyjechała...

— Ja myślę, że Andrzej też. Nawet wspominać nie chce. Tylko ojciec nie może się rozstać z wojskiem, a wydaje mi się, że Andrzej zapomniał, nigdy, już nigdy nie wspomina...

Wojtek i Andrzej siedzą na stopniach werandy. Świerszcze śpiewają głośno. Wieczór zbliża się na palcach, niewidoczny poza wierzchołkami drzew. Andrzej mówi:

— Podczołgaliśmy się pod wzgórze dwudzieste drugie. W pierwszym rzucie szedł na prawym skrzydle mój pluton, na lewym skrzydle pluton z pierwszego szwadronu. Myślałem sobie, że jeśli potrafię poderwać żołnierzy tak szybko, że przeskoczą pędem, uniknę strat zabitych. Trzeba było wykorzystać zaskoczenie wroga. Poderwałem się sam pierwszy z piekielnym, nieludzkim wraskiem: „Naprzód na s...synów!” I tak ciągle krzycząc „Naprzód, naprzód!” poderwałem innych.

Danuta MOSTWIN

Wiersze

MITOLOGIA

Adamowi Czerniawskiemu

*Ku Olimpowi szedłem nocą
Odpoczywając widokiem w dzień.
Krokiem tanecznym biegły furie
Szarpiąc za włosy cień.*

*Badalem Pytii usta
I Kasandry wzrok.
W oczodolach jarzyła się pustka.
W ustach wrzał bełkot.*

*Mówilem z Apulejusza osłem,
Lecz wrył się tępo w czas
I zęby szczerzył żółte
Jak wściekły pies.*

*Odoswojone zwierzę — rzekłem —
Widocznie upłynął szmat historii:
Eros skurczony jak embrion
Patrzy z przestraczem w twarz glorii.*

*Smrodliwe wyrzuca popioły
Wulkan Etny.
Już Leonidas goły
Spalony. Kwilą sępy.*

*Kwilą. I szemrze Dafne
Zwęglona.
Owoce zrodził trefne
Gaj Platona.*

Przekwitły w płomieniach dżungli
Furie. Nie słyszę głosów.
Tylko nad stadem kundli
Płaczą albatrosów.

Na ogół jednak ptaki
Niewolnikami są okrętów.
Tak że dziś cynizm szczurów
Zda się odwagą.

Ale okręt nie tonie.
O bogowie z góry!
Przez szpary w nieboskłonie
Gwiazdy węższą jak szczury.

Lecz gdzie praca termitów?
Gdzie erozja morza?

W nudnej apatii błękitu
Czai się burza.

FRAGMENT

Uczyłem się skupienia od posągów Buddy.
Kłękania od wielbłądów. Zmysłów od lotosu.
Olśniewał mnie intelekt błyskotliwy nieba.
Cztery dłonie ma bóg do pieśczoł, palców
dwadzieścia. Trąbę młodego słonia wziął za biodro pasterki.
Nasycony miłością usnął w cieniu ucha
wchlującego ciepłe jedwabie powietrza.
Rankiem orzeźwiający jak źródłany gejzer
poczuł bóg kiel słoniowy techczący mu uda
i zmienił się w kobietę. I tak się narodził
fragment świadomości —

ocalony jak Mojżesz

w koszu na rzece.

To ocalenie

dziwne. Bo mogłem nie wyjechać
do Indii.

KOMENTARZ

Chodzi o ruchy wewnątrz.
Wiatr jest też poezją
zewnątrz
ale wewnątrz ruchy? czy wulkany...
Misterność. Niech Konstanty
nie psioczą na kolibry.

(kolibry — korable)
Tyleż gry co igraszki.
Ześlizgnie się księżyc
po nieboskłonie.

Stoczy się iza.
Lecz na stronie
uwidaczniając gestem, a więc ruchem,
mówimy.
Chodzi o ruch w słowach,
śpiew wewnątrz.

O koturnowa
wichuro za oknami!

Nie wręcz,
ale emancypując.
Pod parasolami
chińskich cieni.
Na smokach wyobraźni
ziejących ochrowym płomieniem.

Bo choć z ogniem
to są wciąż igraszki —

(fraszki)
— z przeistoczeniem.

W SOCZEWCE CHWILI NA TARASIE

Bière d'Alsace.

Rzeka leniwa, zgięta kolano.
Ramię rzuciła w zagajnik.

Podmucha leniwy. W pianie piwa
Pruje koronkę.

Wilczur oczyma
Waruje na rzece.

Południe skwarne.
Rzeka leniwa.
Dwa koty mruczą jak przyduszone dłońmi struny gitar.
Echo przebiega ogony: tam i na powrót.
Drzemiąca iskra elektryczności.

Konik kopie kopytem studzienkę
W żółciutkim piaseczku.

Jaskółki nad rzeką jak nożyce blasku
Tną powietrza łękę.

W zagajniku ramię rzeki szeleści.
Żywica łni przez liście na drzewach.

Na koniku faluje grzywa.
Kaskami światła spada po dachu upał ulewa.

P R Z E S M Y K

Wąska szyjka klepsydry
w zaciśniętej dłoni.
Chcę piasek wrócić
z dna.

Wiem, że kiedy się zawęży
i kiedy brak tchu,
przyszykowane w niebie czekają orszaki tlenu,
ptaki zapowiadają świt
kwileniem ze snu.

Wyjęty przez ucho igielne
staje na ostrzu.

Odwracam klepsydę.
Czas znów jest wymowny.

K O L E K T Y W

Moje stępy zaludniają się,
plug wyrzuca szrapnel.

Moja ziemia odwrócona
na saharze
traci malaryczny kolor skóry.

Wprowadzamy prymitywną irygację.
Wychodzimy wspólnie na pole.

Tyłu śmierci wymaga ziemia
by urodził się na piasku czarnoziem.

Roztrącam widłami gnój przeszłości.
Zaoruję próchno trumienki, mój bracie.

Uprawiam ugór na ruinie.
Rolnik czy grabarz?

Bogdan CZAYKOWSKI

Archiwum polityczne

Strategia oddziaływania

W październiku ub. roku bezpośrednio po rozmowach w Camp David — wyraziłem na tych łamach pogląd, że polityka koegzystencji niesie z sobą daleko więcej niebezpieczeństw dla bloku sowieckiego niż dla Zachodu.

Podkreślam, że polityka koegzystencji w ostatecznych swych konsekwencjach oznaczać by musiała doktrynalną kapitulację i przyjęcie w praktyce zasady wielopoglądowości. Polityka ta przyjmuje bowiem jako czynnik stały pokojowe współżycie z „otoczeniem kapitalistycznym”. Jak ma wyglądać pokojowa koegzystencja rewolucji z kontrrewolucją — tego nie dowiemy się z pism klasyków marksizmu-leninizmu. Klasycy uczą nas natomiast, że kontrrewolucyjne siły świata dążą do likwidacji komunizmu, którego twierdzą i ostoją jest Związek Sowiecki. Dopóki sytuację polityczną rozpatrujemy z pozycji ortodoksyjnego marksizmu — dopóty Amerykę określać się musi jako śmiertelnego wroga komunizmu i Sowieców.

Ortodoksyjny marksizm nie może więc być bazą polityki koegzystencji. Proces dziejowy do Hiroszimy regulowany był okresowymi wojnami, które z kolei stanowiły odskocznnię dla rewolucji. Według Lenina imperializm stanowił miał szczytową formę kapitalizmu, a wojny imperialistyczne były nieuchronną konsekwencją sprzeczności systemu kapitalistycznego.

Po Hiroszynie ten cały schemat stał się anachronizmem. Dziś trzeba wybierać. Można powiedzieć, że nic się nie zmieniło i wojna atomowa jest taką samą wojną jak poprzednie, a kapitalizm współczesny takim samym kapitalizmem jak za czasów Marksa. Albo można stwierdzić, że po Hiroszynie de facto wszystko się zmieniło i ani wojna nie jest tym czym była, ani system kapitalistyczny nie jest tym samym co w czasach Marksa. Jeżeli jednak przyjmiemy, że wojna atomowa nie jest tylko instrumentem polityki, lecz przede wszystkim potencjalnym likwidatorem procesu historycznego — to w kon-

sekwencji musimy uznać, że ortodoksyjna doktryna marksistowska w epoce atomowej wymaga daleko idącej rewizji i adaptacji.

Ponieważ marksiści wzbraniają się wyciągania wniosków z powyższej sytuacji — wikłają się nieustannie w kompromitujących sprzecznościach.

Polscy rzeczoznawcy komunizmu popełniają pewien zasadniczy błąd. W swych rozważaniach komunizm rosyjski traktują na równi z komunizmem polskim, węgierskim czy rumuńskim. Jeden z naszych „speców” określił Rosję jako największy z krajów ujarzmionych. Trudno o większy nonsens. Komunizm sowiecki jest rdzennie rosyjskim tworem, a rewolucja październikowa była rdzennie rosyjskim przewrotem. Rosji komunizmu nikt nie narzucał, tak jak Polsce nikt nie narzucał rządów sanacji.

Przeprowadzanie analogii między Rosją a krajami ujarzmionymi prowadzić musi do najfalszywszych wniosków. W Polsce, przy sprzyjającej koniunkturze międzynarodowej, komunizm w roku 1956 odpadłby bezkrawo i bezgłośnie jak tynk od ściany. W Rosji, nawet w oczach Terca, komunizm jest „Establishment” — jest powszechnie przyjętym systemem i tradycją. Terc wykpiwa ustrój komunistyczny w Rosji tak jak pisarze angielscy wykpiwali kiedyś purytanizm i obłudę epoki wiktoriańskiej. Szydzili, wykpiwali, buntowali się — ale to wszystko uważali za swoje. To samo można powiedzieć o Tercu. Wykpiwa, krytykuje, szydzi — bo to jest jego. Ale w Polsce komunizm nie jest nasz i to jest podstawowa różnica.

Jest więc oczywiste, że ewolucja komunizmu w Rosji jest zgoła czymś innym niż ewolucja komunizmu w Polsce. Ewolucja komunizmu w Rosji jest ewolucją organiczną i naturalną. Losy komunizmu nie rozstrzygną się ani w Jugosławii ani w Polsce tylko w Rosji.

Czy w Polsce ministrem spraw zagranicznych jest p. Rappacki czy p. Skowroński — jest bez żadnego znaczenia. Powrót generała „Gaz-rurki” Witaszewskiego jest groźny, ale tylko dla Polaków. W Londynie czy w Nowym Jorku nikomu to z powiek snu nie spędza.

Lecz zmiany w układzie sił w CK KPZS dotyczą bezpośrednio wszystkich mieszkańców naszego znękanego świata. Nie było w dziejach partii politycznej o takim zasięgu wpływów. Nagłe przegrupowanie w prezydium może przynieść w rezultacie zerwanie konferencji na szczycie i groźne zaostrenie sytuacji międzynarodowej. To są panowie, którzy ustawiają kulisy na scenie międzynarodowej, ale my o nich nie wiemy nic.

Na dwanaście godzin przed wystąpieniem Chruszczowa w Paryżu — wszyscy najlepiej poinformowani publicyści Zachodu, wszystkie agencje prasowe, radio i telewizja zapewniali siebie i innych o sukcesie „summit'u”. Nie liczone na jakies cudowne rozwiązania, ale nikt nie oczekiwał gromu z jasnego nieba.

Kamuflaż sowiecki był doskonały. Jedenastego maja, a więc na cztery dni przed konferencją na szczycie — prem. Chruszczow w czasie konferencji prasowej w Moskwie oświadczył co następuje: „Sprawa ta (afery samolotu U-2) jest już przedmiotem dyskusji międzynarodowej i dlatego sądzę, że nie ma potrzeby umieszczania jej na agendzie problemów, które omawiane będą na konferencji na szczycie”. Powyższy cytat pochodzi z biuletynu, wydawanego przez Wydział Prasowy sowieckiej ambasady w Londynie.

Ale w gruncie rzeczy nie wiemy czy to był kamuflaż czy też na przestrzeni owych czterech dni coś stało się na Kremlu.

Dzięki telewizji brałem niejako osobisty udział w konferencji prasowej w Palais de Chaillot. Patrzyłem na miotającego się Chruszczowa, na jego mimikę, na gestykulację (zawsze tylko prawą ręką) i obserwowałem momenty kryzysu — kiedy emocja, niczym trans derwisa, brała go w swe władanie.

Człowiek zachodni staje przed tego rodzaju fenomenem, jak przed zagadką. Można zaryzykować melancholijną uwagę, że im większa suma wzajemnych kontaktów z współczesną Rosją i Rosjanami — tym głębsza przepaść, która nas dzieli.

Dla mnie osobiście nie ulega wątpliwości, że Chruszczow w Paryżu działał pod naciskiem. Gdyby się odrzuciło tę teorię to w konsekwencji należałoby przyjąć, że mamy do czynienia z emocjonalnym, nieobliczalnym, niebezpiecznym awanturnikiem à la Hitler. Do tej pory zachowanie Chruszczowa nie wskazywało na to, że jest nieobliczalnym neuropatą. Przeciwnie wydaje się, że jest chytrym i realistycznie myślącym politykiem. Wiadomo obecnie, że w dniu 4 maja sekretariat prezydium został zredukowany do sześciu osób — co otworzyło nowe możliwości dla opozycji. Chruszczow nie jest Stalinem i wszystko wskazuje na to, że został przegłosowany. Można to określić inaczej, wyrażając przypuszczenie, że poparł ugrupowanie silniejsze. Byłoby jednak zbyt wcześnie mówić o zachwianiu się pozycji Chruszczowa czy o definitywnym załamaniu się polityki koegzystencji.

Gdyby Chruszczow to co powiedział w Berlinie powiedział przy stole obrad wielkiej czwórki w Paryżu, konferencję na szczycie ogłoszono by za znakomity sukces. Pisano by, że powiodło się odsunąć katastrofę grożącą Berlinowi i odroczyć termin podpisania odrębnego traktatu pokojowego z Ulbrichtem. Wszyscy byłiby niezmiernie zadowoleni, a Chruszczow wróciłby do Moskwy w aureoli świetlanego budowniczego pokoju.

Co się więc zmieniło? Towar, jak na razie, jest ten sam, tylko zmianie uległo opakowanie. Polityka sowiecka w treści pozostała niezmienną — zmieniono natomiast ton. Wydaje się, że przywódcy sowieccy chcą mieć politykę koegzystencji, ale bez ryzyka odprężenia. Na odprężenie partia nie może sobie pozwolić z wielorakich przyczyn.

W tej sprawie jak i w innych — analogie z polską partią komunistyczną są mylące. PZPR jest totalistyczną partią rzą-

dzącą w nietotalistycznym państwie. To jest sytuacja absurdalna, z której pełne konsekwencje wysnuł tylko Piasecki. Jego memoriał w sprawie kolektywizacji rolnictwa, złożony kard. Wyszyńskiemu dowodzi, że prawdziwych ortodoksyjnych komunistów w Polsce znaleźć można tylko w Paxie. To co dla Gomułki jest malum necessarium, dla Piaseckiego jest bonum necessarium.

Ale różnica pomiędzy Chruszczowem a Gomułką w odniesieniu do polityki odprężenia bierze swe źródło jeszcze z innych przyczyn.

Sowiecka partia komunistyczna nie mogłaby rządzić w nietotalistycznym państwie na wzór Polski. Po prostu nie utrzymałaby się w siodle. Gomułka i jego partia mogą istnieć w najbardziej fantastycznych sytuacjach dzięki poparciu Rosji. Jeżeli odprężenie powoduje zbyt daleko idącą liberalizację — Gomułka może zawsze przypomnieć Polakom los Budapesztu. Ale partia komunistyczna Związku Sowieckiego nie ma starszego brata, który w chwili kryzysu wysłałby czołgi. Model sowiecki nie może być modelem absurdalnym bo przestałby funkcjonować. Dlatego problem odprężenia i liberalizacji w Sowietach jest i zawsze będzie zagadnieniem **najwyższej wagi**.

Każde odprężenie na zewnątrz niesie z sobą automatycznie pewne odprężenie na wewnątrz. Gdyby doszło do wizyty Eisenhowera w Moskwie — Chruszczow musiałby przedstawić prezydenta jako człowieka pokoju. Eisenhower nie przypomina w niczym imperialistycznego krwiopijcy i z całą pewnością wywarłby przyjazne wrażenie na publiczności rosyjskiej. Trudno jest z jednej strony podtrzymywać hasło „sputniki zamiast lodówek” a z drugiej strony obwozić po Rosji prezydenta Stanów Zjednoczonych w charakterze dobrego wujaszka.

Polityka koegzystencji i odprężenia byłaby opłacalna dla ortodoksów moskiewskich, gdyby w rezultacie przyniosła uspienie czujności Zachodu. Łatwo sobie wyobrazić co myślą ciasne aparatczyki obserwując rozwój wypadków. Kontrola partii zwiotczała na wszystkich odcinkach. „Zaraza” zachodnia szerzy się w literaturze, w malarstwie, w muzyce — w miastach pojawiło się mnóstwo książek zachodnich przemycanych z zagranicy — krytycyzm społeczeństwa w stosunku do rządu i partii wzrósł niepokojąco. Dyscyplina pracy pogorszyła się znacznie, a w Kazachstanie doszło do znanych zająć i wystąpień. Te objawy muszą budzić niepokój „klasowy” w kaście ortodoksyjnych menadżerów. W ich mniemaniu, jeżeli ceną odprężenia na zewnątrz miałyby być postępujące odprężenie na wewnątrz — to lepiej jest przekreślić wszystko i wrócić do koegzystencji „zimnowojennej”.

Z drugiej jednak strony, kryje się w tym wszystkim *triumf* Zachodu i potwierdzenie tezy, że jest rzeczą możliwą wpływać na ewolucję w Sowietach. Najfatalniejszym błędem jaki dziś Amerykanie mogliby popełnić byłby powrót do „maczartyzmu”. Niezłomni grają prosto w ręce stalinowców po tam-

tej stronie barykady. Gdyby tych drewniano-głowych panów dopuszczono obecnie do steru i do głosu — to pomogliby stalinowcom w Rosji przekonać narody ZSSR — że pokojowa polityka Zachodu od samego początku była bluffem, a Eisenhower największym cynikiem jakiego nosiła ziemia. Drewniano-głowi swą niezłomną polityką przekreśliliby cały mozolnie budowany kredyt Zachodu w społeczeństwie sowieckim.

Stalinowcy będą bronić w Sowietach swego klasowego interesu do upadłego — będą nawoływać do dyscypliny, mobilizować, zacieśniać szeregi — wszystko w imię obrony przed amerykańskim agresorem. Zwalczyć ich można redukując cierpliwie i wytrwale ich pozycję ad absurdum. Afera z U-2 była błędem i konsekwencją braku wyobraźni. Polityczne straty wynikłe z tej operacji przewyższają wielokrotnie ewentualne strategiczne zyski. Bo jaki jest podstawowy cel polityczny Zachodu? Przekonać narody Związku Sowieckiego, że stalinowcy i ortodoksi gardlujący o agresywnych planach Zachodu — nie mają racji. Gdy w społeczeństwie sowieckim utrwali się i upowszechni przekonanie, że Ameryka i świat demokratyczny nie żywią żadnych agresywnych i likwidacyjnych zamiarów w stosunku do Sowietów — ortodoksyjnym stalinowcom spory kawał twardego gruntu usunie się spod nóg.

Nasi znakomici niezłomni odpowiedzą z świętym oburzeniem: „Ludy sowieckie czekają tylko na wyzwolenie”.

Po pierwsze nie będziemy ich wyzwalać, bo bomby atomowe do tego się nie nadają. Po drugie, jeżeli po aferze z U-2 i w Ameryce doszłoby do głosu niezłomni — w razie wybuchu konfliktu armia czerwona walczyć będzie z Amerykanami tak, jak z agresorem, nie jak z wybawicielem. Ludy sowieckie niewątpliwie czekają na wyzwolenie, ale ich ewolucja i dążenia nie mają nic wspólnego z poglądami speców amerykańskich czy poszczególnych emigracji, żyjących w sferze złudzeń. Może miały one oparcie w rzeczywistości 20 lat temu, ale na pewno nie dziś.

Ortodoksyjny marksizm można uprawiać tylko w więzi z kości słoniowej, w odcięciu od reszty świata. Albowiem tylko w izolacji podtrzymywać można dogmatyczne poglądy na kapitalizm z połowy dziewiętnastego wieku — tylko w izolacji można Stany Zjednoczone przedstawiać jako orwellowskiego Goldsteina i organizować skopiwane z „Roku 1984” manifestacje nienawiści. Wrogie, agresywne, antagonistyczne, dyktujące zemstą otoczenie kapitalistyczne jest nieodzownym elementem stalinowskiej koncepcji świata. Gdyby tego elementu brakło trzeba by poddać rewizji fundamentalne założenia ortodoksyjnego marksizmu.

Ludzi sowieckich nie przekonamy tłumacząc im, że ich system i doktryna w wielu wypadkach są fałszywe. Na dalszą metę przekonać ich możemy nie propagandą, lecz aktywną polityką. To znaczy, musimy cierpliwie dostarczać obiektywnych dowodów, że nie jesteśmy imperialistami, agresorami,

wyzyskiwaczami, ciemężycielami ludów kolorowych, zoologicznymi antykomunistami — lecz przeciwnie — społecznością narodów szukającą sprawiedliwych i pokojowych rozwiązań problemów naszej epoki.

Koegzystencja jest wodą na nasz młyn, nie na młyn sowiecki. Wcześniej lub później z całą pewnością nadejdzie moment, kiedy większość społeczeństwa sowieckiego — nie wyłączając młodego pokolenia komunistów — dojdzie do wniosku, że nie jest rzeczą możliwą podtrzymywanie teorii, iż Ameryka i świat demokratyczny to armia Goldsteinów.

To wszystko nie ma nic wspólnego z appeasementem. Doświadczenie uczy, że tchórzliwa polityka ustępliwości nie jest nigdy polityką pokojową. Z reguły prowadzi albo do wojny albo do kapitulacji. Polityka ustępliwości w stosunku do Sowietów byłaby ideologicznie fałszywa, potwierdziłaby bowiem pogląd ortodoksyjnego marksizmu, że świat demokratyczny znajduje się w stadium rozkładu.

Nie rezygnując z niczego i nie kapitulując na żadnym odcinku — Zachód winien walczyć o każdą pozycję polityki koegzystencji starając się poszerzać płaszczyznę przyjaznych kontaktów. To nie my boimy się kontaktów z światem sowieckim — lecz odwrotnie świat sowiecki boi się kontaktów z nami. Wolta Chruszczowa w Paryżu ujawniła charakterystyczną słabość Sowietów, które z jednej strony dysponują imponującą potęgą materialną, z drugiej zaś strony opierają się na ideologicznym systemie, który w obecnej jego postaci wykazuje niepomiernie więcej sprzeczności niż nowoczesny kapitalizm. Te sprzeczności muszą być zrewidowane i usunięte. Zachód swoją polityką może ten proces przyspieszyć lub znacznie opóźnić.



Chciałbym zakończyć ten artykuł post scriptum, które dotyczy tylko fragmentu omawianego zagadnienia.

Z Rosją musimy współżyć, bo nie mamy innego wyboru. Ale równocześnie należy stwierdzić, że nie z każdym komunizmem współżycie jest możliwe. Z ortodoksyjnym komunizmem, który za swój główny cel i zadanie uważa likwidację demokracji — współżycie nie jest możliwe. Możliwy jest tylko stan ni to wojny ni pokoju, wiodący poprzez wyścig zbrojeniowy od kryzysu do kryzysu. Z tego stanu rzeczy należałoby wyciągnąć konsekwencje. Powinniśmy przyjąć pogląd, że celem polityki Zachodu nie jest likwidacja komunizmu, lecz przyspieszenie jego ewolucji.

Ktoś powie, że to jest program nierealny. To jest program trudny i długofalowy, ale z całą pewnością bardziej realny niż program likwidacji komunizmu z równoczesnym wyłączeniem wojny. Zespołem środków pokojowych można wpływać na ewolucję, ale likwidować można tylko siłą.

Przede wszystkim należałoby dawać mniej pieniędzy na propagandę, a znacznie więcej pieniędzy na cele konkretne. Weźmy przykład pierwszy z brzegu.

Ponad 9 milionów Polaków przebywa poza krajem. Innymi słowy co trzeci Polak mieszka za granicą. A inne emigracje? Nie ulega wątpliwości, że emigracja wpływa pośrednio na opinię w Kraju. Wpływa poprzez kontakty osobiste, listy, książki, czasopisma. Na emigracji ukazują się książki, które niejednokrotnie są bardzo istotne, a które w Kraju ukazać by się nie mogły. Jest oczywiste, że możliwość oddziaływania emigracji jest wprost proporcjonalna do jej własnego potencjału kulturalnego. Ten potencjał mógłby być znacznie większy i atrakcyjniejszy, gdyby istniały po temu środki materialne. Ale jak wiemy wydanie każdej książki emigracyjnej jest problemem. Idzie o rzecz tak niezmiernie doniosłą, że strategia oddziaływania winna wykorzystać wszelkie możliwości. Stypendia na wyjazdy naukowe są niezmiernej wagi, ale niezależne emigracyjne domy wydawnicze są również niezmiernej wagi. Gdyby „Rozstrzelane Odrodzenie” w języku ukraińskim nie ukazało się w Bibliotece Kultury — nie ukazałoby się w ogóle, ponieważ obraża jedno z tabu polityki amerykańskiej. Ukrainy sowieckiej nie można ruszać, bo to drażni Moskwę. Tego rodzaju tabu należy wyrzucić za burtę jeżeli się chce uprawiać strategię oddziaływania. I takich przykładów mógłbym przytoczyć bez końca.

Nie jest moim zamiarem przemieniać niniejszy artykuł w memoriał z wypunktowanym planem strategii oddziaływania. Chciałbym tylko podkreślić, że oddziaływanie przez środki kulturalne wydaje się na dalszą metę, istotniejsze od działalności czysto propagandowej.

W tej dziedzinie polityka amerykańska — choć pełna dobrych chęci — pozostawia niezmiernie wiele do życzenia. Antologia rozstrzelanych ukraińskich poetów to tabu. Ale równocześnie UNESCO wydaje w dwudziestu paru językach Historię Związku Sowieckiego w opracowaniu Aragona. Świat będzie się uczył dziejów sowieckiej Rosji pióra niezłomnego stalinowca za pieniądze w dużej mierze amerykańskie. Kombinacja raczej zdumiewająca.

Potrzebne są Kongresy, potrzebne są periodyki, instytucje badawcze, i rozgłośnie radiowe, ale równoległe potrzebne są niezależne instytucje emigracyjne, ponieważ roli, które one spełniają nie spełni najbogaciej wyposażona instytucja amerykańska czy międzynarodowa. Większość Amerykanów tej sprawy nie rozumie i nie docenia. Niepodległą myśl w sensie politycznym i kulturalnym symbolizować może tylko niezależna wschodnio-europejska placówka emigracyjna. To jest ta flaga na obcym terytorium, na której skupia się wzrok i nadzieja.

Kronika angielska

POLSKIE PRASOZNAWSTWO

Bohdan Osadczyk w swym reportażu z podróży po Niemczech „Kultura nr 152, pisze: „Kolega Niemiec, którego gazeta ma około 15 wydań prowincjonalnych opowiada, że niedawno zrobił naradę dystrybucyjną z kolporterami gazet na wsiach. W 90 % gońcy, którzy jeszcze przed kilku laty posługiwali się głównie rowerami — przyjechali na konferencję własnymi samochodami”.

U nas niestety inaczej. Na przykład mieszkaniec dobrze mi niegdyś znanego powiatu limanowskiego w woj. krakowskim kupuje dwudziestokrotnie mniej gazet niż mieszkaniec Warszawy. Przedwojenny IKC miał doskonale zorganizowaną sieć korespondentów terenowych i dziesięć wydań prowincjonalnych.

Jeżeli w Pacanowie córka fryzjera otruła się z nieszczęśliwej miłości — Pacanowianie całą romantyczną „story” czytali następnego dnia na swojej prowincjonalnej stronie. I to był sekret powodzenia IKC. Czytelnik nie uzna gazety za swoją, jeżeli jego sprawy i troski nie docierają do redakcji pisma.

Polska prasa współczesna jest prasą miejską. Mieszkaniec powiatu limanowskiego czy nowotarskiego nawet w prasie krakowskiej nie znajduje echa swoich spraw i problemów.

Istnieją w Kraju wydziały dziennikarskie, ośrodki badań prasoznawczych — jednym słowem wszystko z wyjątkiem prasy. Wychodzą niezłe tygodniki, garść dobrych periodyków ale prasy — jeżeli przez prasę rozumieć dzienniki — nie ma w ogóle.

Nie ma pisma codziennego bez publicystyki. Mamy już dziś w Polsce całe pokolenie zawodowych dziennikarzy, którzy w życiu swoim nie przeczytali na łamach polskiego dziennika jednego prawdziwego publicystycznego artykułu, jakie niegdyś pisywali Srokowski, Stroński, Cat-Mackiewicz i wielu innych.

Zanik publicystyki prowadzi do izolacji, a izolacja do swoistego infantylizmu politycznego. Gdy nagle podniesiono klapę w październiku 1956 — okazało się, że Polacy z jednej strony są bardzo ostrożni, a z drugiej strony politycznie niedojrzali. Na łamach „Po Prostu” obok artykułów doskonałych ukazywały się wypowiedzi prerażająco infantylne. Polacy w Kraju, po tym wszystkim co przeszli, są bardzo ostrożni. Ale czy politycznie są dojrzały okazałoby się wówczas, gdyby nie musieli być bardzo ostrożni. Z praktyki krajowej można by zacytować wiele przykładów, które wskazują na to, że Polacy są w większym stopniu ostrożni niż dojrzały. Rozwój sytuacji w PAN stanowi w tej sprawie klasyczny przykład. Czytelnikowi, któremu powyższy przykład nie wiele mówi polecam lekturę „Wrażen z Polski” B. Heydenkorna w czerwcowym nrze „Kultury”.

Trudno robić dobry dziennik jeżeli na jego łamach nie można swobodnie komentować aktualnej polityki. Dlatego Polska jest krajem tygodników a nie dzienników.

Kiedys Kisiel w rozmowie z londyńskimi rodakami zauważył, że obce otoczenie wywarło minimalny wpływ na prasę emigracyjną. To jest problem raczej złożony.

Pokolenie dziennikarzy i publicystów, do którego należą uformowało się w dużym stopniu za granicą. Czytamy prasę angielską od 20 lat i jest więcej niż zrozumiałe, że prasa ta wywarła na nas duży wpływ. I myślę, że nie mamy się czego wstydzić. „The Guardian” czy „The Observer” należą do najświetniej redagowanych pism świata i dziennikarz może się z nich nie tylko wiele dowiedzieć, ale i wiele nauczyć.

Lecz pisma emigracyjne nie przypominają w niczym prasy angielskiej, a publicysta emigracyjny jest zupełnie kimś innym niż jego kolega brytyjski.

Niedawno rozmawiałem z jednym z moich kolegów dziennikarzy, znanym krytykiem, który nota bene pracuje w instytucji brytyjskiej. Wydawałoby się więc, że powinien być bardziej przesiąknięty chłodnym pragmatyzmem niż dziennikarze emigracyjni. W pewnym momencie kolega X. rozłożył bezradnie ręce i powiedział: „Robicie tę „Kulturę” i co z tego wychodzi? Co?”.

I to jest cały nasz problem „in a nutshell” — w łupinie orzecha — jakby powiedział Anglik.

Amerykanie, Francuzi czy Anglicy jeżeli wydają dobre pismo, które sprzedaje się w 60 krajach świata są zadowoleni i nikt do nich nie ma pretensji. Bo u nich nic z tego nie musi „wychodzić”. Wystarczy gdy wychodzi pismo, na dobrym poziomie i w przyzwoitym nakładzie.

Ale u nas inaczej. Fakt, że wydaliśmy 53 tomy Biblioteki „Kultury”, że od trzynastu lat wydajemy miesięcznik, że zorganizowaliśmy w Maisons-Laffitte jedną z największych bibliotek polskich na Zachodzie (20.000 tomów) — to wszystko jest sukcesem warunkowym. Innymi słowy jeżeli „coś z tego wyjdzie”.

A co ma wyjść — wiadomo. Jeżeli nie pełna niepodległość to przynajmniej wybitna poprawa sytuacji. Powiedzmy Polska w pasie neutralnym mniej niż dotychczas zależna od Sowietów i w rezultacie bardziej liberalna.

Jeżeli ktoś na emigracji sprzedaje kielbasy, stawia domy lub wycina bliźnim ślepe kiszki — nikt jego wysiłku i sukcesu nie mierzy skalą narodowych impoderabiliów. Ale tenże sam sprzedawca kielbas nasz wysiłek ocenia skalą sukcesu politycznego.

Od publicystyki w takich warunkach wymaga się niepomnie więcej niż w normalnym świecie. Analiza, komentarz — to wszystko mało. Musi być teza, program, plan. Bagatela — prawda?

„Kultura” by sprostać „zamówieniu społecznemu” musiałaby być nie tylko redakcją i domem wydawniczym, ale Hôtel Lambert, Ministerstwem Spraw Zagranicznych, ośrodkiem aktywnej działalności politycznej.

Poruszam ten temat bo rozmaitym magom wydaje się, że mamy megalomańskie pomysły, że zżera nas ambicja, że podejmujemy akcje wykraczające poza zakres normalnej redakcyjnej działalności. To nie

jest prawda. W rzeczywistości działamy pod naciskiem opinii naszych czytelników. To oni tego chcą i oczekują. Kto czyta listy przychodzące do nas nie może mieć w tej sprawie cienia wątpliwości.

„Kultura” nie może być tylko miesięcznikiem literackim i domem wydawniczym. Czy się nam podoba czy nie, „Kultura” musi być czymś więcej. Bo jesteśmy niezwykajnym piśmie w niezwykajnej sytuacji. I nie ma ucieczki przed tym stwierdzeniem.

„BOHATERSZCZYŻNA”

W Kraju ukazało się drugie, poszerzone wydanie „Hubalczyków” Melchiora Wańkowicza. Książka zawiera sporo autentycznych fotografii i przynosi wiele nowych szczegółów.

W dyskusji jeszcze nad pierwszym wydaniem ukuto na łamach prasy krajowej dziwny termin „bohaterszczyżna”. Jest to pogardliwa żargonowa forma à la „beriowszczyżna”, „pilsudczyżna” itd.

Chruszczow występuje zawsze i nieodmiennie z dwiema gwiazdami na lewej piersi, które oznaczają, że jest podwójnym „bohaterem Związku Sowieckiego”. W czasie swej wizyty w Ameryce premier sowiecki nosił owe gwiazdy nawet na szarej flanelowej marynarce. Na szerokiej piersi marszałka Malinowskiego nad pięcioma rzędami wstążeczek orderowych widnieją również dwie gwiazdy „bohatera Związku Sowieckiego”. To jest odznaczenie, które się nosi zawsze w oryginalnie — nigdy w postaci miniaturki czy baretki.

Czy byłoby do pomyślenia przed wojną, kiedy kwitł u nas kult wojska, wodza i odznaczeń — wprowadzić order do którego byłby przywiązany tytuł „bohatera Rzeczypospolitej Polskiej”? To nie byłoby możliwe. Do tego stopnia nie byliśmy nigdy zarażeni „bohaterszczyżną”.

Literatura sowiecka roi się od „Hubalczyków”, jakże gorzej pisanych od wańkowiczowskiego prototypu. Niemal równocześnie z książką Wańkowicza ukazała się w nakładzie stu tysięcy egzemplarzy „Granica w Ogniu” Włodzimierza Bielajewa. Autor rosyjski opisuje w tej książce bohaterką i beznadziejną walkę odciętych granicznych placówek w pierwszych tygodniach wojny sowiecko-niemieckiej. Pancerne zagonny hitlerowskie zalewały wówczas Rosję i żołnierze sowieccy na wysuniętych pozycjach walczyli bez cienia nadziei na zwycięstwo czy przetrwanie. Bielajew napisał szereg książek o tematyce bohaterkiej i nie on jeden w Związku Sowieckim para się tym tematem.

„Hubalczyków” wydano w dwudziestu tysiącach egzemplarzy — „Granice w Ogniu” w stu tysiącach. Wydawałoby się, że „bohaterszczyżny” mamy dosyć swojej własnej i nie musimy jej importować.

Oczywiście w opinii marksizujących krytyków krajowych — zarzut „bohaterszczyżny” dotyczyć może tylko polskiego autora nigdy sowieckiego. Dlaczego? Bo Historia stanęła po stronie sowieckich batalionów, a co jest „might” to jest i „right”. Rozmując po tej linii dojdziemy do wniosku, że bohaterstwo musi się historycznie kalkulować i opłacać. Jeżeli się nie kalkuluje — jak w wypadku Hubala — przemienia się w „bohaterszczyżnę”.

Gdyby Hubal był oficerem Armii Czerwonej i bronił ze swym oddziałem jakiejś straconej placówki byłby godny lauru i legendy. Wniosek stąd, że na to by być bohaterem trzeba się właściwie urodzić. Trzeba się urodzić Rosjaninem, a w każdym wypadku „człowiekiem radzieckim”. Tylko właściwe urodzenie gwarantuje bowiem możliwość wtopienia sytuacji osobistej w sytuację historyczną. Hubal nie wiedział, że Polska znajduje się w ramach świata, w którym liczy się tylko „condition historique”, a nie „condition humaine”.

„Hubalczycy” są jedną z najpiękniej napisanych wańkowiczowskich książek. Jest w nich zwartość, prostota, niezawodny rytm naracji i kapitalna polszczyżna.

„...W rychłej borowinie w bok od leśnego duktu wykopali groby krótkimi łopatkami troczonymi u siodel”.

„W rychłej borowinie...” kto z nas by dziś tak napisał? A u Wańkowicza to nie jest świadoma archaizacja. To jest owa kresowa jędrna polszczyżna, którą pisze Wańkowicz, bracia Mackiewicz, która patrzy na nas litewskimi oczyma ze stron „Doliny Issy”. Ta polszczyżna stanowi świetną ramę dla portretu Hubala.

„Bohaterszczyżna”...? Śmiać się chce z tych wymądrzań. Drodzy panowie, kiedy z was i z waszych tasiemcowych, a nudnych artykułów pyłku i śladu nie będzie — młodzi Polacy wczytywać się będą w „Hubalczyków”. Dlaczego? Bo... there is glory in it. Bo w tej opowieści jest poezja i dramat. Poezja i dramat wyiskrzają się zawsze ze zderzenia sytuacji osobistej z sytuacją historyczną. Po wszystkie czasy skupiać będą na sobie wzrok postacie, które nie kapitulowały przed determinizmem historii i służyły beznadziejnie buntowi słusznej sprawy.

Politycznie bohaterstwo tego typu nie kalkuluje się przeważnie. Być może w sensie praktycznej polityki nie kalkuluje się nigdy. I w żadnej innej epoce nie stanowi tak drażniącego dysonansu. Drażni mądrych i „uhistorycznionych” — krytycznych i pozytywnych, a czaruje naiwnych młodych i starych. Człowiek zbuntowany drażni zawsze tych, którzy się nie buntowali, którzy w analogicznych sytuacjach gięli się przed historyczną przemocą.

Ale jest jeszcze głębsza i wstydlivsza nuta w tym dysonansie. Ci „uhistorycznieni” wyczuwają, że w postawie zbuntowanych — jakkolwiek byłaby ona patetyczna czy groteskowa — tkwił przecież ułamek staroświeckiej prawdy. Prawdy, że liczy się tylko „condition humaine” i że tylko w ramach ludzkiej sytuacji rozwiązać można sytuację historyczną a nie odwrotnie.

DEBIT „KULTURY” W IZRAELU

Od bardzo dawna staramy się o debit dla „Kultury” w Izraelu. Sprawa wydaje się idealnie prosta. Izrael należy do wolnego świata, a „Kultura” jest periodykiem o pewnych obiektywnych osiągnięciach na polu zbliżenia polsko-żydowskiego. Wydałiśmy antologię pt. „Izrael w Poezji Polskiej” Jana Winczakiewicza, drukujemy na łamach „Kultury” wielkie studium socjologiczno-historyczne o Żydach w Polsce, pióra wybitnego uczonego Aleksandra Hertza, przeprowadziliśmy ankietę o źródłach polskiego anty-

semityzmu, która — w nawiasach należy dodać — przysporzyła nam mnóstwo komplikacji i kłopotów. Ale oczywiście nic z tego wówczas nie robiliśmy sobie, ponieważ „Kultura” walczy programowo z antysemityzmem w ogólności, a z polskim antysemityzmem w szczególności.

Jak powszechnie wiadomo w Izraelu osiedliło się bardzo wielu Żydów z Polski, a znaczny ich procent interesuje się polską literaturą i prasą. Otrzymujemy mnóstwo listów z Izraela z zapytaniem dlaczego „Kultura” nie można dostać w kioskach z prasą zagraniczną. Księgarze żydowscy, których staraliśmy się tą sprawą zainteresować początkowo odnosili się do sprzedaży „Kultury” z największym entuzjazmem zapewniając nas, że nasz miesięcznik i wydawnictwa mają w Izraelu gotowy rynek zbytu. Ale po kilku listach sprawa z reguły upada. Jako przyczynę odmowy firmy izraelskie podają zwykle jakiś blahy powód.

Staraliśmy się o debiet również drogą oficjalną i to zarówno bezpośrednio u władz izraelskich jak i poprzez poselstwo Izraela w Paryżu. Na nasze podania i pisma otrzymaliśmy po niezmiernie długim czasie suchą odmowę.

„Kultura” debietu nie ma — równocześnie jednak Izrael jak długi i szeroki zalany jest dosłownie polską prasą krajową i krajowymi wydawnictwami.

Według informacji ze źródeł prywatnych władze izraelskie odmawiają udzielenia debietu „Kulturze”, by się nie narazić Warszawie. Rząd PRL może zagrozić wstrzymaniem wyjazdu Żydów z Polski do Izraela. Dotyczy to nie tylko polskich Żydów, ale i Żydów, którzy z całego bloku wschodniego napłynęli do Polski w nadziei łatwiejszej emigracji do Izraela.

W pełni doceniamy sytuację i nie lekceważymy gróźb rządu warszawskiego. Ale równocześnie trudno nam powstrzymać się od melancholijnej uwagi, że władze Izraela liczą się daleko bardziej z antysemitami niż z grupą „Kultura”.

Oczywiście postępowanie władz Izraela w niczym nie wpłynie na nasze przekonania ani na naszą dotychczasową linię polityczną. Poruszamy tę sprawę tylko w tym celu, by wyjaśnić naszym przyjaciółom i sympatykom w Izraelu dlaczego nie mogą dostać „Kultury” w kioskach z gazetami w Tel-Awivie.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

POLITYKA I LEGENDY

Wrzawa i zamieszanie wciąż jeszcze trwające po osobliwym finale majowego spotkania „szczytów”, no i zawodowa dyskrecja układających się partnerów, sprawiły że niepostrzeżenie i bez rozgłosu — a może przy

celowo tłumionych echem — zawarto francusko-niemiecką umowę wojskową. Jej wykonanie będzie miało na razie mało widoczne skutki, jednak w niedalekiej przyszłości wywrze olbrzymi wpływ na losy Europy Zachodniej, a zapewne i na dzieje całego naszego kontynentu.

Umowa, zawarta przez ministrów obrony narodowej, Francji — Messmera i Niemiec Zachodnich — Straussa, ustala szczególne i warunki zorganizowania całej sieci „logistyki”, baz, obozów szkoleniowych i różnych urzędów dla wojsk niemieckich na terenach Francji; przewiduje dalszą unifikację uzbrojenia, przemysłów wojennych, wiele wzajemnych uzupełnień i wspólnych planów, co z czasem doprowadzi chyba do utworzenia jakiejś wspólnej instytucji będącej odpowiednikiem zjednoczonego sztabu generalnego obu państw.

Wypełniając warunki umowy — właściwie przymierza wojskowego — obie armie wkrótce wprowadzą taki stopień wzajemnej zależności, że francusko-niemiecki zatarg zbrojny stanie się technicznie absolutną niemożliwością, a w dalszym następstwie — niepodobieństwem będzie dla armii niemieckiej wszczęcie jakichkolwiek działań strategicznych bez zgody i poparcia Francji.

Zawarte przymierze sprawia, że Francja staje się zapleczem i warunkiem działania armii niemieckiej, natomiast dla wojsk francuskich wschodnie granice Niemieckiej Republiki Federalnej utożsamiają się z granicami Francji. Skutki tego przymierza, wzmacniającego potężnie Wspólnotę (na razie) Węgla i Stali sześciu państw, tj. Beneluxu, Francji, Niemiec i Włoch, mogą stać się błogosławieństwem dla przyszłego zjednoczenia Europy — jeżeli wykonywanie jego warunków będzie szło w parze ze zmianą psychiki niemieckiej.

Jednakże, o ile wiązanie się z zachodnimi państwami, wymagające wyrzeczenia się światowo-mocarstwowych tradycji, nie natrafia u Niemców na silniejsze opory, o tyle jakiegokolwiek pomysły wschodnie, odbiegające od przedwojennych i jeszcze dawniejszych szablonów, wywołują wiele hałaśliwych sprzeciwów.

Wśród zwolenników takiego kierunku najliczniejszą grupę stanowią wysiedleńcy, zwłaszcza starszego pokolenia, którzy nie potrafią już objąć ogromu przewrotów socjalnych, politycznych i narodowych, jakie zaszły między Łabą a Dnieprem, którzy przeżyli wszystkie okropieństwa ucieczki lub wysiedleń i — uważają się za najdotkliwiej na świecie poszkodowanych. Jednak nie ta grupa społeczna stanowi przeszkodę w rozwoju wyłaniającej się konstruktywnej polityki Niemiec w stosunku do ich bezpośrednich wschodnich sąsiadów, lecz twórcy nowoczesnych legend, niezłomni obrońcy różnych „posłannictw” i dawno przebrzmiałych mitów.

Stosowanie legendy jako politycznego narzędzia i narkotyku ma w Niemczech swoistą tradycję o odstraszających raczej wynikach.

Jednak bolesne doświadczenia nie powstrzymują niektórych polityków niemieckich od tworzenia nowych legend o podobnie wątpliwej wartości. Propagowanie tezy, że Niemcy nie mogą istnieć bez odzyskania co do piędzi wszystkich utraconych na wschodzie terenów, jest tworzeniem takiej właśnie legendy nie rokującej ani narodowi niemieckiemu, ani jego sąsiadom niczego dobrego.

Gdyby działacze ze Związków Wysiedleńców, jako twórcy tej legendy, ograniczali się tylko do głoszenia samej tezy — trudno byłoby

czynić im jakieś zarzuty. W wolnej części świata wszyscy mamy prawo wypowiadać swe przekonania, jeśli ktoś chce ich słuchać. Ale autorzy tej legendy, usiłując wytworzyć powszechny nastrój psychiczny, w którym każdy Niemiec będący odmiennego zdania byłby napiętnowany jako zdrajca.

W tym celu dla osób nie godzących się choćby tylko częściowo z tezami wysiedleńców wymyślono uszczypliwy epitet „Verzichtpolitiker” — co w dosłownym tłumaczeniu brzmi dość niewinnie: ustępliwy polityk. Jednak w interpretacji prasy związkowej wysiedleńców ma to wyrażać coś zbliżonego do „faszysty” w sowiecko-rosyjskim języku. Tu wyjaśnienie: byłem kiedyś świadkiem ostrej sprzeczki między młodymi jeńcami sowieckimi. Jeden z nich wyczerpawszy widocznie zapas dobitnych wyzisk zakończył: „... faszyst ty proklatyj!” Zapytałem co to jest ów faszyst. — „Da razwie ty nie znajesz? Eto izmiennik naroda, eto sama poslednaja swolocz!”.

Próby zniesławienia każdego Niemca, wąpiącego w możliwość i obowiązek odzyskania przedwojennych granic wschodnich, odnoszą zamierzony skutek głównie w zasięgu prasy uchodźców i wysiedleńców, która chętnie operuje nie tylko złośliwym epitetem, ale i zarzutem współpracy z komunizmem, albo po prostu oskarżeniem o sowiecką agenturę.

Wielkie dzienniki — z których każdy ma zapewne większy nakład niż kilkadziesiąt pism uchodźczych razem wziętych — nie ulegają na ogół tej presji. Stojąc na formalnym stanowisku, że ustalenie wschodnich granic jest wciąż otwartym zagadnieniem przyszłości, pisma te dość często zamieszczają artykuły ostro polemizujące z tezami kierownictwa związków wysiedleńczych. Na przydomki w rodzaju „Verzichtpolitiker'a” odpowiedzieli jeszcze złośliwszym „zawodowym wysiedleńcem”.

Prasa popularna i brukowa w ogóle nie interesuje się tym tematem. Widocznie nie jest to pokupny towar w tej sferze czytelników.

Oficjalny stosunek rządu jasno wynika z poniższych kilku cytat, wyjętych z mowy wiceministra Spraw Ogólno-Niemieckich, Franza Thedieck'a, wygłoszonej w listopadzie ubiegłego roku z okazji dziesięciolecia istnienia Ziomkostwa górnośląskiego.

„Gdzie do 1945 roku zamieszkiwało ponad 10 milionów Niemców, żyje obecnie ponad 7 milionów ludzi, z których zaledwie dziesiąta część jest niemieckiej narodowości lub pochodzenia. Ten stan rzeczy — będący miarą niemieckiej katastrofy 1945 roku i winy tych, którzy w imieniu Niemiec chcieli na Wschodzie przez wyniszczenie i ucisk „uporządkować” tamtejsze narody — zostanie uwidoczniony w przyszłym traktacie pokojowym. Pod tym względem winniśmy nie oddawać się iluzjom ani marzeniom. Zeby nie być źle zrozumianym zaznaczam, że powyższy pogląd nie ma nic wspólnego z poświęcaniem naszych roszczeń prawnych. Będziemy konsekwentnie obstawać przy naszych roszczeniach prawnych aż do obowiązującej obie strony traktatowej ugody”.

„Tylko konstruktywnymi zamiarami, które uwzględniają także prawa życiowe i roszczenia prawne naszych sąsiadów, możemy sobie zapewnić poparcie i przychylność partnerów i sygnatariuszy przyszłego traktatu pokojowego”.

Na tak wyłożonym podejściu do zagadnienia można sobie wyobrazić rzeczowe i pomyślane ułożenie współżycia sąsiedzkiego.

Niezbadaną natomiast tajemnicą polityków z kierownictwa związków ziomkowskich pozostanie kwestia jak połączyć zaufanie do takich oświadczeń z uporczywie powtarzonymi hasłami „przenigdy”, „za nic”, „ani metra od granicy”, lub z poczciwym nawet zapewnieniem, że Gdańsk pozwoli Polsce korzystać z przywilejów portowych. Jak połączyć oświadczenia o propolskich sympatiach i konieczności restytucji samodzielnej państwowości z namowami do przesuwania Polski na wschód od jej o b e c n y c h granic, — co nieuchronnie musiałyby spowodować zabójczy dla państwowości polskiej konflikt z Białorusią, Litwą i Ukrainą.

Inna legenda, z wielkim upodobaniem rozgłaszana przez pisma uchodźcze, a często powtarzana także i przez inną prasę.

Stale nadchodzące z Polski wiadomości o różnych niepowodzeniach, trudnościach i kłopotach przy odbudowie życia gospodarczego i społeczno-politycznego na ziemiach poniemieckich, komentowane są jako dowód, że naród polski w swej szarej masie nie chce tych ziem zasiedlać. czuje się na nich jak na wygnaniu, rozumie nieunikniony powrót Niemców, i — marzy o wycofaniu się na tereny „Centralnej Polski”, jak prasa niemiecka zwykła dziś nazywać obszar między Kaliszem, Białymstokiem i Krakowem.

Operowanie marzeniami — to znane i powszechne zjawiska. Komu wiek pozwala obejrzeć się na bezpośrednie lata po pierwszej wojnie światowej, ten zapewne pamięta ilu uchodźców spod zasięgu rewolucji bolszewickiej pocieszało się najbardziej ponurymi wiadomościami z Rosji. Hasło „czym gorzej — tym lepiej: prędzej wrócimy” powtarzali z przekonaniem niemal wszyscy ówczesni zbiegowie, bez względu na swą przynależność narodową. Podobne zjawisko było przeto zrozumiałe i w Niemczech bezpośrednio po ostatniej wojnie, ale w szesnastym roku od zakończenia działań wojennych można by oczekiwać, że przywódcy Związków Wysiedleńców zdali sobie sprawę z procesu historycznego, który na mapie tej części naszego kontynentu zastąpił mozaikę językową zwartymi terenami jednonarodowymi.

Otwarta obecnie w Wiesbaden wystawa nosi nazwę „Deutsche Kultur im Osten”. Zwiedzając ją ma się możliwość uzupełnienia swej wiedzy. Okazuje się, że można również ową wiedzę zniekształcić. Na przykład: sprawozdawca centralnego organu informacyjnego Zarządu Związków Wysiedleńców („Deutscher Ostdienst” z 14.3.1960), obejrząwszy na tej wystawie pomyslową mapę, na której po naciśnięciu odpowiedniego guzika elektryczne światła wskazują wschodnie zasięgi Niemców w różnych czasach, oraz mozaikę narodów i języków, poucza czytelników następująco:

„Ta właśnie mapa przekonująco wskazuje jak silnie ząbniąją się najróżniejsze narodowości na Wschodzie i że ich wzajemne splecenie uniemożliwia tam stosowania zasady narodowo-etnicznych państwowości. Wyrównująco działająca między tymi narodami funkcja niemieczyny znaj-

duje w całości wystawy swój dobitny wyraz. Otwierając wystawę heski minister oświaty Schuette wobec licznych gości podniósł tą rolę niemiecką jako dominujące dokonanie na wschodzie i jako zadanie na przyszłość".

Wyrównująca funkcja... Zadania na przyszłość...

Na tej samej stronnicy „Deutscher Ostdienst” inny sprawozdawca pisze: „Dr Meyers (premier Północnej Nadrenii — Westfalii) wspominając ugruntowanie Rzeszy przez Bismarcka podkreślił, że dziś nie znajdzie się rozsądnego Niemca, który by w swych pragnieniach Zjednoczenia Niemiec wykraczał poza granicę Rzeszy z 1871 roku” (1). Czyli „rozsądny Niemiec” może myśleć o „Zjednoczeniu” Poznania, Torunia, Katowic, a chyba i Strassburga oraz Metz u.

Przytoczone legendy mogłyby największego optymistę zmusić do niewiary w możliwość niemiecko-sąsiedzkich porozumień.

Ale „w okresach wielkich przemian myśl zbiorowa zdaje się nie zdążyć za wypadkami”, jak stwierdza Jerzy Stempowski. Nie zdążyła przeto tak u nas, jak i u Niemców.

Polscy emigranci, traktujący Białorusinów i Ukraińców jako „naszych obywateli” i w przeszłości i w przyszłości, rozumują nie inaczej niż ci niemieccy wysiedleńcy, którzy utożsamiają prawo do zamieszkania w miejscu swego urodzenia (Heimatrecht) z obowiązkiem włączenia tego miejsca w ramy niemieckiego państwa.

Powrót Polaków do Wilna, Mińska, Lwowa, a także do Kijowa czy Witebska jest możliwy i nawet może być mile widziany, jeżeli będziemy tam udawać się jako zaproszeni goście, kupcy, specjaliści, lub naukowcy. Polacy próbujący wyruszyć na wschód od o b e c n y c h granic Polski w charakterze czynnika państwowego, pragnącego choćby najszczerzej i najserdeczniej opiekować się „naszymi obywatelami” białoruskimi czy ukraińskimi — muszą doznać zdecydowanie wrogiego przyjęcia. Kto tego nie widzi, lub nie chce dostrzegać, nie zdąży za wypadkami.

Wszystko to można powtórzyć i o Niemcach: ich powrót w przyszłości nie tylko do Gdańska i Wrocławia, ale także do Warszawy, a pewno i do Kijowa czy Mińska, może być nawet pożądanym, jeśli będą tam jechać jako zaproszeni goście, kupcy, specjaliści i naukowcy. Lecz nie w charakterze zwierchników łaskawie obiecujących nam możliwość korzystaniu z ujścia Wisły, a Litwinom z urzędzeń Kłajpedy.

Pomijając inne opóźnienia myśli zbiorowej zajmijmy się jaśniejszymi faktami.

(1) Nie mając tekstu odczytu premiera F. Meyersa, przytoczyłem — być może tendencyjny — wniosek sprawozdawcy „Deutscher Ostdienst”. Prawdopodobnie premier Westfalii mówiąc, że żaden rozsądny Niemiec w swych zjednoczeniowych pragnieniach nie wybiega poza granicę Reichu Bismarcka, słowa te kierował raczej do niektórych polityków sudeckich, którzy upierają się przy ważności monachijskiego układu z 1938 roku, przyłączającego do Niemiec znaczne obszary czeskie, nie należące nigdy do posiadłości Hohenzollernów.

W ciągu kwietnia i maja rb. rozgłoszono radiowo w Hanowerze na dała w dwutygodniowych odstępach pięć jednogodzinnych audycji pod łącznym tytułem „Tysiąc lat Polski”. Organizator i redaktor audycji, znany czytelnikom „Kultury” autor książki „Die polnische Tragödie”, dr Harald Laeuen, ułożył następujący program tej audycji:

Dziesięciminutowy wstęp Laeuea. Cztery audycje: „Stara historia — Młody naród” — prof. Herbert Ludat; „Między Odrą a Dnieprem — Między Bałtykiem a Czarnym Morzem”, prof. Gotthold Rhode: „Moc polskiego promieniowania w Europie Wschodniej” — prof. Guenther Stoekl: „Polska i Europa” — prof. Herbert Ludat. Piąta godzina, mająca charakter dyskusyjny, poruszała tematy najnowszej powojennej historii Polski.

O treści wszystkich audycji należy powiedzieć, że były wyrazem obiektywizmu historycznego, mówiły o sprawach zupełnie nieznanymi w Niemczech, a bardzo ciekawymi dla wielu Polaków i stanowiły doskonały przykład popularyzowania wiedzy o sąsiadach w żywej i pociągającej formie. Dr Laeuen zapowiada dalsze podobne cykle audycji historycznych o Polsce.

S. W. KOZŁOWSKI

Konferencja

Chruszczow

Szofer w myce i z twarzą przypominającą Jean Gabin'a w rolach „Mój kochanek — to bandyta-gracz” zerknął na gościa w taksówce pędzącej z lotniska Orly równą, nową autostradą i zapytał znacząco: „Pan z Rosji?”. Gość zrobił nijaką minę i wykrztusił: „A skądże to pan wpadł na taki pomysł?” — „A bo ja proszę pana, — ciągnął — lewą ręką kręcąc niedbale kierownicą, a prawą zapalając Gauloisa, — „należałem kiedyś... było to jeszcze w Marsylii przed Paryżem, do partii komunistycznej... ho, ho” — zaśmiał się po urwisowsku — „byłem nawet dzielnicowym sekretarzem, co prawda niedługo, bo mnie wyrzucili za odchylenie ideologiczne... ale zanim mnie wyrzucili to często petraktowałem z pewnym towarzyszem z Kominternu, który nam dawał instrukcje. Z Rosji był i strasznie podobny do pana... Mam nadzieję, że to żadna obraza, przecież to już minęło ze 30 lat i tamten pan musi już być w podszóstym wieku” — dodał elegancko i dyplomatycznie.

W ten sposób zaczęła się pierwsza rozmowa „konferencyjna”. Tak-sówkarz okazał się nie tylko dowcipniem, ale i wnikliwym obserwatorem. Stał się jeszcze długo przed Ritzem na Place Vendôme i gadaliśmy. Był to pierwszy dzień konferencji i ani mój rozmówca ani ja nie wiedzieliśmy o istnieniu deklaracji Chruszczowa, która przesądziła o losach konferencji.

„Widzi pan, całe nieszczęście polega na tym, że ani nasz de Gaulle, ani Eisenhower, ani Mac Millan nie wiedzą co to jest partia komunistyczna i co to znaczy dyscyplina partyjna. Oni sobie tak pocziwie myślą, że Chruszczow jest albo w dobrym albo w złym nastroju i że to od jego humorów, a nie od układu sił politycznych w Politbiurze, Chińczyków i rozmaitych innych komunistów zależy. Wydaje mi się, że powstała taka sytuacja — ten samolot to tylko wykorzystano przeciwko niemu — że Monsieur K. będzie musiał zrobić ogromny krach w Paryżu i powrócić jak bohater sprawy komunistycznej do domu. Może go to uratuje przed losem Malenkowa, Bułganina i innych, choć kto wie, może trzeba będzie jeszcze kilka miesięcy poczekać”.

Poza tym nie był specjalnie dobrego zdania o Chruszczowie, uważał go jedynie za trochę światlejszego i praktyczniejszego reakcjonistę, traktując wszystkich przywódców komunistycznych od Thoreza poprzez Gomulkę po Mao-Tse-Tunga jako formację wybitnie zachowawczą, odpowiadającą w gruncie rzeczy w pewnym sensie układowi sił w Europie Zachodniej. Na pożegnanie zapytałem czy jest trockistą. Wyśmiał mnie: „panie, przecież ta sekta jest na wymarciu, a ja jestem zdrowy człowiek”. „No to może sympatyk nowej partii zjednoczonych socjalistów, do których dołączył Mendès-France?” — Stuknął się w czoło na znak politowania. „No to co?” — „Nic, ot sobie taksówkarz i obserwator ze zdrowym rozsądkiem”. Pożegnaliśmy się jak przyjaciele.

Dwie godziny później w głównej kwaterze korespondentów kilku pism międzynarodowych, czyli w barze hotelu „Crillon”, gdzie mieszkała cała śmietanka prasy amerykańskiej, zaczęła się zaciekle debata i znowu o Chruszczowie. Niewielka, zresztą przyjemna salka w piwnicy podzieliła się wnet na trzy obozy. Jedna grupa szermowała teżą chińską. Jeśliby się chciało jej wierzyć to tylko Chińczyk pokrzyżowałi Nikicie wszystkie plany i zmusili go do radykalnego zwrotu w polityce zagranicznej. Inni nie kwestionowali wpływu kompartii chińskiej na tok przygotowań konferencji na szczycie, ale jednocześnie zgłaszali poważne zastrzeżenia. Według nich Chruszczow znalazł się pod naciskiem tych sił wewnętrznych, które już od dawna z niepokojem śledziły jego wywijasy koegzystencyjne, widząc w tym jak najgorsze skutki dla komunizmu i to z punktu widzenia zarówno imperialistycznych interesów wielkorusyjskich jak też międzynarodowego ruchu komunistycznego. Koła te tkwiące mocno w biurokracji partyjnej porozumiały się z zagrożoną (przez śmiałe koncepcje Chruszczowa w sprawie rozbrojenia) w swoim stanie posiadania kastą oficerską Armii Czerwonej i użyły całej afery ze szpiegowskim samolotem amerykańskim, by wmanewrować Chruszczowa w sytuację, z której nie było innego wyjścia jak podjąć na nowo zimną wojnę przeciwko Ameryce. Zwolennicy trzeciej i ostatniej grupy nie zaprzeczali przypuszczalnemu istnieniu nacisków chińskich i nacjonalistyczno-wielkomocarstwowych elementów opozycyjnych w Rosji, ale wychodzili z założenia, że Chruszczow sam doszedł do wniosku, iż odbycie konferencji paryskiej kosztowałoby go, patrząc na dłuższą metę, więcej trosk i kłopotów, niż uderzenie pięścią w stół i wystąpienie w pozie przywódcy obozu komunistycznego. Swój punkt widzenia uzasadniali całym szeregiem argumentów. Chruszczow chciał np. odizolować Niemcy adenauerowskie od trzech mocarstw zachodnich. Nic z tego nie wyszło. Chruszczow liczył na

to, że front solidarności państw zachodnich, jeśli chodzi o Berlin, jeśli się nie rozleci, to przynajmniej osłabnie. I z tym się również walnie przeliczył. A ponieważ tak się zaangażował w akcji berlińskiej, że nieopatrznie przyrzekł stalinistom wschodnio-niemieckim pełną suwerenność wraz z układem pokojowym, a tym samym wolną rękę w stosunku do zachodniego Berlina, że po przypuszczalnym fiasku, którym by się skończyła dyskusja w kwestii berlińskiej, musiał by zrealizować swe obietnicę i podpisać traktat z Ulbrichtem.

Dziennikarze

Mój przyjaciel dr K. z „Basler National Zeitung” wspomina ze smętnym westchnieniem owe czasy, kiedy można było powiedzieć „Briand uważa, że”, albo „Stresemann oświadczył mi poufnie”, albo „Titulescu myśli, że...”.

Zasada publicity, pogoń za „newsami” i wzrost masowej konsumpcji „artykułów informacyjnych” sprawiły, że w gazetach, radio i telewizji znajdujemy coraz mniej rzeczowej analizy, a coraz więcej powierzchownego opisu, reportażu. Poza tym, obrazkowy system informacji, począwszy od telewizji a skończywszy na „Comic'sach” zdobywa coraz więcej gruntu, wypierając słowo drukowane. Przy Lidze Narodów byli akredytowani prawie wyłącznie korespondenci gazet, ludzie piszący, oraz nieliczna grupka fotografów i reporterów radiowych. Na konferencji w Berlinie w 1954 roku stosunek pomiędzy dziennikarzami „piszącymi” i „obrazkowymi”, (czyli z telewizji, radia i fotografii prasowej) wynosił 4:1. Już na ostatniej konferencji genewskiej relacja ta zmieniła się na niekorzyść piszących i wyglądała 2:3. W liczbach sytuacja ta przedstawiała się następująco: na 1300 dziennikarzy zebranych w Genewie, 781 reprezentowało dzienniki i tygodniki, 662 telewizję, kino i fotografię, zaś 261 radio.

W Paryżu stosunek pomiędzy obydwiema kategoriami zawodowymi zmienił się jeszcze bardziej na niekorzyść prasy. Niektóre towarzystwa telewizyjne i radiowe poprzysyłały ekipy w sile kilkudziesięciu osób.

W porównaniu z konferencjami z ubiegłych lat widziało się wiele nowych, młodych twarzy. Dużo seniorów odeszło. Tylko najbardziej przywiązani do zawodu i ci, którzy mają dziennikarską włóczęgę we krwi, mimo siwych włosów byli i tym razem. Największym fenomenem jest chyba jednak Genevieve Tabouis, jak zawsze elegancka, siwiuteńka i przezroczysta, bardziej zjawa, niż człowiek. Kiedy kroczy schodami, to strach bierze, że w każdej chwili może się rozsypać. Widząc ją w barze prasowym reporter radiowy rzekł, ni to z radością, ni to ze smutkiem, pod lęk whisky: „nieśmiertelna baba”. A Tabouis sama twierdzi, że nie może się rozstać z dziennikarstwem, bo co by właściwie miała robić z resztą życia. Jest w tym coś bardzo charakterystycznego dla naszego zawodu. Tylko nieliczni zdobywają się na to, aby po 60 — czy po 70-ce powiedzieć sobie: „Teraz koniec, idziemy na emeryturę”. Dla większości zawód ten jest jak narkotyk. Kiedy w Zurychu redakcja pewnej poważanej gazety przekonała redaktora T. że po 50-ciu pracowitych latach służby dniem i nocą, powinien wreszcie odpocząć, pan T. usłuchał kolegów.

Trzy tygodnie chodził po kawiarniach, łowił ryby, czytał książki, aż pewnego dnia przyszedł do redakcji i wyprosił, żeby mu pozwolili przynajmniej raz w tygodniu zastępować któregoś z kolegów w codziennej robocie redakcyjnej.

Iluzje dyktatora

Poprzez podróż do Ameryki a następnie wojaż do i po Francji Chruszczow wszedł na upragnioną drogę kształtowania polityki zagranicznej Związku Sowieckiego w drodze bezpośrednich kontaktów z szefami rządów mocarstw zachodnich. Tego rodzaju negocjacje odpowiadały niewątpliwie wyobrażeniu sowieckiego dyktatora o sensie rozmów z przedstawicielami mocarstw kapitalistycznych. Jeśli chodzi o Chruszczowa, to abstrahując od zasadniczych cech reżymu, które nakładają na przywódcę partii komunistycznej samo przez się obowiązek wtrącania się do polityki zagranicznej, odegrały tu niewątpliwie rolę zarówno przeświadczenie o własnej genialnej wszechstronności jak też olbrzymia dynamika, która pędzi dyktatora do wiecznie nowych zadań i eksperymentów. Ubocznie tylko wpłynął na to prawdopodobnie lekceważący stosunek do ludzi z aparatu MID'u, czyli Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nie wyłączając ministra Gromyko.

Przecież nikt inny jak Chruszczow wygłosił w marcu ub. roku znamienne słowa na konferencji prasowej na Kremlu: „Myślę, że ministrowie mogą zaleźć w takie labirynty, że trudno będzie ich później stamtąd wyciągnąć. Dlatego byłoby lepiej, gdyby oczyszczeniem olbrzymich rumowisk ciągnących na stosunkach międzynarodowych zajęli się, jeśli można się tak wyrazić, ciężko-atleci — szefowie rządów. Oni powinni jechać w pierwszym pociągu, usuwać leżące przeszkody i rumowiska, oczyszczać teren i podejmować pewne decyzje. Byłoby to punktem wyjściowym dla ministrów spraw zagranicznych. Gdyby się uporano z taką robotą, wówczas mogłoby się zebrać ministrowie na oczyszczonym już placu, nie bojąc się, że połamią nogi pośród głazów. Ale jeśli takie propozycje nie znajdują zrozumienia obecnie wśród naszych partnerów, to jesteśmy zgodni co do tego, że trzeba zacząć od konferencji ministrów, a potem przystąpić do spotkania szefów rządów. Ostrzegamy jednak naszego ministra, aby był ostrożny i nie połamał sobie nóg na głazach, które zaległy teren, bo jakby nie było, jest on pozytywnym człowiekiem dla naszego państwa i byłoby mi żal, gdyby sobie uszkodził nogę”. Wydaje się jednak, że Nikita Chruszczow przecenił własne możliwości intelektualne licząc na łatwy sukces. Nie trzeba zapominać, że premier sowiecki posiada bardzo nikłe doświadczenia, jeśli chodzi o pertraktacje z szefami obcych państw. W gruncie rzeczy musi się on opierać na wrażeniach wyniesionych z częstych konferencji, które zazwyczaj prowadził z kierownikami państw satelickich, co w rezultacie musiało na skutek nierównej pozycji w której się znalazły obydwie strony, pogłębić przeświadczenie o własnych niezwykłych walorach w przekonywaniu kontrahentów. Niewątpliwym sukcesem, jaki Chruszczow odniósł w czasie wizyty w Ameryce i niezdecydowany charakter polityki Białego Domu w odniesieniu do kwestii berlińskiej po rozmowach w Camp David, to dalsze powody, które prawdopodobnie

utwierdziły Chruszczowa w mniemaniu, iż uda mu się na konferencji szczytowej uzyskać walne zwycięstwo w sensie zmiany statutu zachodniego Berlina, osiągnięcia dalekoidących gwarancji w sprawie rozbrojenia, bez odpowiedniego ekwiwalentu na rzecz kontroli potencjału zbrojeniowego Rosji Sowieckiej i w jednostronnym zastopowaniu zimnej wojny, które według obliczeń sowieckich miało wyglądać w ten sposób, iż Zachód zaprzestanie wszelkich akcji propagandowych przeciwko blokowi komunistycznemu, a Związek Sowiecki utrzyma monopol na walkę ideologiczną przeciwko światu kapitalistycznemu.

Obliczenia tego rodzaju odbywały się najprawdopodobniej w bardzo wąskim gronie współpracowników Chruszczowa bez konsultacji sojuszników chińskich, przy oczywistym pominięciu drobniejszych potentatów satelickich z wyjątkiem Gomułki i Kudara, popierających w zupełności koncepcję Chruszczowa. Ale hipotezy dyktatora sowieckiego spaliły na panewce już na długo przed zwołaniem konferencji paryskiej. Okazało się bowiem, że mocarstwa zachodnie doszły drogą żmudnych przygotowań dyplomatycznych do wspólnej koncepcji, która uzależniała rezultaty pertraktacji paryskich jedynie od obopólnego kompromisu, ale w żadnym wypadku kapitulacji Zachodu. W takiej sytuacji Chruszczow musiał się liczyć albo z utratą prestiżu, a wraz z tym i z poważną frondą ideologiczną we własnym obozie, albo z koniecznością zerwania rozmów w Paryżu. Wydaje się, że wybrał on z góry i to już na długo przed datą konferencji drugą alternatywę, przy czym incydent ze samolotem amerykańskim spadł mu jak manna z nieba.

Świadczą o tym rozmaite chwytły propagandowe, których Chruszczow używa po katastrofie paryskiej, wycofując się konsekwentnie z poprzedniego kursu, zwłaszcza jeśli chodzi o zbliżenie ze Stanami Zjednoczonymi i o flirt z Eisenhowerem.

„Pieredyszka” czy nowa zimna wojna?

Z dotychczasowego rozwoju sytuacji widać, że od czasu zerwania konferencji paryskiej kurs polityki sowieckiej na przyszłość nie został jeszcze ugruntowany. Wszystkie wypowiedzi Chruszczowa od osławionej konferencji prasowej w Paryżu do przemówień i konferencji prasowych w Moskwie w końcu maja i na początku czerwca noszą charakter bardzo derywicznych pociągnięć i czynią wrażenie jakiegoś dziwnego szamotania się człowieka, który wpadł w sidła. Są w tych enuncjacjach wyraźne aluzje do kompletnego odcięcia się od dotychczasowych planów na temat koegzystencji i przejścia do radykalnego kursu na wzór stalinowskiej polityki zagranicznej z okresu powstania Kominformu w roku 1947. Oznaczałoby to nawrót do jak najbardziej ostrej, zimnej wojny z wszelkimi z tego wynikającymi konsekwencjami, również i dla państw satelickich. Przygrywka, która się rozlega z Chin komunistycznych świadczy o tym, że reżym w Pekinie prze wszystkim siłami do zaostrzenia sytuacji. Ważną rolę, choć zakulisową, odgrywają przy tym dyskusje ideologiczne w sprawie zachowania wierności przez Związek Sowiecki decyzjom 12 partii komunistycznych bloku wschodniego, które zostały powzięte w listopadzie 1957 roku na naradzie w Moskwie i według których cały obóz socjalistyczny

zobowiązał się prowadzić „walkę o pokój” metodą zimnej wojny, skierowanej głównie przeciwko „imperializmowi amerykańskiemu”. Chińczycy są w danym wypadku rzecznikami jak najbardziej ortodoksyjnego wykładania zasad deklaracji moskiewskiej. Jeśli te tendencje wezmą górę, to nawrót do zimnej wojny z okresu późnego stalinizmu byłby nieunikniony.

W taktyce Chruszczowa są jednak pewne momenty, które wskazują na to, że dyktator sowiecki nie jest skłonny zarzucić w pełni swych dawnych koncepcji i że zmuszony obecnym układem sił pragnie przy pomocy rozmaitych chwytów demagogiczno-propagandowych, stworzyć nową atmosferę i ubezpieczyć się przed ponownymi potknięciami zanim wystąpi z dalszymi propozycjami, celem wszczęcia rozmów między Wschodem a Zachodem. Dlatego prawdopodobnie nie spala mostów z Francją i Wielką Brytanią, kokietuje partię demokratyczną w Ameryce licząc, że po ewentualnym zwycięstwie demokratów w przyszłych wyborach w USA, mógłby znaleźć nowy punkt do podjęcia rozmów na najwyższym szczeblu. Dość wyraźnie zmienia jednak kierunek natarcia, wycofując się konsekwentnie z ofensywy na odcinku niemieckim, która się okazała niezbyt szczęśliwym pomysłem i przerywa akcje zaczepne na inne fronty stosunków Wschód-Zachód, zakładając widocznie, że po upływie pewnego czasu można by usiąść za stołem konferencyjnym z inną agendą obrad, aniżeli to miało nastąpić w Paryżu. Optymiści w bloku wschodnim twierdzą, że tego rodzaju metoda może się okazać bardziej owocną, aniżeli to wygląda w obecnej chwili. Wynikałoby z tego, że Chruszczow świadomie komplikuje stosunki sowiecko-amerykańskie, aby w późniejszym okresie czasu wystąpić z projektem normalizacji tych stosunków, jako zasadniczego punktu spornego.

Tak jak sprawy wyglądają w połowie czerwca 1960 roku to obydwie możliwości wchodzi w rachubę. Która z tych wersji weźmie jednak górę, zależy od wielu czynników i sam Chruszczow nie byłby dziś w stanie odpowiedzieć, jakie decyzje podejmie po upływie 6 lub 8 miesięcy, czyli okresu, który przezornie sam nakreślił po powrocie z Paryża, jako termin do przetarasowania kart, zanim się rozpocznie nowa partia w skomplikowanej grze dyplomatycznej.

Bohdan OSADCZUK

GALERIA GRABOWSKIEGO

ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA CO MIESIĄC
NOWEJ WYSTAWY W LOKALU GALERII

84, Sloane Avenue, London S. W. 3

Kraj

Od K. Gomółki do Władysława Gomułki

BŁĘDNE KOŁO WSI POLSKIEJ

Każde doświadczenie to nic innego jak jedna śrubka w mechanizmie. I to wcale nie jest takie złe. Ułatwia życie. Życie jest pełne zależności łatwiej rozwiązywanymi przez mechanizmy.
(Tymoteusz Karpowicz: *Wszędzie są studnie*)

O Boziu, daj, żeby jutro nie było przy-mrozkę, bo nas nie puszcza na dwór i nic nie będzie z zabawy...

Ani żeby nie było odwilży, bo człowiek już sam nie wie co robić.

Niech już będzie taki mrozek jak jest.
(Sławomir Mrozek: *Z krainy Wielkiej Bałwanii*)

Wieś polska ani była ani jest spokojna. Polityka agrarna była i jest koszmarem. Rezultat wiekowych błędów, paliatywów i nieśmiałych reform. Brzemie gospodarczo-społecznego zaco-fania wsi zaciążyło ujemnie w okresie 1918-1939 i w zmienio-nej formie wystąpiło w latach 1945 — po dzień dzisiejszy. Gdyby chodziło jedynie i wyłącznie o zagadnienie czysto ekonomiczne, dotyczące jednej gałęzi życia gospodarczego państwa, wówczas próby rozwiązania byłyby znacznie prostsze, jakkolwiek bynaj-mniej nie proste. Ale jest inaczej.

Ustrój wsi polskiej był niezdrowy a próby uzdrowienia, podejmowane przed wojną, może dałyby jakieś pozytywne wyniki, gdyby zdołano je w warunkach pokojowych przepro-wadzić do końca. Potrzeba było co najmniej około 20 lat czasu i bardzo znacznych kapitałów. Założenie zresztą czysto hipo-tetyczne zważywszy, iż proces przebudowy hamowany był licznymi elementami politycznymi.

Wolno było zakładać, że władze komunistyczne przystąpią natychmiast po usadowieniu się w Polsce do radykalnej przebudowy wsi, do realizacji swojego programu agrarnego. Likwidując z miejsca wielkie gospodarstwa, administracja komunistyczna otrzymała zapas ziemi, pozwalający na utworzenie bądź pewnej ilości zdrowych samowystarczalnych i opłacalnych gospodarstw bądź przykładowych, wielkich gospodarstw spółdzielczych. Okazji tej nie wykorzystano, gdyż reforma rolna nie była aktem gospodarczym, lecz politycznym.

Moi rozmówcy, członkowie partii, specjaliści rolni, wywodzi:

„Naturalnie możemy przyznać, że popełniliśmy błędy, ale proszę nie przypuszczać, że w wielu wypadkach nie mieliśmy świadomości tego. Wręcz przeciwnie: byli świadome, rozmyślne, ale nieuchronne.

Otrzymaliśmy władzę w kraju zniszczonym wojną i okupacją. Ludność nie była przecież do nas życzliwie nastrojona. Nie ma powodu ukrywać, że spotykaliśmy się nie tylko z nieufnością, ale wręcz wrogością. Przecież w całym kraju czynne były jeszcze zbrojne oddziały leśne. Szukaliśmy wszędzie sprzymierzeńców.

Dla nas najistotniejsze było ustabilizowanie władzy. Uchwycenie kontroli kluczowych pozycji, od których zależała nasza przyszłość. Mogliśmy, ba musieliśmy, sobie pozwolić na luksus zamykania oczu na wiele, wiele spraw. Odchodziliśmy świadomie od najbardziej podstawowych punktów programu. Czyniliśmy to świadomie jako konieczność. Były to jednakże odstępstwa taktyczne, obliczone na pewien okres czasu. Na tak długo, jak będzie to nam potrzebne do utrwalenia naszego stanowiska, do utworzenia efektywnej kontroli politycznej.

„Daliśmy więc ziemię najbiedniejszym chłopom, by przez nich wejść do wsi. Oczywiście wiedzieliśmy, że jest to za mało na samodzielną gospodarkę, ale przecież nie w naszym interesie leżało tworzenie zdrowego indywidualnego gospodarza. Zaspokoiłszy jego pierwszy głód, ale zmierzaliśmy do tego by nasycić się dopiero w gospodarce uspołecznionej. Naszym głównym celem było rozpętanie walki klasowej na wsi. Rozbicie konserwatywnej organizacji wsi. Chcieliśmy, by „biedniak” sam rozegrał walkę z „kułakiem” i wyszedł z niej zwycięsko. Mógł przecież liczyć na nasze całkowite poparcie, na daleko idącą pomoc.

„Daliśmy ziemię chłopom, bo nie mogliśmy tworzyć gospodarstw kolektywnych. Byliśmy za słabi pod każdym względem. Nie byliśmy w stanie nawet tego uczynić przy zastosowaniu wszelkich nacisków administracyjnych. Po prostu nie dysponowaliśmy nimi. I dlatego musieliśmy się pogodzić z robieniem błędów. Szucznie uzasadnialiśmy je nawet jako celowe posunięcia, jako dowody nowej, odmiennej aniżeli w ZSSR, polityki rolnej. Za te wszystkie błędy trzeba płacić. Płacimy”.

Kraj przemysłowo-rolniczy

Niewątpliwie Polska przestała być krajem rolniczym ze słabym przemysłem, ale gospodarka rolna tylko nieznacznie straciła na znaczeniu. Podkreśla się dziś z dumą, że podczas gdy przed wojną ludność zatrudniona w rolnictwie wynosiła ok. 64 % to obecnie już tylko około 42 %. Ale zapomina się uwzględniać zmiany struktury wynikającej chociażby ze zmian terytorialnych, dalej obniżenie liczby ludności.

Zapewne proces uprzemysłowienia posuwa się naprzód, ale stanowczo zbyt powoli jeśli chodzi o uzdrowienie wsi.

Według oficjalnych danych około 3.000.000 ludności wiejskiej pracuje w zawodach innych aniżeli rolniczych. Chodzi tutaj nie tylko o chłopów, którzy odpłynęli do miast, ale również o młode pokolenie pochodzenia wiejskiego, które po ukończeniu szkół nie powróciło na gospodarke. Mieści się tutaj zapewne również ludność, która wprawdzie mieszka na wsi, ale której główne źródło utrzymania stanowi praca w okolicznym mieście. Jeśli ten proces jest niewątpliwie zdrowy to jednocześnie obserwujemy drugi — katastrofalny — rozdrabniania własności chłopskiej i tak już bardzo drobnej.

Indywidualne gospodarstwa przedstawiają się wręcz strasznie. Trudno uwierzyć, że potrafią w ogóle gospodarować i zapewnić właścicielom utrzymanie. 826.900 gospodarstw posiada ziemi od 0.5 do 2 ha., 470.900 od 2 do 3 ha, a 300.000 od 0.1 do 0.5 ha. Te ostatnie to już chyba przyzgodowe działki. Z tychże źródeł oficjalnych wynika, że 75 % właścicieli nie wystarczających gospodarstw musi korzystać z innych źródeł dochodowych. Dane statystyczne są tylko niedoskonałą ilustracją stanu faktycznego. A co najistotniejsze nie dają odpowiedzi na pytanie: dlaczego?

Przy bezpośrednim zetknięciu się z wsią stwierdza się, że nie ma ona zaufania do partii i jego rządu. Uderza niewątpliwie wyższa aniżeli przed wojną stopa życiowa chłopów, co znowu nie oznacza, iż jest wysoka. Wiadomo przecież, że wies była w nędzy. Stopień wyżej nie oznacza jeszcze dobrobytu. Ale niewątpliwie jest postęp. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że jeśli chodzi o całość jakiejś grupy społecznej, zawodowej, to właśnie rolna zawdzięcza komunistom awans. Osiągnęli niewątpliwie najwięcej jeśli chodzi o stronę czysto materialną. Dzięki pewnemu uprzywilejowaniu w szkolnictwie młodzież pochodzenia chłopskiego awansowała poważnie w hierarchii społecznej. Gdyby więc czynnik materialny odgrywał rolę w ustosunkowaniu się chłopów polskiego do administracji państwowej, do czynników rządzących, to powinien on być co najmniej nastawiony życzliwie. A jest zgoła inaczej, co niewątpliwie dowodzi, że wysoce rozpowszechniony pogląd, jakoby problem materialny kształtował stosunek chłopów do rządu i państwa

jest bądź błędny, bądź uległ poważnej zmianie. Naturalnie nie znaczy to iż jest to czynnik nie posiadający żadnego wpływu. Nie jest on jednak ani jedyny, ani też najbardziej decydujący.

Kilku członków partii zajmujących kluczowe stanowiska i związanych z polityką agrarną wręcz oświadczyło: „Nie mamy najmniejszego powodu ani bać się wsi ani wstydzić się z naszej polityki. Mamy wobec chłopów czyste sumienie”.

To dlaczego jesteście panowie tak niepopularni na wsi?

— Tak, to istotnie prawda i jest to następstwo szeregu nieporozumień. Najczęściej mówimy o konserwatyzmie i tradycjonalizmie wsi, które stanowią rzekomo powód tego rozdźwięku. Wydaje się, że ten właśnie pogląd, posiadający niewątpliwie pewne uzasadnienie, został właśnie przez nas, komunistów, wyolbrzymiony. Nie zrozumieliśmy — a obawiam się iż wielu z nas w dalszym ciągu nie rozumie — że te cechy charakterystyczne są jak najściślej związane z istotą rolnictwa, a więc produkcją i trybem życia. Nie są to więc pierwiastki społeczno-polityczne. Sądziliśmy, że wprowadzając do wsi ferment, zdobywając tam pewną ilość zwolenników przeobrażymy ją, nie niszcząc produkcji. Omyliliśmy się. Walka klasowa na wsi ma, i musi mieć, inny charakter aniżeli w mieście. Przeoczyliśmy więc, że wieś stanowi zwartą całość, że posiada jakąś wewnętrzną solidarność. Nasi sojusznicy zostali po prostu wyobcowani, nie mówiąc już o tym iż często nie tworzyli najlepszego elementu, dzięki czemu usunięcie ich poza nawias życia było jeszcze łatwiejsze.

Walka klasowa przeciwko komu?

Prowadzimy walkę klasową kiedy właściwie znikł jej obiekt. Bo przecież nie sposób zaprzeczyć, że nie tylko usunęliśmy wielkich właścicieli, ale i tak zwanych „kułaków”. Przeciwko komu więc kieruje się ostrze? Przeciwko dobrym, zapobiegliwym gospodarzom? Doprowadziliśmy do paradoksalnej sytuacji, w której dobry gospodarz jest obłożony haraczem a nierób i hultaj jest uprzywilejowany. I dlatego wieś nie ma do nas zaufania. — Chłop nie wierzy partii, wobec tego zastosował taktykę bierności. Nie prowadzi ani jawnej walki ani rozmyślnego sabotażu. Być może, iż w latach poprzednich uciekano się do tych metod, ale nie są one obecnie stosowane, a podobne oskarżenia, czasem podnoszone, są fałszywe. Są po prostu wyrazem niemocy, złości i bezradności. Nigdzie nie można niczego przeprowadzić bez czynnej współpracy, bez udziału zainteresowanych. Polityka rolna nie może być wcielona w życie uchwałami odpowiednich władz powziętymi w Warszawie. Nawet jeśli są jak najlepsze i najkorzystniejsze dla chłopów, on sam musi dojść do tego przekonania i musi chcieć je realizować.

Wielu rozmówców powoływało się na przeszłość, przypominając, iż chłop polski był przecież społecznie radykalny, że

umiał walczyć o swoje prawa i stanowisko, że zmierzał do parcelacji, do uzyskania wpływów publicznych.

Czesław Wycech, stary działacz ludowy, związany obecnie z partią, wspomina, że „...grupa działaczy ludowych z Malinowskim, Nocznickim i Kosmowską na czele propagowała tworzenie eksperymentalnych gospodarstw spółdzielczych, wzorując się na doświadczeniu Owena. Zachęcano do zakupienia folwarków, by na nich tworzyć gospodarstwa spółdzielcze...”

W „Zaraniu” z 1913 r. Andrzej Tarasiuk z Podlasia i młoda gospodyni spod Lubartowa (pseudonim Bronisława Lubartowianka) propagują zakładanie nowych wsi, by wspólnie gospodarzyć na roli. Rozważania te nie pozostały bez echa. Stolarz-chłop K. Gomółka z Pilicy, zebrał 12 młodych chłopów, którzy nabyli na przedmieściach Pilicy 52 morgi ziemi. Samotni wnosili wkład w wysokości 300 rubli, żonaci po 500 rubli. Prowadzili gospodarstwo wspólnie. Pismo „Drużyna” z 1912 r. pisze, że nie wszyscy członkowie byli dobrze dobrani i spółdzielcze gospodarstwo po półtorarocznej działalności upadło. „Mimo upadku gospodarki chłopu stolarza, K. Gomółkę możemy uznać za ojca rolniczej spółdzielczości produkcyjnej w Polsce”. (Cz. Wycech: „Społeczna gospodarka rolna w polskiej myśli politycznej”, *Wiś współczesna*, Nr 11, 1959 r.).

Czy honorując w ten sposób niejakiego K. Gomółkę chciał Cz. Wycech złożyć hołd Władysławowi Gomułce a więc temu, który zmierza do realizacji planu rolniczej spółdzielczości produkcyjnej? Niewątpliwie Wycech, jak wielu poważnych badaczy historii ruchu ludowego i stosunków agrarnych w Polsce, poprzez wydobycie z przeszłości radykalnych tendencji na wsi, zmierza do uzasadnienia teraźniejszości. Więcej — tego mglistego jeszcze jutra.

Wśród wielu anegdot politycznych, krążących w Polsce, słyszałem następującą odnośnie wsi: Na konferencji przywódców komunistycznych w Moskwie, poświęconej sprawom rolnym, postanowiono, by Polska przestawiła swoją gospodarkę z koni na traktory, ale by zachowała bat.

O niezbedności zmiany systemu gospodarki nikt nie wątpi. I bez bata. Ale i wszyscy również wiedzą, że bat nie wystarczy. Nawet największy, najdotkliwszy. Stąd zapewne, mimo nacisków różnych bardziej zapalczywych jednostek, mimo rad i docinków przywódców komunistycznych państw sąsiednich, Gomułka działa powoli, ostrożnie i raczej bez bata, co jednak nie znaczy iż bez nacisków.

Jak zyskać zaufanie wsi dla przeprowadzenia niezbędnego w zasadzie programu uzdrowienia rolnictwa?

Wiś ma niemal jednomyślną odpowiedź: stworzyć warunki dla zdrowej indywidualnej gospodarki, a jednocześnie przyspieszyć proces uprzemysłowienia, który wchłonąłby nadmiar ludności wiejskiej. Niektórzy mówią również o otwarciu bram dla emigracji, co również spowoduje odływ pewnej ilo-

ści ludności. Nie brakło i takich, którzy wręcz stwierdzali, że proces tworzenia wielkich gospodarstw jest z gospodarczego punktu widzenia nieuchronny, ale winien nastąpić w drodze ewolucyjnej, niejako naturalnej. Wywodzili, że jeśli gospodarz indywidualny będzie miał absolutną pewność, że na przestrzeni co najmniej 15 lat będzie mógł zachować swój warsztat, a równocześnie będzie rósł i rozwijał się przemysł, wchłaniający młodsze roczniki, będzie mógł podnieść swoją produkcję i przygotować się do bezbolesnego przejścia do gospodarki spółdzielczej.

Komuniści ani chcą ani mogą zrezygnować ze swojego, nieomal dogmatycznego, programu rolnego. Ale konieczność życiowa zmusza ich do lawirowania. Stale jednak dbają o to, by nie wyrzec się zasadniczego celu programowego. Stąd wszelkie koncesje mają charakter czasowy. Zostały niejako wymuszone, nawet jeśli wydano je dobrowolnie. Ponadto w kierownictwie PZPR ścierają się różne kierunki: Jedni są zwolennikami radykalnych metod w przeprowadzeniu programu, drudzy wypowiadają się za ewolucyjnym, etapowym rozwiązaniem, a jeszcze inni sądzą, że konieczna jest rewizja programu, a przynajmniej odłożenie go na dłuższy okres czasu. Wreszcie ci ostatni wypowiadają się za ogłoszeniem wiążącego programu, niezależnie od tego jaki by miał być.

Ostatecznym efektem tych rozbieżności jest brak długofalowego programu. Manewruje się, dostosowując posunięcia do koniunktury. Raz w przód, raz wstecz. Oczywiście nie wpływa to dodatnio na całość polityki rolnej, na produkcję i na pewno nie może przyczynić się do wzrostu zaufania wsi do partii.

Traktor — Symbolem politycznym

Traktor nie jest dla większości chłopów polskich narzędziem pracy, ale symbolem politycznym. Traktor jest synonimem gospodarki kolektywnej, tej, przed którą bronią się zaciekle. Traktor oznacza przebudowę wsi, wbrew jego woli. I dlatego poczciwy konik, albo nawet krowa zaprzęzona do pługa czy brony jest jego sojusznikiem, ostatnią ostoją. Z gospodarczego punktu widzenia niewątpliwie błędne podejście. Zarówno dla chłopów jak i całości gospodarki rolnej. Ale tutaj chodzi również o sprawy istotniejsze, ważniejsze!

Byłyby grubym uproszczeniem utrzymywać, że komuniści pragną gospodarki kolektywnej, spółdzielczej, tylko ze względów programowych. Wielu moich rozmówców powoływało się na artykuł prof. Feliksa Grossa (*Kultura* Nr 12, 1959 r.), wykazujący wzrost produkcji rolnej przy jednoczesnym spadku ludności wiejskiej. Podkreślali, że proces mechanizacji pracy rolnej, formowania się większych gospodarstw odbywa się

również w państwach kapitalistycznych i nie wywołuje żadnego wstrząsu. Dlaczego więc jest inaczej w Polsce?..

Chłop broni swojego stylu życia, swego indywidualizmu, bardzo odmiennego od robotniczego, miejskiego. Zmniejszona ludność wiejska na Zachodzie pozostała wiejską. Jest niezależną, nie zmieniła swoich właściwości psychicznych i nie pozostaje w konflikcie z otoczeniem, z ogólnopaństwowym systemem politycznym i gospodarczym.

Indywidualny gospodarz w obecnym ustroju Polski jest jego przeciwstawieniem, cierniem. Jest psychicznie obcy. Przeobrazić można go jedynie przez wtłoczenie w gospodarkę kolektywną. Obie zainteresowane strony są tego jak najbardziej świadome. I ta świadomość dyktuje im metody i taktykę.

Mechaniczne zastosowanie modelu sowieckiego w Polsce nie udało się. Jeszcze przed październikiem wielu zdawało sobie sprawę z potrzeby nieuchronnych zmian, celem uniknięcia katastrofy. Metoda administracyjna, metoda siły zawiodła. Gospodarstwa państwowe i spółdzielcze pracowały jak najgorzej, jakkolwiek nie było masowych buntów chłopskich, deportacji ani nawet aresztów. Programowy cel — likwidacja własności indywidualnej — został niemal całkowicie osiągnięty. Politycznie, gdyż gospodarczo oznaczało to klęskę. Ale i politycznie było to pozorne zwycięstwo, gdyż chłop nie został sojusznikiem partii, lecz stał się zdecydowanym wrogiem. Nie reklamował się tym, ale potrafił to wykazać w sposób jak najbardziej dotkliwy. Biernością. Narastała ona w miarę, jak zaostrzano walkę klasową na wsi. Rzeczywistego wroga klasowego nie było, wobec tego przybierała formę porachunków osobistych, dokuczliwego niszczenia gospodarczego przy pomocy instrumentu politycznego. W miejsce zlikwidowanych kulaków, wrogiem stawał się biedniak, często członek spółdzielni, nie tracący przywiązania i zainteresowania do gospodarki, a tym samym znajdujący się w lepszej pozycji materialnej.

„Sztuczne przeszczerpienie walki klasowej skłóciło wieś, podsycało wzajemną nieufność, utrudniło wykonanie wielu gospodarczych i społecznych zadań. Nota bene nie mówimy tu o skłóceniu, które następuje na tle różnicy stosunku do spółdzielni produkcyjnej”. — Ten pogląd formułował Władysław Bieńkowski, jeden z prekursorów „polskiego października”, jeszcze w maju 1956 r. na łamach tygodnika „Nowa Kultura”. Analizując ówczesną sytuację na wsi, a więc jeszcze w okresie pełnej kolektywizacji, doszedł on do następującej konkluzji:

„Jeśli chcemy docenić siłę i rolę kapitalistycznych elementów naszej wsi — musimy je dokładnie poznać. Ale w tym celu kulak musi przestać być mitem, hasłem, czy — jak jest często — obelżywym słowem lub insynuacją. Musi stać się konkretnym i sprawdzalnym zjawiskiem w dzisiejszym życiu społeczno-gospodarczym wsi. A po wyjaśnieniu tego należy spokojnie, jak przystało na pewnych swych racji gospodarzy ludowego państwa, przemyśleć, jak problem ten rozwiązać

politycznie, społecznie i gospodarczo. Żadne schematy ani dopasowane wzory nam nie pomogą. Walka klasowa toczy się nie na globusie ani na mapie, ale na ziemi. I jeszcze jedno: Każda walka klasowa, którą prowadzimy, każde w niej zwycięstwo musi nas wzmacniać. Jeśli gdzieś odniesiemy „zwycięstwo”, które nas nie wzmocniło, które nas nawet na tym odcinku osłabiło — znaczy, iż coś tam pokreśliśmy, źle ustawiłyśmy nasze wojsko. Trzeba to dokładnie sprawdzić i naprawić”.

Ta krytyka Wł. Bieńkowskiego pod adresem ówczesnego kierownictwa partii z Ochabem na czele nie straciła nic na aktualności. Odnosi się w całej rozciągłości do obecnego kierownictwa. Polityka agrarna pozostała bowiem błędna. Obraca się w jakimś zaczarowanym kole. Rozpadły się gospodarstwa spółdzielcze, zreorganizowano gospodarstwa państwowe, a jednocześnie nastąpiło dalsze rozdrobnienie małych gospodarstw indywidualnych. Zaniedbania, braki i błędy na Ziemiach Zachodnich pozostawiły najbardziej dotkliwy ślad właśnie na odcinku rolnym. Tam bowiem istniała jedyna okazja utworzenia zdrowej gospodarki indywidualnej obok należytych gospodarstw państwowych i spółdzielczych. Zmarnowano ją.

Wstęp do kolektywizacji

Chłopi uważają kółka rolnicze za wstępny krok do kolektywizacji i dlatego nie kwapią się do nich, mimo niewątpliwych korzyści gospodarczych. Rozwój ich postępuje więc bardzo powoli, ale gdyby wręcz zapowiedziano, iż w przeciągu najbliższych 10-15 lat zachowają one obecny charakter usunięto by jeden z najpoważniejszych hamulców.

Gomułka oczywiście nie ukrywa, że zmierza do „socjalistycznej gospodarki” na wsi, wobec tego potwierdza obawy chłopów, iż to co się obecnie dzieje ma charakter wyłącznie przejściowy. Jest jeszcze jednym doświadczeniem, „śrubką w mechanizmie” gospodarki rolnej.

Chłop znajduje się obecnie przeciętnie w lepszych warunkach — aniżeli przed wojną, w znacznie lepszych aniżeli do października 1956 r. i z grubsza zachował większą niezależność materialną i psychiczną aniżeli pozostała ludność. Jasne jest, że nie jest zainteresowany w żadnych zmianach in minus. Komuniści utrzymują, że to co przygotowują dlań będzie plusem. Trzeba go o tym przekonać.

Sądząc po dotychczasowych wynikach należy przypuszczać, że argumenty komunistyczne nie trafiają chłopom do przekonania. A więc albo są zbyt słabe, albo — co jest bardziej prawdopodobne — stoją w sprzeczności z praktyką. Skoro jeszcze ma się na uwadze zdecydowaną nieufność chłopów do przedstawicieli partii, nieufność uzasadnioną, opartą na smutnych doświadczeniach, wówczas otrzymamy odpowiedź na

pytanie dlaczego polityka rolna jest jednym długim pasmem kryzysów, by nie powiedzieć, niepowodzeń, PZPR.

Rozbudowa szkolnictwa wiejskiego, w tym średniego zawodowego, kursów dokształcających ma, między innymi, na celu przekształcenie psychiki chłopca. Wychodzi się z założenia, że osobnik bardziej wykształcony zrozumie celowość partyjnej polityki rolnej, a więc włączy się do niej, wierzy się, iż szkoła złamie jego dotychczasową bierność. Trudno zaprzeczyć, iż w tym założeniu jest wiele słuszności, ale i niemałe ryzyko. Wykształcony i zawodowo bardziej wykwalifikowany chłop zrozumie jednocześnie, że istnieje doskonała szansa prowadzenia zdrowej indywidualnej gospodarki. Ocenic może, że dobrowolna kooperacja między gospodarzami może dać lepsze wyniki aniżeli spółdzielnia uzależniona od władz, co najmniej powiatowych jeśli nie wojewódzkich i centralnych.

Wież niewątpliwie skorzystała z procesu uprzemysłowienia, ale bynajmniej nie w takim stopniu jak to byłoby możliwe, gdyby nie przebiegała taką nerwową, kapryśną krzywą. Podniesienie fachowości rolnika da pozytywne, nawet bardzo pozytywne, efekty jedynie wówczas kiedy równocześnie toczy się będzie celowa rozbudowa przemysłu. Wówczas to narybek oraz nadmiar rąk będzie swobodnie odpływał do miast. Będzie to równomierny proces przemian i przebudowy na dwóch płaszczyznach.

Ale wieś nie wie jaka będzie przyszłość. Reaguje na wszystko instynktem, często niezawodnym. Tylko chłopci na Ziemiach Zachodnich ujawniali pewnego rodzaju spokój czy nawet pewność, szczególnie ci, którzy pochodzili — jak to się w Polsce określa — zza Buga. Nie potrafiłbym jednak powiedzieć czy nie była to swoista forma rezygnacji. Byli to gospodarze, którzy doświadczyli znacznie gorszych warunków, mają za sobą doświadczenia sowieckie. Stale podkreślając dodatnie różnice między stanem w ZSSR a w Polsce dyskretnie dodawali, że „do wszystkiego można się przyzwyczaić”. Wielu repatriantów np. z Wileńszczyzny nie korzysta z możliwości otrzymania gospodarstwa i jeśli nie może urządzić się w mieście, woli pracować w PGR.

— W PGR jestem robotnikiem i nic mnie nie obchodzi. Płacą dokładnie za odpowiednią ilość godzin, za wykonaną pracę. Nie ponoszę żadnego ryzyka.

Z tym nastawieniem spotykałem się często. Nie pokrywa się ono z dawnym obrazem chłopca tęskniącego do ziemi, do własności. Zapewne, że odnosi się do przede wszystkim do repatriantów, ale i do wielu innych. Jest to również czynnik, który odegrać musi rolę w nieuchronnej przebudowie wsi polskiej.

Ta przebudowa jest koniecznością. W tej mierze wszyscy są zgodni. Ale czynniki decydujące, to jest kierownictwo PZPR, posiada program i — teoretycznie — wszelkie środki do jego realizacji. Jest to program ostateczny, natomiast

brak wykonawczego, praktycznie możliwego. Być może, że nawet istnieje, ale trzymany jest w najściślejszej tajemnicy, co mogłoby dowodzić, iż przeprowadzenie go musiałoby spowodować duże, bardzo duże trudności, na które partia nie może sobie pozwolić. Bo gdyby partia pogodziła się z tym, że przebudowa systemu rolnego wymaga okresu kilkunastu — co najmniej — lat i musi być przeprowadzona etapowo, bez nacisków administracyjnych, bez przymusu, przy równoczesnym uruchomieniu programu poza rolnego — wówczas nie musiałaby się ze swoimi zamiarami ukrywać. Wówczas mogłaby naprawdę pójść z otwartą przyłbicą na wieś.

A tymczasem jesteśmy świadkami kosztownych i bezowocnych eksperymentów, gdyż za wszelką cenę trzeba zachować mit walki klasowej.

Benedykt HEYDENKORN

Wobec zbliżającej się 25-tej rocznicy zgonu Wielkiego Marszałka Józefa Piłsudskiego zawiązał się w Londynie komitet, złożony z Legionistów i Peowiaków, z gen. Kazimierzem Sawickim na czele. Komitet postanowił wydać książkę — życiorys Marszałka. Podstawowy fundusz wydawniczy został już utworzony w ciągu ostatnich miesięcy drogą zbiórki subskrypcyjnej wśród Legionistów i Peowiaków.

Autorem książki-zyciorysu pt.

JÓZEF PIŁSUDSKI

na tle epoki 1867-1935

jest znany historyk i biograf Marszałka,
Władysław POBÓG-MALINOWSKI

Książka da pełny obraz życia Marszałka. Liczyć ma ok. 300 stron druku, na bardzo dobrym papierze, w trwałej oprawie, — i zawierać będzie kilkanaście fotografii, w części nieznanych.

Książka ukaże się w ciągu roku 1960

Cena w przedpłacie do dnia 31 sierpnia br.: £ 1.00.0, albo \$ 3, wzgl. ich równowartość. Po ukazaniu się na półkach księgarskich cena będzie o 50 % wyższa.

Spis alfabetyczny przedpłacicieli umieszczony będzie na końcu książki.

Zamówienia i wpłaty kierować na adres:

Henryk J. Picheta, 23 North End Parade, LONDON, W. 14

Komitet wykonawczy:

Plk. E. Radwan-Pfeiffer
przewodniczący

Plk. Al. Idzik
sekretarz

Plk. H.J. Pichela
skarbnik

Sprawy i Troski

Jan Nepomucen

Nowo zwerbowanego członka objaśniało się w sposób następujący:

Przejdziecie kolego koło głównej poczty, potem na wprost przez światła i trzymajcie się kolego lewego chodnika. Po chwili zacznie śmierzdzieć — proszę kolegi — rybą. Ten zapach doprowadzi was do bocznych drzwi, koło sklepu rybiarza. Klub jest na pierwszym piętrze, drzwi będą otwarte.

Kolega ścisnął dłoń i powiedział: trafię.

Majowe słończko grzało go lekko w plecy, ręka prezesa była miękka, ciepła i zagarniająca, jak łono matki. Kolega czuł się dobrze.

Nie do takich miejsc się trafiało — dodawał i przez chwilę patrzyli sobie z prezesem w oczy, a to miało oznaczać: wiem, bracie, że miejsca mogą być różne i drogi różne, ale Sprawa jest jedna. Tego nie trzeba było mówić, wystarczyło popatrzeć sobie w oczy. Sprawnie działająca komunikacja wzrokowa jest nieomylnym sprawdzianem istnienia prawdziwej więzi organizacyjnej.

Tak, to były czasy rozkwitu placówki terenowej, prężności zarówno oddolnej, jak i odgórnej organizacji, oraz pogotowia biologicznego pewnej grupy społeczeństwa, a mianowicie tych, którzy dojrżeli już do zawierania związków małżeńskich.

Panny dzieliły się z grubsza na Sybiraczki, te które przeszły przez Rosję i Afrykanki. Afrykanki były przeważnie młodsze. Panowie, na Starych Anglików, względnie Makaroniarzy, w zależności od formacji wojskowej z którą dobili do Wyspy.

Zapłątany w ciepłe, pachnące „swoją chatą” sprawy ludzkie, prezes (po raz czwarty) Piszczalkiewicz kolebał swoją dużą postać z dużym zadowoleniem, udzielając wskazówek nowemu członkowi. Czuł w sobie tę kolosalną społeczną ikrę i radosną powagę sakry, otrzymanej z rąk obywateli, a zatwierdzonej przez centralę.

Składki wpływały regularnie, centrala widząc dynamiczność placówki proponowała małą pożyczkę inwestycyjną, licencja na wyszynk spirytualiów miała być załatwiona na dniach. Proboszcz młody i bezpiecznie uwikłany w namiętność do teologii, nie brudził. Wreszcie przepływająca nad miejskim ratuszem wiosna zapowiadała się sucho, słonecznie i zielono.

W roku 1948-mym zatem, życie organizacyjne toczyło się lekko, na umiarkowanym gazie, jak zwykle, gdy sprawy bytowe i idea zasadnicza idą ręką w rękę, wzajem się podpierając.



Teraz był rok 1956-ty, koniec października i lato.

Jan Nepomucen Piszczalkiewicz zwiślał z wysokiego barowego krzesła jak obsyty nieprzemakalnym płaszczem worek brukwi. Pił ciężko, choć to było wczesne popołudnie. Właścicielka „Czarnego Łabędzia” podawała cicho whisky na przepłatankę z piwem. Przeszła się już dziwić, klienta znała i miała do niego zaufanie. Jan Nepomucen pił od trzech dni.

Benedykt Szaflarek pić nie mógł, bo mu nie pozwalała wada organiczna. Nikt dokładnie nie wiedział czy to nerki, czy cukrzyca, czy może jeszcze gorzej, bo Szaflarek trzymał tę rzecz przy sobie. Wiadomo było jednak powszechnie, że Beniek gwizdka nie moczy. Zresztą towarzysko mało się udzielał, bo wyglądał jak wyskrobek. Społecznie za to harował i nawet teraz, gdy już właściwie było po wszystkim, nie opuścił prezesa. Siedział obok, mały, z wypukłym czołem, kwadratową głową i rękami jak u kreta. Czuć w nim było nieustanną gotowość rasowego sekretarza. Spojrzenie Benedykt Szaflarek miał permanentnie smutne, bez względu na okoliczność, jak zwykle ludzie, którzy są zawsze gotowi do objęcia dyżuru poza kolejką.

Prezesie — szepnął Szaflarek i miał przy tym zawstydzoną minę — niech pan prezes trochę przyhamuje. Za pół godziny idziemy na zmianę. Pracowali w tej samej fabryce, robili plastyk.

Beniek, nie ma prezesa — powiedział Piszczalkiewicz w pusty kieliszek. Twarz mu się robiła opuchnięta i rozlana, jak u starej kobiety. Beniek, pamiętaj, że nie ma prezesa — powtórzył i popłukał to jasnym piwem gorzkim jak piołun. Beniek pociągnął nosem i dla rozładowania atmosfery zaczął srebrnym służbowym ołówkiem wydtubywać z ucha kuleczki woskowiny. Ucho miał duże jak u nietoperza i mocno odstające.



Początek klubu, a ściślej biorąc początek placówki — bo ta ostatnia przez długi czas mieszkała kątem u pewnego pułkownika — przypada na datę, kiedy Anglicy rozładowali pobliski obóz i ludność automatycznie spłynęła do miasta, zamie-

niając kamieniołomy, farmy, i wyrąb lasu, na plastyk tudzież linoleum.

Gościnny pułkownik pierwszy kupił w mieście kamienicę, nieruchomość dużą, z piwnicami i podwórzem. Zaglądał przez mur wielkie drzewo niewiadomego gatunku, rzuciło na podwórze wilgotny cień, pachnący błotkiem i butwiejącą roślinnością. W jednym kącie, na stercie po-wojskowych materaców dogorywał „sen o szpadzie”. Na środku podwórza stała duża drewniana szopa.

Jakie było jej pierwotne przeznaczenie, nie wiadomo, ale podobno zbierali się tam niegdyś Kwakrzy. Teraz szopa stała pusta, chociaż nie całkiem. Na sękaty, najeżonych drzazgami deskach wały się następujące przedmioty:

Patefon elektryczny umieszczony w szafce z dykty rzeźbionej laubzegą, maszyna do pisania rozmiarów biurowych, ogromna tarcza z orłem, fisharmonia, kilkadziesiąt bardzo matowych płyt, ręczny powielacz, pół tuzina krzesel mieszanej architektury i duży bęben, z wypisanym na skórze hasłem, brzmiałym „Oj dana”.

Przedmioty te miały z czasem, dzięki szczodrości pułkownika stać się zaczątkiem inwentarza placówki, a drewniana buda pierwszym krokiem ku zrealizowaniu ambitnych planów o klubie.

Potem lata szły, kilka jesieni cierpliwie napełniało odlany w brązie podolek — zasiadającej na przeciwko ratusza — Wiktorii, miękką słodką deszczówką i kilka letnich upałów suszyło łono wielkiej królowej. Placówka pięła się ścieżką kamienistą wprawdzie, ale stale pod górę. Zmieniano lokal i rósł — zapoczątkowany darami pułkownika — spis inwentarza. W sprawozdaniach finansowych odsyłanych co roku do centrali równowartość pieniężna patefonu i towarzyszy malała jednak, w myśl zasady o amortyzowaniu się przedmiotów użytkowych. Tak więc patefon oszacowany w roku 48-ym na funtów 10, w 56-tym nie dociągnął nawet do sześciu, maszyna do pisania z piętnastu zjechała na osiem, a niektóre krzesła zamortyzowały się całkowicie i majsterek Onuckiewicz otrzymał te kaleki w zamian za wybudowanie nowej ludy dla baru. Zdaniem majsterka nogi „nadawały się jeszcze” i ksiądz Banas, następcą młodego teologa napomykał, że można by z nich wyrzeźbić lichtarze do kaplicy.

Jeden tylko bęben z napisem „Oj dana” oparł się rygorom ekonomii. Figurował wprawdzie zawsze na końcu listy, bo przypominano sobie o nim w ostatniej chwili, ale przez osiem lat cenę trzymał, jako instrument muzyczny i dzieło sztuki i zamykał się w sumie dziesięciu funtów i sześciu pensów.

Raz nawet referentowi trzeciomajowemu posłużył za metafore, a mianowicie że: „tak jak on, tzn. ten nasz bęben, tak i trud żołnierski nigdy nie idzie na marne, bez względu na mijający czas i zmienne okoliczności”.

W celach muzycznych bębna nie używano z powodu braku innych instrumentów, a do fisharmonii nie pasował.



W barze pod „Czarnym Łabędziem” antyczny zegar z mosiężną tarczą wybił drugą trzydzieści: Ex-prezes Piszczalkiewicz otrzymał nową whisky, ale jej nie wypił. Chodziły mu po głowie torem kolistym różne rzeczy bagatelne i jedna główna, ale tej głównej nie mógł na dłużej zatrzymać, a chciał bardzo.

Beniek, śpiewaj „Czerwone Maki” — powiedział do sekretarza. To nie musiało poskutkować, ale mogło.

Beniek zaczął śpiewać cicho i z czuciem. Wtedy dopiero Jan Nepomucen wychylił kieliszek i stwierdził że poskutkowało. Wiatrak w głowie stanął.



To przemówienie prezesa, przy pełnej sali, po mszy niedzielnej, poprzedzone tańcem dzieci w strojach narodowych, nosiło tytuł „Czyn zbrojny”. Trwało godzinę z czubem, stolik wypożyczony od Szkółki Sobotniej, tańczył pod ogromną pięścią prezesa, w biało-czerwonej chorągwi — którą zakryto na ścianie portret założyciela tej sali gimnastycznej — łopotał metafizyczny wiatr.

Kiedy nawiązując do tytułu referatu prezes zakończył okrzykiem: „Koledzy! Nie ma Polski bez czynu zbrojnego!” — słycać było jak szeregom zebranych na sali członków wyprostowują się kręgosłupy i opadają z nich cywilne garnitury. Kilka kobiet płakało. Jan Nepomucen schodził z podwyższenia ostrożnie i powoli. Czuł, że niesie w sobie jakąś ogromną rzecz.



Dochodziła druga minut 45. Beniek urwał śpiewanie nagle, w pół słowa, jak gdyby wyczerpała się w nim bateria. Patrzył na zegar i poruszał się niespokojnie na zydłu.

Jazda dalej — nakazał prezes, sięgając po piwo. Nie zostawiaj kolegi w pół drogi.

Beniek westchnął, oczy zrobiły mu się jeszcze smutniejsze, ale posłuchał. Śpiewał dalej.

Na cofanie — powiedział prezes, wypił piwo duszkiem i cofnął się.



Na tej płycie z „Czerwonymi Makami” nagranych w tempie tanga, wytańczyło sobie mężów 18 panien i jedna wdowa.

Do budy w podwórzu pułkownika szło się przejściem wąskim, zawsze błotnistym, w zimie ciemnym, że oko wykol. Za budą, w rogu, pod murem pułkownik trzymał kilka kur i tam młodzież męska chodziła sikać w przerwie między tańcami. Piwo przynosili sobie w płaszczach, a dla panien i matek wiśniówkę, bo na miejscu dyżurujący członek zarządu sprzedawał tylko parówki na gorąco, kanapki i herbatę. W pierwszym roku kociótek i imbryk wypożyczał pułkownik, który również przy specjalnych okazjach umiał poprowadzić mazura. Za drugiej kadencji Jana Nepomucena klub posiadał już własne statki. Za kuchnię służył elektryczny piecyk położony na plecach.

Przed sobotnimi tańcami — pamiętasz Beniek — podłogę wysypywało się stearyną. Sekretarz strugał w tym celu świeczki.

Jakie to były tanga? „Ostatnia niedziela”, „Capri”, no i „Maki”. „Polkę w szafliku” grano przeważnie zimą, bo w lecie przepacała panom marynarki. Ale „Maków” żądano najczęściej.



„Przejdą lata i wieki przeminą” — kołował sekretarz Beniek po raz siódmy.



Tak, przy Makach oświadczył się Janek Jakubowski, a ślepy na jedno oko Antoś przyspiewywał rozwódce Geni Kawalec: „Czerwone są, bo polską piły krew” i przyciskał ją do stojącej w kącie fisharmonii, tylko że potem nic z tego nie wyszło, bo Genia posiadała kamienicę i chciała innego.

Ale trzy Marysie i dwie Józie zaprowadziła ta płyta pod pierzynę, a Stefci, z powodu niskiego wzrostu nazywanej kurduplem, zrobiła nawet dziecko między tymi czerwonymi makami i trzeba było Olearczyka służbowo przywoływać do porządku, bo nie chciał się żenić.

Prezes był duszą budy, sam nie tańczył, chodził, obserwował „narybek” i obliczał kasę przy bufecie.



Taki miałem narybek! — zapłakał nagle w stronę sekretarza. Taaki! I pokazał na wyciągniętej ręce długość swojej nadziei. Sięgała od zaciśniętej pięści po łokieć.

Beniek przestał śpiewać.

Nawet dziewczyny płaciły składki — uzupełnił. Na walny zjazd wysyłał do centrali trzech delegatów.

Trzech delegatów — powtórzył prezes martwym głosem. Trzech delegatów. Czy ty rozumiesz Beniek co to znaczy trzech delegatów?

Właśnie wtedy na antycznym zegarze „Czarnego Łąbędzia” wybiła trzecia.

Przed drzwiami klubu stali dłuższą chwilę, nie wchodząc. Prezesowi obciągała płaszcz butelka whisky, sekretarz niósł w teczce kanapki przygotowane do pracy. O popołudniowej szychcie nie mogło już oczywiście być mowy.

Schody pachniały stęchlizną. Na półpięterku, pod wieszakiem stał bęben z napisem „Oj dana”. Cóż z tego że cenę trzyma — pomyślał Beniek. I pierwszy raz ogarnęła sekretarza niepewność, czy aby bębna nie szacowano za wysoko.

Drzwi do salki otworzyły się z trudem: wilgoć. Stoliki rozkraczone sztywno. Na żółtych serwetkach kurz.

Zrobię kawy — pomyślał Beniek. Przytknął zapalną do palnika, ale gazu nie było. Widocznie gazowni znudziło się czekanie.

Psia krew — zaryzykował Beniek szeptem. Zrobiło mu się nijako. Należał do bolejących nad ruiną materialną. Ubytek metafizyczny wyczuwał słabiej. Powiązanie zaś jednego z drugim w kokardkę skutku i przyczyny nie należało do niego. Był tylko sekretarzem.

Prezes siedział już nad otwartą butelką. Łał do szklanki długo, dalekobieźnie. Nie wiadomo było tylko czy cofnie się jeszcze, czy pogazuje do przodu.

Beniek czekał i liczył nogi od krzesel. Naliczył 48. Osiem nóg mi brakuje — pomyślał. To znaczy że dwa krzesła diabli wzięli.

Szlemik w pik — powiedział prezes. Następnie skontrolował.

To nie było żadnym wskaźnikiem dokąd prezes podąży, bo brydże odchodziły i z samego początku i w środku i nawet jeszcze szcążkowo w pięć miesięcy przed klapą.

Na kwaterze pułkownika, w pierwszej fazie prac organizacyjnych, grało się elitarnie, dla przewentylowania zmęczonego umysłu. Po zebraniu panowie powiadali: a może by tak roberka. Panie podawały kanapki.

W nocy Jan Nepomucen pisał do swego przyjaciela, sekretarza w centrali: — Wszystko na dobrej drodze, za kilka tygodni będziesz miał nowy punkt.

Potem, gdy punkt już był i mieścił się w drewnianej budzie, zarząd podjął akcję zainteresowania brydżem ogółu, a przede wszystkim tych, którzy grywali regularnie po domach prywatnych. Byli to przeważnie ludzie rodzinni. W piątki sala stała otworem dla karciarzy i oczywiście bufet był czynny. Infiltrację pokerzystów tępiono bezlitośnie, chodziło bowiem o czystość elementu.

Ateista Pietraszkiewicz był odmiennego zdania i w zakazie dopatrywał się chęci szykanowania klasy robotniczej. Prezesa nazywał faszystą, ale Jan Nepomucen, siedząc okrakiem na zdrowym tronie społeczeństwa mógł sobie — wówczas jeszcze — pozwolić na lekceważenie głosu mętów, w rodzaju ateisty Pietraszkiewicza. Prezes wiedział, że skoncentrowany dym pokerzystów ma posmak kawalerski i trochę lewy, że gruchające parki Krystynek i Andrzejów bliższe są Sprawie, niż „pary dębowe” przed którymi trwożliwy ślepek Antoś uciekł z „fulem” i że pod zagląającym przez mur drzewem niewiadomego gatunku prezes ma gniazdo, któremu trzeba matkować.

Za czwartej kadencji Jana Nepomucena nastąpiły uroczyste przenosiny do lokalu nad sklepem rybiarza.

Kupiono nowy garnitur mebli, radio z adapterem, zaabonowano cztery czasopisma i złożono podanie o wyszynk alkoholu. Sprowadzony z centrali prelegent wygłosił pogadankę.

Tego dnia wieczorem przy wzmocnionym bufecie odchodził brydż i tombola (mówiło się: „nasza tombola”), panie przyszyły z córkami, a na kanapie w kącie niegrający bawili się w zgadywanki.

Nazajutrz zabawa „z niespodziankami” zrobiła rekordową kasę. Na sali gimnastycznej (nowy lokal nie nadawał się do tańczenia, a drewnianą budę pułkownik postanowił rozebrać) ostatnich siedem panien buchało obłokami jaśminu i konwalii z małych buteleczek za 2/6, a młode mężatki nie obarczone jeszcze dziećmi szalały autentycznie. Starszyna do jedenastej ładowała baterie w barze na przeciwko, a potem już przy foxtrocie „Continental” każdy numer szedł i nawet stara gruba Sopoćko miała gorset pełen uciechy.

Prezes zacierał ręce: placówka tryskała zdrową krwią.

Sekretarz odczyta listę członków — krzyknął prezes do pustej już prawie butelki.

Równocześnie stwierdził że pękata butelka *podobna jest do Beńka. To go ogromnie rozczuliło.

Beniś — dodał łagodniej — zrobimy apel poległych.

Kartka, którą Benedykt Szaflarek wyjął z kieszeni nosiła ślady ludzkiej pracy. Widocznie nie był to pierwszy „apel poległych” zarządzony przez prezesa.

Jan Nepomucen uzupełnił kieliszek.

Szaflarek czytał:

Józef Barszcz!

Józef Barszcz, młody pistolet, pracował przy budowie tunelu. Zarabiał po 30 funtów tygodniowo, czasem w wodzie po pas, czasem „na przodku”, odpalając ładunki. W niedzielę przed kościołem jechał nowiuteńkim motorem. Kiedy „starto-

wał" jednym kopnięciem długiej sprężystej nogi i szalał żółtą rękawicą na ręce gazu, pannom dżgającym obcasikami trawnik przed kościołem, miękły kolana. Na zabawach miał wielki fason, ale wyważony był w sobie, wódka go nie brała i chętnie zgłaszał się na porządkowego do usypiania pijaków, kiedy zaczęli podskakiwać. Gdy tunel się skończył, dosiadł błyszczącego motoru i wyjechał do Szkocji.

Ubył — odpowiedział Jan Nepomucen Szaflarkowi.

Stefania Czeczota!

Stefcia miała prawe oko leciutko scentrowane, ale to nikomu nie przeszkadzało. Tańczyła jak wąż, ogień się w niej palił, nie przepuściła żadnej okazji. Posiadała dar robienia kanapek, które spod jej palców wychodziły artystycznie. Przy wystawianiu Jasełek Rydła trzy lata pod rząd grała diabła, co zwiększało frekwencję bo diabłu — jak wiadomo — przysługuje czarny trykot. Wydała się niespodziewanie za bogatego Anglika i wyjechała na południe.

Ubyła — odpowiedział Jan Nepomucen.

Jan Jakubowski!

Janka prezes pokochał, bo to był swój człowiek. Cichy, spokojny, a głęboki jak studnia artezyjska. Na zabawy przychodził solidnie, tańczył dobrze, trochę obrzędowo, czuć było z każdego ruchu, że Janek powziął mocne postanowienie wytańczenia sobie żony Polki. Po roku dopiął swego. Marysia nie była może ładna, ale i po oczach i po ruchach i po tym jak powiedziała mu: „Dobrze Janku, zostanę twoją żoną”, widać było, że Marysia jest zrobiona do prawdziwego życia. Po trzecim dziecku Janek przyszedł do prezesa na „spowiedź”. Rozgałęziło mu się drzewko, trzeba było dawać pilne baczenie, żeby w tym obcym mieście i pod tym zimnym niebem i na tym protestanckim powietrzu nie poszło krzywo. A papierowe członkostwo, to było nie dla Janka. Zdał zatem funkcję bibliotekarza i uściślił się z prezesem serdecznie. Teraz Janek odpalał przy plastyku 12 godzin dziennie, z niedzielami włącznie.

Ubył — odpowiedział Jan Nepomucen.

Józef Łągiewka!

Z Łągiewką sprawa była inna, bo Łągiewka miał pęd do pieniądza, rudą głowę i zdolność błyskawicznego operowania. Precyzja z jaką Łągiewka doił najbardziej — zdawałoby się — jałowe okoliczności, graniczyła z cudem. Z cudów tych korzystała placówka, lecz niestety do czasu. Nastał, bo nastać musiał, dzień w którym Łągiewka wypłynął na szerokie wody, a że wielkie interesy bardziej są zazdrosne, niż starzejące się kochanki, Łągiewka musiał wreszcie komuś powiedzieć „pas” i powiedział „pas” prezesowi. Wyjechał z organizacji na czarnym Rollsie, w lokaliku nad sklepem rybiarza został po nim zapach sześciotylingowego cygara.

Ubył — odpowiedział Jan Nepomucen.

I tak zaczął się odpływ. Może księżyc się zmienił i coraz ciszej śpiewały na nim kowieńskie słowiki, a może zmienił się wiatr, który szorstką poję żołnierskiego płaszcza wydyma inaczej, a inaczej dobiera się palcami do fabrycznego drellichu. Może wreszcie Czerwone Maki tym się różnią od Lili Polnych, że Makom trzeba zaorać i trzeba je zasiać, a potem mozolnie koło nich chodzić, po to, aby stanęły w chwale króla Salomona. A Jan Nepomucen miał 65 lat, z czego wiele wojennych. Dość że zaczął się odpływ.

Dawniej wystarczył jeden afisz i wzmianka księdza Banasa przed niedzielnym kazaniem, żeby drzwi sali gimnastycznej rozpychała „śledziowa” potańcówka. Potem nastaly czasy, kiedy sekretarz musiał osobiście biegać po domach i wyciągać ludzi za uszy. Bufety składkowe chudły, starsze pokolenie przychodziło jeszcze z obowiązku, ale to trudno nazwać zabawą, „nasza tombola” przeświecała łysiną, bilety na loterię musiał sprzedawać sam prezes, bo fertyczne Zosie i marzycielskie Ewy („Panie Genek, jeszcze pan ode mnie nie kupił bileciku, a moje najlepsze, każdy wygrywa”) pilnowały dzieci w kotłyszach i śpiewały im:

*Leci, leci wiatru granie
Z mazowieckich pól;
Śpij maleńki, śpij kochanie,
Siwe oczka stul.*

Tymczasem na sali gimnastycznej podstarzałe, zawsze te same pary krążyły sennie już tylko trzy razy do roku. I prezentowano obrzędowo kolorowym bibułkom i balonikom zawsze te same zjełczałe flirty, bez cienia pokrycia już nie tylko w autentycznych namiętnościach, ale choćby w zwykłych alkoholowych ciągotach. Kowalski mówił do Zielenkiewiczowej: „Pani na mnie działa” i natychmiast szedł susiać, a właściwie porządnie się wyziewać.

Sekretarz czytał dalej:

Eugeniusz Kowalik!

Kowalik był inżynierem i wybornym brydżystą. Firma, w której pracował przy konstrukcji mostów, przeniosła go do Północnej Afrvki.

Ubył — odpowiedział Jan Nepomucen.

Doktor Obarski!

Doktor Obarski, esteta pilnie czytujący tygodniki literackie, w klubie trzymał karty brydżowe ręką małą, wąską i bieleńką jak śnieg. Przez kilka lat pracował w szpitalu dla umy-

słowo chorych. W organizacji pełnił funkcję wiceprezesa, bardziej honorowo niż faktycznie. Ostatnio przeniesiono go pod Londyn, na bardziej samodzielne stanowisko.

Ubył — odpowiedział Jan Nepomucen.



Tak to klub na skutek braku „czwartego” rozkładał się z szybkością wprost proporcjonalną do ilości konsumowanego alkoholu. Miejsce grających przy stolikach zajęła „demokracja” z ateistą Pietraszkiewiczem na czele.

W ciągu sześciu miesięcy wydano trzy surowe zakazy uprawiania hazardu. Zakazy oprawione w ramkę wisały nad bufetem.

Pokerzyści odpowiedzieli, że jeżeli oni nie przyjdą, „pies z kulawą nogą nie zawadzi o lokal” i mieli rację.

Panie przestały zgłaszać się na dyżury. Prezes na przemian z sekretarzem kiblowali przy pokerzystach, sprzedając biskwity i kawę w proszku. Biskwity nie szły.

Kiedy wreszcie pewnej pamiętnej soboty Pietraszkiewicz przyszedł do klubu w towarzystwie Irlandki, z którą podobno miał dziecko, i trzymając dziewczynę na kolanach nadział się z „karetą” na „kolor”, wywiązała się dyskusja zasadnicza, czy wypożyczenie dziewczyny skasuje dług karciany w wysokości pięciu funtów. Właściciel „koloru”, człowiek żonaty zgadzał się na 10 szylingów. Wynikła sprawa honorowa, gdyż Pietraszkiewicz stwierdził, że jego pani została poniżona przez właściciela „koloru”. Sprawę honorową rozbrano na miejscu, przy pomocy pięści i dodatków nieorganicznych.

Po zlikwidowaniu zajścia we własnym zakresie, Jan Nepomucen postanowił zamknąć klub. Tak też się stało.



Butelka na stole była pusta. Prezes wstał.

Małe niebieskie oczy spadły mu w dół, do sinawych woreczków. Zakolebał się raz i drugi. Poczuł pod nogami deski podium. Za plecami w sztabarze łopotał metafizyczny wiatr, I już miał krzyknąć tak jak wtedy, na obchodzie: „Koledzy! Nie ma Polski bez...” — ale widocznie się rozmyślił. Usiadł z powrotem i oparł głowę na wielkich twardych rękach.

Sekretarz czytał dalej:

Henryk Pietraszkiewicz!

Oczywiście po zamknięciu klubu Pietraszkiewicz wypisał się z trzaskiem, rzucając legitymację pod nogi prezesa. Wtedy prezes schylił się, choć trochę go przy tym zatknęło i podniósł małą niebieską książeczkę. To było największe upokorzenie i najwspanialszy gest w życiu Jana Nepomucena.

Nie dosłyszawszy prezesowskiego „ubył”, sekretarz spoj-rzał znad kartki, z której odczytywał „apel poległych”.

Wielka zmęczona twarz prezesa odchyliła się na bok. Kąciki ust opadły, jeden z nich dotykał pierścienia z orłem, który prezes nosił na małym palcu. Orzeł miał kształt drapieźny.

Biedny stary — pomyślał Beniek. Siódmy pot z siebie wyciskał, harował w dzień i w nocy, życia własnego nie miał. I tak mu wszystko poszło na szmelc! Biedny stary.

Beniek był tylko sekretarzem. Nie umiał wiązać spraw w kokardki przyczyn i skutków.

Jan Nepomucen spał.

A tymczasem i na górze za katedrą i w dzielnicy robotniczej i koło gazowni i nawet o rzut kamieniem od brązowej Wiktorii, z czterdziestu kilku kołysek, wózków resorowych i zawińniętek krzyczała — chyba mała Polska.

Bo komuż innemu śpiewać mogły wytańczone przy „Czerwonych Makach” Marysie:

*Leci, leci wiatru granie
Z mazowieckich pól;
Śpij małeńki, śpij kochanie,
Siwie oczka stul.*

Jan ROSTWOROWSKI

Przepłata

WSPOMNIENIA ALEKSANDRY PIŁSUDSKIEJ

Około 400 stron druku i 35 ilustracji o znaczeniu historycznym.

Oprawa płócienna. Ozdobna obwoluta.

CENA W PRZEDPŁACIE DO 1 WRZEŚNIA 1960:

25/, \$ 4.00, NF 18.00

Cena sprzedażna: 35/- \$ 6.00, NF 25.00

Wydawca: GRYF — 171, BATTERSEA CHURCH RD., LONDON, S.W. 11

Książka ukaże się w roku bieżącym

Najnowsza historia Polski

Konspiracje na Wyspach

Kiedy w lutym 1944 roku przyjechałem do Londynu z Warszawy, w ciągu trzymiesięcznej podróży mając dość czasu na uchwycenie naszej Sprawy, widzianej raz jako oś świata z piwnicy podziemia, to znów jako wąski margines wielkich zmagañ i interesów, zdziwiłem się niemało gdy poinformowano mnie o istnieniu konspiracji w Siłach Zbrojnych.

Już w kilka dni po wyjściu z „Patriotic School” (1), zameldowaniu się u Szefa Sztabu N.W. i po zainstalowaniu się, byłem zaproszony na takie tajne, długie i bardzo zadymione posiedzenie.

Nosiłem jeszcze wyfasowany w Kairze *battledress*, odbijając sylwetką od eleganckich kolegów, dyplomowanych oficerów mojej promocji 1936-38 i po kilku z najbliższych, nieco młodszych i starszych. Otoczyli mnie wtedy przyjaźnią i gorącą ciekawością tego co w Kraju. Z szeregu odczytów o sytuacji w okupowanej Polsce pierwszy, zupełnie nieoficjalny, wygłosiłem do tych kolegów. Oficerowie Wojska, Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej. Młode twarze, granatowe, błękitne i zielone mundury, stopnie od poręcznika do majora, wysokie odznaczenia polskie i obce. Niepokój i wzruszenie, ciekawość o wszystko co w oddali, chęć działania wbrew możliwościom i rozsądkowi, skrępowanie posłuszeństwem dla przełożonych, stacjonowaniem na obcej ziemi i coraz lepszym zrozumieniem, że prócz pięknych słów (a i to nie zawsze) alianci nie pomogą nam w niczym.

(1) Tak zwano miejsce odosobnienia pod Londynem, gdzie przybywający do U.K. wysłannicy z okupowanych krajów alianckich byli przesłuchiwani dla zabezpieczenia wysp i wypompowania wiadomości z pierwszej ręki.

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Zebrania odbywały się co najmniej raz na tydzień. Ponieważ koło Sztabu N.W. było zbyt wielkie, by wszyscy naraz mogli pomieścić się w prywatnym mieszkaniu jednego z kolegów, marynarze mieli swoje zebrania, równie jak lotnicy czy oficerowie Wojska. Powstały więc trzy koła naczelne, które od kolorów mundurów zwały się „zielone”, „granatowe” i „niebieskie”. W jednostkach zarówno w Londynie (łączność), jak na lotniskach, w szkołach i w Szkocji istniały koła lokalne, związane z kołami naczelnymi, które dawały dyrektywy. W tym czasie, po sprawie lotników, były one przekazywane ustnie, przez kolegów często przyjeżdżających z prowincji.

Opublikowany w nr. 9/143 „Kultury” szkic S. Sęp-Szażyńskiego pod tytułem „Trop Legendy”, mówi o konspiracji tylko lotniczej i doprowadza do końca 1943 roku. Wymienieni przezeń mjr. Poziomek, mjr. dypl. R. Czerniawski, mjr. Kurzemba, kpt. Ali Bujalski, por. „Żur” byli najczynniejszymi z lotników i dzięki częściowym osiągnięciom konspiracji na swoim terenie wierzyli w jej powodzenie w przyszłości. W kole zielonym uczestniczyli oficerowie dyplomowani kpt. Ciemochowski, mjr. M. Czarniecki, mjr. Utnik, mjr. Krzyżanowski, mjr. dr Firley, mjr. Z. Węgorek, mjr. Szendryk, mjr. Gadowski, mjr. Biłski (później poleciał do Kraju), kpt. Maśliński i wielu innych, których twarze widzę, ale nazwisk nie pamiętam. Z „granatowych” rej wodził zawsze tryskający energią kdr. Wroński i kdr. Karnicki.

Trzy koła naczelne zbierały się razem w osobach swych przedstawicieli. Kolejno przewodniczył oficer jednej z części Sił Zbrojnych.

Na tych zebraniach bywali przedstawiciele Nid'u. Były to romantyczne czasy tej organizacji. Głoszono i wierzono, że idea przewodnią będzie zgodna współpraca ludzi pokolenia Polski niepodległej, bez względu na polityczną przynależność i posłuszeństwo partyjne. Dobro Sprawy bez względu na cele i zarządzenia partii miało być probierzem i spójnią łącząca tych ludzi. W teorii przenikanie ideologiczne pewnych i bardzo czystych ludzi wpoprzek całego przekładańca politycznego, który w Polsce narastał okresowo do zawrotnej ilości partii, a na emigracji bardzo niewystarczająco reprezentował Kraj — mogło ułatwić osławione „uzgadnianie” i eliminację ambicji różnych kacyków, opierających się na „woli ludu” wyrażonej dość dawno i w innych warunkach. W praktyce ludzi tego typu nie było wielu, a Nid w swej ewolucji przekształcił się w jeszcze jedną partię. Ale to było dopiero później, a anno 1944 S. Grocholski, R. Piłsudski, Jankowski i inni cywilni panowie informowali nas o tym co się dzieje w gabinecie premiera i na radzie ministrów. Wzajemnie byli wprowadzani przez nas w kulisy spraw Sił Zbrojnych.

Po lotniczej, uprzednio bardziej skrytej i osamotnionej, konspiracji, której cele zostały częściowo osiągnięte raczej w

płatczyźnie personalnej, nie mogę powiedzieć — zwłaszcza świeżo po przyjeździe z Kraju, że kryliśmy się bardzo. Była to tajemnica, o której powszechnie wiedziano. Swojego rodzaju zdublowanie londyńskiej sieci dowodzenia z zachowaniem pozorów wpływów na sprawy ogólnopolityczne (2). Trzymaliśmy się publicznie razem. Kasyno w „Rubensie” (hotel w pobliżu dworca Victoria, gdzie miał siedzibę Sztab N.W.) przez zgromadzenie zajmowanych razem stolików dawało dobry przegląd sił, bez uciekania się do inwigilacji. Uczulony na punkcie bezpieczeństwa, byłem pewien, że wśród nas znalazły się wtyczki nie tyle ideowe, co posłusznie meldujące. Myślę o jednym dziecinnie wyglądającym majorze o ograniczonej inteligencji i wiernych oczach, a prócz tego o jednym saperze.

Ale czy warto było kryć się zbyt mocno? Nie dążyliśmy do przewrotu, bo i tak był niemożliwy w cudzym kraju. Opanowanie rewolucyjne oddziałów rozrzuconych od Dundee do Londynu i Southampton nie było trudne, ale niczego nie dawało.

Działaliśmy jako wzmocnienie (paradoksalne sprzysiężenie!) istniejącego Dowództwa. Po lotniczych wahanach za Sikorskim czy przeciw, gdy przyszedł jego następca na stanowisko Naczelnego Wodza, konspiracja wspomagała go, bo był zwalczany przez znenawidzonego wśród nas Mikołajczyka, miał związane ręce przez Anglików i miał żywot ciężki od rana do nocy, gdy spod nóg usuwała mu się ziemia. Nie był orłem, nie umiał nas porwać ni gestem ni słowem, ale wiedzieliśmy, że nie pójdzie na targi i frymarczenie.

Spokojny, zrównoważony i posiadający poczucie humoru (co stanowi wyjątek wśród naszych wyższych dowódców nadejtych uroczyście!) Szef Sztabu N.W. gen. Kopański na pewno świetnie był poinformowany o naszym istnieniu, znał nas dobrze i prawdopodobnie polecił nam nie przeszkadzać a tylko obserwować. Zresztą miał do wyboru akcję podobną do przedsięwziętej przez gen. Sikorskiego, dochodzenia, sądu i rozbitcie pozytywnych grup, lub mrugnięcie ku nam — „myślcie, że was nie widzę!”.

Były zresztą i inne głębsze objawy tego do nas podejścia. Gen. Sosnkowski przyjmował przedstawicieli naszego ruchu. Nie pamiętam tylko, czy był to sam Utnik, który po tej wizycie, składał nam sprawozdanie — nie była to ciekawa rozmowa, raczej ogólna informacja. Utnik po niej awansował na podpułkownika. (Stosunkowo niedawno został majorem, a nie dowodząc w polu nie miał warunków pragmatyką przewidzianych na jeszcze jedną gwiazdkę). Ppłk. dypl. Marian Utnik uchodził za lidera młodych. Obserwowałem go z zainteresowaniem. Pracował w Oddziale Specjalnym Sztabu N.W. najpierw jako zastęp-

(2) Piszę „porozów”, gdyż nawet Prezydent, Rząd, czy nam, żołnierzom, najbliższy legendą nazwy i ciężarem stanowiska, Wódz Naczelny, mieli w rękach pozory spraw ważnych, załatwianych poza polskimi (jakże wtedy wąskimi!) plecami.

ca ppłk. Protasewicza, po czym jako Szef Oddziału. Była to ciekawa praca utrzymania łączności z Krajem, jego dyspozycyjności i zaopatrzenia w ludzi, broń i pieniądze. Wielokrotnie rozmawialiśmy na polityczne i krajowe tematy. Nie był to człowiek z kruszcza. Utkwiła mi w pamięci jedna rozmowa przed wyjściem z Rubensa. Z głębokim przekonaniem, ale beznamiętnie, jako rzecz przemyslaną, wyjaśniał mi, że zmianę kierunku politycznego da się uzasadnić i usprawiedliwić jeśli przechodzimy do zwycięzców, do tych co o jutrze decydują. — „Czy i zmiana kierunku na wschodni? — pytałem zapinając płaszcz.

— „Chociażby!” drwiący błysk w spokojnych oczach Mariana.

— „Gratuluję! to może cię doprowadzić i do galonów czerwonego marszałka”. — Po tej rozmowie nasze drogi rozeszły się. Utnik rzadziej (a potem w ogóle nie) przychodził na zebrania. Marszałkiem nie został, w więzieniu w Kraju siedział. Nie wiem co z nim teraz.

Logicznie rozumujący czytelnik chciałby wiedzieć, co robiło to na wpół zdekonspirowane sprzysiężenie? — Oddziaływaliśmy w kierunku niepodległościowym na londyńskie ośrodki dyspozycji cywilnej i wojskowej. Usprawnialiśmy dowodzenie wobec zasiedziałyłch wodzów na szkockich folwarkach.

Kiedy I. Dywizji Pancерnej groziło przed inwazją pozostanie na wyspach z powodu niepełnych stanów bojowych i braku pierwszych uzupełnień, a dowódcy kadrowych jednostek nie oddawali swych żołnierzy mimo rozkazów N.W., nasza sieć załatwiła tę sprawę prawie natychmiast. Po akcji na Arnheim rozpoczęła się nagonka na gen. Sosabowskiego za jego energiczną postawę wobec ang. gen. Browninga. Sprawę wyjaśniliśmy w Londynie i w jednostkach. Usiłowaliśmy powstrzymać ówczesnego premiera Mikołajczyka od wyjazdu do Rosji. Rozmawiał z nim mjr. Gadomski i kpt. Maśliński. Oddziaływaliśmy na odmłodzenie sztabów i dowódców, ale z miernym skutkiem, gdyż zagadnienia personalne w każdym organizmie militarnym są zagadnieniem czułym, a wśród nas decydującym.

Byliśmy gotowi wesprzeć każdą akcję N. Wodza, która miałaby na celu demonstrację wobec Aliantów, zwłaszcza wobec gospodarzy na wyspie. Dyskutowano powtórzenie Szczypiora.

Położenie naszych Sił Zbrojnych będące wypadkową ich narastania i ewakuacji z Francji, zarówno jak i otwierania nowych teatrów wojny, było tego rodzaju, że N. Wódz mógł rozkazywać tylko w kierunku idei i wpływać na oddziały przez wyznaczanie dowódców. Dowodzenie operacyjne leżało w rękach dowódców obcych. Dzięki instytucji oficerów łącznikowych byli oni doskonale poinformowani o wszystkim co w polskiej sprawie piszczy, znając dobrze język i nasze gadulstwo. Wojsko było na Środkowym Wschodzie, w Italii i w Szkocji (później we Francji, Belgii, Holandii, wreszcie w Niemczech). Marynarka rozrzucona okrętami po Atlantyku, Morzu Północnym

i Śródziemnym oparta o dwie bazy w Anglii, wcielona w wyższe związki floty brytyjskiej. Lotnictwo na szeregu lotnisk Anglii.

Później były usiłowania Sztabu N.W. połączenia całości sił naszych na jednym froncie. Skończyło to się niczym, bo nie zwiększało siły naszych aliantów, powodowało nowe wydatki, przesunięcia oddziałów przy ogromnym braku statków, dużo wysiłków reorganizacyjnych i — nie wiadomo czy przenikliwość wyspiarzy szła tak daleko — chroniło od poważniejszych nieprzyjemności w okresie rozejścia się dróg politycznych, które wiązały nas z Anglią.

Tutaj dochodzę do sprawy bardzo istotnej, wyznaczającej nam zakres działania, jako związkom żołnierzy-patriotów. Widzieliśmy w Sztabie skrępowanie N. Wodza wynikające z zależności od Anglików, od własnego rządu który pod presurą Mikołajczyka służył jako przekazańnik życzeń Churchill'a i od opisanego rozrzucenia sił własnych, które mogły być użyte tylko przez obcych i na ich rachunek. Gdy do tego dodamy troskę o Kraj, z A. K. teoretycznie podległą, posłusznie meldującą, ale w decydującym momencie buntem powstania odpowiadającą na jego zakaz — ujrzymy klatkę, w której szarpał się Naczelny Wódz, obojętnie czy w częstym wojażu jak gen. Sikorski, czy w ciemnym gabinecie z *wall-to-wall carpets*, jak gen. Sosnkowski.

Stanowisko Naczelnego Wodza od Kościuszki i ks. Ponia-toskiego aż po Piłsudskiego łączyło się w naszej historii i legendzie z nimbem i aureolą, ale jednocześnie z akcją. Tragedią naszych dwóch ostatnich N. Wodzów była fikcja dowodzenia, oparta na fikcji siły. Nie mogli nic uczynić na miarę swego zadania określonego Konstytucją. Pozostały im tylko gesty. Gestami były przemówienia, inspekcje i podróże gen. Sikorskiego. Myślę, że się nimi odurzał, objając o swą klatkę. Bardziej skupiony zamknął w sobie, oszczędniejszy w słowach gen. Sosnkowski dał Siłom Zbrojnym Rozkaz Nr 19, będący ostatecznie tylko gestem.

Znając ten szyfr sytuacyjny wypada mniej tragicznie ocenić podpisanie paktu Sikorski-Majski, niż czyni to autor „Tropu legendy”. Pamiętam przy tym, iż pakt ten podpisywał Sikorski jako premier, ale nieunikniony kompleks niższości wynikający z tragicznego braku siły w rękach N. Wodza kieruje jego działaniem. W Rosji, spośród więzień i obozów powstanie nowa siła. Z przeklętej ziemi jest wyjście dla wielu, dzięki paktowi. Dla takiego celu paktowałem z diabłem, by ratować życie. Kto znał żołnierzy naszych w Italii ten zrozumie, co dla nich znaczył Sikorski. Była to krótka chwila kiedy Niemcy ściskali za gardło Stalina. Wkrótce potem odzipnął i już nikogo z nas nie puściłby z Rosji. Tak zwane „pozytywne” rozwiązanie mówi o pozostaniu w Rosji, stworzeniu silnej armii, przekroczeniu Zbrucza od wschodu w barwach sojusznika i współpracy, który miał otrzymać wielką Polskę... z rąk Stalina.

To równy nonsens rozumowania, jak Warszawskie Powstanie „dla okazania światu...” (pamiętacie tę drętwą mowę), jak bratobójczy — rozkaz „ujawniania się”, jak rozmowy, które po-grzebały wielu z szesnastu.

Byłem w tej konspiracji „młodych”. Nieraz przewodniczyłem zebraniom koła „Zielonych” w Sztabie i zebraniom koła Sił Zbrojnych. Zastanawialiśmy się, co w tej sytuacji — a był to okres poprzedzający wycofanie uznania rządowi, rozmów w Jalcie — może zrobić Naczelny Wódz. Co mógł zrobić Rząd? — Protestować! — ale protesty były ciche, gdyż maszynę propagandy mieli w swych rękach alianci, a Mikołajczyk i inne „czyki” rozerwali jedność Rządu.

Myślę, że nie można postawić poważniejszych zarzutów obu generałom na tym najbardziej niewdzięcznym stanowisku. Byliśmy tego zdania wówczas, gdy nasza — jedyna może w historii sił zbrojnych — konspiracja popierała gen. Sikorskiego i jego następcę. Niezawisła decyzja polityczna, która waży na szali, musi się opierać na sile własnej, istotnej. To jest jedyne kryterium, które wypada podkładać pod osady niedojrzałe mimo lat i pochopne mimo siwizny „młodych”.

Pan Sęp-Szarzyński w swoim artykule feruje wyroki na N. Wodza i jednym tchem oburza się, że był aresztowany i sądzony, on i jego przyjaciele. Co za pomieszanie pojęć i proporcji! — Na terenie własnego kraju, w czasie wojny, za konspirowanie przeciw N. Wodzowi mógł pójść przed pluton egzekucyjny. Konspirator musi się liczyć z kulą lub zwycięstwem.

Przypisując sobie i przyjaciółom (raczej „nam”, gdyż i ja później w tym tkwiłem) prawa osądu bezwzględnego, musi się być pewien absolutnej czystości intencji sprzysiężonych. Z upływem czasu traciłem to przekonanie. Znaczna część ogłądała się na awanse i wyparcie starszych wiekiem uzasadniając to nie zawsze najlepszymi kwalifikacjami. Utnik pojechał do Kraju, służyć zaborcy, choć probierzem uczciwości i honoru oficera był stosunek do Rosji Katynia i Rosji zsyłek.

Porywając się na osąd N. Wodza trzeba sobie uzmysłowić naszą ówczesną niemoc. Dyspozycja leżała poza nami w konspiracji i poza przełożonymi na naszym mizernym szczycie. mogliśmy tylko pilnować, by przy możliwym zdemoralizowaniu szeregów, co towarzyszy często okrutnej pewności jutra, nadciągającej z nowego układu sił, nie popełniano świnstw.

Niedawno pan Wohnout pisząc o tym samym okresie na rozdrożu, świetnie określił nasze ośrodki pseudo-dyspozycji jako królestwo liliputów. Nie znałem Władysława Sikorskiego, nie widziałem go nawet nigdy, ale po głębokim żalu który towarzyszył śmierci Generała w Kraju i na Zachodzie, po szeregu rozmów i opowiadań zrozumiałem, że miał pewną osobistą wagę, którą odczuwali swoi i obcy. Po nim było gorzej. Było już tylko źle.

Dlatego niektóre strony z „Tropu” budzą we mnie głęboki niesmak. Niesmak żołnierza widzącego z daleka, jak jeden z liliputów szarpie spodnie poległego Generała.

W marcu 45 roku zostałem odkomenderowany do 2-go Korpusu. W powietrzu już było przedwiośnie i ostatnia faza wojny. W konwoju do Italii, na morzu miałem czas przemyśleć wiele. Przed wyjazdem koledzy desygnowali mnie na kierownika konspiracji w Korpusie, dając mi kontakty na oficerów i podchorążych.

Z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku wspominam, że niczego w tym kierunku nie dokonałem. 2-gi Korpus robił wspaniałe wrażenie. Był to Korpus zwycięzców, który bił wroga po żołniersku, bił w polu, jak Italia długa. W konspiracji w Kraju byłem od wiosny 1940 i jako żołnierz zawodowy odczuwałem pełny wstręt do tego rodzaju walki. Potem bezowocna konspiracja londyńska, powstała ze szlachetnej chęci czynu, gdyśmy odczuwali, że Sprawa tonie u zwycięskiego brzegu, ale niemiła bo stawiająca nas w konflikt z regulaminem i przysięgą.

Miałem tego dość. Nareszcie byłem wśród wojska całą gębą. Tu mogłem nie konspirować, a cały ciężar dowodzenia i politycznego osądu zepchnąć na ramiona Dowódcy.

S. ŻOCHOWSKI

WOLNE OD CŁA — PACZKI PEKAO
PRZEKAZY PIENIĘŻNE
PACZKI HASKOBY
 Katalog 500 najpopularniejszych
 na żądanie



CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD
 121 Earls Court Rd, London S. W. 5

Kronika kulturalna

Nota o „chorobie powieści”

Coraz częściej spotykana diagnoza, że „powieść jest chora, może nawet nieuleczalnie chora”, nie zawiera nic nowego. Przeglądam „The Moment and Other Essays” Virginii Woolf i znajduję w nich „The Art of Fiction”, śliczny szkic napisany w roku 1927 z okazji książki E.M. Forstera „Aspects of the Novel”.

„Ze powieść jest damą — pisze Virginia Woolf, — i to damą, która znalazła się w tarapatkach, musiało nie raz już uderzyć jej wielbicieli. Wielu rycerskich gentlemenów śpieszyło jej na pomoc, wśród nich głównie Sir Walter Raleigh i Percy Lubbock. Ale obaj byli trochę ceremonialni w swoim podejściu; obaj posiadali sporą o niej wiedzę, ale znikomą z nią zażyłość. Teraz zjawia się E.M. Forster, który wypiera się wiedzy, lecz nie może zaprzeczyć że zna damę dobrze. Jeśli brak mu powagi poprzedników, korzysta za to z przywilejów należnych kochankowi. Puka do drzwi sypialni i zostaje wpuszczony kiedy dama jest w szlafroku i w miękkich pantoflach. Przysunąwszy fotele do kominka, rozmawiają swobodnie, dowcipnie, subtelnie, jak starzy przyjaciele, którzy nie mają złudzeń, chociaż w rzeczywistości sypialnia jest salą wykładową, a odbywa się to wszystko w wysoce ascetycznym mieście Cambridge”.

To co kochanek ma do powiedzenia damie w tarapatkach przypomina trochę, jako recepta, olej rycynowy dawany niegdyś w przychodniach lekarskich na wszystkie dolegliwości. Najpierw pouczenie z anatomii literatury, że powieść składa się z Siedmiu Elementów Głównych: Opowieści, Ludzi, Intrygi, Fantazji, Proroctwa, Kompozycji (trudno inaczej przetłumaczyć „Pattern”) i Rytmu. Potem surowy monit, że jej porażki są zawsze porażkami w stosunku do życia. Henry James, na przykład, trzymał się cierpliwie wąskiej ścieżki obowiązku estetycznego i robił to z powodzeniem. Ale kosztem jakiej ofiary? „Większość życia ludzkiego — powiada Forster —

musi zniknąć, zanim potrafi on napisać powieść. Tylko okaleczone istoty mogą oddychać w jego powieściach. Tworzył mało postaci i budował je ze skąpstwem". Gdy tymczasem powieść musi być „nasycona ludzkością”, a „przed istotami ludzkimi otwiera się na jej kartach wielka szansa”. Triumf osiągnięty z uszczerbkiem dla Życia jest w rzeczywistości klęską. James wprowadził do powieści coś poza ludźmi: kompozycje, które jakkolwiek piękne same w sobie, są wrogie człowieczeństwu; za to lekceważenie Życia czeka go kara zapomnienia.

W tym miejscu zabiera głos Virginia Woolf. „Czym jest owo Życie, które wyrasta tak tajemniczo i z takim upodobaniem w książkach o powieści? Dlaczego odczuwa się jego nieobecność w kompozycji, a obecność w *tea-party*? Dlaczego przyjemność jaką daje nam kompozycja w „The Golden Bowl” Jamesa jest mniej cenna, niż wzruszenie z jakim śledzimy u Trollope'a *lady* pijącą herbatę na plebanii?”. Rzecz w tym, że „choć nie podobna sobie wyobrazić książki o malarstwie nie wspominającej ani słowem o środkach jakimi posługuje się malarz, Forster potrafi napisać mądrą i błyskotliwą książkę o powieści, w której zaledwie parę zdań wystarczy by załatwić się ze środkami jakimi posługuje się pisarz. Prawie całkowite milczenie otacza w niej zagadnienia językowe. Można by sądzić, jeżeli się tych autorów nie czytało, że zdanie oznacza to samo i jest używane dla tych samych celów przez Sterne'a i Wellsa. Można by dojść do wniosku, że „Tristram Shandy” nic nie zyskuje na języku, w jakim jest napisany. Podobnie z innymi zaletami estetycznymi. Kompozycja, jak widzieliśmy, jest wprawdzie uznawana ale bezlitośnie zganiona za swoją skłonność do przesławiania cech ludzkich. Piękno przytrafia się, lecz budzi natychmiast podejrzenia. Zjawia się przelotnie tylko raz — „piękno do którego powieściopisarz nie powinien nigdy dążyć, chociaż ponosi klęskę jeśli go nie osiągnie”, — a możliwość, że wyłania się powtórnie jako rytm jest krótko omówiona na paru interesujących stronicach pod koniec książki. Poza tym jednak powieść jest traktowana jak pasaż, który czerpie pokarm z życia i w dowód wdzięczności musi się upodobnić do życia lub zginąć. W poezji, w dramacie, słowa mogą podniecać, pobudzać, drażnić w głąb, bez tego wiernopoddania; ale w powieści muszą przede wszystkim pozostawać w służbie czajnika i mopsa, a niedobór jest tu uważany za podstawowy brak”. Tak więc „podczas gdy malarz, muzyk i poeta otrzymują od krytyki co im się należy, powieściopisarz wychodzi bez szwanku. Będzie mowa o jego charakterze, moralności, a nawet rodowodzie; ale jego pisarstwo pozostanie wolne od opodatkowania. Nie ma na świecie krytyka, który odważyłby się powiedzieć że powieść jest dziełem sztuki i że jako takie zamierza je ocenić... Gdyby krytycy byli mniej gorliwi jako stróże praw tego co podoba im się nazywać życiem, powieściopisarz okazałby może także większą śmiałość. Mógłby się oderwać od wiecznego stolika z herbatą i od słusznych i niedorzecz-

nych formuł, które mają jakoby reprezentować całość naszej ludzkiej przygody. Ale wówczas mogłaby się zachwiać *Opowieść*; mogłaby runąć *Intryga*; mogłaby się w gruzy obrócić galeria *Postaci*. Krótko mówiąc, powieść mogłaby się stać dziełem sztuki”.

Ta mała *summa* mądrości powieściopisarskiej warta jest dokładnego przemyślenia. Lwia część lamentów nad „chorobą powieści” pochodzi stąd, że tradycja narzuciła nam tu bardzo ograniczony miernik życia: uważa się zań umiejętność imitacji, ową słynną „autentyczność przeżyć, wypadków i postaci” wywołującą u czytelnika radosne okrzyki potakiwania. Spotyka się takie uroszczenia nawet u inteligentnych krytyków. W poświęconym Camusowi numerze „Nouvelle Revue Française” Angus Wilson pisze, że „w jego powieściach ludzie są stylizowanymi abstrakcjami, i przez to wydaje się on powieściopisarzem niedoskonałym”. Tak samo mniej więcej Forster pisał o powieściach Jamesa. A co jeśli Camus chciał by ludzie w jego powieściach byli stylizowanymi abstrakcjami, jeśli od tego świadomego zabiegu artystycznego oczekiwał nowego światła w spojrzeniu na Życie? A co jeśli James, tworząc mało postaci i budując je ze skąpstwem, destylując słynne „patterns” wrogie rzekomo człowieczeństwu, zbliżał się na swój sposób do Życia bardziej niż alchemicy mieszający w alembikach z przepisem w rękę Siedem Elementów Głównych? Jest co najmniej wątpliwe czy „The Middle Age of Mrs. Eliot” Angusa Wilsona, powieść w której ludzie nie są „stylizowanymi abstrakcjami”, przetrwa „Cudzoziemca”, „Dżumę” i „Upadek”.

Nie ma w gruncie rzeczy sztywnych prawideł i reguł dla prozaika; może napisać utwór klasycznie zrównoważony i wlać nowe wino w stare, omszone butle; może zdradzać upodobanie do ścieżek nietkniętych niczyją stopą; może wysnuć pieśń wyłączenie z siebie, szukając siły wyrazu w monologu wewnętrznym; może zmusić do przemówienia tylko martwe przedmioty; może kartę powieści czy opowiadania zaludnić, lub prawie całkowicie wyludnić; może zabrać nawet na samo pogranicze gatunków, gdzie trudno powieść odróżnić od esseju i na odwrót (czytając „Rodzina Europe” Miłosza czułem ciągle jak ta znakomita książka, zbudowana z kilkunastu essejów, ociera się co krok o powieściowy autoportret). Słowem, może zrobić wszystko co mu dyktuje własny sekret stwlu i kompozycji.

W ostatecznym rachunku bowiem liczy się tylko własny sekret stwlu i kompozycji. Dobry powieściopisarz czy nowelista treścią ukrwytą w *formie* wyraża swój stosunek do życia. Ma o życiu niewiele nowego do powiedzenia *wbrost* po tym co zostało już powiedziane przez jego poprzedników; ale modulacją głosu, rytmem prozy, tonem narracji, dwystansem i ustawieniem wobec opisywanego przedmiotu, wdzierania jeszcze Wielkiej Tajemnicy swój drobny okruc. „Dzieła sztuki” — zanotował w Warykinie Jurij Żiwago — przemawiają do nas przez swój temat, swe sytuacje, swą intrygę i swych bohaterów,

lecz najwięcej przez obecność w nich pierwiastka sztuki. Obecność jego w „Winie i karze” wstrząsa silniej niż przestępstwo Raskolnikowa”. Na pięćdziesięciu stronicach „The Beast in the Jungle” (najlepszemu, moim zdaniem, opowiadania Jamesa obok „The Turn of the Screw” i „The Aspern Papers”) dramat okrucieństwa, z jakim w życiu marzenie rozmija się z rzeczywistością, zarysowany jest z siłą rzadko spotykaną w literaturze. W jaki sposób? Z użyciem dwóch osób, nie istniejącej w praktyce intrygi, więcej niż oszczędnych dialogów. Tylko ten powolny tok narracji, zmęczonego i jakby palcem na ustach przyciszzonego szeptu, dokonuje cudu. Muzyczny niemal walor opowiadania Jamesa dochodzi tu w mistrzostwie strojenia prozy do takiego punktu, że wystarczyłoby najmniejsze rozluźnienie lub naciągnięcie struny by nuta zadźwięczała fałszywie. Jeśli tak właśnie „kompozycja przesłania cechy ludzkie”, niech będzie podwakroć błogosławiona.

Myliliby się kto by sądził, że Tomasi di Lampedusa zawdzięcza jedynie swoją niezwykłość nawiązaniu do zaniechanych od dawna wzorów przednaturalistycznych w powieści. Znowu nie posłuszeństwo regułom wielkiego okresu sztuki powieściowej, lecz osobista tonacja prozy decyduje o wszystkim, o tym że w milczeniu, z wieloletniego barwienia i tkania — jak włókien w deseni — rzeczy przemyślanych, widzianych i odczuty, powstało prawie arcydzieło. Otwieram na chybił-trafił „Il Gattopardo” i tłumaczę: „Obudziwszy się o świcie, pogrążony w pocie i zaduchu, książę nie mógł się oprzeć porównaniu tej wstrętnej podróży do własnego życia, które najpierw biegło przez roześmiane równiny, potem wdrapywało się na strome góry i przemykało się niebezpiecznymi wązami, by wydobyć się wreszcie na falistą i jednobarwną przestrzeń, pustynną jak rozpacz. Te rojenia wczesnego poranka były najgorszą rzeczą, jaka mogła się przytrafić mężczyźnie w średnim wieku; i chociaż książę zdawał sobie sprawę, że przeznaczone im było zniknąć z nastaniem dnia pełnego zwykłej krzątaniny, cierpiał z ich powodu dotkliwie gdyż posiadał już dość doświadczenia, by wiedzieć że zostawiały po sobie na dnie serca osad żaloby, który rosnąc z każdym dniem, miał się stać w końcu prawdziwą przyczyną śmierci”. Ledwie pół stroniczki w tekście włoskim powieści; dosyć jednak, żeby w tym pierwszym z brzegu odprysku dostrzec szlachetność całego bloku: melodię opowiadania z dużego dystansu, która jest sama źródłem poezji.

Po raz trzeci przeczytałem ostatnio „Doktora Żiwago” (najpierw po włosku, potem w świetnym przekładzie Hostowca, teraz nareszcie w oryginale rosyjskim), wstydząc się podczas lektury, że w pierwszym o nim szkicu nazwałem go książką „wielką, lecz powieścią chaotyczną i rozwichrzoną kompozycyjnie”. Jak łatwo ulega się utartym szablonom! Jeśli można powieść odczytywać wielokrotnie, odnajdując w niej ciągle nowe uroki, jaki sens ma stawianie jej zarzutu chaotyczności i rozwichrzenia kompozycyjnego? Może w tym właśnie tkwi

jej trudne do uchwycenia piękno? Wielu czytelników i krytyków „Doktora Żiwago” zwróciło z odcieniem wymówki uwagę na zbytnią bezceremonialność, z jaką na olbrzymich przestrzeniach Rosji Pasternak każe się spotykać swoim bohaterom — niby Ariosto w świeżym wcieleniu „Orlando Furioso”. Warto posłuchać co o tym mówi Italo Calvino, inteligentny i wrażliwy powieściopisarz włoski: „Pasternak buduje wątek nieustannych zbiegów okoliczności w całej Rosji i na Syberii, w którym piętnaście postaci zderza się wciąż ze sobą przez czysty przypadek, jakby na świecie istniały tylko one, jak paladyni Karola Wielkiego w abstrakcyjnej geografii poematów rycerskich. Rozrywka pisarza? Chodzi na początku o coś więcej: o pokazanie sieci losów, która nas wiąże, mimo że o tym nie wiemy, atomizacji historii w ścisłej współzależności dziejów ludzkich. Ale wzruszenie związane z tym odkryciem nie trwa długo, i następujące po sobie zbieżności stają się w końcu tylko dowodem świadomego użycia konwencjonalnej formy powieściowej. W ramach tej konwencji i przyjętej architektury ogólnej Pasternak porusza się przy pisaniu swej książki z absolutną swobodą. Niektóre części rysuje dokładnie, inne szkicuje tylko w głównych liniach. To jest drobniagowym narratorem dni i miesięcy, to znowu nagłymi skokami przemierza lata w paru wierszach: jak w epilogu, gdzie na dwudziestu stronicach o wielkiej gęstości i sile przesuwają przed naszymi oczami epokę czystek i drugą wojnę światową. Podobnie wśród postaci są takie, nad którymi się stale prześlizguje, nie dbając o to by nas z nimi lepiej zapoznać: na przykład, Tonia Żiwago. Słowem, narracja typu impresjonistycznego. To samo w psychologii: brak ścisłego uzasadnienia sposobu postępowania postaci. Dlaczego w harmonii małżeńskiej Lary i Antipowa pojawia się w pewnej chwili dysonans, i Pasza nie znajduje innego wyjścia niż jechać na front? Pasternak mówi tu wiele rzeczy, ale żadna nie jest wystarczająca i konieczna: to co się liczy jest ogólnym wrażeniem kontrastu dwóch charakterów. Interesuje go nie psychologia, nie postać, nie sytuacja, lecz coś bardziej ogólnego i bezpośrednio: *życie*. Sztuka narracyjna Pasternaka jest przedłużeniem jego poezji”. Można zatem napisać także powieść, która za szkielet budowy biorąc formę konwencjonalną, lekceważy lub otwarcie i celowo łamie jej prawa w szczegółach konstrukcyjnych; powieść — wielką metaforę, upodobniającą się do życia samą swoją na pozór chaotyczną kompozycją; powieść w całości zbliżoną do Symbolu (nie takiego więc, jaki z komiczną pedanterią wytropił Edmund Wilson w głośnym esesju „Legenda i symbol w Doktorze Żiwago”, o którym Pasternak powiedział słusznie że „jeśli jest prawdą, iż dom buduje się z cegieł, jego kształt nie tłumaczy się cegłami z których powstał”).

Powieść nie jest chora i nie potrzebuje ani obfitych zastrzyków odżywczych z rąk ortodoksyjnych i rygorystycznych stróżów tradycji, ani głodowej diety przepisanej przez nowoczes-

nych „reistów”. Przeżywa najwyżej naturalne zaburzenia wieku i rozwoju, a to jeszcze nie powód by ją zaraz kłaść do łóżka i zwoływać u jej wezwłowa konsylium doktorów literatury.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Polski sezon plastyczny w Paryżu

Profesorowie Chałasiński i Szczepański ubolewają nad niskim poziomem nowego pokolenia polskiej inteligencji i mają zapewne rację jeśli chodzi o klasę, której istnienia nie są już zresztą tak bardzo pewni. Żaden socjolog nie zbadał jednak przyczyn dla których młodzi polscy twórcy, uformowani w warunkach bezprzykładnej izolacji, po raz pierwszy okazują się tak, często z miejsca, pełnymi udziałowcami anonimowej spółki jaką jest europejska kultura. Dlaczego Niemcy (nie mówmy o szczęśliwych obywatelach Beneluxu) stali się w ciągu ostatnich kilku lat literacko, filmowo, plastycznie, o tyle bardziej prowincjonalni od Polaków czy Hiszpanów? Aktualność zapewniły reflektory skierowane na scenę polskiego Października. W sposób złożony gra również pewien moment polityczny: europejska lewica cieszy się w wypadku Polski, że może istnieć kraj socjalistyczny, w którym sztuka nie jest beznadziejnie reakcyjna; w wypadku Hiszpanii, że faszyzm nie zdławił twórczych sił młodzieży, która nie znała innego ustroju. Ale te zewnętrzne przyczyny nie zapewniłyby dłuższej uwagi gdyby nie fakt, że to co się dzieje w Warszawie w dziedzinie twórczej nie jest, jak dawniej, sporadyczne czy wtórne, ale stanowi naturalny, spontaniczny wkład do wspólnej, współczesnej kultury. Mogliśmy to zaobserwować w Paryżu w ubiegłym sezonie choćby w dziedzinie sztuki plastycznej. Nagroda udzielona Lebensteinowi na paryskiej Biennale, powodzenie jego wystaw w Paryżu i w Turynie, były najbardziej może widocznym znakiem wkroczenia młodego malarstwa polskiego na międzynarodową scenę. Szereg innych wystaw potwierdził ten proces.

Wystawa Aleksandra Kobzdeja w *Galerie de la Nouvelle Comédie* pokazała artystę czulego jak sejsmograf na wszelkie

nowinki współczesnego malarstwa. To co się potocznie nazywa „talentem” — widoczna łatwość opanowania trudnego rzemiosła — jest tak u Kobzdeja oczywiste, że trudno zrozumieć dlaczego nie poradził sobie nawet z tak fenomenalną przeszkodą jaką były dogmaty socrealizmu. Spośród pierwszej klasy młodych malarzy polskich jest on chyba jedynym, który już wówczas osiągnął sławę. Ale obraz taki jak „Podaj Cegłę” nie wykracza poza ogólną smutną nudę narzuconej stylizacji (gdyż nie sposób ten eklektyczny „realizm” nazwać stylem). Trudno zresztą o bardziej oczywisty dowód *beznadziejności* „socrealizmu” w malarstwie (myślę, że nie jest ona równie bezsprzeczna w literaturze). Gdyż wyzwolony Kobzdej zaraz pokazał co umie, a umie wiele: wchłonął drogo zapłaconą naukę Nicolas de Staëla o pomoście pomiędzy realizmem i abstrakcją; jak młodzi Hiszpanie, potrafi stać się murem, spalonym, zżartym wilgocią, zrujnowanym; jest neoromantyzmem mimowoli, jak wielu współczesnych smakoszy materii malarzkiej. Pierre Courthion cytuje go we wstępie do katalogu: „Nigdy niczego nie obliczam z góry. Po prostu tworzę mój świat, który jest dla mnie rzeczywisty, i w który wczuwam się bardzo głęboko”. Kobzdej odpyera w ten sposób z góry jedynę zastrzeżenie, które chciałoby się sformułować: bardziej niż „własnym światem”, malarstwo to uderza techniczną kulturą, swobodą opanowania materii, smakiem „wyrafinowanej brutalności”.

Wystawa Jerzego Tchórzewskiego w *Galerie Furstenberg* była niemal antytezą Kobzdeja. Obsesyjny charakter świata tego młodego malarza jest tak oczywisty, że tłumaczy i usprawiedliwia pewną suchość i jednostajność materii malarskiej (w olejach). Perłowo-maciczna, srebrzysta jednostajność *tła* obrazów Tchórzewskiego na pierwszy rzut oka mnie razi. Ale rozumiem, że te błyskawice, te kocucie diaby i pazury, te wysokie napięcia są wyrazem *potrzeby* i że Tchórzewski odrzuca może świadomie „dobry smak”, chcąc abyśmy uczestniczyli w jakimś elektrycznym dramacie. Utwierdzają mnie w tym przekonaniu jego gwasze, „smaczniejsze”, bardziej płynne, ale przecież mniej niepokojące. Jeśli mnie nie przekonał całkowicie, to jednak uważam go za jednego z najciekawszych polskich artystów. Oto malarz który, podobnie jak Lebenstein, mógłby użyć wyrażenia „własny świat”. Tyle, że by go prawdopodobnie nie użył.

Któż z mego pokolenia nie zna (i nie kocha) Lewitta i Hima? Jest dzisiaj prawdą oczywistą, że głównym bodaj spad-

kobiercą bohaterskiej abstrakcji jest afisz, dowcipne ogłoszenie. W tej dziedzinie Lewitt był jednym z pionierów, to on (wraz z paroma innymi) zapewnił pomost pomiędzy *Bauhausem*, *Der Stijl*, suprematyzmem, konstruktywizmem, a ulicznym świętem doskonałych afiszów, konceptem „Vogue” czy „New Yorker”, genialną ilustracją dzieciennych książek. Ale Lewitt (wystawiający w paryskiej *Galerie Lacloche* jako Jan Le Witt) zaskoczył nas dziś procesem odrotnym. Ten wspaniały grafik, mistrz osmozy między dziełem sztuki i dekoracją, pokazał nam kilkanaście obrazów, które świadczą o tym, że obserwując awangardę kocha Rembrandta, Magnasco, późnego Goyę. *Le peinture règne* — pisze we wstępie do katalogu tej wystawy Pierre Emmanuel. Istotnie, Lewitt dokonuje „abstrakcji” izolując jak gdyby ten magiczny element, który w powiększeniach obrazów najbardziej „malarzskich” mistrzów sprawia nam niemal dotykana rozkosz. Zachwyceni, dosłownie, stoimy przed interpretacją pewnego uderzenia pędzlem, pewnych kontrastów złagodzonych niewypowiedzianą słodyczą, których, na najbliższych nam płótnach, musimy się doszukiwać. Jeśli można użyć siłą rzeczy kulawego porównania, „Lewitt gra Goyę”, jak Rubinstein Chopina. Jeszcze jeden oszałamiający fajerwerk (dosłownie): obrazy Lewitta wydają się oświetlone „od wewnątrz”, „fosforyzują”. Jeśli włączyłem Lewitta, londyńczyka, do tego artykułu o malarzach z Polski, to dlatego że wydaje mi się on jednym z rzadkich „emigrantów”, którzy wchodzą do malarstwa europejskiego śmiało, indywidualnie, *de plein pied*.

Polak Wostan jest od szeregu lat jednym z czołowych przedstawicieli paryskiej awangardy. Łatwość z jaką pokonuje on naturalnie opór materii zbliża go do Kobzdeja, którego zresztą przewyższa wszechstronnością wyrazu plastycznego. Najbardziej znane są jego „reliefy” z kutego metalu. Miedzie, które wystawił ostatnio w *Galerie Lara Vincy*, są mniej ostre, mniej najeżone od dawniejszych jego prac. Wostan umiał im nadać tym razem najbardziej fascynujące połyski tęczy, pawiego ogona, rozlanej na wodzie oliwy. Świat form jest nadal wzięty z „Musée Imaginaire” artysty, w którym sąsiadują wszystkie *hautes époques*, ale tym razem przybiera wyraz niemal secesyjny. Zawsze na przedpolu smaku, Wostan jest może jednym z heroldów odrodzenia „Liberty”?

Wystawa Wandy Paklikowskiej-Winnickiej w *Galerie Lambert* była ostatnią manifestacją „polskiego sezonu” w Pa-

ryżu. Myślę, że mamy tu do czynienia z jednym z najbardziej wrażliwych i subtelnych polskich malarzy. Jest to malarstwo operujące rozdrobnieniem struktur, ale pozbawione na szczęście pseudo-atomowych pretensji: mikrokosmosy Winnickiej są źródłem czysto estetycznej radości. W obrazach sprzed kilku lat, malowanych jednocześnie farbami olejnymi i temperą, Winnicka potrafiła osiągnąć efekty właściwe płatkom anemonów i skrzydłom pewnych egzotycznych motyli: wydaje się, że tak puszysto niebieskie czy granatowe akordy może dać tylko życie organiczne. Widać jak odmienne jest to mistrzostwo techniczne od bardziej dziś powszechnych kontrastów *art brut*. Ostatnie obrazy, olejne, są bardziej ziarniste: wydaje się jakby malarka rzuciła na płótno garść bryłek, bryłeczek, raz gładkich, raz szorstkich. Patrząc na te obrazy, chodzi mi po głowie wiersz Mallarmé: *Jamais un coup de dés n'abolit le hasard*. Przypadek ulega jakoś prawom struktur organicznego życia, ziarna, kamyczki, bryły zagęszczają się miejscami, jakby wchodziły w zakres dziwnych pól magnetycznych. Jeden z najwrażliwszych krytyków francuskich, Luce Hoctin, pisze we wstępie do katalogu wystawy Winnickiej, że widzi w jej dziele krajobrazy „które wydają się szare, tyle jest w nich światła, czy świetlistej mgły: granity Bretanii, wzgórze Hymetu”. Dla Luce Hoctin „malarstwo Winnickiej jest nie tylko dziełem o pięknej materii i pięknych kolorach. Jest to bardzo ludzka opowieść, nieco tragiczna, w której krzyk ukryty jest przez jakąś formę delikatnej wstydlivosti”.

Szkoda, że wystawa młodego krakowskiego grafika, Lucjana Mianowskiego w małej księgarni na Boulevard Raspail trwała tak krótko i miała tak niewielkie rozmiary. Polska grafika ma tradycję ustaloną jeszcze przed wojną, ale nie mogę bez niechęci myśleć o zbójnikach, ciupagach, przydrożnych krzyżach, kujawiakach, arkadach i barokowych kościółkach, w których doskonała technika służyła najnieznośniejszej stylizacji. Mianowski należy do tej grupy młodych polskich artystów, których dzieło świadczy nie tylko o uniwersalnym poziomie polskiej plastyki, ale również o nieoczekiwanej, a szczególnie mutacji pewnych cech polskiego charakteru. Oczywiście, Klee — plastycznie, Steinberg — kaligrafią będącą zwierciadłem kultury, odrodzili zachodnią grafikę. Nie brak w Polsce ich poprawnych i uroczych uczniów. Ale Lucjan Mianowski posiada własną poetykę, obok najdalej posuniętej techniki. Mianowski, Daniel Mróz, kilku innych — to pokolenie wychowane na teatrzyku Zielonej Gęsi Gałczyńskiego, na Gombrowiczu i Schulzu. Myślę, że przy grafice, tak często naturalnie ilustratywnej, te literackie drogowskazy nie są bezpodstawne. U Mianowskiego widzimy technikę, którą może

się mierzyć z Friedlaenderem, laureatem ostatniej Biennale w Sao Paolo; ale również własny świat, absurdałnej poezji polskiej (i paryskiej) prowincji.

K. A. JELENSKI

Po dwudziestu pięciu latach

Dzisiaj, gdy po dwudziestu pięciu latach działalności krytycznej przerzucam się, przez opublikowanie „Ucieczki”, do twórczości literackiej, czas może spojrzeć wstecz i zdać sobie i drugim sprawę, jak do tego doszło, że zostałem krytykiem literackim oraz podsumować moje dotychczasowe doświadczenia na tym polu.

Jakże się wszystko zaczęło? Muszę stwierdzić, że dosyć wesoło. Bo chyba od tej bardzo już dawnej chwili, gdy jako dwunastoletni chłopak ściągnąłem z ojcowskiego biurka plik czystego papieru i wypisałem na pierwszej kartce wielkimi literami: „Wśród puszczy i stepów Ameryki. Powieść”.

Miały to być dzieje powstańca z 1863 roku, który po ucieczce do Stanów, doznawał po kolei wszystkich przygód, o jakich nazywałem się w pochłanianych wówczas powieściach z Dzikiego Zachodu. Powieść pisałem przez pół roku, a gdy ją ukończyłem podpisując pod ostatnią przygodą dumnie własne nazwisko, tak mi się ta zabawa podobała, że wziętem się natychmiast do powieści następnej, tym razem historycznej, z czasów podboju Meksyku przez Hiszpanów. Tak zaczął się, najszczęśliwszy bodaj w moim życiu, okres młodzieńczej grafomanii. Przez 3 następne lata produkowałem co najmniej po kilka powieści rocznie, mniej lub bardziej wykończonych. Działy się one po kolei na wszystkich znanych mi miejscach globu i historii: w Afryce, Azji i Australii, w starożytnym Egipcie, Grecji i w Rzymie. Nie pominąłem oczywiście Polski — od króla Łokietka po cesarza Napoleona włącznie.

Ta radosna twórczość skończyła się jednak niemal równie nagle, jak zaczęła. Pamiętam, jak pewnego dnia, 15-letni już chłopak, który poznał nie tylko „Quo vadis” i „Faraona”, lecz i flaubertowską „Salammbó” — stanąłem w środku opisu wyścigu kwadryg na rzymskiej arenie i w żaden sposób nie mogłem doprowadzić go do końca. Nic, co napisałem nie potrafiło wyrazić pędu koni, uniesienia woźnicy, napięcia tłu-

mów. Po raz pierwszy poczułem niemoc słowa, niewspółmierność pomiędzy użytym słowem, a wewnętrzną wizją. Kreśliłem, kreśliłem i dałem spokój.

Zacząłem pisać rzecz inną, potem jeszcze inną. Lecz coraz częściej stawałem w środku pisania z rozpaczliwym uczuciem, że to nie jest to, co chciałem powiedzieć, że trzeba jakoś inaczej — ale jak? Radości osiągnięć były coraz krótsze i mniej pełne, a rozczarowania długie.

Równocześnie szukałem gorączkowo rozwiązań teoretycznych, które pomogłyby mi znaleźć właściwą drogę, budowałem sobie całe teorie estetyczne, lecz choć odkrywałem przy tym zasady dawno już odkryte, odkrywałem je sam — i to było ważne — własnym wyczuciem, nie nabywałem ich z cudzej ręki.

Takie więc było pierwsze przeszkolenie krytyka we mnie, zresztą ciągle jeszcze na osobisty użytek — uparcie bowiem brnąłem dalej w poszukiwaniu własnego wyrazu. Czasem udawało mi się ukończyć jakieś krótsze opowiadanie, stopy za-czernionego papieru w mych szufladach rosły.

Ale na skutek ciągłych rozmyślań o zagadnieniach formy za dużo już wiedziałem, jak powinien wyglądać bezbłędny utwór literacki. Niebezpieczna pasja doskonałości coraz częściej hamowała moje pióro.

A potem przyszedł zawód lekarski; z każdym rokiem mniej czasu pozostawało na pisanie, zacząłem zaniedbywać się, rezygnować. Pewnego dnia powiedziałem sobie, że nie będę już pisarzem.

Nie tak to łatwo jednak zadusić w sobie źródło, które biło od najmłodszych lat. Na marginesie czytanych powieści notowałem swoje uwagi i wnioski, oczywiście znowu tylko do szuflady, tylko dla siebie. A na brzegu dni, wypełnionych pracą lekarską, przesyłałem swoje wielkie miłości literackie: po Flaubercie przyszedł Dostojewski, potem genialny a niedoceniony Anglo-Irlandczyk Meredith, wreszcie Conrad.

Pewnego dnia — był rok 1936 — przeczytałem w „Prosto z mostu” kontrowersyjny artykuł Doboszyńskiego o Mauriac’u. Owej zimy pasjonowałem się właśnie Mauriac’iem, przeczytałem szereg jego powieści, miałem notes wypełniony uwagami z lektury. I postanowiłem zaryzykować. Związałem notatki w jaką taką całość i przesałem je do redakcji „Prosto z mostu”. W następnym tygodniu ujrzałem swój artykuł na pierwszej stronie tego pisma a redaktor Piasecki (nieodżałowanej pamięci Stanisław, zamordowany przez Niemców) zaproponował mi odtąd stałą współpracę w dziale krytyki literackiej „Prosto z mostu”.

Opowiadam te swoje dawne dzieje, by pokazać na przykładzie, jak rodzi się krytyk: najczęściej z niewyżytego pisarza. Wiedział zresztą o tym dobrze stary Saint-Beuve, ojciec nowoczesnej krytyki literackiej.

Jestem przekonany, że gdybyśmy prześledzili wewnętrzną historię wszystkich krytyków, posiadających, że się tak wyrażę, węż krytyczny, natknęliśmy się u nich prawie zawsze na jakieś próby własnej twórczości. Powiedziałbym nawet, że obowiązkowym przedszkolem krytyka powinna być twórcza zaprawa pisarska. Trzeba po prostu samemu wiedzieć, jak to się robi, by móc trafnie śledzić rezultaty pracy innych. Tylko krytyk z przeżyciami i doświadczeniami pisarza potrafi spojrzeć na dzieło drugiego twórcy niejako od wewnątrz, wyczuć od razu jego intencje, linie główne i miejsca głuche — niemal podpatrzeć to wszystko w akcie tworzenia — podobnie jak doświadczony architekt dostrzeże od razu, o co chodzi i czego nie dostaje w oglądanej przezeń cudzej budowie. Wydaje mi się, że bez takiego daru twórczej introspekcji, najbardziej kulturalny i odcytany krytyk dotyka kształtu literackiego dzieła raczej tylko od zewnątrz.

Krytyk choćby dlatego powinien znać z własnego doświadczenia tajniki rzemiosła, ponieważ krytyka literacka (tak, jak ją pojmuję) jest przede wszystkim rozmową z autorem. W jednym ze swoich „Spotkań literackich” w „Tygodniku Powszechnym” Antoni Golubiew wzdychał do „krytyka przyjaciela”. Rozumiem dobrze, o co mu chodziło: pisarz twórczy, który często szuka swoich dróg na oślep, potrzebuje niezbędnie przyjaciela i fachowego dyskutanta, który by omówił z nim i rozjaśnił jego własne wątpliwości, czy uświadomił niedociągnięcia, przy czym taka dyskusja z autorem, zawarta w krytycznym artykule, staje się równocześnie najbardziej rzetelną, bogatą i ciekawą informacją o dziele literackim dla czytelnika. W ten sposób krytyk w równej mierze służy pisarzowi, jak czytelnikom i służy, jak mi się wydaje, właśnie najlepiej.

Jest, co prawda, jedno zastrzeżenie: krytyk cudzego dzieła nie powinien być jednocześnie pochłonięty własną twórczością. Własne zaangażowanie przytłumia czułość na cudzą wizję a nawet może wypaczać bezstronność sądu. Idealnym krytykiem staje się dopiero pisarz, który na stałe lub czasowo odszedł od własnej twórczości.

Oczywiście istnieje także inny rodzaj krytyki — nazwałbym go profesorskim — który zjawiska literackie opisuje, segreguje, porównywa, przydziela do różnych prądów i typów, niejako układa w szufladki. I taki na pewno jest potrzebny. Ale jest to wiedza o utworach sztuki z drugiej ręki, z natury rzeczy eklektyczna, a przy tym na ogół zbyt sztywna, zbyt pewna swych nabytych, a nie kontrolowanych własną intuicją zasad.

W końcu mamy jeszcze — i to mamy w obfitości — krytykę dyletancką, amatorską. Choć nie pozbawiona nieraz interesujących błysków, nie jest to krytyka literacka we właściwym słowa znaczeniu. Brak jej do tego metody i ustalonych miar.

Krytyk właściwy, choć niemal zawsze wywodzi się z amatora, nie może nim pozostać na stałe. Intuicja artystyczna jest ceną przewodniczką, ale krytykowi nie wolno zawierzyć

jej na ślepo, ani dzielić się z czytelnikiem tylko nie uzasadnionymi impresjami. Nawet przy najbardziej indywidualnym podejściu do dzieł sztuki, krytyk musi wypracować jakiś system miar, zrozumiały dla wszystkich, uporządkować i przeanalizować swoje wrażenia tak, ażeby umiał je w dostępny sposób przekazać innym. Zwłaszcza dzisiaj, gdy pisarze twórczy tak rzadko przekazują czytelnikom swoją treść w sposób dostępny — zadanie to spada w dwójnasób na krytyka. Dziś bardziej jeszcze niż w „dawnych, dobrych czasach” obowiązuje go umiejętność jasnego wykładu i solidne przepracowanie myślowe zasad sztuki, i to dopiero odróżnia krytyka od zdolnego odbiorcy.

A jednak intuicja pozostaje ostatnią instancją. Krytyk nie powinien nigdy zapominać, że miary i zasady narodziły się pierwotnie z wrażliwości estetycznej. Często przyjdzie mu odrzucić wypracowane już miary dla nowych objawień. I tu znowu wracam do twórczego elementu w pracy krytycznej. Każdy ogląd krytyczny niech będzie, że tak powiem, wtórnym aktem twórczym, przyjęciem nowego świata świeżym, nieuprzedzonym spojrzeniem, jak gdyby jeszcze nie było dla niego praw.

Takie jest moje *credo* jako krytyka. Jest to zarazem rodzaj pożegnania, choć może nie rozstania na zawsze, z krytyką literacką. Niegdyś wprawki w twórczym pisaniu doprowadziły mnie do krytyki, dziś próbuję to, czego nauczyłem się jako krytyk, wykorzystać we własnej twórczości. *On revient toujours à ses premiers amours.*

Wit TARNAWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.

W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

TYDZIEŃ POLSKI

to najpopularniejszy i najbardziej poczytny tygodnik polski w wolnym świecie. Czytany w ponad 50 krajach, jest łącznikiem między Polakami na pięciu kontynentach.

TYDZIEŃ POLSKI

jest 12-stronicowym wydaniem sobotnim Dziennika Polskiego ale prenumeratorzy poza Wielką Brytanią otrzymują odmienne wydanie. Przynosi on co tydzień artykuły polityczne, naukowe i literackie, obszernie wiadomości z Polski i ze świata, opowiadania i reportaże. Posiada on następujące stałe działy: Najnowsza historia Polski — Kraj — Polacy w świecie — Szanowne zdrowie — Piękna pani i praktyczna — Co tydzień dzieciom — Anglo-Polish Table Talk — Nasza Skrzynka — W cztery oczy — Sport — Szachy i szachiści — Album ze znaczkami — Uśmiechnij się.

O bezpłatne egzemplarze okazowe prosimy zwracać się pod adres: THE POLISH DAILY, 45 Brompton Road, London, S.W. 3., albo do przedstawicieli: BELGIA — J. Korab Brzozowska-Csaky, 19 Square Sainctelette, App. 2, Bruxelles — C.C.P. 7315.20; FRANCJA — „Libella”, 12 rue St. Louis en l’Ile, Paris (4) — C.C.P. Paris 5651.50 oraz Librairie Polonaise, 123 Bld St. Germain Paris (6); NIEMCY ZACHODNIE — St. Mikiciuk, (13b) Muenchen 45, Gablonzerstrasse 7/1; SZWAJCARIA — Maria Wasung, 6 rue des Lilas, Genève, konto pocztowe Genève I — 14.431; ARGENTYNA — Zarema Bau, Calle Ramon Freire 1269, Buenos Aires, Tel.: 73-7481. Wpłaty „Giro Postal” na Zarema Bau; AUSTRALIA — Vistula (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney; BRAZYLIA — F. Rokicki, rua Republica de Peru 305, Apt. 18, Rio de Janeiro; KANADA — Michał Kinczel, 1574 Queen Street, West Toronto, Ont.; U.S.A. — H. Opalińska, Polish Book Importing Co., 38 Union Sq., New York, N.Y., Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Avenue, Chicago 22, Ill., Zdzisław Dziekoński, 572 Stanley, Birmingham, Mich., Mieczysław Tarłowski, 99 Miller, New Britain, Conn.

Książki

Między książkami

COSMOGRAPHIA PURGATORII

— „Wybieraj śmierć, wybieraj śmierć” — szeptał Seneka ludziom stojącym w obliczu upokorzeń i kapitulacji.

W listach do Lucyllusa Seneka opowiada następującą historię. Jego młody przyjaciel Marcellinus zaczął chorować, i lekarze orzekli, że przez pewien czas będzie musiał zachowywać przepisaną mu przez nich dietę. Na to młody Rzymianin, który zawsze jadł tylko to, co mu się podobało, uznał, że życie na diecie jest pozbawione godności, i że wypada mu umrzeć. Zgromadzona rodzina starała się odwieść go od tego zamiaru, i Marcellinus zaczął się już wahać, gdy „nasz przyjaciel stoicus” — być może sam Seneka — wystąpił naprzód i przemówił w te słowa: „Nie dręcz się, Marcellinie, jak gdyby o rzecz wielką chodziło. Nie jest wielką rzeczą żyć; żyją przecież niewolnicy twoi i zwierzęta. Lecz wielką rzeczą jest umrzeć z godnością...”.

List ten objaśnia być może powodzenie, jakim pisma Seneki cieszyły się na przestrzeni kilkunastu wieków. Lektura ich dawała czytelnikom możliwość obcowania z jednym z najbogatszych ludzi świata starożytnego, posiadającym odpowiednie do swej fortuny wymagania. Nie odstępować od swych wymagań, wybierać raczej śmierć — recepta Seneki zachowała pewną aktualność niemal do naszych czasów.

Od starego przemytnika w Karpatach, mającego w swym zawodzie 45 lat doświadczenia, słyszałem zdanie, w którym bez wahania poznałem folkloryczne, chłopskie streszczenie nauki Seneki:

— „Zły to interes chcieć żyć za wszelką cenę; trzeba zawsze pytać, ile kosztuje”.

W ustach człowieka praktycznego, recepta stoików nie ma oczywiście polotu i skrajności, jaką przybiera w słowach znakomitego pisarza. Kto jednak wie, czy sam Seneka, jakkolwiek wybrał śmierć, brał swą receptę dosłownie? W bardziej elastycznej wersji starego przemytnika lepiej być może widać sens stoickiej formuły. Chodzi w niej o to, że w systemie wolnej konkurencji za życie trzeba często płacić wygórowaną, nieraz straszliwą cenę i, aby w tym targu nie spaść od razu na same dno egzystencji, trzeba stworzyć pozory, że istnieje jakaś ostatnia granica ustępstw, poniżej której wybiera się śmierć.

Istnienie takiej nieprzekraczalnej granicy wymagań było jednym z najważniejszych mitów, odziedziczonych po starożytności i regulujących różne zakresy stosunków ludzkich. Nawet krwawi tyranii powstrzymywali się od wielu wybryków w obawie, że poddani ich przestaną cenić życie i będą gotowi do stawiania oporu.

Obiektywne istnienie takiej granicy zdawało się znajdować potwierdzenie w zachowaniu się zwierząt, na których wzorowali się cynicy. Zwierzęta mają też swój skromny poziom wymagań, od których nie mogą odstąpić. Poniżej tego poziomu tracą sierść, chudną i umierają.

Innym mitem tej kategorii, zrodzonym z procesu Sokratesa było mniemanie, że można przywiązywać większą wagę do swej opinii niż do życia. Wojny religijne zdawały się potwierdzać jego słuszność. Mit Sokratesa odegrał wybitną rolę w późniejszym tworzeniu się pojęć dotyczących wolności sumienia i słowa. Przez długie wieki nikomu nie przychodziło na myśl, że wystarczyłoby oddać Sokratesa na kilka tygodni w ręce specjalistów, aby odwołał wszystko co mówił przedtem, przyznał się, że był agentem Gestapo, i sam żądał dla siebie kary śmierci.

Rozwianie się tych mitów należy do najdonioślejszych zjawisk obecnego stulecia. Za słupami granicznymi, na których dla stoików kończyły się wszystkie sprawy ludzkie, ukazała się niejasna przestrzeń usiana złowróżbnymi znakami. Eksplozacja jej zaczęła się już dawno, ale relacje o niej były przez długi czas fragmentaryczne, trudne do odczytania, jak *graffiti* pozostawione przez ludzi, którzy przeszli koło słupów granicznych i nie wrócili. Wiadomości o ogromnym zasięgu egzystencji gorszej od śmierci zaczęły się szerzyć na wielką skalę dopiero wśród żyjących obecnie pokoleń.

Szybkie szerzenie się tych wiadomości jest zjawiskiem złożonym, nowym, mało zbadanym. Przyczyny jego zdają się być dwójakiej natury. Pewną rolę odegrał tu zapewne obecny wzrost i rozpowszechnienie zamożności. Wszystko prawie, co niedawno jeszcze było przywilejem niewielu, stało się dostępne dla ogółu. Powszechność i rozmiar awansu społecznego sprawiły, że nawet zbytek i *la dolce vita* wydają się banalne i smutne. Ambitniejsi myślą o dystynkcjach społecznych nie-

dostępnych dla pieniądza, o przedmiotach i rozrywkach *hors commerce*, nie znajdujących się w handlu. Co powiedziałyby pani, na przykład, o otchłani Pascala? Przedmiot w najwyższym stopniu elitarny. Baudelaire mówi o nim tak pięknie: *Pascal avait un gouffre avec lui se mouvant*. Jest rzeczą zdumiewającą, jak wielu pragnęłoby dziś posiadać, obok telewizji, także prywatną otchłani. Awans społeczny przyniósł w ten sposób ponowne odkrycie piekła, o którym na pozór zapomniano. Kto zresztą wie, czy bliska obecność piekła nie jest niezbędnym warunkiem przywrócenia jakiegoś sensu naszemu banalnemu komfortowi? Otoczeni jesteśmy przedmiotami tak pospolitymi, tak brzydkimi, że chyba w obliczu wiecznego potępienia moglibyśmy poczuć dla nich coś w rodzaju przywiązania.

Na rozpowszechnienie się wiadomości o tamtej stronie dawnej granicy wpłynął zapewne także bliższy kontakt z ludami, które nie znały Seneki i nie miały zwyczaju stawiania sobie pytań w rodzaju tych, jakie musiał rozstrzygać Marcellinus i inni Rzymianie. Warunki życia tych ludów wydawały się gorsze od śmierci. Opisywano je ze zgrozą, z jaką Wirgiliusz opisywał niegdyś, w trzeciej księdze Georgików, życie Scytów.

Żyjące obecnie pokolenia znalazły się wobec faktów nie mieszczących się w pojęciach klasyków i humanistów. Okazało się, że wytrzymałość, cierpliwość i przywiązanie do życia są nierównie większe niż przypuszczano, że większość ludzi utrzymuje się przy życiu w warunkach, w jakich nie wyżyłby zwierzęta, i że nie ma żadnej granicy, na której wybierano by śmierć. Na skutek tych odkryć ludzie XX wieku znaleźli się w sytuacji, przed którą słusznie ostrzegał stary przemytnik. Nikt więcej nie uwierzy, że cena życia może się komuś wydać zbyt wysoka. Nasi współcześni w każdej chwili mogą znaleźć się w położeniu człowieka chcącego żyć za wszelką cenę. Otchłani ta znajduje się nie za górami, ale gdzieś bardzo blisko, zaraz za linią demarkacyjną lub, jak dawne piekło, pod naszymi stopami.

Sama znajomość faktów nie wystarcza do rozpoznania nowej sytuacji człowieka i wynikających stąd konsekwencji. Zadanie takie wymaga przede wszystkim znacznego wysiłku wyobraźni. Z natury rzeczy więc sprawy te należą do literatury i stały się obecnie jednym z jej głównych tematów.

Dopiero w perspektywie tych przemian ocenić można sens opowiadań Pawła Mayewskiego, ogłoszonych ostatnio w Londynie (1). Znajdujemy w nich najnowszą relację z kraju cieniów, pędzących życie gorsze od śmierci.

Paweł Mayewski jest Polakiem zamieszkałym w Ameryce i piszącym po angielsku. Zostawmy przyszłym krytykom spór

(1) Paweł Mayewski. *Rzeka*. Przełożył z angielskiego Jan Kempka. Przedmowę napisał Józef Wittlin. Oficyna poetów i malarzy. Londyn 1960. Str. 96.

o to, co w opowiadaniach jego jest polskie a co angielskie. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że połączenie tych elementów wydało u Mayewskiego najlepsze skutki. Polacy piszący o takich rzeczach wybierają zazwyczaj formę bliską mająceniom. Umiar i dyscyplina języka angielskiego sprawiły, że polskie mająceniom przybrało u Mayewskiego pozory relacji wiarygodnej o rzeczach znanych nie tyle ze snów ile z dziennej refleksji.

Rzeka jest ładnie wydanym tomikiem, zawierającym cztery opowiadania. Całość liczy niespełna sto stronicy prozy niezwykle zwartej, kondensującej i porządkującej ogromny zakres wiadomości, jakie zostały rozproszone po literaturze od czasu gdy Kafka stał się jej wielkim patronem. Wizja Mayewskiego jest syntetyczna, trzymająca się wielkich linii porządkowych.

Akcja opowiadania tytułowego i dwóch innych toczy się wśród łagierników i posieleńców, gdzieś na nieokreślonej Północy. Widać jednak od razu, że nie chodzi tu o żadnych konkretnych łagierników ani o określoną strefę Północy. Kiedy autor używa słowa „tundra”, wiemy, że nie ma na myśli równiny pokrytej mchem, krzakami borówek i karłowatymi brzoźkami, ale nieokreśloną bliżej przestrzeń, którą we śnie nazywamy tundrą. W innym miejscu jest to „ogromny i pusty ugór”. W podobny sposób określona jest pora dnia: „Choć nie od razu zrobiło się ciemno, nadejście nocy było oczywiste”. Znajdujemy się w tym samym niejasnym miejscu, w którym jutro lub pojutrze ma się ukazać Godot.

Opowiadania Mayewskiego toczą się w świecie wyobraźni, uporządkowanym lepiej chociaż inaczej niż świat znany nam z pospolitego doświadczenia. Zamieszkują go postacie, które śmierć na pozór zapomniała, które nie mają więcej żadnego wyboru i niczego nie oczekują; znoszą swe istnienie, trwają rozpadając się powoli jak suche drzewa. Z takiego założenia wynikają różne konsekwencje. Pierwszą z nich jest pewna schematyczność postaci, które, nie mając wyboru, poruszają się jak automaty. Różnią się od siebie tym, że każda posiada jakiś gest, jakąś manierę powstałą w poprzednim życiu i zastygłą w chwili mumifikacji. Mayewski redukuje swe postacie do ich *emploi*, jak malarz sprowadza je do kubów i piramid. Tylu zbudowanych w ten sposób postaci nie widziano razem chyba od czasów *commedia dell'arte*. U Mayewskiego jedni noszą nazwiska rosyjskie, inni polskie, ale są Rosjanami i Polakami w tym sensie, w jakim Pantalone jest Wenecjaninem a dottor Balanzon Bolończykiem. Schematyzacja postaci u Mayewskiego, podobnie zresztą jak u Becketta, nie jest dziełem przypadku, lecz nieuniknionym skutkiem założeń i klimatu utworów. Pojawienie się w literaturze współczesnej postaci o takiej strukturze da zapewne do myślenia ludziom teatru.

Martwy świat opowiadań Mayewskiego nie daje możliwości wyboru. Popchnięte, postacie jego toczą się w nieznane. Gdy zdradzają inicjatywę, okazuje się, że nic zmienić nie mogą.

Gdy łagiernicy przenoszą z kostnicy do szpitala towarzysza mylnie branego za trupa, przywrócony przez nich do życia umiera z głodu, bo lekarz zjada porcje przeznaczone dla chorych. I lekarz, który na pozór znalazł sposób uchronienia się od śmierci głodowej, ginie przejechany przez pociąg przywożący nowe zapasy żywności. Buntujący się przeciw głodowi i podpalający szklutę pełną żywności zostają sami w pustej barce niesionej przez prąd. Zamachowiec, pozbawiony broni, instrukcji i wszystkich użytecznych dlań wiadomości, na rozkaz „wykonać” zrywa się i pędzi przed siebie w noc zabijać wszystko jedno kogo.

Wobec braku wyboru, bezużyteczności inicjatywy i obojętności dla własnych nieszczęść, przepisy, reguły i instrukcje stają się największą potęgą, „kodeksem, którego wszyscy ściśle przestrzegają mimo, że go nie rozumieją”.

Zdawałoby się, że wśród postaci będących tylko cieniem ludzi powinna panować pewnego rodzaju równość. Wszeczmoc przepisów i formalistyki na to jednak nie pozwala. Czemu bowiem miałyby służyć przepisy i regulaminy, jeżeli nie utrzymywaniu hierarchii i broniению stanu posiadania? Postacie Mayewskiego są więc podzielone na klasy, z gruba biorąc na jedzących i głodujących. Ale i sytuacja sytych nie jest w jego świecie do pozazdroszczenia. Ich uczy w otoczeniu głodnych są, jak w *Rzeka*, rodzajem ponurego obrzędu.

W opowiadaniu tytułowym autor rozważa inną jeszcze ważną konsekwencję, wynikającą z struktury jego postaci. Czy mianowicie zamknięte w swej formule postacie mogą komunikować się z sobą, czy też, jak Arlekin i Kolombina, skazane są na wieczne nieporozumienia? Czy mogą posiadać jakiś wspólny język z innymi? Na pytania te autor odpowiada przecząco:

— „Jest to bardzo proste” — powiada tusty chudym. „Mówimy tym samym językiem, a jednak trudno o bardziej różne od siebie mowy... Powiedz, czy żebrak mówi tym samym językiem co człowiek, który nie musi żebrac?... Gdy mówisz „ja”, twoje ja nie jest tym samym „ja”, którego ja używam — sam o tym doskonale wiesz”.

Wobec zasadniczej różnicy w znaczeniu słów, lepiej odżywione postacie opowiadania odrzucają samą nawet propozycję rozmowy z gorzej odżywionymi, bo każde zdanie byłoby próbą oszukania rozmówcy. — „Co oni sobie myślą! Chcą nas karmić kłamstwem jak owce trawą”. Błądzące w tej otchłani cienie są równie samotne jak chorzy umysłowo.

Przytoczyłem tu tylko kilka głównych rysów świata przedstawionego w relacji Mayewskiego. Świat ten jest dobrze uporządkowany, wszystko w nim jest starannie przemyślane, ustawione jedno na drugim. Panujący w nim wzorowy porządek sprawia, że świat ten jest całkowicie zrozumiały, okropny lecz niemal swojski. Złudzenie rzeczywistości jest tym większe,

że autor mówi o nim wciąż w pierwszej osobie, jak gdyby tylko co stamtąd wrócił.

Kiedy okres złych snów minie w literaturze i gdy zajmujemy się jego inwentaryzacją, przypuszczam, że opowiadania Pawła Mayewskiego, dzięki ich zwartości, konsekwencji i równowadze, zaliczone zostaną do najlepszych wzorów tego rodzaju literackiego.

PAMIĄTKA Z KOSOWA

Kosów i Kuty były najdalej wysuniętym na południe cyplem Rzpłitej. Otwarte ku słońcu doliny, bujna roślinność na tle skał, góra Owidiusza, na której w tragicznym wrześnie zatrzymywał się zapewne wzrok Polaków, oglądających się po raz ostatni w stronę opuszczonej ojczyzny — całe skupienie kontrastów odbiegało od zwykłego krajobrazu słowiańskich sielanek. Jakiś nowy Hipolit Taine powiedziałby być może, że gdyby w tym uroczym zakątku powstała odrębna szkoła literacka, koryfeusz jej szukaliby przed wszystkim form — klasycyzujących czy barokowych — porządkujących świat widzialny, pozostawiając swym północnym kolegom ubieranie w słowa nastrojów i majaceń snów. Byłoby to zresztą przypuszczenie na niczym nie oparte, bo Pokucie nie miało dotąd własnej szkoły artystycznej. A jednak strony te miały swój *genius loci*, zostawiający jakiś nieuchwytny ślad na swoich i obcych, którzy tam bywali. Aby rozpoznać jego naturę, trzeba by, być może, zacząć od przeczytania na nowo najślawniejszego niegdyś piewcy tego kraju, Leopolda von Sacher-Masocha, który za życia miał niezliczonych czytelników nawet w Paryżu, potem zaś został zapomniany i zginął wśród ksiązek jak pies w jarmark. W opowiadaniach swych, pozbawionych już romantycznej fantastyki, lecz nie mających jeszcze dyscypliny naturalistów, pozostawił najpiękniejszy, dziwnie dokładny opis Galicji Wschodniej i galerię wyrazistych typów ludzkich z różnych warstw społecznych tego kraju. Zamiłowanie do patrzenia i budowania z rzeczy widzianych znajdujemy także u pisarzy ukraińskich, którzy urodzili się lub bywali w tych stronach.

Coś z tego geniusza dostrzec można w opowiadaniach urodzonego w Kosowie doktora Wita Tarnawskiego, które ukazały się ostatnio w Londynie (1). Książka jego nie jest wspomnieniem z Kosowa; tylko akcja noweli tytułowej rozwija się

(1) Wit Tarnawski. *Ucieczka*, nowele. B. Świdzki, Londyn. 1960. Str. 340.

nad Czeremoszem, dając autorowi okazję do kilku reminiscencji. Główną sprawą jest dlań, jak dla Tintoretta, przedstawianie postaci ludzkich w ruchu, chwilami zawrotnym, poruszającym ich najistotniejsze sprężyny. Talent doktora Tarnawskiego jest narratorski, prędko, odpowiadający świetnie formie noweli.

Budową i stylizacją opowiadania jego przypominają najlepsze wzory XIX w. Wszyscy zresztą noweliści mają w sobie coś z *ottocenta*. Był to złoty wiek opowiadania, bogaty w recepty i talenty. Jedni — jak Hoffmann, Nodier, Poe i Mérimée, potem zaś Maupassant — stworzyli szkoły i znaleźli setki naśladowców, inni — jak Aloysius Bertrand i Popper-Lynkeus — pozostali samotni i bezpotomni. Nowelistę polskiego trudniej jest umieścić wśród szkół i okresów tego rodzaju literackiego. W Polsce brak do tego wyraźnie wyodrębniającego się pokolenia naturalistów, którzy gdzie indziej są słupem granicznym, dzielącym okresy dziewiętnastowiecznej nowelistyki. Jako jedyne autentyczne naturaliste wymienia się u nas zazwyczaj Antoniego Sygietyńskiego. W *Ucieczce* znajdujemy zresztą ciekawą uwagę o braku w Polsce wyraźnej granicy między pokoleniami romantyków i pozytywistów. Doktor Tarnawski pisze mianowicie co następuje o przyjaciółach swego ojca, doktora Apolinarego Tarnawskiego, twórcy i kierownika znanego zakładu przyrodolecniczego w Kosowie: „I wszyscy oni byli tacy, ci ludzie stojący nad moją młodością, przyjaciele ojca: Stanisław Szczepanowski, Zygmunt Wasilewski, Władysław Towarnicki, Ludwik Posadzy i tylu innych, przechowywanych w czci pełnym wspomnieniu; lub dziedzice tego polskiego pokolenia, które nazywało siebie pokoleniem pozytywistycznym, a było pokoleniem romantyków czystej krwi...”

Doktor Wit Tarnawski jest lekarzem, krytykiem i eseistą, autorem prac o Józefie Conradzie; *Ucieczka*, o ile wiem, jest jego pierwszym zbiorem opowiadań. U krytyka i eseisty piszącego nowele lub powieści można zwykle oczekiwać jakichś innowacji konstrukcyjnych. Przeczucie to i w tym wypadku nie zawodzi. Autor zwierza się w przedmowie, że ma od dawna pasję przechowywania prac początkujących pisarzy, i że opowiadania jego powstały z poprawionych i uzupełnionych rękopisów, które przygodni pacjenci pozostawili mu w latach wojennych. Takie jest założenie dwóch pierwszych opowiadań. Jest to na pewno świetna recepta, gdy chodzi o zyskanie dystansu do opisywanych ludzi i rzeczy. Jest w niej też coś z postawy lekarza wobec pacjenta.

Ucieczka, nowela tytułowa, jest przygodą młodego człowieka, przybyłego do Kosowa w końcu sierpnia 1939 w celu objęcia spadku, składającego się z tartaku koło jeziora Szybene i połoniny pod Czarnohorą. W połowie września postanawia zebrać co się da pieniędzy i uciekać z kraju; rankiem 17-go wybiera się taksówką do tartaku; po drodze dowiaduje się w Zabiem o przekroczeniu granicy przez wojska sowieckie, po-

rzuca taksówkę i furką huculską jedzie dalej do Szybenego. W tartaku wspólnik daje mu zaledwie tysiąc złotych, w zamian za pokwitowanie na trzy tysiące. Wśród piętrzących się klęsk młody człowiek postanawia nagle zdobyć spotkaną przypadkowo w Szybenem letniczkę i zabrać ją z sobą na emigrację. Ten pomysł kompensacyjny pochłania go całkowicie: traci nań drogocenne godziny. Gospodarującemu na jego poloninie Hucułowi sprzedaje tę posiadłość za dwa tysiące złotych i, wracając po tej transakcji do Szybenego, zostaje zatrzymany w Burkucie przez trzech ludzi noszących czerwone opaski.

Następne opowiadanie pt. *Nalęccy* jest historią banalnego małżeństwa Stefana i Krysty, młodego adwokata i studentki, którzy po roku nie mają sobie nic do powiedzenia. Stefan robi w Warszawie karierę polityczną, Krysta traci dlań resztki uczucia i nawet szacunku. Wojna zastaje ich w Kutach, skąd dostają się do Rumunii. Nędza i upokorzenia pogłębiają zrazu ich wzajemną obojętność. Wreszcie, na samym dnie niedoli emigracyjnej, uczucie ich budzi się na nowo. — „Los zabrał nam wszystko”, mówi Krysta do męża. „Zostawił tylko ciebie mnie, a mnie tobie. I dlatego jesteśmy szczęśliwi. Bo nie mamy i nie możemy mieć nic więcej”. — Każdy z dalszych etapów, Turcja, Cypr, Palestyna przynosi nowy wzrost miłości, zakończonej narodzinami syna.

W obu opowiadaniach uderza czytelnika wyrazistość tych banalnych postaci, wychylających się jak żywe ze stronic książki. Gdy myślę o środkach prowadzących do tego efektu, przypominają mi się słowa, którymi Friedrich Schlegel rozpoczyna swoją *Lucyndę*: „Ludzie z ich ambicjami i czynami, kiedy wracalem do nich pamięcią, wydawali mi się cieniami szarymi, nieruchomymi; ale w mej świętej samotności wszystko było światłem i barwą...”; albo słyszana niegdyś od historyka sztuki uwaga o naturach martwych, że najpiękniejsze nawet tulipany i najślawniejsze klejnoty są mniej intensywnie obecne niż ich wyobrażenia na płótnie. Proceder przeobrażania niepozornych przedmiotów w ich błyskotliwe wyobrażenia jest sekretem rzemiosła i talentu. Najuchwytniejszą częścią tego procederu jest wybór dokonywany przez artystę wśród niezliczonych aspektów, jakie posiada najskromniejszy nawet przedmiot. Artysta oczyszcza swój przedmiot z wszystkiego, co nie służy jego „intensywnej obecności”. W opowiadaniach doktora Tarnawskiego wybór przeprowadzony jest surowo, niemal bezwzględnie. Młody człowiek z *Uciezki*, próbujący w ostatniej chwili odegrać się za wszystkie klęski, i bohaterowie matrymonialnej idylli *Nalęckich* są uproszczeni do poziomu niezbyt złożonego mechanizmu. Mimo to nie są ani przez chwilę schematyczni. W budowie tych postaci wyczuwa się rękę lekarza, dla którego wszystkie choroby są banalne, ale chorzy zachowują indywidualne oblicza. Dystans, dzielący autora od plastycznej masy jego postaci, jest ogromny, nie wykluczający jednak pobłażliwości. W szczęśliwym wyborze szczegółów i uproszczeń zdaje

się leżeć sekret jego talentu narratora. Jeżeli będę chciał kiedyś pisać nowelę, zajrzę przedtem prędko do książki doktora Tarnawskiego, aby zobaczyć jak się to lub tanto robi.

Oprócz wspomnianych wyżej, *Uciezka* zawiera jeszcze siedem innych, równie zajmujących opowiadań.

HANDBUCH „POLEN”

W ramach wydawnictwa encyklopedycznego pt. *Osteuropa-Handbuch*, w którym przed kilku laty ukazał się tom poświęcony Jugosławii, w połowie roku ub. wyszedł z druku obszerny tom odnoszący się do Polski (1). Jest to praca zbiorowa trzydziestu autorów pod redakcją prof. Wenera Markerta, dyrektora tybingeńskiego instytutu badania Europy Wschodniej.

Podręcznik podzielony jest na 5 działów: 1. Polska od 1914 do 1939 (str. 1-166), 2. Polska podczas drugiej wojny światowej (str. 167-222), 3. Polska po drugiej wojnie światowej (str. 223-566), 4. Nauka i kultura polska w XX wieku (str. 567-628) i 5. Dokumentacja (str. 629-829).

Dane historyczne podręcznika obracają się w ramach historii współczesnej (*Zeitgeschichte*), która według periodyzacji niemieckiej zaczyna się w 1917. Każdy z pięciu działów składa się z pewnej ilości opracowań podpisanych przez autorów. Tak więc np. na dział trzeci złożyły się opracowania następujących zagadnień: Polska jako demokracja ludowa, zagadnienia ludnościowe, zagadnienia społeczne na dawnych obszarach niemieckich, struktura i prawodawstwo republiki ludowej, polityka kościelna, polityka gospodarcza, produkcja przemysłowa, zagadnienia komunikacyjne, polityka rolna, produkcja rolna i gospodarka leśna, bankowość, budżet i system podatkowy, powiązania gospodarcze z blokiem wschodnim, handel zagraniczny, kryzys i przeobrażenia systemu gospodarczego w 1955-1958, prasa i radio, organizacje młodzieżowe, szkolnictwo, szkoły wyższe.

Przez swój obszerny dział dokumentacji, zawierający m.in. słownik biograficzny oraz szczegółowy indeks osobowy i rzeczowy, podręcznik, utrzymany w typie monografii, zbliża się nieco do typu słownika encyklopedycznego.

Wśród trzydziestu autorów znajdujemy kilka znajomych nazwisk badaczy, którzy poprzednio już zajmowali się sprawami polskimi, jak prof. Gotthold Rhode, autor obszernej pracy his-

(1) *Osteuropa-Handbuch. Band Polen*. Herausgegeben von Werner Markert. 1959. Böhlau Verlag, Köln-Graz. Str. 829 XXXII.

torycznej o granicy wschodniej Polski (2), Dr Hans Roos, autor pracy o polityce zagranicznej Polski w 1931-1939 (3) i Dr Harald Laeu, znany z swej historii idei jagiellońskiej, która w ciągu kilku lat rozeszła się w Niemczech w trzech wydaniach (4). *Handbuch Polen* nie jest więc tylko dziełem specjalistów, lecz także badaczy, którzy z różnych punktów widzenia zajmowali się całością zjawiska noszącego nazwę Polski. Wśród autorów, którzy opracowali zagadnienia gospodarcze, znajdujemy współpracowników takich instytucji badawczych jak berlińskie *Osteuropa-Institut* i *Deutsches Institut für Wirtschaftsforschung* oraz *Institut für Weltwirtschaft* w Kolonii, mający pod ręką zgromadzone tam materiały. Podręcznik powstał zatem przy udziale najlepszych sił niemieckich, korzystających z najszerszej dokumentacji. Gdzie brakło specjalistów niemieckich, wydawca odwołał się do obcych. Rozdział o twórczości i życiu muzycznym w Polsce w XX w. opracował prof. Konstanty Regamey.

Całość reprezentuje kilka lat pracy licznego zespołu uczonych. Wypadki 1956, rzucając nowe światło na wiele zagadnień i otwierając możliwość korzystania z krajowych źródeł dokumentacji, opóźniły o rok lub dwa ukazanie się podręcznika. Wydrukowanie o dwa lata wcześniej gotowego już niemal podręcznika zapewniłoby mu większe powodzenie u czytelników, poszukujących wówczas informacji o kraju, który znalazł się w samym środku aktualności. Odłożenie publikacji daje świadectwo ambicji wydawców, rezygnujących łatwiej z chwilowej koniunktury niż z możliwości uzupełnienia i wykończenia książki.

Szata zewnętrzna książki jest bardzo staranna. Zwarty druk — 460 do 650 słów na stronie — jest czytelny i przejrzysty. Dostrzeżone przeze mnie błędy rzeczowe i korektorskie wydają się nieliczne, jeżeli wziąć pod uwagę pionierski charakter wydawnictwa, opartego na trudno dostępnych i zdekompletowanych przez wojnę źródłach.



Traktując sprawy wiążące się z daleka lub z bliska z drugą wojną światową, autorzy podręcznika stąpają wciąż po niewystygłej lawie, po gorącym terenie świeżych jeszcze w pamięci wypadków. Podręcznik encyklopedyczny zwraca się do wszystkich po równo, do czytelników niemieckich jak polskich. Jedni i drudzy powinni móc mu przyznać: „To tak mniej więcej było”.

(2) Gotthold Rhode. *Die ostgrenze Polens*, I Band, bis 1401. 1955. Böhlau Verlag, Köln-Graz. Str. 458 + XVI.

(3) Hans Roos. *Polen und Europa. Studien zur polnischen Aussenpolitik 1931-1939*. 1957, J.C.B. Mohr, Tübingen. Str. 421 + XI.

(4) Harald Laeu. *Polnische Tragödie*. 1955, Steingrüben Verlag, Stuttgart. Str. 359.

Stojący wobec takiego zadania autorzy musieli odnaleźć w sobie pewność, że w olimpijskim obiektywizmie potrafią mówić o drażniących sprawach nie uraziwszy obolątych i niezagojonych ran. Jest to tak trudne zadanie, że nie wiadomo, czy ktokolwiek może mu całkowicie sprostać. Samo podjęcie jego jest już pewnego rodzaju osiągnięciem. Do tej kategorii zjawisk odnosi się przysłowie: *in magnis voluisse satis*.

Polacy mają jeszcze do napisania historię dwudziestolecia i swoich stosunków z Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami, warto więc przyrzeć się, na jakich przesłankach opierają się takie ambitne zamiary. Prof. Markert zdaje sobie sprawę z niepewności i granic swego przedsięwzięcia. Wyjaśniając w przedmowie, dlaczego nie starał się uzgodnić poglądów trzydziestu autorów podręcznika i pozostawił im całkowitą swobodę wypowiedzi, dodaje: „Po tylu krzywdach i cierpieniach, jakie zadały sobie wzajemnie związane z sobą nierozłącznie ludy, przesadą byłoby żądać od poznania naukowego jakiejś jednolitej koncepcji sądenia i interpretowania niedawnej przeszłości i tak trudnego do opanowania myślą obrazu, tak Polska współczesna. Wszyscy natomiast byli zgodni w tym, aby przejawy życia narodu polskiego objaśniać jego charakterem, jego siłami i warunkami, w jakich się znajdował”.

Słowa te leżą w najlepszych tradycjach niemieckich XIX wieku. Coś podobnego czytamy w przedmowie Richarda Roepella do jego *Historii Polski* ogłoszonej w 1840: „Co się tyczy koncepcji i sposobu przedstawienia, praca moja, jak mam nadzieję, sama najlepiej zaświadczy o tym, że, z dala od wszelkich interesów i celów ubocznych, miałem na myśli samą tylko wiedzę i starałem się odrębność narodu, jaka znalazła swój wyraz w jego organizacji państwowej i zarazem we wszystkich innych przejawach życia, wytłumaczyć i oświetlić przez samą historię, bez subiektywnych dodatków, mogących wpłynąć ujemnie na obiektywne przedstawienie całości. Nie łatwo przychodzi nam Niemcom bezstronnie zrozumienie i ocena narodowego ducha Słowian; sama negacja wszakże i rozpowszechnione dziś wydawanie sądów z punktu widzenia absolutnego nie prowadzą do głębszego poznania”.

W obu przytoczonych tekstach odnajdujemy pewne pojęcia z czasów romantyzmu. Dla obu uczonych, jakkolwiek dzieli ich 120 lat, Polska jest przedmiotem nieprzejrzystym, zamkniętym w swej odrębności, innym, obcym. Do poznania go sama dyscyplina naukowa nie wystarcza. Aby oddać jego irracjonalną esencję, prof. Roepell zaczyna swą historię od podań i legend, jak gdyby w zamiarze pokazania czytelnikowi, jak Polacy widzą siebie samych, gdy nie czują się skrępowani żadnymi faktami. Przeniknięcie myślą takiego przedmiotu wymaga nie tylko dyscypliny naukowej, ale także zdolności wczuwania się, intuicji. Są to uzdolnienia indywidualne, rozumiemy więc, czemu prof. Markert zostawił swym współpracownikom zupełną swobodę.

Voltaire i Machiavelli nie czuli obcości ludzi dalekich w czasie i przestrzeni. Dla sekretarza florenckiego wszyscy dzierżący władzę — czy to będzie wódz Samnitów, czy tyran Syrakuzy, czy renesansowy książę — składają się z tych samych prostych elementów: z przeraźliwej jasności myśli i z *virtù*. Uproszczenie to ma w sobie coś bardzo pociągającego. Wydaje mi się, że założenie nieprzeniknionej esencji narodów nie prowadzi do zadawalniającego wytłumaczenia faktów historycznych, każde bowiem wytłumaczenie — *explicatio* — rzeczy niejasnych, niezrozumiałych jest sprowadzeniem ich do tego, co jest znane i zrozumiałe. Ale mniejsza o to. Koncepcja, w myśl której historyk zmuszony jest to wysiłku wyobraźni w celu zrozumienia ludzi zasadniczo innych, prowadzi ubocznie też do pojęć, mogących zbliżyć do siebie jeżeli nie ludzi wszystkich krajów i wszystkich epok, to przynajmniej badaczy pochyłonych nad niedawną przeszłością. Zajmujący się historią współczesną nazajutrz po drugiej wojnie światowej jest trochę w położeniu lekarza, któremu też sama wiedza i dyscyplina naukowa nie wystarczają. Dotykanie ropiejących i bolesnych ran wymaga jeszcze wielu innych rzeczy, do których przede wszystkim należy *caritas*, życzliwa troska o nieznanego i obcego człowieka. Wszystkie te konsekwencje uboczne, wynikające z koncepcji nieprzeniknionej esencji narodów, ukryte są starannie za fasadą obiektywizmu naukowego podręcznika, wolnego wreszcie od przesądu narodowego, lecz uważny czytelnik może się ich miejscami domyślać.



Zważywszy że Niemcy były najbliższym sąsiadem Polski, ich literatura dotycząca tego kraju była aż do ostatnich czasów dziwnie uboga. Relacja Heinego z podróży do Wielkopolski jest zjawiskiem wyjątkowym, zasługującym zresztą z różnych względów na uwagę. Cały świat był wówczas przed Niemcami otwarty, i Polska ich nie pociągała. Nie znaczy to jednak wcale, aby w Niemczech brakło o Polsce wiadomości. Były to informacje o charakterze pragmatycznym, będące najczęściej ubocznym produktem działalności handlowej. Nie ulega wątpliwości, że firmy sprzedające w Polsce maszyny rolnicze posiadały o kraju i jego stosunkach rolnych najbardziej wyczerpujące wiadomości. Aby ocenić ich wartość, należy przypomnieć sobie ustęp z *Discours de la methode*, gdzie Descartes mówi o ścisłości obserwacji i rozumowania ludzi czynu, górujących pod tym względem nad uczonymi typu gabinetowego. Zresztą już na pierwszy rzut oka można było spostrzec, że informacje kupców oparte były na pewniejszych przesłankach niż spekulatywne pojęcia o Polsce polityków i publicystów.

Przypadek zrzucił, że za czasów Republiki Wejmarskiej mogłem zapoznać się z jednym z takich źródeł informacji. W

1924-1925 mianowicie niemieckie fabryki maszyn drukarskich, wyparte podczas wojny z rynków zachodnich, zwróciły uwagę na Polskę, gdzie ekwipunek techniczny prasy pozostawiał wiele do życzenia. Maszyny drukarskie można tam było sprzedać tylko na kredyt, nikt zaś nawet w Warszawie nie umiał ocenić rentowności i wypłacalności przedsięwzięć prasowych, sama zaś Polska uchodziła w Niemczech za państwo sezonowe, którego bankructwa i upadku oczekiwano z roku na rok, nie licząc się z siłą inercji, jaką posiadają wszystkie rzeczy istniejące. Dla prowadzenia tych delikatnych operacji fabryki maszyn stworzyły w Berlinie na Friedrichstrasse placówkę handlową pod nazwą „Graphica”. W Niemczech było wówczas wielu reemigrantów znających doskonale Polskę, być może jednak z racji ich postawy negatywnej, o której mówi prof. Roepell, fabryki maszyn wahały się powierzyć im kierownictwo nowej firmy. Wybór ich padł na Hermanna Risch, emigranta z Rosji, który odbył poważny staż w spekulacji wojennej na Dalekim Wschodzie. Ilekroć spotykałem się z nim, podejmowaliśmy na nowo systematyczną dyskusję, w której Risch potępiał bez pardonu wszelką spekulację, ja zaś występowałem w jej obronie. W biurze swym Risch posiadał imponujący portfel weksli wystawionych przez przedsiębiorstwa prasowe polskie. Znał najdokładniej ich kalkulację handlową, wartość i zadłużenie ich nieruchomości, stosunki z instancjami rządowymi i koligacje polityczne, system kolportażu i akwizycji ogłoszeń oraz rodzaj istniejących i możliwych czytelników. Zasób jego wiedzy w tej dziedzinie, a zwłaszcza jej systematyczność połączona z doświadczeniem ogólnym, kwalifikowały go na profesora jeżeli nie rektora polskiej szkoły dziennikarzy. Bez jego udziału sprzedaż na kredyt znacznego kontyngentu sprzętu drukarskiego do Polski nie doszłaby zapewne do skutku. W przypuszczeniu, że Hermann Risch padł ofiarą przesładowań rasowych, chciałbym tu złożyć świadectwo pokojowemu i zapoznanemu geniuszowi tego skromnego człowieka.

Wszystko to jednak były tylko fragmenty wiedzy o Polsce, pozostające zresztą w posiadaniu prywatnym. Nikt nie znał całości przedmiotu. Wnosić o tym można z takich epizodów jak np. podjęta przez rząd Rzeszy w początku dwudziestolecia wojna celna z Polską. Krok ten opierał się na mylnej ocenie możliwości kraju, bo na dłuższą metę przyniósł skutki odwrotne od zamierzonych. Na ogół jednak Niemcom mającym w Polsce jakieś praktyczne zainteresowania wystarczały ich własne wiadomości.

Sytuacja ta w ciągu ostatnich dziesięciu lat uległa całkowitej przemianie. W Republice Wejmarskiej nie zdarzyło mi się spotkać Niemca mówiącego lub rozumiejącego po polsku. Nawet wśród wracających z Polski optantów znajomość języka należała do wyjątków. Dziś, na skutek wielkich przesunięć ludności po drugiej wojnie światowej, w Niemczech znalazła

się wielka ilość obywateli niemieckich mówiących po polsku i mających jakieś dawne związki z tym krajem. Spotyka się ich na każdym kroku. Częściowo są to być może *die Volksdeutschen* z czasów okupacji. Nie można jednak takich przypuszczeń generalizować. Takie katastrofy jak wojny, rewolucje społeczne i straszliwe rozrachunki pookupacyjne pędzą przed sobą bez różnicy ludzi wszystkich stanów, wszystkich kategorii. Mam wrażenie, że większość tych powojennych przybyszów znalazła w Republice Federalnej warunki bytu nie gorsze lub nawet lepsze od tych, jakie posiadali uprzednio w Polsce. Związki ich z krajem poprzedniego pobytu nie zerwały się jednak całkowicie.

Nie widziałem dotąd żadnego studium o tym, jak długi obraz kraju pochodzenia przechowuje się w pamięci mimowolnych emigrantów, jakim ulega przemianom i w jakiej mierze udziela się ich otoczeniu. Znamy jednak pewne precedensy. Wiemy np. jakie miejsce Ukraina zajęła w wyobraźni emigrantów polskich z 1831. Dla różnych przyczyn można przypuszczać, że Polska zajęła ostatnio w wyobraźni niemieckiej miejsce, jakiego nigdy dotąd nie posiadała. *Reisebilder* z Polski, zaniebane od czasów Heinego, ukazują się wciąż w gazetach i czasopiśmie niemieckich. Znajomy antykwariusz z Wiesbadenu mówił mi, że w ostatnim okresie świątecznym sprzedał tylko jeden egzemplarz *Doktora Żiwago*, ale cztery egzemplarze niemieckiego przekładu *Chłopów* Reymonta. Powodzenie, jakie znalazła u czytelników książka Laeuena, zdaje się wskazywać, że „postawa negatywna” w stosunku do spraw polskich, o której mówił prof. Roepell i którą pamiętam sam z czasów Republiki Wejmarskiej, należy już do przeszłości. Bez obudzenia się tych nowych zainteresowań *Osteuropa-Handbuch*, a zwłaszcza jego tom polski nie mogłyby się zapewne ukazać.

Pojawienie się tego tomu na półkach księgarskich świadczy o innych jeszcze przemianach. Podręcznik encyklopedyczny nie jest sumą wiadomości zebranych przez praktyków; ma inne, własne założenia. Dla przyczyn opisanych przez Descartes'a nie może być równie dokładny jak zbiór wiadomości będący narzędziem praktycznego działania. Zwraca się do wszystkich i do nikogo w szczególności. Daje przegląd całej *materiae scibilis* danej dziedziny, orientuje w całości przedmiotu, jest obliczony na dłuższą metę i niezależny od doraźnie użytecznych kryteriów porządkowych.

Aby stać się przedmiotem takiego właśnie studium Polska musiała ukazać się obserwowanym zewnętrznym w jakiejś zupełnie nowej perspektywie, przekraczającej zainteresowania poszczególnych państw i grup przemysłowych. W tym być może leży największa nowość niemieckiego podręcznika. Wydawnictwo takie ma swój sens i swoją aktualność tylko chyba w perspektywie ogólnych stosunków między Wschodem i Zachodem i ogólnych interesów Europy Zachodniej. Ukazanie się

jego jest świadectwem głębokich przemian odbywających się na całym kontynencie i powolnego tworzenia się Europy Zachodniej. Rzecz w tym, że jako całość posiadająca własną świadomość Europa Zachodnia dotąd nie istniała. Były tylko mocarstwa walczące między sobą o hegemonię kontynentu (5). Europa Zachodnia nie była organizmem już chociażby dlatego, że nie posiadała żadnych organów. Pierwsze, embrionalne organy Europy, jak unia płatnicza lub kulawa organizacja wojskowa, powstały z inspiracji amerykańskiej, jako uboczne produkty planu Marshalla i obecności sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Przez długi czas Europejczycy opierali się tym nowościom. Wolny rynek zdaje się być pierwszym przejawem świadomości europejskiej i początkiem organizacji przekraczającej ramy dotychczasowych wzorów. Myśl zdążyła zwykle powoli za tego rodzaju przemianami. Co pewien czas jakiś znany przedmiot ukazujący się w nowym oświetleniu, przypuszczać jednak można, że w najbliższych latach wiele ustalonych sądów ulegnie rewizji, i że znany nam obraz starego świata poddany zostanie licznym retuszom. Tkwiąca w niemieckim podręczniku zapowiedź rewizji ustalonych pojęć w stosunku do Polski jest jednym z istotnych aspektów tego wydawnictwa.

Paweł HOSTOWIEC

Sielskie, anielskie?

„Ubóstwo Polski w źródła dla studiów obyczajowych i psychologicznych wynika z dwojakich przyczyn: z ciągłych zamieszek wojennych, albo przesadnej dyskrecji rodzinnej. Co nie ginie od ognia wojny, ginie w jakimś domowym ognisku”. Pisząc to zdanie w swych wspomnieniach (1), Janina Żółtowska myślała zapewne o grubych zeszytach swego dziennika, które zginęły bezpowrotnie w litewskich Bolciennikach czy spłonęły w Poznaniu. Z tym większą wdzięcznością, że wzruszeniem nawet, myślę o tej cierplivej, miłosnej, rzetelnej rekonstrukcji, którą podjęła autorka w londyńskim mieszkaniu na

(5) Sytuacje takie znane są z historii. Gdyby za najświetniejszych czasów Peryklesa ktoś zaczął mówić Ateńczykom o „Grecji” i „świecie helleńskim”, nikt być może nie zrozumiąłby tych słów, w rzeczywistości bowiem, istniały tylko zwalczające się do upadłego republiki greckie. „Świat helleński” jest ich pośmiertnym wspomnieniem.

(1) Janina z Puttkamerów Żółtowska: *Inne czasy, inni ludzie*, str. 240. Nakładem Księgarni Polskiej Alma Book Co. Ltd., Londyn 1959.

Redakcja „Kultury” nie otrzymała egzemplarza recenzyjnego.

Eaton Square i której zawdzięczamy jedną z najciekawszych — i piękniejszych — książek polskich wydanych po wojnie. Wartość jej wynika zresztą właśnie z uniknięcia drugiego niebezpieczeństwa, wspomnianego w powyższym cytacie: nie ma w niej „przesadnej dyskrekcji”, ani rodzinnej, ani klasowej, ani narodowej. Raz jeszcze uderzył mnie fakt jak mało stosunkowo znaczą w literaturze tzw. „opinie” czy „światopogląd”, o ile ważniejsze są cechy osobiste: zdolność obserwacji, inteligencja, wrażliwość, samodzielność sądu, przywiązanie do prawdy. Janina Żółtowska należy do rzadkich w Polsce świadomych konserwatystów. Nawet w jej pravicowym środowisku rodzinnym, jak pisze:

„Prądy liberalne, rozpowszechnione w Polsce na wzór Europy, wynosiły zdobycze rewolucji francuskiej, umniejszając tym samym jej okrucieństwo. Słyszałam niejednokrotnie zdanie, powtarzane jak dzisiejsze slogany, że żołnierze armii napoleońskich roznieśli po wszystkich krajach Europy idee wolności i równości”.

Autorka natomiast, czytając Lamartine'a, Lenôtre'a, „znieprawowała” nie tylko nowoczesnych trybunów ludu, ale ruchy rewolucyjne, ich hasła i dążenia... Z dnia na dzień, choć wychowana między Wilnem i Prypecią, wśród prądów demokratyzujących, przerodziła się na francuską rojalistkę, przygłębiała do idei monarchii, jak do wielkiego i niedocenianego dobrodziejstwa”. Rewolucja 1905 r. była dla niej „w każdym razie początkiem nowego okresu w Europie, w którym wojny, zbrodnie, spustoszenie miały osiągnąć niebywałych rozmiarów i którego końca nie widać...”. W r. 1908 w Rzymie oburza ją nawet pomnik Garibaldiego, nazwy ulic po bohaterach Risorgimento „w sprzeczności z otoczeniem i dawną tradycją stale (ją) gniewały”. Do Janiny Żółtowskiej można więc chyba zastosować (i, co ważniejsze, wcale jej nie obrażając) tak nadużywane dziś określenie — reakcjonistki.

Wydawać by się mogło że tak skrajne poglądy, tak namiętnie wypowiedane, mogłyby skłonić autorkę do stronniczego opisu środowiska, z którym czuje się solidarna, do idealizacji ustroju opóźnionego feodalizmu, w którym się wychowała. Nie znam natomiast w literaturze polskiej dzieła stanowiącego tak trafną, konkretną i bystrą ilustrację do „Genealogii Społecznej Polskiej Inteligencji” Chałasińskiego. *Toutes proportions* itd., tradycjonalizm poglądów Janiny Żółtowskiej równie mało zaważył na realizmie jej wspomnień, jak reakcyjne deklaracje Balzaca na „Komedii Ludzkiej”. Środowiskiem opisanym w „Innych Czasach, Innych Ludziach” mało się właściwie zajmowała literatura polska, a nie ma powieści, w której by jego stereotypy, konwencje, obyczaje, kultura były przedstawione realistycznie. Jest to środowisko zamożnej kresowej szlachty odgrywające na przełomie XIX i XX wieku dużą rolę społeczną. Nie jest to „arystokracja”, która jak wiadomo w Polsce

obejmowała tradycyjnie zaledwie kilkanaście magnackich rodów i do której nawet tytuły spoza ich ścisłego kręgu nie dawały przynależności. Nie są to już „karmazyni” — środowisko to obejmuje zarówno szereg rodzin „senatorskich” jak i potomków wzbogaconych z końcem XVIII i początkiem XIX wieku dzierżawców, podczas gdy zrujnowane rody senatorskie czy nawet magnackie już do niego nie należą. Nie istnieją zresztą jego ścisłe granice — stosunki towarzyskie na przykład utrzymuje ta nowa stosunkowo klasa bogatego ziemiaństwa zarówno z arystokracją jak z uboższą, osiadłą, tradycyjną szlachtą. Janina Puttkamerówna ociera się o Antoniny, gdzie Józefowie Potoccy przenoszą na Wołyni obyczaje Cecilów czy Howardów, bywa u dewajtisowskich Rymiszów. Ale jej świat — to Horwattowie, Kieniewiczowie, Jaroszyńscy, Łęscy, Gieczewiczowie, Niezabytowscy — od Inflant po Ukrainę reprezentujący „polskość” w dworach bądź neoklasycyznych, o ganku z białymi kolumnami, bądź świeższych, imitujących angielski gotyk, z *Revue des Deux Mondes* i *Revue de Paris* w bibliotece, portretami Siostrzeńcewicza i Janowskiego w salonie, świetną konwersacją francuską i czasem gorszą angielską, niezłym kucharzem, stangretem w liberii i służącymi, czwórką cugowych koni, anglikami pod siodło, dorocznym wypadem do Karlsbadu, na Riwię lub do Rzymu. To oni kontrolowali Bank Rolny, Towarzystwo Ziemijskie Kredytowe, kandydowali do Dumy i do Rady Państwa, zakładali gorzelnie, cukrownie, cegielnie i tartaki. W kraju bez niezawisłości państwowej i bez uprzemysłowienia — byli namiastką elity politycznej i kapitalizmu. Sfera ta figuruje w kilku zaledwie powieściach polskich. Nie u Rodziewiczówny, oczywiście, która opisuje szlachtę biedniejszą i „spartańską”. Mamy Płoszkowskich i Połanieckich Sienkiewicza — ale zarówno rzekome wloty i *improductivité slave* pierwszych, jak i rzekoma poczciwość drugich są po prostu potwierdzeniem iluzji, jakie klasa ta miała zarówno o swoich zdolnościach i aspiracjach jak i o swej społeczno-patriotycznej roli. Ciotka Janiny Żółtowskiej — zapomniana dziś Emma z Jeleńskich Dmochowska — wyobrażała sobie, że jest „demokratką” i rzeźko gromiąc zbytki bogatszych krewnych improwizowała nieistniejący typ idealnego „obywatela”. U Weysenhoffa jeden Podfilipski jest dobrze zaobserwowaną karykaturą Polaka z tej sfery, który w barbarzyńskim kraju reprezentuje Europę *maître d'hôtel*ów i krawców — uważa się za ambasadora „Zachodu” od strony Ritza, Jockey Clubu, Locke'a i Poola. Ale patriotyczni książęta i narodowi ziemianie Weysenhoffa są znów sztancą podyktowaną sympatią dla obozu Dmowskiego i chęcią pozyskania mu szlachty.

Skąd u Janiny Żółtowskiej tak wierny obraz tej sfery, tak, mimowoli, bezlitosny? Myślę że zawdzięczamy go naturalnej niezdolności autorki do zakłamania, jej żywej inteligencji i ciekawości, a wreszcie cechom, które w jej dzieciństwie

i pierwszej młodości gromione być musiały jako „frywolność” i „światowość”. Oto jak autorka opisuje wielki wiec zwołany w Wilnie w r. 1906 przez biskupa Roppa pod znakiem katolicyzmu:

„Sala była przepelniona po części ciekawymi ludźmi, oszołomionymi tym, że uczestniczą w wolnościowych wydarzeniach. Przy stole prezydjalnym siedziało paru personatów i słuchało przewlekłej mowy brodatego młodzieńca na temat „że lasy są Boże i łąki Boże”, a wszystko wspólną własnością. Niedaleko ode mnie, wsparta na balustradzie galerii, siedziała p. Iza Lubańska, bardzo piękna i nie mogłam oczu oderwać od jej kapelusza z czarnego aksamitu, przybranego ciemno różowym jedwabiem. Myślałam, że dar ubierania się jest wielką sztuką, że daleko mi jeszcze do podobnej doskonałości”.

W środowisku, w którym główną bodaj cechą było tanie patriotyczne zakłamanie, idealizacja własnych interesów klasowych, tego rodzaju naturalny odruch jest orzeźwiający. Właśnie dlatego, że miała Jania Puttkamerówna z zapalem czytała salonowe powieści francuskie i angielskie, że marzyła o młodych lordach i eleganckich *vicomtes*, że aspiracje jej do towarzyskiej kultury, zbytku, elegancji zbliżały ją do zachodniej burżuazji, potrafiła ona przenikliwym, bezlitosnym spojrzeniem dziecka obnażyć istotne motywy postępowania swych bliskich żyjących złudzeniami „służby narodowi”, płytkiej religijności, lepkiej mazi „poczciwości”.

Chłopów Janina Puttkamerówna nie widziała chyba nigdy, głucho o nich w jej książce. Świat dziecka — to dostatni dwór, jego wypielegnowany park i ogród, obszerne miejskie mieszkania w czasie karnawału, zagraniczne hotele. „Niższy świat” reprezentują co najwyżej dzierżawcy, administratorzy, szlacheckiego pochodzenia guwernantki, klucznice, panny służące, już dość groźni, gdyż będący pośrednikami z ciemnym, tajemniczym, niebezpiecznym tłumem. Dziwne są jednak drogi, którymi poczucie winy przenika do duszy wrażliwego dziecka. Pozornie sielskie dzieciństwo bogatej i ukochanej jedyńaczki zatruwają nocą koszmary:

„Koło roku 1900 poprzednie sny z marami i strachami zaczęły przybierać charakter seryjnych epizodów, powtarzających się mniej więcej w ten sam sposób. Początek takiego snu był zwykle pogodny, moi bliscy, dziadunio, babunia, ciocia Kamilka, ciocia Kłosa albo spacerowali po domu, albo siedzieli w czerwonym salonie dookoła okrągłego stołu. Zdawali się spokojni i bezpieczni i tylko we mnie, w przeciwieństwie do nich, rósł niepokój, ja jedna domyślałam się, że coś im grozi. W chwilę potem ja jedna widziałam, że od bramy, od Kopcewicz idą na dwór groźne bandy chłopskie, ja jedna na odległość dziedzińca dostrzegałam krwawe postacie, później przezwane czubarykami, czy bolszewikami, widziałam ich oczy rozgorzałe nienawiścią. Nie było chwili do stracenia, należało koniecznie uciekać na łódki, do rzeki, byle uniknąć otoczenia domu przez bandę. Wszyscy zdawali się skamieniać! Wołałam: „uciekajcie! ucie-

kajcie!” Epizody następne się mąciły. Albo starałam się otworzyć okno i przez nie wyskoczyć, albo biegnęliśmy za pokój mojej babki, do bocznego wyjścia, w którym już cisnął się tłum złych ludzi”.

Czy sen ten nie przypomina innego snu, poetyckiego, w polskiej literaturze? „Nagle zobaczyłem, że wszystko widać! Widać! Za oknami był tłum. Parobki, dziewczki, fernali, chłopci i baby, gospodynie, służba folwarczna, domowa, wszyscy patrzyli!... Brzęk stłuczonej szyby. Ciemność. Kamień, frygnięty celnie, stłukł lampę. Puściły okna — lud sforsował i zaczął wiazić powoli, zaludniło się w ciemnościach chłopskimi częściami ciała. Duszno jak w kancelarii u rządcy. Łapy i stopy — nie, gmin nie ma stóp — łapy i nogi, ogromna ilość łap i nóg, masywnych, ciężkich”. Podobnie jak miała Jania we śnie, jeden tylko Ferdydurke widzi najazd chłopski na Bolimów. Wuj Konstanty i Zygmunt nadal piorą w najlepsze Walka, a ciocia „na kanapie stara się nie egzystować”. Tyle że, obarczony podobnym poczuciem winy, Gombrowicz jest już zdrajcą swej klasy: Ferdydurke łapie ciotkę i pcha ją „żeby się zmieszała z kupą”. Janina Żółtowska interpretuje oczywiście odmiennie swe ówczesne sny: widzi w nich charakter „proroczy”, zapowiadający późniejsze przewroty i rewolucje. Nie pierwszy to raz podświadomość odsłania istotę konfliktów, które na innej płaszczyźnie znajdują swój obiektywny wyraz. Czyż nie jest rewelacyjne, że spokojni i ulegli w r. 1900 chłopci we śnie przerażają się w „złych ludzi”, jak w klasycznych przykładach Freudowskiego transferu?

Na bezkstałnym, groźnym we śnie tylko chłopskim morzu górują białe wyspy polskich dworów, które wydają się nam dzisiaj bardziej egzotyczne od Hawajów. Janina Żółtowska jest ich bystrym antropologiem. Patriotyzm? „Tak dobry Polak jak mój dziadek Puttkamer mógł powiedzieć, że Tonio (mój wuj) to rozsądny chłopiec, bo będąc w mundurku szkolnym zwrócił mu uwagę, że na ulicy nie powinien z nim mówić po polsku”. Wileńskie, konserwatywne Tow. Cyklistów, założone przez Stanisława Wańkowicza? „Starsi panowie patrzyli na to jak na niepoważne zajęcie i z podejrzeniem, bo kto wie czy w takim towarzystwie nie tańczyły się knowania patriotyczne, a zatem polityczne?” Jeśli na rzecznej majówce (z tej okazji przebierano służbę w marynarskie ubrania) młodzież zaczyna śpiewać, starsi zaraz przestrzegają żeby tylko nie zanucili jakiejś pieśni narodowej. Janina Żółtowska żywo opisuje jak cała niemal zamożna szlachta wileńska posłusznie asystuje odsłonięciu pomnika Katarzyny II „z mapą na cokole, obejmującą ziemie rzekomo ruskie, z napisem: „Oderwane — powróciły”. „Prawdopodobnie odbywały się gdzieś jakieś przedwstępne narady w sprawie zajęcia stanowiska, na których jedni straszili drugich, stwarzając stan umysłu określony dopiero później słowem defetyzm”. Wszystko to w niczym oczywiście nie obniża

dobrego przekonania, jakie mają o sobie nawzajem ci ziemianie.

„Każdy ślub i każdy większy zjazd rodzinny nabierał znaczenia manifestacji narodowej. Toasty i mowy rzadko bywały dowcipne i okolicznościowe, a zaraz, choć często nieudolnie, uderzały w górny ton zasług, cnoty, jedności i trwania. Każdy, który swego majątku nie strwoił uchodził w panegirycznych przemówieniach za wzorowego obywatela”.

Janina Żółtowska wcześniej przeniknęła ten fałsz:

„Zewnętrzna szata mego otoczenia była konwencjonalna, frazeologia, czyli plaga polskich charakterów, kwitła wokół mnie w pełni, zmieszana ze słodką banalnością, która tak znikła z obyczajów, że nawet trudno ją określić”.

Im bardziej społeczeństwo jest konwencjonalne, im większą ilością gotowych sztanc dysponuje ono w stosunku do danych sytuacji, tym trudniej wykrzesać z niego życie, odtwarzając je w książce. Grozi bowiem albo zatracenie powierzchwni, realiów dialogów i poruszeń, albo nieumiejętność przekazania konfliktów, które się roją pod lodowym pancierzem konwencji. Znam kilku zaledwie pisarzy umiających przekazać banalną rozmowę przy obiedzie zachowując napięcie i śmiertelne nieraz zgrzyty zawarte w różnicy zdań na temat deseru. Do nich należą Nathalie Sarraute, Angus Wilson, Ivy Compton-Burnett, Janina Żółtowska nie dysponuje może psychicznym mikroskopem francuskiej powieściopisarki, ale najbliżsi jej krewni stają przed nami równie żywi, równie „schwytni na gorącym uczynku”, jak angielskie *ladies* panny Compton Burnett, czy pułkownicy w stanie spoczynku Wilsona.

„Dereszewicze, jak każde państwo czy grupa polityczna, kryły poza oficjalną fasadą różne prądy i zawilości charakterów. Istniało tam coś, co St. Simon nazywa *l'intrinsèque d'une cour*, ciche porozumienie, sympatie, zmywy, szepty za parawanami jak u p. de Maintenon, ambicje, zazdrości, rywalizacje. Uczestniczyłam w tym co się działo z rozognioną uczuciowością i wyobraźnią, podobnie jak sławny pamiętnikarz. Moja matka, poza oficjalnymi komplementami, nie była lubiana. Świadczyła każdemu jak należało, zabiegała o rodziców, braci, siostry, a jednak stała poza kołem ścisłego porozumienia i często krytyczną uwagą, albo energicznym poparciem zasady moralnej, raziła innych. Raz np. poszła do kuchni aby od kucharza nauczyć się pieczenia ciastek i chociaż niewiele się nauczyła, ale ten krok został uznany jako objaw ruchliwego i niespokojnego usposobienia, kto wie czy nie podyktowany przez zazdrość. Ciocia Isia, młodsza siostra, uchodziła za jej faworytkę, łączył je niby sojusz, ale bez istotnego porozumienia, bez podstaw szczerości, dziwna przynależność ukartowana z góry, sztuczna, płocha i lekkomyślna. Obie gwałtowne egoistki, zanadto były zajęte sobą, aby zrozumieć znaczenie przyjaźni. Moja matka uskarżała się zawsze, że nikt nie docenia głębi jej przywiązania, ale świat jej własnych uczuć tak ją pochłaniał, że nigdy nie brała pod uwagę, czym byli inni”.

Wystarczy chyba przeczytać ten ustęp aby zrozumieć, że wspomnienia Janiny Żółtowskiej zawdzięczamy prawdziwej pasji pisarza, a nie chęci, tak często zgrabnej w pamiętnikach, ocalenia fikcji dzieciństwa, utrwalenia bliskich sobie osób w kształcie, którego same sobie życzyły. Dlatego wspomnienia te są nie tylko socjologicznym dokumentem dużej wagi: Pani Iza Lubańska, pani Lela Kieniewiczowa osiągną może dzięki nim wymiar, którego nigdy się nie spodziewały: pokrewny temu, który w naszej świadomości mają Oriane de Guermantes czy pani Verdurin.

K. A. JELEŃSKI

Dwieście ciotek

„Tylko sfery posiadające mają ciotki!” — stwierdził kiedyś słusznie Lechoń. Tak jest. O ile ciotek nie można zaprosić do jedyne go zatłoczonego pokoju, ani od nich spodziewać się zaproszenia, lub chociażby „ładnego prezenciku” idą w zapomnienie i giną z widowni.

Janina Żółtowska podała w swoich wspomnieniach z dzieciństwa i młodości imponujący rejestr ciotek i zastępy familiantów, sytuując każdą z postaci w odpowiednim miejscu tego dziś rozbitego akwarium i opatrując odpowiednią etykietą. To liczne grono osób na tle dworów, sal balowych i zagranicznych hoteli opisane jest *d'une plume alerte*, lekko a przecie drobniawo, dzięki fenomenalnej pamięci sytuacji, powiedzonek, kroju i barw sukien, kapeluszy, fryzur, umeblowania i jadłospisów. Janina Żółtowska nie sięga nigdy ani głębiej, ani szerzej, nie nuży czytelnika żadną psychoanalizą. Wszelki załazek zastanowienia, lub jakiegoś „wzlotu” tłumy od razu nowa porcja przyjęć, wizyt, plotek — i już znowu jesteśmy na ziemi, raczej na posadzce. Oceny tego tłumy krewnych i znajomych zwięzły i na ogół kategoryczne są zbyt pobieżne, aby być przekonujące, często niesprawiedliwe, bo powierzchowne. Każda nowa postać jest opatrzona stempekkiem i — jazda dalej! Autorka przyznaje się parokrotnie do tego, że była panną głupią, lekkomyślną, powierzchowną, próżną. Głupią nigdy nie była, jej ciekawości zawdzięczamy zmysł obserwacji, a jej rzetelnej szczerości swoisty krytycyzm żadnym sentymentem nie zlagodzony. Oszłość matki, brak porozumienia z ojcem były może przyczyną jej uczuciowego zamrozenia; cieplejsze tony dźwięczą jedynie na stronach poświęconych ślicznej i nieszczęśliwej samobójczyni, Jadwidze Lubańskiej (cioci Isi) której wdzięk i autentyczna, wyszukana elegancja upamiętniły się też mojej dziecinnej wyobraźni. Czytając ostatnie epizody tego tomu, aż do szczęśliwego narzeczeństwa włącznie zdaje się nam dostrzegać jakby przebudzenie głębszych warstw wrażliwości biernej dotąd obserwarki.

Janina Puttkamerówna żyła w swoim kokonie zbytku i wygody fantazją powieściowych fikcji i — oczekiwaniem. „Czy dążysz?” — spytała ją górnolotnie nastrojona kuzynka — pytanie ją zaskoczyło, nie wiedziała

nawet do czego miałyby dążyć? „Czy lubisz gospodarstwo?” — zagadnęła ją rządzna i uspołeczniona sąsiadka, panna Maria Rymaszka, (prowadziła zakonspirowaną szkółkę) „...nie byłam w stanie odpowiedzieć, ale intonacja tego zapytania przeraziła mnie na równi z propozycją abym nie umiając pływać wskoczyła do zimnej i głębokiej wody”. Historię Francji poznała z dobrych źródeł: Kronik Froissard'a, Saint-Simona, Lamartine'a; „Historia Zyrondystów” tak nią wstrząsnęła, że po jej przeczytaniu poczuła się francuską rojalistką. Za to historii Polski uczyła się z Sienkiewicza i innych powieści. Współczesna literatura polska ją mierzyła, widziała w niej „kwas i melancholię”, a moralizatorskie intencje Rodziewiczówny, Prusa i Orzeszkowej, zasady, ideologie budziły w panience irytację.

„Dlaczego — pisze — miałam pogardzać balami, sukniami i urodą młodych lordów, a zachwycać się opisem wsi nadniemeńskiej?”

Podobnie jak Orzeszkowa mierzyła ją sympatyczni sąsiedzi Rymaszowie zamilowani gospodarze, żyjący po spartańsku w długich butach i kożuszkach, z cyklem „Wojny” Grottera na ścianach jadalni, wiankami żyta ubranymi w jarzębiny, wyżłom na ceratowej kanapie i bosej dziewczynie do posługi — taki „ideal” wpędzał Janię w rozpacz, gniew i przerażenie.

Świat jej kończył się na murze okalającym parki rodzinnych dworów, na strzyżonych alejach i dywanowych klombach. Nie widziała nawet kraju w którym się wychowała, nie zapamiętała jego rzewnej urody, iskrzących zim skutych mrozem i wspaniałych, zwłaszcza nad wielkimi rzekami, wzbuchów późnej wiosny. Kilka opisów przyrody, zwłaszcza nieodznaczonych zachodów słońca — to poprawna konwencja. O wiele wrażliwszym na poezję kraju rodzinnego, jest M.K. Pawlikowski przez polowania wprowadzony w naturę, a mistrzowskim jej piewą i rodzonym synem to Czarnzewicz.

Panna Puttkamerówna nie widziała chłopów, ale co dziwniejsze nie widziała nawet służby domowej i folwarcznej, oficjalistów, tak licznych po dworach: ekonomów, namiestników, ochmistrzyń, gajowych, dzierzawców. Żadna z tych twarzy, nawet któregoś z wienych sług nie zachowała się w tych wspomnieniach. Nie widziała też Żydów. „Handlu na Litwie — stwierdza naiwnie — nie było, trzymali go w swoich rękach Żydzi...”. Oczywiście, bo któż by dzierżawił sady, jeziora i stawy rybne, zbywał mleko dworskich obór i leśne poręby, skąd by się brały pieniądze na podróże zagraniczne i posagi dla córek? Ale handel był żydowski, więc się nie liczył!

K.A. Jeleński tłumaczy koszmara sennie Jani Puttkamerówny jej „podświadomym poczuciem winy”, czyli Freudowskim transferem... Nie, nie było żadnego, nawet podświadomego poczucia winy, a tylko lęk „francuskiej rojalistki” przed żywiołem, który ją otaczał, jeszcze sennym, ale straszonym bo nieznanym. Z historii Francji wiedziała czym to grozi.

Pamiętam ustęp z listu którejś księżny Radziwiłłowej z tych samych lat, listu odczytanego znacznie później. Chwaliła sobie urok życia w swoich dobrach poleskich, polegający także na tym, że lud stanowi tam część składową przyrody, podobnie jak wilki i niedźwiedzie, dopóki — pisała — „nauczyciel socjalista nie obudzi w nim człowieka zawistnego i niezadowolonego”. Tak powszechne wtedy wśród młodzieży inteligenckiej prądy społeczne i rewolucyjne, budzone współczesną literaturą rosyjską i polską nie dotknęły Jani, nie miała brata, który by jej może niejedne

drzwi otworzył, o żadnej emancypacji nie marzyła. Z artykułu o Barrès'ie w „Revue des deux Mondes” uderzyło ją i wstrząsnęło zdanie do dziś dnia pamiętne *L'Europe périt par les barbares de l'intérieur* — To morze, na którym wznosiły się polskie dwory, nieświadome swego losu, to byli owi „barbares”, nawiedzający ją w snach „zli ludzie”.

„Różę” Katerli przeczytała już jako 16-letnia panienka. „Wszystkie tezy głoszone przez autora wydawały mi się fałszywe, wyolbrzymione i narzucone mi z dialektyczną siłą, z którą się borykałam z głową w ogniu tak jak we śnie walczy się z upiorem o życie”. Nazwała tę książkę „Darem zlej wróżki”.

Nic i nikt nie rozbudził też w dziecku i panience uczuć religijnych. Może kalwinizm Puttkamerów obezwładnił katolicyzm Kieniewiczów? Jania nie знаła powinności mszy niedzielnej, a święta religijne były po prostu dniami hucznych zjazdów rodzinnych. Ochrzczona w kościele katolickim uczyła się katechizmu i liturgii, nie rozumiejąc o co chodzi. Do Wilna jeździła do spowiedzi, do dentysty i na lekcje tańca. Tak wypadło. Wszelka asceza, podobnie jak spartańskość Rymaszów budziła w niej naturalny sprzeciw. Ojciec miał kłopoty finansowe, omawiane potajemnie z matką w gabinecie, może ceny na drzewo spadały? Matka wychodziła wtedy załamując ręce i mówiła: „Giniemy!”

Stanowczo Władysław Gunther skrzywdził Janię Zółtowską, porównując jej wspomnienia do albumu rodzinnego. „Inne czasy, inni ludzie” — jako obraz wychowania i środowiska — to coś więcej, znacznie więcej!

Po tym wszystkim zastanawia nas wykrzyknik autorki: „Najokropniejszym jest to, że nikt nie odważy się napisać sztuki w obronie ziemiaństwa”. Skąd to zaślepienie bystrego obserwatora?



Józef Mackiewicz, wyznawca W. Księstwa Litewskiego, przesadził oceniając „powieść” M.K. Pawlikowskiego jako najlepszą książkę napisaną i wydaną na emigracji. Dzieje Tadeusza Irteńskiego to jakby pendant do wspomnień Janiny Zółtowskiej, szersze w zakresie obserwacji i przeżyć na tle życia sprytnego chłopca i jurnego młodzieńca, było swobodniejsze od życia panny na wydaniu, chowanej we dworze o „Oczko wyżej” aniżeli Baćków Irteńskich i obwarowanej mnóstwem konwenansów. Książka Pawlikowskiego ma szersze tchnienie, obok ziemiaństwa maluje też inteligencję mińską, z ziemiaństwa wyrosłą, jest przyroda, temperament, przestroż.

Pewien bogacz uralski mawiał: „W Piermi wsio permis!” W Mińsku jak i w Petersburgu było Tadziowi, po maturze, „wsio permis”, mama i tata łożyli na nauki i rozrywki, a wakacje przynosiły nieograniczoną swobodę i w bród wszelkich uciech.

„Ech, dobrze było, psia krew, pić krew ludu pracującego!” — wzdycha melancholijnie Tadzio Irteński.



Jest jeszcze trzecia książka o kraju utraconym, wydana wiele lat temu w Buenos Aires, jedna z najpiękniejszych wydanych na emigracji

którą nie waham się stawiać obok „Doliny Issy” i „Drogi do Nikąd” — to „Nadberezyńcy”.

Pod innym kątem i w innej perspektywie Florian Czernyszewicz, szlachcic zaściankowy, opisał czasy i ludzi swojej młodości, ich obyczaj, wiarę, nadzieje i wierność Polsce. Malował ten obraz barwami ziemi, którą kochał i nieba, w które wierzył z wrodzoną mu jak śpiew ptakowi poezją.

Ten element rolniczy polsko-szlachecki, katolicki, od pokoleń na Litwie osiadły, od wieku z górą przesładowany i masowo wysiedlany, bytem zrównany z ludem białoruskim — to była sól polskości tej ziemi. Zaścianki a nie zamożne, sfrancuziałe dwory i pałace, bo kultura Zdziechowskich, zasługi Muszki Łęskiej, rozum E. Woyniłłowicza i Romana Skirmunta, poczucie odpowiedzialności Niezabytowskiego — to była znikoma mniejszość.

Oni, drobna szlachta, zdołałaby może, z czasem, i w innych warunkach stworzyć zgodną społeczność białorusko-polską, społeczność kraju o swoistym obliczu ani polskim ani rosyjskim...

Ale kiedy traktatem ryskim oddano ich wszystkim, Polaków-katolików, bolszewikom nikt w Polsce o nich się nie upominał, nikt za nimi nie obejrzał się. Nie mając gdzie uchodzić ani po co — iluż ich zginęło po więzieniach i łagrach.

Maria CZAPSKA

“Teki Historyczne”

Ukazał się tom dziesiąty „Tek Historycznych” (I) Ten skromny jubileusz Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii, które zaczyna swój czternasty rok działalności, jest przede wszystkim cichym jubileuszem jednego człowieka.

Zeszyt otwiera rozprawa profesora Stanisława Kościółkowskiego „Sposzczerzenia nad ostateczną redakcją „Historii Polski” wydanej przez P.A.N. w Warszawie”. Jest to podręcznik uniwersytecki, który stara się pogodzić dwie wykluczające się z sobą rzeczy: zgodność faktów ustalonych źródłowo, z marksistowską wykładnią dziejów. Jest on opracowany przede wszystkim przez ludzi nowych; na próżno szukać w nim nazwisk badaczy znanych jeszcze sprzed wojny. Profesor Kościółkowski na samym wstępie podkreśla, iż „owa pozycja marksistowska... to wada, leżąca u podstaw, od samego początku opracowywania książki”. Po tej uwadze wymienia najpierw zalety tego podręcznika: szerokie uwzględnienie spraw społecznych i gospodarczych, wszechstronność w potraktowaniu różnych warstw ludności, rozpatrzenie „nie tylko materialnej kultury społeczeństwa, ale i życia duchowego, obyczajów, szkolnictwa, nauki, literatury i rozmaitych działów sztuki, zwłaszcza architektury, także ustroju i stosunków prawnych”, są to najlepsze wartości tego wydawnictwa. Przy

(I) Teki Historyczne, Tom X, nakładem Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego, Londyn, 1959, str. 350, cena 21 sh.

dość szczegółowym opracowaniu Śląska i Pomorza, uderza mniejsza staranność w przedstawieniu historii Prus Wschodnich i zupełnie pokrzywienie Kurlandii, której poświęcono jedynie około 15 krótkich i luźnych wzmianek, w tym ani jednej w związku z powstaniem kościuszkowskim. Należy także nadmienić, iż oczyszczono prawie tekst z licznych cytatów klasyków marksistowskich, które tak bardzo zaśmiewały makietę. Zmniejszenie ich do minimum „zwiększa niewątpliwie powagę wydawnictwa”. Złagodzone ton wobec dorobku historiografii polskiej, nie wymyśla się jej więcej i nie rzuca już na nią niewybrednych obelg, „aczkolwiek nie zawsze”. I to wszystko jeżeli chodzi o strony dodatnie.

Stron ujemnych jest więcej. A więc raz dość częste używanie, i to w wydawnictwie mającym pretensję do naukowego zwrotu zapożyczonych z „drętwej mowy” jak: baza feudalna, eksploatacja feudalna, procesy wczesnokapitalistyczne, fideistyczne stanowisko itp. Drażnią liczne rusycyzmy. Autor naliczył ich kilkaset. Materiał ilustracyjny jest niezłe dobrany jeżeli chodzi o Polskę centralną i zachodnią. Pominęto natomiast zupełnie ziemie wschodnie. „Jest to antynaukowa i antyhistoryczna koncesja... a jej główną przyczyną jest znowu zależność Polski dzisiejszej od Rosji”. Jest zarazem stwierdzeniem, iż „walka o te ziemie trwała przez wieki i trwa dotychczas”. Następnym ominięciem to brak bibliografii dzieł historyków emigracyjnych. Pokryto milczeniem nie mały dorobek powstały ostatnio na emigracji (2).

Jeżeli chodzi o przedstawienie unii Polski z Litwą, to wspomniana historia stanęła „na stanowisku najbardziej antypolskim niektórych szowinistycznych historyków rosyjskich, zwłaszcza doby carskiej”. Propagandowy charakter wydawnictwa uwydatnił się jaskrawo właśnie w opisie i osądzie o tej unii. Szczytem głupiej złośliwości jest przedstawienie stosunków polsko-moskiewskich i polsko-rosyjskich. Dowiadujemy się, iż stosunki te, i to zarówno handlowe jak i polityczne, były dla Polski zawsze dodatnie i że Moskwa, a później Rosja, „nigdy nie wykazywała dążeń zaborczych, postępowała stale po rycersku, odgrywając rolę szlachetnego obrońcy i wiernego sprzymierzeńca”. Jako konkluzję swych wywodów profesor Kościółkowski stwierdza, iż przy czytaniu tej książki, trzeba się mieć na baczności, podawane wiadomości, lub przemilczenia, przyjmować krytycznie. Dodajmy od siebie, iż takie krytyczne nastawienie jest możliwe tylko dla czytelnika z pewnym wykształceniem historycznym.

X. Stanisław Bełch w artykule „Paweł Włodkowiec jako historyk i jego wpływ na Długosza” opisuje użycie przez Włodkowicza analizy historycznej w jego pismach polemicznych, przygotowanych do procesu z Krzyżakami. Podkreśla wielki wpływ jaki miał proces Polski z Zakonem na uświadomienie sobie wśród ówczesnej polskiej elity ważności posiadania wykształcenia historycznego. Całość pism Włodkowicza, a następnie akty sprawy Zenona miały przemożny, ale nie jedyny, wpływ na typ historiograficzny obrany przez Długosza i wykazany następnie w całości jego prac. Autor wykazuje wielką erudycję i znajomość źródeł, odnoszących się do tematu, nie zawsze jednak cytuje je w sposób jasny.

Hanna Świdzka kreśli główne linie rozwoju wzajemnych kontaktów między Anglią a Zakonem. „Z dziejów stosunków angielsko-krzyżackich, XIII-XV wiek” dzieli się na dwie części. W pierwszej autorka podaje szczegóły udziału rycerzy angielskich w wyprawach zakonnych na Polskę i Litwę. Są to wyjątkowo inicjatywy XIV wieku. Część druga omawia zażargi wyniki na tle działalności piratów na Kanale i perypetie wyniki

(2) Jest to o tyle niezrozumiałe, iż jednocześnie ukazują się w krajowych czasopiśmie historycznych recenzje, a nawet polemiki z pracami emigracyjnymi.

z tego dla kupców angielskich w miastach pruskich. Hanna Świdorska znana jest ze swych prac o stosunkach polsko-angielskich w XIV i XV w. Ogłoszony obecnie szkic jest poniekąd pionierski, gdyż temat ten nie był dotychczas poruszany przez badaczy polskich.

Artykuł „Pierwsze trzy wolne elekcje viritim, 1573-1587” profesora Pawła Skwarczyńskiego zajmuje się głównie zagadnieniami konstytucyjnymi, związanymi z tymi elekcjami. Przeciwstawia on elekcję z roku 1573 następnym, z lat 1575 i 1587. O ile wybór Henryka Waleczusza odbył się spokojnie, w ogólnej atmosferze odpowiedzialności i poczuciu ważności chwili to wybór Batorego i Zygmunta III był już obrazem anarchii, prywaty i nieliczenia się z obowiązującym prawem i zwyczajem.

Praca profesora Wacława Lednickiego „Mickiewicz w zwierciadle poezji Alfreda de Vigny” bada wpływy polskie na twórczość poety francuskiego. Analizuje szczególnie wpływy Mickiewicza, tak bezpośrednie przez listy i rozmowy, jak i pośrednie przez dzieła i studia o nich, drukowane w czasopiśmie francuskich. Po raz pierwszy autor ogłasza cztery francuskie listy Mickiewicza do de Vigny'ego, znane dotychczas z wyjątków i pomijane najczęściej przez polskich uczonych.

Paweł Zaremba w artykule „Kilka uwag o wojnie secesyjnej” omawia najważniejsze momenty prawnopolityczne związane z tą krwawą wojną domową Ameryki Północnej. Jest to jakby dopełnienie uwag do jego znanej „Historii Stanów Zjednoczonych”.

Profesor Z.L. Zaleski w artykule „Kilka uwag o stosunku poetów romantycznych do powstania listopadowego” zajmuje się „kompleksem winy nieobecności fizycznej” wieszczów w walce zbrojnej z okupantem rosyjskim.

Jakub Hoffman w artykule „Uwagi o tezach Enno Meyera i Gottholda Rhodego w sprawie nauczania historii stosunków polsko-niemieckich” streszcza dotychczasową dyskusję polsko-niemiecką na powyższy temat, podając w zakończeniu własne spostrzeżenia. Ocena rozpoczęcia tej wymiany myśli za fakt pozytywny, specjalnie silnie podkreśla niemoralność wielu dokonań ostatniej doby. Jest to na razie pierwszy głos dyskusyjny historyka emigracyjnego.

Stanisław Biegański daje w swym opracowaniu „Pierwsze próby prof. Henryka Jabłońskiego przekształcenia najnowszej historiografii polskiej” sylwetkę moralną tego typowego „historyka” marksistowskiego i przedstawia szczegółowo jego „dorobek” naukowy.

Jest to tom największy objętościowo ze wszystkich dotychczasowych tek. Zarzucić mu można jedynie dwa niedociągnięcia: dość dużo błędów korektorskich, oraz podawanie przypisów na końcu każdej rozprawy zamiast na końcu każdej strony. Utrudnia to bardzo czytanie i wydaje nam się, iż lepiej przedłużyć nawet czas druku a nie stosować tego zwyczaju, który niestety zadowolił się i w innych polskich rocznikach historycznych.

Na zakończenie kilka uwag. Zbliżają się uroczystości tak zwanego „Millenium”. Czytamy, iż mają powstać różne komitety uczczenia tej rocznicy, znowu popłynie morze słów, a różne akademie uwolnią od kompleksu winy własnej bezczynności. Na pewne rzeczy jest już za późno, ale są sprawy które powinny być zrobione. Pierwszą z nich byłoby, aby zarówno „Teki Historyczne” jak i „Antemurale”, wydawane w Rzymie, przekształcić się w kwartalnik. Następnie powinny się znaleźć fundusze, choćby drogą specjalnych zbiorów, na wydanie drukiem prac historycznych leżących w rękopisach.

Stanisław BOBR-TYLINGO

Nadesłane nowości wydawnicze

KRZYŻANOWSKI (Ludwik). *Joseph Conrad: Centennial essays*. Str. 174. (Wyd. The Polish Institute of Arts and Sciences in America. New-York 1960).

TERLECKI (Tymon). *Ludzie, książki i kulisy*. Eseje o literaturze i teatrze. Str. 192 (Wyd. B. Świdorski — Londyn 1960, cena 21 sh.).

Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej. Tom I. Kampania wrześniowa 1939. Część trzecia. Str. 685. (Wyd. Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn 1959).

Szkice do Części 3 tomu 1 Polskich Sił Zbrojnych w drugiej wojnie światowej (Kampania wrześniowa).

Tam i gdzieś. Głos ruskiej emigracji. Tri dokłada. Str. 114. (Wyd. Izdanie Centralnego Objedynienia Polit. Emigrantów iz SSSR, Monachium, 1958).

TUREK (Victor). *The polish past in Canada*. Contributions to the History of the Poles in Canada and of the Polish-Canadian Relation. Str. 138. (Wyd. Polish Research Institute in Canada. 1960).

Polska niepodległa i druga wojna światowa. 1918-1945. Skrót części VI Wydawnictwa „Polska i jej dorobek dziejowy”. Str. 103. (Wyd. Księgarnia Polska Orbis Polonia, Londyn 1959).

Józef Piłsudski w 16 rysunkach Zdzisława Czermańskiego. Album. (Wyd. Komitet Uczczenia Pamięci Józefa Piłsudskiego w 25-lecie Jego Zgonu, Londyn, 12 maja 1960).

Loi, terreur et résistance en Roumanie. Str. 22. Supplément au nr 112-juin 1960 de „Preuves”.

GROBICKI (Aleksander). *Paderewski Concerts in Toronto*. Str. 88. (Wyd. Polish Research Institute in Canada. Toronto 1960).

STRZETELSKI (Stanisław). *The Polish Institute of Arts and Sciences in America. Origin and development*. Str. 54. (Wyd. The Polish Institute of Arts and Sciences in America. New-York, 1960).

First Population Census of Sudan 1955-1956. Town Planner's suppl. vol. 11. (Wyd. Min. for. social Aff. Population Census Office. Khartoum 1960).

Hungary and the World. Str. 28. Wyd. Hungarian Writers Association. London 1960).

Powrót na ziemię Piastów. Str. 47. (Wyd. Presse-Editions. Paris 1960).

VOJIR (Vojtech). *Tradice a Ceska statnost*. Str. 63. (Wyd. „Narod a Politika”, Chicago 1959).

LEPKYJ (Bohdan). *Mazepa*. Trylohija: „Motria” (Istoriczna powist’). T.I. str.388. T.II.308; „Ne wbywaj” (Istoriczna powist’) — str. 396; „Baturyn” (Istoriczna powist’) — str. 466; „Połtawa” (Istoriczna powist’) — T. I. — 332, T. II — str. 420. (Wydawnytctwo: Mykola Denysiuk, Publishing Co., 2228 W. Chicago Ave., Chicago 22, Illinois, USA. Cina za cilst’ — szist’ tomii Trylohii (Imitacija szkiry. Mestecke oformlennia Oksany Moszynskoi). — dol. 21.00).

Listy do Redakcji

Londyn, 15 maja 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

Pewne okoliczności tak się złożyły, że dopiero teraz zapoznałem się z artykułem pp. Bolesława Taborskiego i Zbigniewa Czajkowskiego „Polska technika powstań po raz drugi”, (Kultura nr 1/147-2/148, 1960). W artykule tym, który jest recenzją książki gen. J. Kirchmayera „Powstanie Warszawskie”, przeczytałem z niemalym zdziwieniem następujące zdanie:

„Przedwojenny oficer był przygotowany do wojny jednostronnie, a przy tym — jak wspomnieliśmy — obciążony był romantycznym balastem, który w r. 1939 kazał mu konno szarżować kolumny pancerne...”

Nie wiem na jakiej podstawie Autorzy wspomnianego artykułu stawiają twierdzenie o jednostronności przygotowania do wojny naszych oficerów, dlatego odpowiadam że tak postawiony zarzut, bez żadnego uzasadnienia na czym ta jednostronność miałaby polegać, czym objawiałaby się w przygotowaniu do wojny i w czasie kampanii wrześniowej, jest — mimo swojej „blyskotliwości” i pozornej atrakcyjności — opinią zupełnie dowolną, pozbawioną wszelkich podstaw, jakiegokolwiek wartości, krótko mówiąc — jest niczym! Równie dowolne twierdzenie o „obciążeniu romantycznym balastem” i w wyniku tego o „szarżowaniu konno” (szarżuje się tylko konno, przynajmniej w kawalerii), kolumn pancernych, jest dla mnie dowodem, że Autorzy artykułu mieli mało co wspólnego z naszym wojskiem przed wrześniem 1939 r. i nie orientują się zupełnie na czym polegało wyszkolenie oficerów, a w konsekwencji i całych oddziałów. Kompletnie złudzenie Autorów o szarżach na czołgi, z romantycznym balastem, pozwała mi mniemać, że w pojęciu Autorów cała nasza służba polegała na jeźdźeniu cały dzień konno, w otokach, proporczykach i lampasach i ćwiczeniu szaleńczych szarż na kolumny pancerne. W rzeczywistości, nasze życie służbowe było znacznie bardziej przyziemne, w całym tego słowa znaczeniu. O wiele częściej leżeliśmy w błocie czy w piasku z naszymi ludźmi, ryjąc się w ziemi i tak przygotowując się do wojny, niż ćwiczyliśmy szarże konne, co w istocie należało do rzadkości. Żałuję, że nie mogę na tym miejscu opisać, jak wyglądał, już w 1936 r., przegląd wyszkolenia pułku ułanów, którego barwy miałem zaszczyt nosić, przez ówczesnego naszego dowódcę brygady, niezapomnianego płk. Piotra Skuratowicza, później generała i Szefa Departamentu Kawalerii M.S. Wojsk.

Twierdząc, że p.p. Taborski i Czajkowski szarżą, być może nieświadomie, legendę wymyśloną przez Niemców o szarżach naszej kawalerii na czołgi niemieckie. Jestem gotów zarzut ten odwołać w liście do „Kultury”, jeżeli Autorzy zechcą zacytować jakieś wypadki c e l o w e g o

uderzenia naszej kawalerii na broń pancerną niemiecką, podając czas, miejsce, oddziały które szarżowały i nazwiska ich dowódców.

Mimo „jednostronności naszego przygotowania do wojny”, wyszkolenie nasze i naszych oddziałów było dostatecznie wysokie, by wyrobić w nas realizm pola bitwy i w wyniku tego zwalczać broń pancerną nie szarżami, a innymi środkami walki. Dramatem naszym było, że środków tych mieliśmy za mało. Z pewnością marzyliśmy, by iść za, lub obok własnych fal czołgów na nieprzyjaciela, tak jak marzyła o tym i nasza piechota; (czy ją również Autorzy sądzą o szturmowanie z bagnietem w rękę kolumn pancernych?). Ale tych własnych mas, a nawet cienkich linii broni pancernej, nie było. Masy były przeciwko nam. Taka była rzeczywistość walki narzuconej nam przez wroga, w czasie i w warunkach jakie chciał. Wiadomo to wszystkim, kto ma dobrą wolę, od września 1939, nie ma więc co wymądrzać się teraz i żonglować słowami o jednostronności wyszkolenia oficerów i fantastycznych szarżach, których nie było.

Natomiast nie bronimy się przed „zarzutem” obciążenia „romantycznym balastem” — jeżeli Autorzy chcą to tak nazwać — a którym była wielka tradycja naszej broni jako całości oraz tradycje poszczególnych pułków. Pamięć o tej tradycji, zrozumienie że nakłada ona na nas dodatkowe obowiązki, była tym balastem romantycznym, który spowodował, że kawaleria nasza, słabo uzbrojona, źle użyta, rzucona do walki frontalnie przeciw masom pancernym nieprzyjaciela wspieranym potężnym lotnictwem, biła się do upadłego od prostego ułana do oficera każdego stopnia, płacąc drogę za swoje bardzo krwawe straty. Taka jest ogólna opinia tak swoich jak i obcych, taka jest nowa nasza tradycja narosła do tradycji dawnych i tego romantycznego balastu nie wstydzimy się z pewnością.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze wyrazy wysokiego poważania.

Adam J. DĄBROWSKI

Londyn, 26. 5. 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przypadkiem wpadł mi w ręce II Nr „Kultury” z 1956 r. W artykule pt. „Próba Porozumienia”, p. Czesław Miłosz wspomina swój poranek autorski w Teatrze Narodowym — ostatnią imprezę, w jakiej brał udział w Polsce. „Był to okres jak największego już mrozu. Sala pełna, twarze b. młode, głównie ZMP” — pisze Czesław Miłosz. W dalszym ciągu artykułu opowiada, jak to wobec tych b. młodych twarzy zaczął obliczać i „sprowadzać sztukę do psychotechniki”. Chwali się, że obliczył bezbłędnie, że największe szanse na sukces będzie miał jego przekład V. Lindsaya „Szymon Legree”. Legree „idzie do piekła, siedzą tam z diabłem, nudzą się i grają w kości”.

„Psychotechniczna zaleta pierwsza: Legree to Amerykanin, Amerykanie męczą Murzynów. Psychotechniczna zaleta druga: idzie do piekła, stąd wniosek, że wszyscy kapitaliści pójdą do piekła... Obliczenie moje było trafne. Wielkie brawa...”

Czuję się w obowiązku napisać małe uzupełnienie do artykułu „Próba porozumienia”, bo byłam wtedy na sali i biłam brawa nieprzymtomnie — jedna z tych młodych. Tak, brawa rzeczywiście były wielkie, ale nie dlatego, że Amerykanie męczą Murzynów i wszyscy kapitaliści pójdą do piekła. Po prostu nagle na tej nudnej sali zapachniało nam poezją.

Byliśmy wzruszeni. Po wyjeździe C. Miłosza poszukiwaliśmy tego wiersza i innych jego wierszy, pożyczaliśmy je sobie do przepisania. Oczywiście nie wiedzieliśmy wtedy, że autor sobie wszystko bezbłędnie i dość cynicznie obliczył, że ma nas za durniów i że to wszystko są „psychotechniczne zalety”. Na drugi raz nie damy się nabrać.

Co dowodzi, że próba porozumienia — przynajmniej z jednej strony — nie była bardzo uczciwa.

Z poważaniem

CZYTELNICZKA

Buenos Aires, 8 czerwca 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Wiem, że ten cały krwawy dramat pozerający pomiędzy anglistą Grabowskim, a mną, już bokiem Szanownemu Redaktorowi wylazi, a zapewne i P.T. Czytelnikom; ale nie mogę się oderwać; ale łaknę krwi; ale muszę gryźć i zagryzać sobie ze smakiem; i niechże mi wolno będzie przynajmniej powiedzieć, dlaczego muszę i nie mogę nie musieć — jakie to prawo rządzi moim pościgiem.

Poczuwam się w stosunku do pana Grabowskiego do pewnej dumy, która jest dumą artysty. Ja go stworzyłem! Ja go powołałem do życia! Ja sprawilem, że ten attaché literacki, bezbarwny i nikły, jak wszyscy urzędnicy międzynarodowej „wymiany kulturalnej”, stał się wreszcie kimś, puścił barwę, stał się postacią... O, potęgo twórcza, która życie umiesz wykrzesać nawet z przyszpilowanych do sztuki attachés!

Tak, stał się postacią! Oczywiście nie dlatego, że wyliczył wszystkie swoje tytuły do chwały — te uniwersyteckie, te książkowe i w końcu nawet tytuły gazet, w których „zamieszcza”. Taki inwentarz, to tylko sucha biurokracja. To urzędowe. Nie bierze. Nieważne, że komuś przyjęto artykuł w „Contemporary Review” i że figuruje w „The Authors etc. etc.”. Takich figurantów znamy. A co się tyczy tuzina wydanych książek polskich, to taki tuzin, nie przysparzający sławy autorowi, jest dużo gorszy niż gdyby nie było ani jednej książki.

Ale proszę się wsłuchać, jak pan Grabowski o tym wszystkim referuje: jaki poziom, jaki horyzont, jaki świat ujawnia się w każdym jego słowie. Ja doprawdy mogę być dumny z tej postaci, która w każdej grotesce mogłaby paradować bez retuszu.

Jego język? Gdy Grabowski chce pogryźć moje „błazenady”, nie lepszego nie przychodzi mu na myśl, jak tylko ten zwrot wyswiechtany: „typowe, chwytły warszawskiej kawiarni”. I cała proza pana literata jest równie banalna, szablonowa, zużyta i sztywna — jak urzędowy kołnierzyk po którymś tam wyrochmaleniu.

Jego postać? Oto dr Grabowski, dostojny i naukowy: „Mój pogląd... opieram o dwa czynniki, którymi stale się kierowałem w moich ocenach literackich: walorami artystycznymi, uczuciowymi, myślowymi danego utworu, oraz uwzględniając tło zarówno literatury polskiej, jak i obcej”. Mniejsza o fascynującą w swoim okropieństwie niezdarność tego zdania — ale rozkoszna pedanteria tego nieoszacowanego belferskiego komunau! Przecież to na wagę złota!

A oto pan Grabowski — Europejczyk, londyński, zachodni, kulturalny, ba, Anglik prawie: „list Gombrowicza pachnie najgłębszym Rado-

miem, albo Sosnowcem...”, „provincialny i pretensjonalny Gombrowicz...”. Wspaniałe i piękne — jakież monument konwencjonalizmu kryje się w tym pomieszaniu pojęć! Ja nie jestem Europą, choć Europa darzy mnie epitetami, o jakich panu Grabowskiemu nawet śnić nie wolno — natomiast Europą jest p. Grabowski, bo mieszka w Londynie i „figuruje” w jakichś tam katalogach.

A oto dalej p. Grabowski, jako rzetelność, uczciwość, odpowiedzialność i niezłomna ścisłość informacyjna. Wsłuchajmy się, jeszcze raz proszę, w ten ton: „Pan Gombrowicz zbyt wiele polega na przeczuciach, za mało na solidnej wiedzy, lekturze, na znajomości rzeczy”. Przekonywujące, co? Któżby mu nie uwierzył. Tylko że... Jakżeż to, panie Grabowski? Pisze pan specjalny list do Redakcji donosząc, że w kraju — to pańskie słowa — „w poważnej ocenie krytycznej panować się zdaje przekonanie, że sukces tego autora nie stoi w żadnej proporcji do jego istotnych zasług”. Na co ja przytaczam czarno na białym kupę entuzjastycznych opinii czołowych krajowych pisarzy i krytyków. No więc cóż, pomylił się pan, nie ma o czym gadać, pańska „znajomość rzeczy” okazała się niedostateczna. A jednak nie zdobywa się pan nawet na lojalne stwierdzenie, że pan się pomylił. To ma być rzetelność? Jest pan niby to krytykiem, specjalistą, informatorem zagranicy od spraw literatury polskiej, a nie wie pan co się w tej literaturze dzieje. To ma być pańska „solidna wiedza”? Jedzie pan do Polski i, jak się okazuje, nawet do polskiej prasy literackiej pan nie zagląda. To ma być „lektura”? I po takiej gaffie, o której oby nigdy „Times” się nie dowiedział, jeszcze panu zachciewa się robić „solidne” miny, czysto angielskie?

Czy teraz jasne stało się, Redaktorze, czemu ja nie mogę tak łatwo dać pokój panu Grabowskiemu?

Zanadto mi urósł i zanadto stał się typowy. Mnie nie wiele grzeje, czy ziębi, że on mnie tępi jako pisarza (nie on jeden) — ale osobowość, jaka wylazła z niego podczas tej polemiki, pobudza we mnie żądzę krwi. Krótko i po prostu: nigdy nie mogłem znieść takich dętych i nadętych Anglików, doktorów, znawców, specjalistów, informatorów i autorów z katalogu, tego całego uroczystego pętania się, nie lubię, gdy w świecie ducha ktoś usiłuje wypłynąć nie osobistą wartością, a tytułami, manierami, minami, funkcjami i koneksjami — zawsze będę takich panów pożerał, ilekroć mi się nawiną pod zęba. Oczywiście nie tylko dla własnej przyjemności, ale — proszę mi wierzyć, Redaktorze — w interesie narodu i całej ludzkości.

Nie zamierzam bynajmniej obrażać pana Grabowskiego, ani szukać nowak. Ale jeśli on nie ukrywa pod korcem, co o mnie myśli, to i mnie wolno — nieprawdą?

Racz przyjąć, Redaktorze, korny hold swojego sługi.

Witold GOMBROWICZ

Kanada, 28 kwietnia 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Po raz drugi znajduję w „Kulturze” w rubryce wpłat na dom Kultury „zamiast prenumeraty „Głosu Polskiego” na dom „Kultury”... NF”. Wydaje mi się, że zamieszczanie podobnych notatek jest niezbyt etyczne.

Aby uniknąć wszelkich domysłów stwierdzam, nie znam osobiście redaktora „Głosu”, nie zawsze zgadzam się z poglądami torontońskiego tygodnika, przyznam natomiast, że jestem członkiem Związku Narodowego Polskiego w Kanadzie, którego pismo to jest organem. Dodam, gdyby w „Głosie Polskim” podano „zamiast prenumeraty „Kultury” na fundusz prasowy Głosu... dolarów” prawdopodobnie również bym protestował.

Oczywiście p. Z. S. wolno nie prenumerować „Głosu” i setek innych pism, wolno również być obrażonym z tego czy innego powodu, ale z pewnością „Kultura” zdaje sobie sprawę, że podobne notatki mogą całkiem niezasłużenie zdezorientować dziesiątki osób nie znających bliżej tego pisma, stojącego wyraźnie na gruncie niepodległościowym. Nie mając w tej chwili na myśli p. Z.S. stwierdzam, że równie dobrze jakaś wtyczka komunistyczna dając parę dolarów na dom „Kultury” mogłaby odpowiednią notatką zrobić opinię dla niewygodnego pisma. Wprawdzie „pecunia non olet”, ale...

A może „Kultura” poda czytelnikom, dlaczego p. Z.S. jest aż tak obrażony na „Głos Polski”, że po raz drugi przypomina nam o swojej krzywdzie?

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

W. GRUSZCZYK

♦
Paryż, dn. 17. 5. 1960 r.

Wielce Szanowny i Drogi Panie Jerzy!

W związku z listem p. M. Czarneckiego, umieszczonym w ostatnim numerze „Kultury”, a zarzucającym mi włożenie w usta p. Aleksandra Demideckiego niewypowiedzianych przez niego słów, oświadczam:

1. Mój dziennik z deportacji na Korsykę pisałem na gorąco, z dnia na dzień. Czasami musiałem uciekać się do notatek ręcznych,

2. P. Al. Demidecki znalazł odpowiedni ustęp przed wysłaniem przeze mnie maszynopisu do druku i nie miał co do niego zastrzeżeń, zgłosił natomiast dwa inne, które uwzględniłem w tekście,

3. po ukazaniu się kwietniowego numeru „Kultury” p. Al. Demidecki, jeszcze na Korsyce, powiedział mi, że takiego określenia sobie nie przypomina.

4. wobec tego, iż p. Al. Demidecki spodziewał się trudności, jakie mogło wywołać w niektórych kołach paryskich zakwestionowane przez p. M. Czarneckiego zdanie, uprzedził mnie, iż skieruje do mnie list. I istotnie skierował do mnie nazajutrz list w tej sprawie. Zbędne byłoby stwierdzać, iż — rzecz jasna — p. Demidecki nie użył w tym liście słowa „nieprawda”, ograniczając się jedynie do napisania, iż nie przypuszcza, aby miał tak „ostro” wyrazić się w szpitalu Beaujon w dniu 4-ym marca rb.

Najserdeczniej dziękując Panu za umieszczenie tego oświadczenia na łamach poczytnej „Kultury”, mocno zacam dłoń Pana ściskam, łącząc wyrazy głębokiego szacunku. Szczerze oddany

Janusz LASKOWSKI

Drogi Redaktorze!

Mój szkic, który ukazał się w rosyjskim numerze „Kultury” nie był napisany dla Rosjan. Jest to po prostu rozdział wyjęty z książki „Rodzina Europa”, co warto było, myślę, zaznaczyć, bo wtedy perspektywa nieco się zmienia.

Czesław MIŁOSZ

♦
Londyn, 6 czerwca, 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Skoro notatka *Londyńczyka* o „micie sueskim” w marcowej „Kulturze” nie wywołała repliki przyjaciół Węgrów, niechże mi wolno będzie swoje trzy grosze wtrącić: wszak potrzeba rozumienia przeszłości pozostaje aktualna.

Na marginesie książki T. Meray'a i artykułu E. Morin'a *Londyńczyk* zwalcza „mit” o związku wyprawy sueskiej i wydarzeń węgierskich. „Epizod sueski — pisze *Londyńczyk* — nie miał absolutnie nic z rewolucją węgierską i w niczym nie wpłynął ani na jej przebieg, ani na jej wynik. Gdyby Suez nie było, mocarstwa zachodnie nie zaryzykowałyby również wojny w obronie bohaterskich powstańców węgierskich”.

Niektórzy poważni obserwatorzy unikają równie kategorijskich sądów na temat, co stać się mogło, ale *Londyńczyk* ma na pewno słuszość, że nie było po stronie Zachodu gotowości do wojny. Zachodzi jednak pytanie, czy gotowość taka była po drugiej stronie. Posunięcie Moskwy w owym czasie cechują wahania, wolno więc zastanawiać się, czy decyzje byłyby takie same wobec zwartej i bardziej godnej postawy Zachodu.

Na to pytanie zapewne nigdy nie otrzymamy odpowiedzi, ale sprawa wyników powstania na tym się nie kończy. Powstanie i sposób jego sfłunienia stanowiły wstrząs dla radykalnej, zwłaszcza wahającej się opinii świata, osłabiły partie komunistyczne, a jeszcze bardziej szeregi sympatyków, miały więc jakiś wpływ na międzynarodowy układ sił. Wolno mniemać, że wpływ ten byłby o wiele silniejszy i trwalszy, gdyby nie dywersja sueska, znakomicie wyzyskana, zwłaszcza w Azji i Afryce, przez propagandę sowiecką. Dlatego twierdzenie, jakoby Suez nie miał żadnego wpływu na wyniki powstania, jest nie do obrony.

Niemniej osobliwe jest powołanie się *Londyńczyka* na świadectwo dyrektora Royal Institute of Foreign Affairs C.M. Woodhouse'a, który Węgom „nie szczędzi lekceważącej i gryzącej ironii”. „Po co narażać się na tego rodzaju komentarze — pyta *Londyńczyk* — ze strony historyków angielskich. W jakim celu usprawiedliwiać Zachód Suezem — kiedy na Zachodzie nikt nie chce usprawiedliwić ani rozgrzeszeń”.

Przecieram oczy, bo mi się zdawało, że w Izbie Gmin i w prasie angielskiej roiło się od prób usprawiedliwienia nie tyle co prawda polityki wobec Węgier (i to było), ile awantury sueskiej. Trudno zaś wymagać, by się rząd londyński usprawiedliwiał właśnie Suezem.

Cóż jednak pisze koronny świadek, Woodhouse: „Pisze, że Węgom wydawało się, iż celem wojennym Anglii i Ameryki jest wyzwolenie przy równoczesnym zamrożeniu pretensji rosyjskich i rumuńskich pod adresem Węgier. Swoją politykę opierali (Węgrzy) na przekonaniu, że

jedynym celem zachodnich sojuszników jest dostarczenie im łatwego wyjścia z ich szaleństw, a przede wszystkim wybawienie ich od komunizmu".

Widzę w tym nie tyle „gryząca ironię”, ile irytację i szukanie usprawiedliwienia na niezbyt szlachetnej drodze ocerniania tych, którzy mają moralne prawo oskarżenia. Twierdzenie, jakoby niewola Węgier była skutkiem ich własnych szaleństw, przypomina podobne epitety Churchilla pod adresem Polaków, a nielada odkryciem znakomitego historyka jest wzmianka, że to niezalatwione, a widocznie słuszne pretensje rosyjskie i rumuńskie do Węgier uniemożliwiają Zachodowi politykę wyzwolenia. W każdym razie przytaczanie tej jaskrawej próby rozgrzeszenia polityki angielskiej po z górą trzech latach wydaje mi się oryginalnym sposobem udowodnienia, że nikt na Zachodzie „nie chce usprawiedliwień ani rozgrzeszeń”.

Łączę zapewnienia poważania

Józef PONIATOWSKI

◆
Paryż, dn. 24 maja 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Na ogół nie reaguję na głosy prasy emigracyjnej dotyczące zarówno mojej osobistej działalności politycznej, jak i Stronnictwa, którego jestem jednym z dwu spośród jeszcze żyjących założycieli i którego pracom bez przerwy od chwili powstania (10 października 1937 r.) przewodniczę, najpierw w okresie pobytu na emigracji Wojciecha Korfantego, a następnie jego uwięzienia po powrocie do Kraju, jako p.o. prezesa, potem jako prezes, zatwierdzony na tym stanowisku jednomyślną uchwałą Kongresu Stronnictwa w Warszawie w dn. 15 lipca 1945 r.

Nie mogę jednak pozostawić bez odpowiedzi ustępu opowiadania p. Janusza Laskowskiego w kwietniowym n-rze „Kultury”, w którym autor uważał za wskazane, jakby dla obniżenia wartości, skądinąd interesujących i zasługujących całkowicie na poparcie, uwag, wrzucić parę złośliwych kamyczków do mojego i Str. Pracy ogródka. Wymaga tego po prostu pozycja pisma, w którym te uwagi ujrzały światło dzienne.

Autor — pisząc o tym, że wśród „zaproszonych na wakacje na Koryce”, w związku z wizytą Chruszczowa we Francji, Polaków, znalazł się p. Eustachiewicz — mówi o nim na wstępie, jako o *byłym* działaczu Stronnictwa Pracy, po czym przypomina o podróży tegoż do Polski przed paru laty, „co mu wzięły za złe wszystkie ugrupowania polskie na emigracji nie wyłączając jego własnego odłamu”. Czytelnikowi łatwo nasunąć się musi wniosek, że to właśnie na skutek owego wyjazdu można dziś o p. Eustachiewiczu pisać, iż „był działaczem Stronnictwa Pracy”.

Nie odpowiada to faktycznemu stanowi rzeczy. P. Eustachiewicz należy do Str. Pracy bez przerwy od 1942 r., kiedy jego macierzysta organizacja p.n. „Unia” połączyła się w Podziemiu ze Str. Pracy. Co się zaś tyczy, istotnie głośniej w swoim czasie na emigracji, sprawy podróży p. Eustachiewicza do Polski, to pragnę stwierdzić, że nie ściśle jest twierdzenie, iż został on z tego powodu potępiony przez własne stronnictwo. Przypominam więc, że fakt tej podróży ujawniłem podczas konferencji

prasowej w Paryżu w dniu 8 października 1956 r., która wywołała dość liczne echa, nie tylko w prasie polskiej, ale i międzynarodowej. Następnie sprawą tą zajmowała się Rada Stronnictwa Pracy na Wychodźstwie, a to: w Paryżu w dn. 18 listopada 1956 r., gdzie obradował zespół jej członków z terenu Francji, W. Brytanii i Belgii oraz w Nowym Jorku w dn. 2 grudnia 1956 r., gdzie obradowali członkowie Rady zamieszkali w U.S.A. i Kanadzie. Na obu tych zebraniach jednogłośnie przyjęto następującą uchwałę:

„Rada Stronnictwa Pracy przyjmuje do wiadomości oświadczenie Prezydium, podjęte w związku z podróżą kol. Seweryna Eustachiewicza do Polski w lutym br. oraz uchwały organizacji francuskiej i brytyjskiej w tej sprawie.

Rada uznaje osiągnięcia podróży kol. Eustachiewicza i solidaryzuje się całkowicie z akcją Prezydium, prowadzoną w jego obronie”.

Uchwała ta była ogłoszona w wydawnictwie Str. Pracy („Odnowa” nr. grudniowy z 1956 r.) jest więc dostępna dla wszystkich, pragnących z dobrą wolą o danej sprawie pisać.

Tyle, jeżeli chodzi o p. Eustachiewicza. Pisząc przy tej sposobności o Str. Pracy, p. Laskowski informuje, że ma ono „imponującą ilość odłamów”, jak gdyby fakt istnienia odłamów w stronnictwach na emigracji był osobliwością właściwą tylko temu stronnictwu. Złośliwość ta jest w danym wypadku tym mniej na miejscu, że o ile nie zachodzi jakiś wyjątkowo dziwny zbieg okoliczności, to p. Laskowski jest chyba lepiej niż kto inny poinformowany o prawdziwym stanie rzeczy. Czyżby nie był on identycznym z owym Januszem Laskowskim, który przed kilku laty, gdy powstał w Paryżu oddział londyńskiej T.R.J.N. na Francję, został jego sekretarzem i reprezentował w nim właśnie... londyński „odłam” Str. Pracy, jedyny poza właściwą organizacją Stronnictwa jego „odłam”, o którym można serio mówić? — A już trzeba powiedzieć, że złośliwości o „imponującej” ilości odłamów Str. Pracy w ustach socjalisty, J. Laskowskiego, wypisywane w czasie, gdy obecne jego stronnictwo (P.P.S.) daje tak imponujący dowód „zwartości” i „jedności”, której widownią, niezależnie od poprzednich rozłamów (Zw. Zagr. Polskich Socjalistów p. Pragiera i tow.) jest w ostatnich czasach londyńska T.R.J.N. — powinny go raczej skłonić do pamiętania o starym polskim powiedzeniu, że nie mówi się o powrozie w domu wisielca...

Na koniec wzmianka natury osobistej: p. Laskowski pisze o mnie, iż wybrałem się po wojnie do Polski i zostałem tam „ministrem jakiegoś resortu”. „Informacja” według wszelkich reguł obowiązującej w pewnych kołach emigracji logiki: Oczywiście b. minister na emigracji mógł do Polski pojechać tylko po tekę...

Na temat misji mego wyjazdu i tego co w Polsce w latach 1945-46 robiłem, wydawnictwo Str. Pracy „Odnowa” umieściło dotąd 6 dużych rozdziałów. W n-rze grudniowym 1959 r. przedstawiono tam szczegółowo z jakich powodów, mimo propozycji, nie wszedłem ani do rządu Osóbki-Morawskiego ani do prezydium tzw. K.R.N. Można uważać, że wszystko to nie ma w ogóle większego znaczenia, utrwać jednak w poważnym piśmie inne, sprzeczne z prawdą opinie, nie wydaje mi się właściwym powołaniem polskiego pisarza, korzystającego z możliwości wypowiedzania się w wolnym świecie.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy prawdziwego poważania.

Karol POPIEL

Monachium, 14 czerwiec 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

„Kultura” zrobiła mi znowuż wielką nieprzyjemność. Nigdy nie prostuję błędów drukarskich, nawet w wierszach. Jest to przyznawanie się do autorskiego pecha. A już sprostowania „listów do Redakcji” są wręcz ośmieszające! Co jednak mam począć, gdy w mój list wpakowano błąd, który całkowicie zniekształca moją intencję? Napisałam: „Tak się zresztą złożyło, że największym antykomunistą na emigracji jest prorosyjski Józef Mackiewicz, emigracyjni *anty-komuniści* natomiast nienawidzą Rosji i Rosjan, a z komunizmem by się pogodzili pod warunkiem żeby był „polski”, „narodowy” i „własną drogą”. „Oczywiście, była to szpila z przeznaczeniem dla p. Mieroszewskiego i Zespołu „Kultury”, ale nie dla „emigracyjnych *anty-komunistów*”, jak błędnie wydrukowano. Przecież sama siebie do nich zaliczam. Ze wśród polskich anty-komunistów jest, niestety, wielu takich, u których nienawiść do narodu rosyjskiego góruje nad motywami ideologicznymi, to już inna historia... Nie z nimi jednak polemizowałam w moim liście. Z wielką przykrością muszę więc prosić o sprostowanie.

Łączę wyrazy poważania

Barbara TOPORSKA

Londyn, 15 maja 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule Hansa Roosa pt. „Józef Piłsudski i Charles de Gaulle” („Kultura” Nr 5 z rb.) znajdują się pewne nieścisłości, jeżeli chodzi o pobyt i działalność de Gaulle’a w Polsce w latach 1919-20. Autor pisze: „Niektórzy wojskowi informują, że de Gaulle znalazł się w Polsce w 1919 roku wraz z armią Hallera — inni, że *dopiero* (podkr. moje) w składzie francuskiej misji wojskowej generała Henrys. Podczas kampanii 1920 roku de Gaulle był rzekomo przydzielony do brygady gen. Sawickiego, a *później* (podkr. moje) był wykładowcą w szkole wojskowej w Modlinie i Rembertowie”.

Byłem w owych latach bliskim współpracownikiem de Gaulle’a, gdyż przybywszy z Armią Błękitną do Polski, zostałem do niego przydzielony, jako tłumacz, w Szkole Aplikacyjnej Oficerów Piechoty w Rembertowie, gdzie de Gaulle, wówczas kapitan (tytułarny major na czas pobytu w Polsce), był wykładowcą taktyki. Mogę stwierdzić, że znalazł się on w Polsce już na wiosnę 1919 r., nie jestem pewny, czy z Armią Hallera czy z misją gen. Henrys’a, ale to obojętne, gdyż jedna i druga były już w naszym kraju z wiosną owego roku. Stanowisko wykładowcy w Rembertowie objął de Gaulle 1 lipca 1919 r., a nie dopiero po kampanii 1920 r. O jego pracy w Modlinie nigdy nie słyszałem. W okresie najazdu sowieckiego był istotnie przydzielony (jak inni oficerowie francuscy w Polsce) do sztabu jednej z polskich jednostek, ale czy do brygady gen. Sawickiego, tego nie wiem, gdyż z nim wtedy nie byłem.

Przy tej okazji dodam, że de Gaulle był znakomitym instruktorem, a jego wykłady wzbudzały podziw wśród polskich oficerów. Sam zachował jak najlepsze wspomnienia ze swej pracy w Rembertowie, co stwierdził w listach do mnie, odpowiadając na gratulacje, jakie mu przesłałem w r. 1940 z okazji objęcia przywództwa Wolnych Francuzów i w r. 1958, gdy został Prezydentem Francji.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Ignacy WIENIEWSKI

Sao Paulo, 7.6. 1960 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Notatka p. Pobóg-Malinowskiego w „Kulturze” nr 4/150 obudziła wspomnienie paru mało znanych, lub wcale nieznanych szczegółów dramatycznego dnia 17 września 1939 roku, dotyczących marszałka Śmigłego Rydza, którymi pragnę się podzielić z czytelnikami „Kultury”, zainteresowanymi w niefałszowanej wersji historii.

Otóż dnia 17 września, około południa marszałek poufnie mnie powiadomił, bym się przygotował (ubranie i ekwipunek), gdyż o zmroku wyjdziemy w przebraniu w kierunku Lwowa, naonczas jeszcze bronionego przez grupę gen. Sosnkowskiego.

Marszałek zamierzał zabrać ze sobą płk. Z. Wenę, mjr. Krzeczkowski, względnie mjr. Kaciukiewicza, lecz zdołałem przekonać Go, że wyprawa we czwórkę, czy piątkę przez okolice objęte powstaniem ukraińskiego chłopstwa, nie wróży powodzenia. Marszałek zaufał mojemu konspiracyjnemu doświadczeniu i stanęło na tym, że wyjdziemy tylko we dwóch.

Około drugiej po południu marszałek Śmigły wyjechał na zebranie Rady Gabinetowej, pod przewodnictwem Prezydenta Mościckiego, a gdy o zmroku wrócił, oświadczył mi na stronie, że jego projekt jest już nieaktualny, gdyż min. Beck zadeklarował na Radzie, że została ustalona z rządem rumuńskim i potwierdzona przez króla Karola umowa, na mocy której wszystkie oddziały polskiej armii, posuwające się ku rumuńskiej granicy (jak później się okazało około 50.000 ludzi) mają przejść granicę z bronią i dążyć ku Constanzy, gdzie będą załadowane na statki, już zafrachtowane przez naszych aliantów.

...Jedziemy formować nową armię, powiedział Marszałek... wojna trwa.

Nocą przejechalśmy most.

Już zaraz na rumuńskim brzegu trafiliśmy na oddział rumuńskiej żandarmerii, pod dowództwem porucznika, która szczegółowo i marudnie rewidowała wozy i ludzi, odbierając wszystkim bez wyjątku broń i przedmioty wojskowego zaopatrzenia.

Wrażenie przynębiające.

Wobec nieobecności gen. Kasprzyckiego (ministra wojny), który miał sobie polecane przez marsz. Śmigłego osobiście dozorować ewakuacji, Marszałek wysiadł z wozu, zbliżył się do rumuńskiego porucznika i tonem nie przewidyującym sprzeciwu, zażądał przerwać natychmiast rewizję wozów i ludzi, tłumacząc oficerowi, że rewizja jednego wozu trwa kwadras,

a wóz jest wiele tysięcy. Porucznik usiłował usprawiedliwić się, chociaż rewizję przerwał.

W tej chwili nadbiegł rumuński pułkownik, attaché militaire przy poselstwie w Warszawie, meldując Marszałkowi ze łzami w oczach, że zamówił telefon do Bukaresztu i błaga Marszałka o rozmówienie się z królem. Marszałek z niezwykłym dla niego podnieceniem odpowiedział pułkownikowi, że przed paru godzinami minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej już się rozmówił z królem i jego rządem... tymczasem niech pan pułkownik nakaze by nie czyniono, zgodnie z decyzją Króla i rządu, przeszkód w przemieszaniu oddziałów polskiego wojska, gdyż pośpiech z wielu względów jest pożądanym.

Już świtało, gdyśmy wyjechali w stronę Czerniowiec. Po drodze dowiedzieliśmy się, że wszystkie formacje i poszczególne ludzie są rozbrajani i skierowywani do obozów.

Gdy na dworcu w Czerniowcach wieczorem podano pociąg dla Prezydenta, Naczelnego Wodza i Rządu, kilku ministrów zbliżyło się do Marszałka, już wsiadającego do wagonu, by go pożegnać.

Stałem tuż za Marszałkiem, gdy On się zwrócił do ministra Becka i ostrym głosem, zbliżonym do stłumionego krzyku — powiedział ...pan m n i e o s z u k a ł, panie ministrze, i nie podając ręki Beckowi wszedł do wagonu.

Zdążyłem pochwytać ironiczny uśmiech ministra, nucącego pod nosem jakąś melodię i postukującego w takt końcem bućka w kamienie peronu.

Karol WĘDZIAGOLSKI

Ankara, w czerwcu 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jednostronne i niezbyt ściśle przedstawienie przez Generała Składkowskiego jego „Internowania w Turcji” („Kultura”, Nr 6-152) zmusza mnie do poprawek, względnie uzupełnień.

Przed wszystkim sam termin „internowanie” jest w danym wypadku użyty niewłaściwie. Internowaniem nazywa się wyznaczenie przymusowego miejsca pobytu; Turcja żadnego przymusu w stosunku do naszych uchodźców nie stosowała; pozostawali oni w jurysdykcji polskich władz wojskowych, poza tym zaś mieli pełną swobodę ruchów. Ich trudności wyjazdowe polegały wyłącznie na nieposiadaniu dokumentów, których otrzymanie nie zależało ani od Turcji, ani od ambasady R.P.

Co się zaś tyczy mnie osobiście:

W grudniu 1939 zostałem depeszą p. A. Zaleskiego, ówczesnego ministra spraw zagranicznych, zwolniony z decyzji rządu gen. Sikorskiego ze stanowiska ambasadora R.P. w Turcji. Decyzja ta nie weszła w życie z powodu weta rządu tureckiego, i depeszą z 31 stycznia 1940 minister Zaleski polecił mi pozostać na stanowisku „do odwołania”.

W tym położeniu nie miałem, rzecz jasna, żadnych wpływów ani kontaktów. prócz czysto urzędowych, w ówczesnym rządzie. Wszelkie postanowienia i akcje, dotyczące uchodźców, a w szczególności byłych członków rządu, przechodziły poza mną. Wszelkie urzędy „badawcze” i agentury śledcze, istniejące na moim terenie, były ode mnie niezależne i niepodlegały mej władzy. Jednakże, jak to oświadczyłem generałowi Składkowskiemu w rozmowie 14 sierpnia, i jak zapisałem w

prowadzonym przeze mnie dzienniku, „szykany ani podstępny w stosunku do rodaków nie (były) na moim terenie w modzie... nie odpowiadały one ani mojemu charakterowi, ani tradycjom”.

Rola moja ograniczała się tedy do ułatwiania czasowego azylu dla naszych uchodźców u rządu tureckiego i w niektórych wypadkach przekazywania ich podać ambasadzie brytyjskiej. Z tą ostatnią stosunki były poprawne, ale ze względu na dobrze jej wiadomą moją sytuację osobistą ambasadora „do odwołania”, bynajmniej nie łatwe, ani bliskie. Attaché wojskowym angielskim był od jesieni 1939 generał brygady A.C. Arnold, jego pomocnikiem na Stambul — major Ivor D. Brown, osobiście mi nawet nieznanym; stosunki z nim, podobnie jak z innymi attachés utrzymywał płk. dypl. Tadeusz Machalski.

Twierdzenie przeto, jakoby pod moimi „auspicjami” odbywało się „mało konstytucyjne przeszkadzanie” generałowi Składkowskiemu „w wypełnieniu obowiązku żołnierskiego”, jest na niczym nieopartą fantazją, a zawarte w nim insynuowanie, że działałem w jakimś tajnym porozumieniu z ambasadą brytyjską, jest zgola śmieszne. Sprawę generała Składkowskiego załatwiałem i załatwiać mogłem wyłącznie na drodze pism urzędowych wymienionych z ambasadorem Knatchbull Huggesenem, których kopię zakomunikowałem generałowi.

A wreszcie: według jego opisu, przyjął go miałem „w pięknym, wykładanym białym marmurem pałacu... w wielkim, wyłożonym wspaniałymi dywanami salonie... w pałacu Rzeczypospolitej”, gdzie miałem wówczas spędzać „urlop letni”. W rzeczywistości z żadnego urlopu w czasie wojny nie korzystałem, spełniałem zarówno w Ankarze jak w Stambule moje funkcje urzędowe, zaś dom, gdzie przyjmowałem generała, nie był „pałacem R.P.”, lecz prywatną willą p. A.V. Walkera, dyrektora generalnego Socony Va., któremu zawdzięczaliśmy zabezpieczenie transportu polskiego złota, i z którego czasowej gościny korzystałem. Sąsiadujący z willą naszego przyjaciela dom ambasady oddałem z chwilą wybuchu wojny na mieszkanie czekającym, podobnie jak generał Składkowski, na załatwienie formalności wyjazdowych, uchodźcom polskim, będącym pod opieką żony konsula, pani Rychlewiczowej. Uchodźcy ci również nie byli „internowani”, gdyż Turcja przez cały czas wojny nikogo z Polaków nie internowała.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Michał SOKOLNICKI

W związku z listem p. Tytusa Komarnickiego w sprawie Metropolity Szeptyckiego zamieszczonym w majowym nrze „Kultury” (5/151) w którym pisze, że wszelkie informacje i dokumenty, mogące być przyczynkiem do będącego w toku procesu beatyfikacyjnego Metropolity należy kierować do Świętej Kongregacji Obrządków w Rzymie — otrzymaliśmy z Rzymu, z prośbą o sprostowanie, dokładny adres tejże Kongregacji, który brzmi:

La Congregation des Rites
Piazza Pio XII, 10; Roma

ZWIĄZKOWIEC

Jedynе pismo polskie w Kanadzie ukazujące się dwa razy na tydzień Służy Polonii Kanadyjskiej od roku 1933 przynosząc regularne korespondencje i informacje ze wszystkich ośrodków polonijnych w Kanadzie i innych krajach świata.

Związkowiec

informuje obszernie o życiu w Polsce tak przez własnych wysłanników jak i poprzez korespondencje z kraju

Związkowiec

zamieszcza informacje i artykuły o sytuacji międzynarodowej

Związkowiec

drukuje w odcinkach dwie powieści współczesnych autorów polskich, oraz posiada działy: Kobiety i Dla Dzieci

Związkowiec

dociera do wszystkich ośrodków polonijnych jest więc doskonałym instrumentem reklamy handlowej.

Związkowiec

jest jedynym pismem polonijnym, które od roku 1957 do chwili obecnej miało w Polsce czterech specjalnych korespondentów. Abonament roczny wynosi w Kanadzie — dol. 6,00, w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach — dol. 7,00. Wpłaty należy kierować do administracji ZWIĄZKOWCA:

1475 Queen Street West, TORONTO 3, Ont., Canada

Administracja wysyła na żądanie egzemplarze okazowe.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 3 trimestre 1960

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

| | Egz. poj. | Prenumerata | |
|--|--------------------|--------------|-------------|
| | | 1/2-roczna | Roczna |
| AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg | 3 sh. 9 c | 21 sh. | 42 sh. |
| ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires | 55 pesos | 330 pesos | 660 pesos |
| AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney | 5 sh. (a) | £.A.1.7.6. | £.A.2.12.6 |
| BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20 | 35 frb. | 180 frb. | 320 frb. |
| BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlinska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Jadwiga Swirska, rua Maranhao 213, Sao Paulo | | 4 dol. am. | 6 dol. am. |
| BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| FRANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Île, Paris-4 | 2,50 NF | 13 NF | 26 NF |
| HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538 | 2 fl. hol. | 12 fl. hol. | 24 fl. hol. |
| KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/O Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 3445 Marlowe Avenue, N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 9-0829; Roman J. Sas-Babczynski, 64 Indian Rd., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 4.1407; Andrzej Manteuffel, 797 Jessie Ave., Winnipeg, Man.; « Związkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491 | 75 cent. | 4 dol. | 6 dol. |
| MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855 | 75 cent. | 4 dol. | 6 dol. |
| NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1 | 2,50 DM | 13,50 DM | 25 DM |
| NOWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2 | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta pocz. 1.14431 | 2,50 fr. s. | 13,50 fr. s. | 2,50 fr. s |
| SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm | | 18 kor. | 33 kor. |
| U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczynski, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T.W. 2.0890 | 75 cent. | 4 dol. z | 6 dol. |
| W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11 | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tél. : 87-87-89. | 300 lires | 1.750 lires | 3.000 lires |

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres : Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.) C.C.P. PARIS 7585-94

157.60

Nowości

BIBLIOTEKA "KULTURY" :

TOM LII

HALSZKA GUILLEY-CHMIELOWSKA

SPOTKANIA NA GALERII

POWIEŚĆ

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1959.

Cena egzemplarza 9 NF (13 sh., \$ 2,—)



TOM LIII

JÓZEF CZAPSKI

O K O

SZKICE O MALARSTWIE

Cena egzemplarza 12 NF (17 sh. 3 d.; \$ 2,50)



TOM LIV

WITOLD GOMBROWICZ

PORNOGRAFIA

Cena egzemplarza 9 NF (13 sh., \$ 2,—)